

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

ŚLĄSK



Nr 2/28/ ROK IV • LUTY 1998

CENA 4 zł

DZIADUL – Prezydent na Zadnim Groniu

GŁOMBIK

– O szkole

Iwowsko-warszawskiej

KIJONKA

– Z ziemi obcej

do Polski

Rozmowa

z Vlastą

Dvořáčkovą

„Okna”

JACKA

DURSKIEGO

Wiersze

MACIEJA M.

SZCZAWIŃSKIEGO

Pięć lat GTL





Polska kultura muzyczna poniosła ogromną stratę. W dniu 31 stycznia 1998 roku zmarł prof. KAROL STRYJA — wybitny artysta, wieloletni dyrektor i dyrygent Filharmonii Śląskiej, inicjator i dyrektor artystyczny Międzynarodowego Konkursu Dyrygentów im. Grzegorza Fitelberga, zasłużony i ceniony pedagog, wychowawca kilku pokoleń mistrzów batuty.

(Profesorowi Karolowi Stryji poświęcimy odrębny artykuł w kwietniowym wydaniu „Śląska”, co w chwili obecnej — ze względów technicznych — było już niemożliwe)



Eksport
węgla i koksu

Import
metali i ich rud
paliw płynnych
maszyn i urządzeń
górnictw



WEGLOKOKS S.A.

ŚLĄSK

**MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY**

Nr 2 (28), Rok IV, Luty 1998

WYDAWCA: GÓRNOŚLĄSKIE
TOWARZYSTWO LITERACKIE

W KATOWICACH

Redaguje zespół:
TADEUSZ KIJONKA
redaktor naczelny

FELIKS NETZ
zastępca redaktora naczelnego

WIEŚŁAWA KONOPELSKA
sekretarz redakcji

KRZYSZTOF KARWAT
dział kulturalny

MARIAN KISIEL
dział krytyki i eseju

JAN F. LEWANDOWSKI
dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA
dział graficzny

HALINA ŻMIJ
kierownictwo biura redakcji

MIROŚLAW KORBEL
nadzór techniczny i poligraficzny

ANNA STRUMIŁOWSKA
ANDRZEJ RÓGIER
korekta

ADRES REDAKCJI:

40-096 Katowice, ul. 3 Maja 7, tel./fax 206-82-71

Czasopismo wspierane finansowo przez:

MINISTERSTWO KULTURY I SZTUKI, WY-
DZIAŁ KULTURY URZĘDU WOJEWÓDZKIE-
GO I URZĄD MIASTA W KATOWICACH.

Skład i montaż elektroniczny: Studio Typografii
Profesjonalnej „KorGraf” s.c., 40-084 Katowice,
ul. Opolska 22, tel. 597-271 w. 107

Druk: MARQUARD PRESS S.A. 40-084
Katowice, ul. Opolska 22, zam. 152/98

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, po-
prawek i zmian tytułów w tekstach przyjętych
do druku oraz skracania korespondencji.

Warunki prenumeraty: - poprzez Oddziały i De-
legatury „RUCHU” - na terenie całego kraju. Bez-
pośrednio - w sekretariacie Redakcji oraz w urzę-
dach pocztowych. Wpłaty należy dokonywać na
konto: GTL - redakcja miesięcznika „Śląsk”, PKO
II Oddz. Katowice 10202326-702757-270-1-PLN.
Prenumerata roczna - 48 zł., półroczna - 24 zł. Pi-
smo w prenumeracie jest dostarczane pod wskaza-
ny adres bez dodatkowych opłat.

Cena egzemplarza — 4 zł
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X
Numer zamknięto 10.01.1998 r.

W NUMERZE



<i>Henryk Urbanek</i> BAJZEL W BYTKOWIE	7
<i>Jan Dziadul</i> PREZYDENT NA ZADNIM GRONIU	8
<i>Wiesława Konopelska</i> OD BONCZYKA DO RÓŻEWICZA	11
<i>Tomasz Nawrocki</i> NA NOWO STAWIANE PYTANIA	14
<i>Marek S. Szczepański</i> TOŻSAMOŚĆ POGRANICZA	16
<i>Jarosław Tomasiewicz</i> CZY ISTNIEJE „NARÓD ŚLĄSKI”	20
<i>Krzysztof Karwat</i> GÓRNY ŚLĄSK-KŁÓPOTY Z TOŻSAMOŚCIĄ	23
<i>Tadeusz Siwek</i> ZAOLZIE ZMIERZA DO EUROPY	28
<i>Marian Grzegorz Gerlich</i> ŚLĄSKIE SYMBOLE I ZNAKI	29
<i>Jacek Wódz, Kazimiera Wódz</i> Z POLITYCZNEGO PUNKTU WIDZENIA	32
<i>Tadeusz Kijonka</i> SOBIEPAŃSTWO	35
<i>Maciej M. Szczawiński</i> WIERSZE	36
<i>Rozmowa z Vlastą Dvořáčkovą</i> „GŁOS NAJLEPIEJ POTRAFI.....”	38
<i>Jacek Durski</i> OKNA	41
<i>Edward Szopa</i> PEJZAŻ Z HAŁDĄ	46
<i>Zdzisław Janeczek</i> DROGA HUGONA HANKE DO LONDYNU	48
<i>Czesław Głombik</i> MISTRZOWIE POLSKIEJ INTELIGENCJI	52
<i>Jan Kulka</i> WIERSZE	56
<i>Sabina Wawerla</i> WIERSZE	57
<i>Jan Różewicz</i> SANDRO I WENUS	58
<i>Leszek Szaruga</i> MÓJ WIERSZ	61
<i>Jarostaw Świercz</i> MOJA AKADEMIA	64
<i>Katarzyna Młynarczyk</i> KORESPONDENCJA OTWARTA	65
<i>Witold Bienkowski</i> ŚLĄSKA AUKCJA SZTUKI	80
<i>Magdalena Dziadek</i> MUZYCZNE „KATOWICE”	81
<i>Wiesława Konopelska</i> PODRÓŻOWAĆ Z JEDNYM BILETEM	88

ŚLĄSKI MIESIĄC	2
LISTY	4
<i>Tadeusz Kijonka</i> Z ZIEMI OBCEJ DO POLSKI	3
OBSERWATOR SAMORZĄDOWY	6
GOSPODARKA	
<i>Krzysztof Karwat</i> DZIEWIĘCIU MILIONERÓW?	45
ŚCIEŻKI I ROZDROŻA	
<i>Krzysztof Karwat</i> KONTROWERSYJNY ULITZKA	50
PEJZAŻ MITOLOGICZNY	
<i>Antoni Halor</i> ZAPADŁE BUDOWLE: MIASTA, KOŚCIOŁY, ZAMKI ETC.	51
WĘDRÓWKI PO KINIE	
<i>Jan F. Lewandowski</i> DWA FILMY ROSY	55
PODKOPKI: Kijonka, Netz, Michalski, Bilewicz, Wątroba, Malicki	62
MUSICAL	
<i>Krzysztof Karwat</i> POCAŁUNEK ŚMIERCI	66
OPERETKA	
<i>Marek Brzeźniak</i> WIENIEŃSKIE DANIE W PARYSKIM SOSIE	67
TEATR	
<i>Danuta Lubina-Cipińska</i> TRATWA MEDUZY	68
MUZYKA	
<i>Magdalena Dziadek</i> „TROCHĘ ŚLĄSKI”	
MENDELSSOHN	69
RAPORTY KULTURALNE	
<i>Paweł Majerski</i> RUCH LITERACKI	70
STARTY I FALSTARTY	
<i>Marian Kisiel</i> REQUIEM WSPÓŁCZESNE	72
KSIĄŻKI	
<i>Marian Kisiel</i> MIT, GEST, CZŁOWIEK	73
<i>Renata Jochymek</i> OCIOSANE KAMIENIE	74
<i>Maria Kwaśniewicz</i> NA TROPIE ZBRODNI	75
<i>Paweł Majerski</i> STROFY CHAOSU	76
<i>Krzysztof Tarka</i> „WŁADZY RAZ ZDOBYTEJ NIE ODDAMY NIGDY”	77
<i>Piotr Kowolik</i> GÓRNICZA OŚWIATA	78
<i>Marek Baster</i> BLOC-NOTES	79
<i>Marta Fox</i> LISTY SPOD KAPELUSZA	80
NOTATNIKI KULTURALNE	
<i>Wiesława Konopelska</i> KATOWICE	82
<i>Jan Picheta</i> BIELSKO	84
<i>Marek Świercz</i> OPOLE	85
<i>Jacek Sikora</i> ZAOLZIE	86
<i>Wojciech Janota</i> GLOSSY GÓRNOŚLĄSKIE	87

W kolorze:

- Artyści - pedagogzy katowickiej ASP
- Georgij Safronow - wystawa malarstwa w Muzeum Śląskim
- Śląska aukcja sztuki - BWA Katowice, 13.12.1997 r. ● Znaki i twarze miasta Katowic - Najstarsze kino - „Rialto”

Na okładce:

Ślązaczka - miniatura, malarstwo
Jadwigi Kisiel-Bernart

Fotografia:

Józef Wróbel



Adres internetowy: www.miesiecznik.silesia.top.pl

E-Mail alfa@alfa.com.pl

Reklama w miesięczniku „Śląsk” przy współpracy:

Agencja Reklamowa „ALFA” P.H.-I. Sp. z o.o.

40-081 Katowice, ul. Dąbrówki 16

Dariusz Maroszek - Szef Promocji i Reklamy

tel./fax 596-769, 596-668

Adres internetowy: www.alfa.com.pl

E-Mail alfa@alfa.com.pl

Prenumerata zagraniczna: 11 DM; 22 FRF; 2,5 GBP; 100 KC.

GRA NA TYMCZASOWOŚĆ

Szanowna Redakcjo!

Kiedy przeczytałem w „Śląsku” (nr 1125) zapowiadany jako pamflet na telewizję katowicką krytyczny artykuł Henryka Urbanka, byłem pewien, że lada dzień zostanie wreszcie mianowany szef tego ważnego ośrodka — niegdyś wcale znaczącego. A w każdym razie, że stanie się to z końcem roku. Przecież kampania prasowa toczyła się już od wielu miesięcy i raz po raz ujawniano nowych kandydatów, bez oczekiwanego rezultatu.

Zarząd TVP pod wodzą prezesa Ryszarda Miazka prowadził zresztą niezrozumiałą grę na odwlekanie decyzji, która przecież nie może toczyć się w nieskończoność. Najpierw bowiem miał dokonać nominacji jednego z kandydatów — prasa wymieniała m.in. kandydatury Andrzeja Niedoby i Michała Smolorza, bez wątplenia fachowców o znaczącym autorytecie, no i ludzi stąd, katowiczian. Potem jednak zmieniono zasady i kwestię tę miał rozstrzygnąć konkurs... ze wskazaniem na reżysera K. Tchórzewskiego, mieszkanka stolicy, dysponującego preferencjami politycznymi. Czas jednak upływał — wciąż bez skutku, zaś ośrodek popadał w coraz większą ruinę programową i organizacyjną, o czym było coraz głośniejsze.

Jednak nie w Warszawie, jakby Zarząd TVP za nic nie odpowiadał i wysokie aparytacje oraz reprezentacyjne fundusze wydawane rozrzutnie stanowiły dodatek do smokingów, które są, zdaje się, strojem robotycznym dostojników z tegoż Zarządu. A co jeden to panisko, a już panowie Daszczyński i prezes Miazek wydają się być stworzeni do smokingów, szczególnie ten ostatni, było nie było ongiś redaktor redakcji programów rolnych Polskiego Radia, który jako się dowiedział o wizji, okazji nie przepuści!

Dowiódł tego podczas wręczania Oskarów Serca przez profesora Religę, gdy zajął niemal cały czas z bezpośredniej transmisji, bajdurząc coś o „sercu telewizji” w towarzystwie wybitnie ukontentowanej damy. Była nią pani Elżbieta Piętak, przez lata zastępczyni odwołanego dyrektora Rafała Szymońskiego, pełniąca obowiązki dyrektora ośrodka na czas, okazuje się, wcale nie przejściowy. Prezes Miazek i szefowa p.o. katowickiej tv zachowywali się tak, jakby nie mieli okazji wystąpić na wizji i w efekcie nie dopuścili na ekran innych laureatów, w tym przypadku bardziej oczekiwanych.

Ja zrozumiałem wówczas jedno, że jest ten występ przy prestiżowej okazji formą rekomendacji dotychczasowej zastępczyni dyrektora i aktualnej p.o., bez względu na ogłoszony konkurs. Nie należy się więc spodziewać rychłego wyboru nowego dyrektora. I cóż z tego, że ośrodek popada w zamęt i ruinę. A może o to właśnie chodzi, skoro pojawiła się nowa idea — holdingu ośrodków regionalnych, co oznacza ich stopniową degradację.

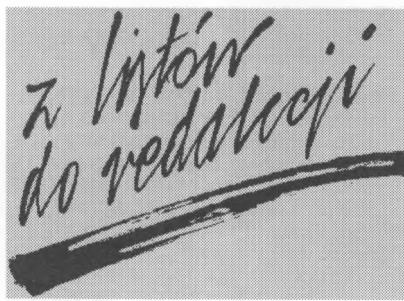
Moim zdaniem właśnie o to w tej grze na tymczasowość chodzi: o postępujące wyniszczenie regionalnych ośrodków a następnie przejęcie całej centralizowanej na nowo władzy. W gruncie rzeczy jednak o drenaż regionalnego rynku reklam, czyli o forsę dla centrali i dostojników telewizyjnych w smokingach.

Z wyrazami poważania
JERZY DANEK
Chorzów

POZA TYM — DNO...

Szanowny Panie Redaktorze!

Artykuł p. Henryka Urbanka pt. „Upadek, który trwa” (Rzecz o katowickiej telewizji) ukazał się w numerze listopado-



wym. Czytam „Śląsk” systematycznie, ale ani w numerze grudniowym, ani w styczniowym, który kupiłem dzisiaj (21 stycznia) nie znalazłem głosów ludzi związanych z katowicką telewizją, podejmujących polemikę z zarzutami Autora artykułu. Ludzie wywołani z nazwiska — publicznie! — milczą. Ale, na zdrowy rozum, co mają mówić? przecież wspólnymi siłami (czyli wspólną umysłową bezsilą) doprowadzili ten niemały przecież ośrodek do zapaści. Piszę to z żalem, bez „złej radości”, bo chciałbym, aby ten region — jeden z nielicznych w Polsce, który ma rzeczywiste powody, by czuć i naprawdę stać się REGIONEM — był postrzegany w Polsce jako coś więcej, niż teren do cna wyeksploatowany i poniekąd ciążyący Polsce, co da się wyczytać, wprost, w niejednej gazecie. Dlaczego katowickie Polskie Radio mogło, a katowicka telewizja nie potrafiła wyrwać się z uścisku miernoty? Moim zdaniem, jak zawsze w takich sprawach, decyduje jednostka, KTOS, jakaś silna osobowość, dla której — coś takiego, jak zdynamizowanie katowickiego ośrodka telewizyjnego, byłoby sprawą życia, wyzwaniem jak najgłębiej osobistym? Nic z tego, niestety, Przygnębiająca brednia o „najlepszym ośrodku regionalnym w Europie” jest dowodem na żalotne urojenia wielkościowe człowieka, który zatracił poczucie elementarnej prawdy.

Nie interesują mnie liczne kanały satelitarne, ja chcę oglądać to, co ma związek z moim życiem tutaj, w tym mieście, w tym województwie, w tym kraju. Mnie naprawdę bardziej obchodzi ulica Gliwicka w Katowicach (po której strach jechać samochodem), niż Ulice San Francisco. To skrót, oczywiście. Od telewizji publicznej mamy prawo oczekiwać czegoś więcej niż idiotycznej opery mydlanej (to mydło jest szare, niestety, i żebyż choć się pieńfio, ale to ja, oglądając te idiotyzmy, pieńfio się z wściekłości!) w Bytkowie. Z początku miało to jeszcze jakiś sens, jakieś takie rodzinne biesiady (przekomarzenie się starych i młodych, podśpiewywanie), zgoda, ale ten pomysł szybko się wyczerpał, a to, co z tego zrobiono z czasem, to już czysta kpina z widza średnio rozgarniętego. Ale czego by nie dotknąć, to aż zęby bołą. Czy ludzie, którzy produkują „Telefoniadę” nie czują, że robią coś poniżej sprawności umysłowej szympansa? W kulturze jakieś apodyktyczne połajanki, recenzje teatralne, za którymi nie czuje się ani wiedzy, ani samodzielnych kryteriów. A gdzie u diabła są piękne kobiety na ekranie? Gdzie indywiduałności? Jedna pani Beta Smaga i jeden jedyny pan Kamil Durczok. I jedna jedyna pani Ewelina Puczek z dawnej, jeszcze peerelowskiej ekipy, ze swoją „Personą”, w której o coś jeszcze naprawdę chodzi. Poza tym — dno. I niestety, nie słychać pukania od spodu. Jakaż radość dla wrogów tego ośrodka. I jak słyszę, wciąż nie ma nowego dyrektora? A kto miałby nim być, na miłość boską?! Noblista? Geniusz zapoznany? Czy naprawdę tak trudno w Katowicach o jednego człowieka z głową, i przepraszam za słowo, z jajami? Który by znał się na telewizji?

Katowice 21 I 1998
ZDZISŁAW SOJKA
Katowice

Zwracam uwagę Szanownej Redakcji, że staraniem władz miasta Żory, wydano tu znakomite dzieło, poszukiwane przez historyków, cenione przez bibliofilów, ks. dra Augustyna Bogusława Weltzla, historiografa Śląska. A. Weltzel opracował wydaną „Historię miasta Żory na Górnym Śląsku” w Żorach w 1888 roku. (Tytuł oryginału „Geschichte der Stadt Sohrau in Oberschlesien”. „Aus urkunden und amtlichen Actenstücken bearbeitet.”) Tłumaczone dzieło spotkało się z życzliwą opinią historyków: dra Janusza Spiry (Muzeum Cieszyn) i dra Ryszarda Kincela. Augustyn Weltzel ur. 9 kwietnia 1817 r. w Jelczu był przez kilka lat proboszczem w Tworzkowie, był autorem monografii historycznych pięciu miast górnośląskich, które obok Franciszka Henkego, autora monografii pt.: „Kronika miasta i państwka stanowego Wodzisław” (wydanej w pszczyńcu, w 1861 r.) oraz P. Skwary, autora kroniki parafialnej Pszowa, stanowi do dzisiaj cenne źródło wiedzy o wielu miejscowościach tego obszaru Śląska. Z inicjatywy Towarzystwa Miłośników Ziemi Raciborskiej i Muzeum w Raciborzu, odbyło się seminarium poświęcone życiu i twórczości śląskiego historiografa ks. Augustyna B. Weltzla.

BOLESŁAW NIEZGODA
Jastrzębie Zdrój

Sprostowanie

Drodzy Państwo!

Tym razem Chochlik przesadził! Wykorzystując gorączkę przedświąteczną i przednoworoczną przerwę wykazał szczególnie perfidną przedsiębiorczość. I tak:

1)wymienionego w spisie treści PAWŁA LISIEWICZA, autora artykułu „Zagadka śląskiej Mata Hari” pozbawił nazwiska pod artykułem;

2)z kolei w spisie treści ukradł literę „o” panu MARKOWI PIECHOCIE, autorowi tekstu pt. „Romantyzm klasycyzmem podszyty”;

3)w podpisie pod zdjęciem (str. 14) powinno widnieć nazwisko WIKTORA GROLIKA;

Ten sam Chochlik miał także wpływ na usterki techniczne co świadczy, że kiedy tylko nie czuje twardej redakcyjnej ręki hula sobie bezkarnie - ale do czasu!

REDAKCJA

W numerze 11/97 „Śląska” w recenzji pt. „Tragedia Giocondy w blasku sukcesu” powinno znaleźć się nazwisko pani ELŻBIETY MAZUR jako znakomitej odtwórczyni roli Laury w spektaklu „Gioconda”. Nastąpiła pomyłka imion artystek o tym samym nazwisku, obydwu związanych z Operą Śląską. Za tę przykrość przepraszam.

Wiesława Konopelska



Rys. Marek Polaniski

RZEWNE SCENY z odwiedzin w „ojczyźnie wszystkich Polaków” grupy 56 naszych rodaków z Kazachstanu, którzy dzięki Polskiej Akcji Humanitarnej mogli spędzić w Polsce czas od Świąt Bożego Narodzenia po Nowy Rok. Twarze prostych, wymizerowanych ludzi, w większości już w podeszłym wieku. Widać, że to biedacy, którzy nagle zawitali do kraju ojców i przeżywają czas cudu na jawie. Napływające do oczu łzy i wylewne słowa podziękii, choć ich ocalony w szczątkowej formie język polski dobitnie świadczy do jakiego stopnia poddani zostali terrorowi wynarodowienia. Po wysiedleniu w latach stalinowskich z byłej Ukrainy radzieckiej i Białorusi skazani byli właściwie na biologiczne unicestwienie. Wyrzucono ich przecież z otwartych wagonów w bezludnym stepie, toteż większość nie przeżyła pierwszych, najcięższych lat. Wielu zresztą zatajało swój polski rodowód, by przetrwać mimo wszystko i wtopić się w otoczenie pod każdym względem obce.

Ta świąteczna wizyta, która miała swoje przejmujące wątki pełne świadectw wzruszającej gościnności prostych polskich domów, nałożyła się na nową, wchodzącą w życie z dniem 1 stycznia, ustawę o cudzoziemcach. Lecz oto równocześnie pojawił się nowy ton, bo w oficjalnych wypowiedziach więcej niepokoju i lęku przed następstwami repatriacji, która może mieć teraz miejsce. Ustawa ta otwiera bowiem szeroko bramy do Polski wszystkim osobom polskiego pochodzenia, wraz z prawem do polskiego obywatelstwa.

Chociaż kwestia ta powraca od wielu lat, mało jednak po roku 1989 uczyniono, by wolna, suwerenna, niepodległa Polska otwierała się szerzej dla tych, którzy nie chcą żyć dłużej poza jej granicami, skazani na upodlenie i niepewną przyszłość. Dotyczy to głównie naszych rodaków oraz ich potomków żyjących w byłych republikach dawnego Związku Radzieckiego — w Kazachstanie, Uzbekistanie, Turkmenii, Armenii, na Syberii i w Rosji Zachodniej a także w pobliskiej Białorusi i na Ukrainie. Jest ich tam łącznie około 2 milionów, jeśli nie więcej — i to głównie o nich chodzi, choć Polonia na świecie liczy kilkanaście milionów osób.

Nie należy się jednak spodziewać masowego napływu Polaków i osób polskiego pochodzenia z krajów Europy zachodniej, USA, Kanady oraz innych państw obu Ameryk i Australii. Są tam zadowoleni, dobrze w większości sytuowani, zaś sentyment do kraju ojców nie jest już dziedziczny. Mogą oczywiście zechcieć osiedlić się w Polsce osoby dożywające ostatnich lat, by tu spocząć w rodzinnych grobach. Względnie ludzie w pełni sił, którzy uznają nasz kraj za miejsce szansy życiowej. Zainteresowanie powrotem mogą ujawnić osoby liczące na odzyskanie mienia, bądź nabycie nieruchomości, skoro ceny gruntów i wszelkich obiektów są u nas wciąż bardzo korzystne. Mogą także w nowych warunkach podjąć decyzję powrotu osoby, które w różnych okolicznościach opuściły Polskę wyrzekając się obywatelstwa; w tym rodowici Ślązacy z kolejnych fal odpływu, poczynając od fatalnej „akcji łączenia rodzin”, kiedy to sprzedano na pniu ponad 100 tysięcy rodowitych Ślązaków, co pociągnęło za sobą dalsze wyjazdy do Niemiec, w tym często rodzin i osób o peł-

Z ziemi obcej do Polski

nym poczuciu narodowości polskiej, nie mogących przystać na funkcjonowanie w stanie politycznego podejrzenia, eksploatację życiową oraz niższą kategorię obywatelstwa.

Nie ma co kryć, że jest to w sumie kwestia nader złożona, wymagająca gruntownego przygotowania nie tylko w sensie prawnym; także organizacyjnym i materialnym, bo przecież repatriacja — oznacza powrót na stałe, z gwarancjami zabezpieczenia dachu nad głową i pracy. Szczególnie w przypadku naszych rodaków z państw byłego Związku Radzieckiego, z których większość nie dysponuje nie tylko odpowiednim przygotowaniem zawodowym, ale nawet znajomością ojczystego języka w stopniu zapewniającym samodzielność. Wielu z nich musi więc przejść najpierw okres repolonizacji by nie znaleźć się na dozgonnym marginesie. A właśnie ludzie stamtąd mogą zechcieć skorzystać masowo z ustawowych praw powrotu do kraju przodków. Oczywiście, że nie wszystkie przypadki można skodyfikować. A przecież nie zawsze w 2 i 3 pokoleniu można wykażeć swój polski rodowód, skoro wynaradawianiu przodków towarzyszyło wyjątkowe bezprawie.

Choć ustawa ta rodziła się długo, jednak przepisy wykonawcze nie zostały przygotowane na czas. Niektóre mogą nawet zostać zaskarżone w Trybunale Konstytucyjnym, jeśli okaże się, że uprawniony do ich wydania minister spraw wewnętrznych naruszył ustawę zasadniczą, by ograniczyć napływ. Pytań i wątpliwości różnej natury pojawiło się nagle wiele, choć należało wcześniej ustalić — co i jak należy zrobić, by państwo polskie mogło wywiązać się z ustawowych oraz moralnych powinności. A te narastały od lat, jako że problem prawa do repatriacji powinien być zostac rozwiązany już w okresie rządów premiera Mazowieckiego, gdy tyle nadziei ożyło w warunkach nagle odzyskanej, pełnej wolności.

Niewiele zrobiły kolejne rządy, mało co również samorządy, które dość biernie wykorzystywały swoje realne możliwości. Jest więc zawstydzającym faktem, że tylko 1500 osób uzyskało dotąd szanse osiedlenia się w Polsce. Oczywiście, że repatriacja to nie małe koszty oraz wielorakie społeczne następstwa. Nigdy jednak nie doczekamy czasów takiej obfitości, że będzie to można przeprowadzić bez odczuwalnego obciążenia budżetu państwa. Czy moż-

liwości naszego kraju są jednak rzeczywście aż tak ograniczone? Jak to więc mogło się stać, że po roku 1957 osiedliło się w PRL około 270 tys. repatriantów z ZSRR i ówczesne, znacznie biedniejsze państwo, podołało temu? Czy dziś możliwości nasze są mniejsze — w Polsce w pełni wolnej i suwerennej?

Na pewno z repatriacją, której skali nie da się do końca przewidzieć, związane będą niemałe wydatki i obciążenia, które muszą znaleźć odpowiednie zabezpieczenie w budżecie. Konieczne okaże się także odwołanie do społecznej ofiarności obywateli oraz do środowisk polonijnych na Zachodzie. Można by do tych zadań — co ponownie w tym miejscu postuluję — powołać Narodowy Fundusz Repatriacyjny, który może okazać się poważnym źródłem zasilania. Idea ta podjęta zbiorowym trudem, może odrodzić jakże dziś potrzebny a bezmyślnie marnowany, kapitał patriotyczny Polaków, który w przeszłości nigdy nie wynikał z nadmiaru, lecz zbiorowych wyrzeczeń.

Repatriacja na tę skalę to niewątpliwie wielki egzamin z polskości, który zdać musimy wszyscy: władza — także kosztem reprezentacyjnych aspiracji, wszelkich luksusów i rozrzutnych apañazy. Natomiast społeczeństwo — poprzez zbiorowe zaangażowanie i nie tylko spontaniczną ofiarności. Inaczej jako państwo i naród nie zdamy zbiorowego egzaminu z polskości wobec tych, którzy zasługują na szerokie otwarcie ramion i akty zadośćuczynienia za to czego doznali od kilku już pokoleń skazani na wyniszczający terror fizyczny i moralny.

A nie będzie to egzamin łatwy, bo nie sprowadza się on do zmanifestowania patriotyzmu od święta, nadętego od patetycznych gestów, tanich deklaracji i scen na pokaz. Ten ma wyrażać się w ofiarności i wyrzeczeniach by dowieść, że polskości to także bezinteresowna praca zbiorowa na rzecz polskości. Jest to szczególnie ważne dziś, w okresie dominacji ideologii liberalnych i postaw konsumpcyjnych, narastania egoizmu, wyrachowania i chciwości. Podjęcie idei repatriacji jako wielkiego zadania narodowego powinno stać się misją powszechną polskiego społeczeństwa, na potwierdzenie zasad, które gwarantuje Konstytucja a które wynikają z dziedzictwa wszystkich nurtów niepodległościowych naszej historii.

Nowa ustawa otwiera szeroko bramy powrotu do Polski — przed wszystkimi, którzy czują się Polakami, bądź chcą nimi stać się pomimo następstw wynarodowienia, bądź rozlicznych przypadków losu. Być może, iż w pośrodku wielu nurtów powrotu pojawią się także drogi tych, którzy powodowani poczuciem krzywdy i gorzycy, czy też zafascynowani życiem ułatwionym, opuścili swoje małe śląskie ojczyzny, by jednak nigdy nie zakorzenić się do końca na obczyźnie. Byłyby to fakty i przypadki krzepiące, umacniające tożsamość rodowitych Ślązaków o świadomość wagi tych wartości w życiu, które wypracowały pokolenia przodków, bez względu na późniejsze wybory. Po tych stratach, które w wyniku kolejnych fal odpływu ludności rodzimej poniósł Śląsk — każdy powrót ma szczególne znaczenie.

TADEUSZ KIJONKA

■ **UROCZYSTYM** akcentem rozpoczął się grudzień dla kilku pracowników nauki z naszego regionu. 2 grudnia tytuły profesorskie z rąk prezydenta RP otrzymali prof. prof.: Zbigniew Jan Grzywna (Politechnika Śl.), Krystyna Kowalska (AE Katowice), Barbara Maria Czajnik-Lityńska (Uniwersytet Śl.), Grzegorz Namysłowski i Stanisław Woś (Śl.AM).

■ **PARAFIA** Przemienienia Pańskiego decyzją radnych otrzymała dwie działki o pow. 1013 m kw. jako rekompensatę za zabrane jej w stalinowskich czasach 9 hektarów ziemi.

■ **WIZYTY** prezydentowi Kwaśniewskiemu i jego małżonce złożyło 3 grudnia 300 dzieci — sierot po górnikach. Prezydent, który jest inicjatorem powołania Fundacji Rodzin Górniczych, wręczył swym gościom paczki świąteczne.

■ **TRADYCYJNA** Barbórka nareszcie ma charakter rodzinny, górniczy — nie dla partyjnych prominentów. W różnych kopalniach różnie ją obchodzono, ale wszędzie starano się zorganizować górniczy obiad dla jubilatów pracy z piwem, obładką lub golonką.

■ **JUBILEUSZ** obchodziła 4 grudnia Telewizja Katowice — rozpoczęła emitować program regionalny 40 lat temu. Jubileuszowy program prowadzili wieloletni prezenterzy Śląskiej TV — Krystyna Loska i Józef Kopicz.

■ **CZTEREJ** młodzi mężczyźni i jedna dziewczynka stanęli przed sądem w Raciborzu pod zarzutem kradzieży w sklepach i mieszkaniach podczas lipcowej powodzi.

■ **OD** lipcowej powodzi upłynęło już kilka miesięcy, jednak tylko 70 rodzin zdecydowało się przenieść do rządowych domków na Occicach w Raciborzu. Inni uważają, że mieszkanie są za drogę, a koszty eksploatacji będą jeszcze wyższe.

■ **BURMISTRZ** Wadowiec Ewa Filipiak, jej zastępca Stanisław Sultysiewicz oraz ks. inf. Kazimierz Suder zawieźli do Watykanu zaproszenie do kolejnego odwiedzenia Wadowic przez Jana Pawła II podczas najbliższej wizyty w kraju.

■ **GÓRNOŚLĄSKA** Wyższa Szkoła Handlowa w Katowicach otrzymała prawa nadawania absolwentom uczelni tytułu magistra, choć jest uczelnią niepaństwową.

■ **PODCZAS** prac ziemnych w rejonie ul. Murarskiej w Żorach robotnicy odkryli fragment średniowiecznych murów obronnych.

■ **WANDALE** zdemolowali w Łazach wojskowy cmentarzyk i otoczenie pomnika żołnierzy austriackich i niemieckich poległych podczas I wojny światowej.

■ **PO** raz kolejny już radiową mszę św. barbórkową transmitowano ze Śląska, dokładnie z Jastrzębia. Mszę odprawił i homilię wygłosił metropolita górnośląski abp Damian Zimoń.

■ **BARDZO** dokuczliwa w skutkach awaria 140-centymetrowej magistrali wodnej na ul. Gliwickiej w Katowicach pozbawiła wody mieszkańców paru dzielnic Katowic i Siemianowic. I to akurat w niedzielę! (7 bm.). Powodem awarii był najprawdopodobniej ruch górotworu.

■ **ZA** organizację wczasów na Słowacji i we Francji katowicka firma „Euro-Pol-Tour” otrzymała Złoty Globus na Międzynarodowym Salonie Turystyki, Sportu i Rekreacji „Res Tourist ‘97”.

■ **DOTYCHCZASOWY** komendant wojewódzkiej Straży Pożarnej w Katowicach nadbrigadier Zbigniew Meres powołany został na stanowisko komendanta głównego SP. Nadbrzyg. Z. Meres urodził się i mieszka w Dąbrowie Górniczej.

■ **STACJONUJĄCY** w Bielsku-Białej 18. Batalion Desantowo-Szturmowy jako pierwsza polska jednostka wejdzie do struktur NATO.

■ **ELŻBIETA** Solipiwo — dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Sosnowcu, została przewodniczącą Rady Programowej „Rocznika Sosnowieckiego”, którego nowym wydawcą jest Muzeum w Sosnowcu.

■ **KREDYT** w wysokości 20 mln ECU (ok. 80 mln zł) zaciągnęły władze Katowic w Europejskim Banku Inwestycyjnym na kontynuowanie inwestycji, głównie komuni-

ŚLĄSKI MIESIĄC

Zapis wydarzeń
z miesiąca poprzedzającego
zamknięcie numeru

kacyjnych. Prawie połowę, bo 45 proc. tej kwoty pochłonie dalsza przebudowa ul. Bocheńskiego. Umowę podpisano 10 bm.

■ **FRANCUSKI** myśliciel Jacques Derrida odebrał 10 bm. doktorat honorowy Uniwersytetu Śl.

■ **ANDRZEJ** Cofalik, sztangista ze Śląskich Palowic na mistrzostwach świata rozgrywanych w Tajlandii zdobył złoty medal.

■ **WŁADZE** miejskie Czeladzi poczyniły wstępne kroki, by od października br. rozpoczęła w tym mieście działalność Szkoła Nauk Humanistycznych Uniwersytetu Warszawskiego.

■ **UROCZYSTĄ** mszą św. w katedrze katowickiej 13 bm. zakończyła się roczna peregrynacja kopii cudownego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Obraz nawiedził ponad 300 parafii archidiecezji katowickiej.

■ **PODCZAS** uroczystości peregrynacyjnych uczestniczący w nich nuncjusz apostołski w Polsce abp Józef Kowalczyk poinformował wiernych o mianowaniu biskupem-ordynariuszem w Tarnowie, kapłana archidiecezji katowickiej, ks. prał. Wiktora Skworca.

■ **MAREK KEMPSKI** otrzymał 12 bm. z rąk premiera Jerzego Buzka nominację na stanowisko wojewody katowickiego.

■ **OSTRE** pogotowie nad hodowlanymi stawami rybnymi: strażnicy, psy, reflektory, nawet druty. Wszystko przed złodziejami.

■ **SPOTKANIE** opiatkowe biskupa sosnowieckiego Adama Śmięgielskiego odbyło się w areszcie w Sosnowcu. Przebywa w nim ponad 300 aresztantów, personel liczy 115 osób.

■ **POSEŁ** Ryszard Ostrowski z Żor został szefem władz regionalnych Unii Wolności. Ma 39 lat, jest prawnikiem po Uniwersytecie Jagiellońskim.

■ **NOWYM** śląskim królem kurkowym został Adolf Siemiaszkiewicz z rybnickiego Bractwa Kurkowego.

■ **DZIEŃ** Pamięci Górników z „Wujka” — 16 grudnia. Jak co roku — modły, znicze, kwiaty. Przebywający w Katowicach hierarchowie kościelni, w związku z zakończeniem peregrynacji kopii M.B. Częstochowskiej, z prymasem kard. Józefem Glempem złożyli hołd pomordowanym górnikom już 13 bm. Po decyzji katowickiego sądu uniewinniającej oskarżonych o pacyfikację zomowców, wśród zebranych ludzi nastrojów przynębnienia. Mordercy uszli cało.

■ **RÓWNO** w połowie miesiąca zima znów przypominała o sobie (po raz pierwszy pod koniec października). Przymroziło i to zdrowo. Ale bez śniegu. Na przystankach pojawiały się kosiaki.

■ **WSRÓD** 25 najlepszych doktorantów (przed trzydziestką), którym premier Jerzy Buzek wręczył nagrody było czterech z Katowickiego: kardiochirurg Marek Deja (Śl. AM), ekonomista Cezary Dominiak (AE), fi-

zyk Marcin Mierzejewski (UŚl.) i Grzegorz Juraz z katowickiej AWF.

■ **OGIEŃ** z Betlejem — harcerska akcja Betlejemski Ogień Pokoju — dotarł na Śląsk. W hufcach katowickich wystawiany, będzie palił się do Wigilli.

■ **NADZIEJE** na „białe Boże Narodzenie” rozwiął halny w górach i odwilż na nizinach.

■ **OSTATNIA** niedziela — 21 bm. — przed świętami. Najbardziej cieszą się handlowcy — wszystkich ogarnęła epidemia zakupów. Zakończono ostatecznie świąteczny wystrój ulic. Katowice nocą mogą się podobać.

■ **METROPOLITA** górnośląski, arcybiskup Damian Zimoń obchodził jubileusz 40-lecia święceń kapłańskich. Uroczystą mszę św. z tej okazji Dostojny Jubilat odprawił w Tychach, gdzie rozpoczął swoją pracę duszpasterską jako młody wikary.

■ **PIĄTE** urodziny obchodziło regionalne Radio Flash. Mówią krótko, ale grają głośno... Szefem FLASH-a jest niedogdyjszy gwiazdor Radia Katowice red. Stanisław Sotysik.

■ **NA** 24 grudnia, w samą Wigilię myśliwi z Poręby zaplanowali tradycyjne polowanie, ognisko i opłatek.

■ **INSPEKTOR** Jan Michna objął stanowisko komendanta wojewódzkiego Policji Państwowej.

■ **DYREKTOR** Wojewódzkiego Urzędu Pracy w Katowicach, Janina Zaława, zginęła w wypadku samochodowym na trasie Katowice — Warszawa, koło Żyrdarowa.

■ **POLICJA** w Jastrzębiu Zdroju ujęła czterech 14-latków, którzy w nocy z 20 na 21 grudnia po pijanemu (!) zdemolowali własną szkołę! (SP nr 3). Rozbite hydranty zalały korytarze i ściany. Piana z gaśnic wandalę dodatkowo niszczyli ściany i sprzęty.

■ **PRZEDŚWIĄTECZNY** szal za nami. Ale święta choć spokojne na ogół, bez śniegu, były bez uroku. Przypominały bardziej aurę Wielkanoc.

■ **RZECZNIKIEM** prasowym nowego wojewody Marka Kempkiego został 30-letni Jędrzej Jędrzych, absolwent dziennikarstwa UŚl.

■ **PO** przedświątecznym szale rozpoczął się szal przedświąteczny. Miejsca na bale w restauracjach praktycznie już wszystkie wyprzedane. W Beskidach — na skutek braku śniegu — jeszcze się trafiały. Zapowiadane są powitania nowego roku na rynkach wzgl. placach większych miast.

■ **TUŻ** przed sylwestrem — 28 grudnia — na lodowiskach Katowic, Sosnowca i Tychów rozpoczęły się hokejowe mistrzostwa świata juniorów z udziałem ośmiu drużyn.

■ **MEDAL** im. Marii Skłodowskiej-Curie oraz wyróżnienie otrzymała dr Irena Pluta z Głównego Instytutu Górniczego w prestiżowym konkursie Kobieta-Wynalazca.

■ **NOMINACJĘ** na stanowisko wicewojewody katowickiego Andrzej Gołażewski odebrał w ostatnim dniu mijającego roku. To jest sylwester!

■ **JEDNYM** z najbardziej zapracowanych ludzi przed świętami, między świętami i przed sylwestrem był — jak co roku — Jacek Piłkuła. Przygotowywał paczki dla ubogich i samotnych, wiecezrę i posiłki dla bezdomnych i w nielicznych wolnych chwilach śpiewał akompaniując sobie na gitarze na rogu Dyrekcyjnej i Staromiejskiej, zbierając datki na swych podopiecznych, których z roku na rok przybywa. I to jest ten smutny akcent kończący się roku.

■ **PRAWIE** przedwiosenna pogoda zgromadziła na rynkach miast i placach tysiące mieszkańców. Występowały zespoły muzyczne, były sztuczne ognie. Ale — nie ma co ukrywać — nie wszędzie bawiono się ładnie. Kultury zabawy jeszcze długo będziemy musieli się uczyć. Najradośniej Nowy Rok witali mieszkańcy Radzionkowa, który znów stał się samodzielnym miastem. Burmistrz Radzionkowa, Gustaw Jochlik, o północy otrzymał od prezydenta Bytomia Marka Kinczyka czerwoną, metalową tablicę z napisem: Urząd Miejski w Radzionkowie. **KRONIKARZ**

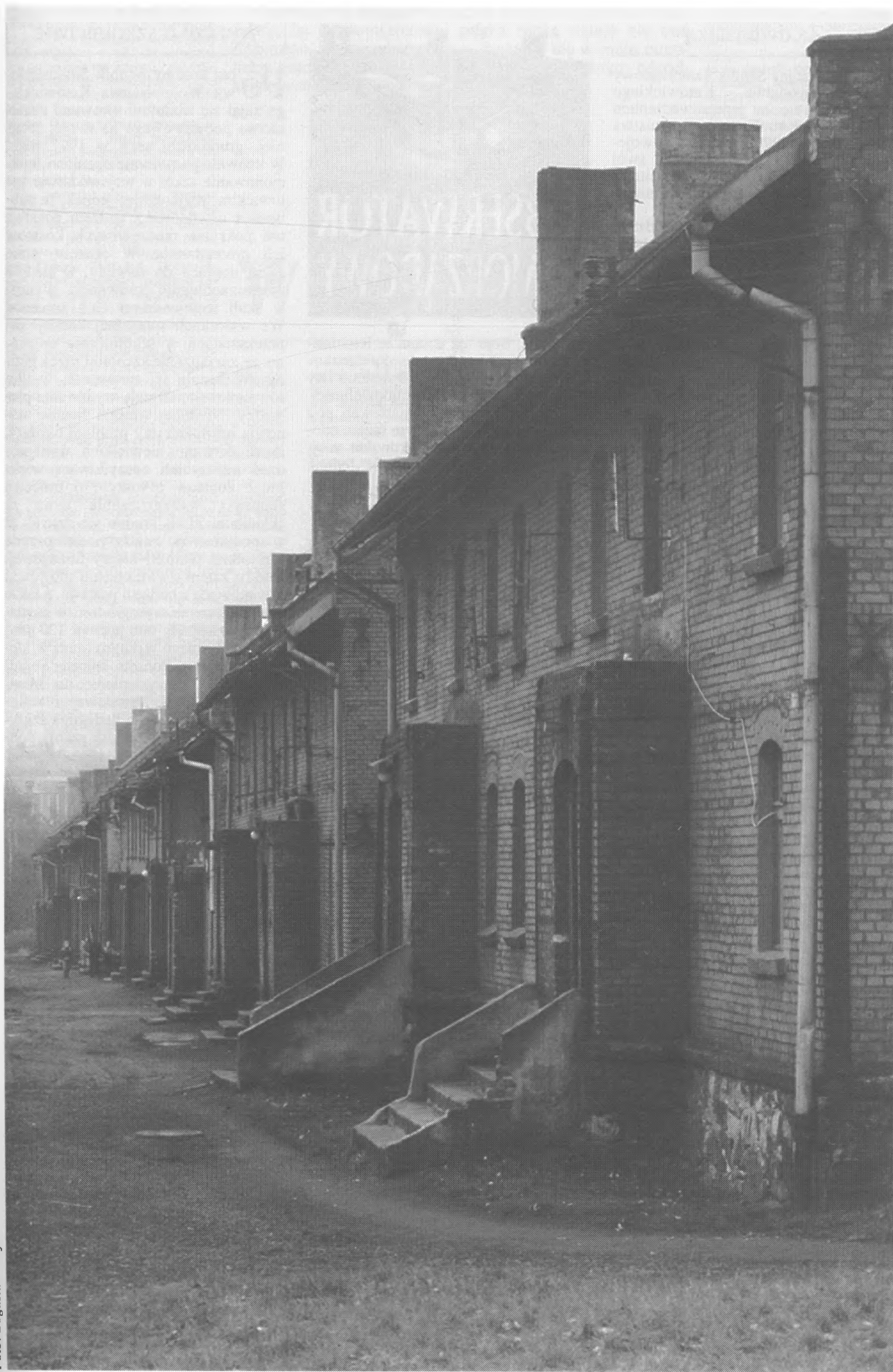


Foto: Bogusław Blajter

Za dwunastką

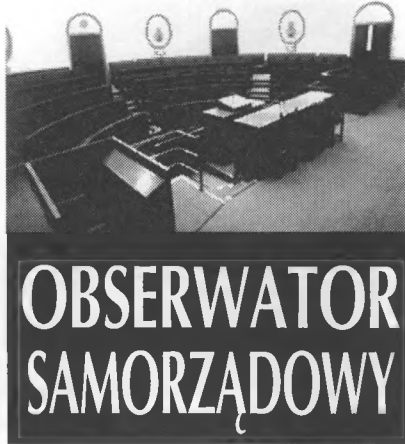
Po raz kolejny Sejmik Samorządowy Województwa Katowickiego opowiedział się za przeprowadzeniem reformy decentralizacyjnej państwa i utworzeniem dwunastu silnych województw. Stanowisko to znalazło swój wyraz w uchwale podjętej na ostatnim sesyjnym posiedzeniu w dniu 9 grudnia 1997 roku.

„Sejmik Samorządowy Województwa Katowickiego — czytamy w tej uchwale — opowiada się za przeprowadzeniem zasadniczej reformy ustrojowej państwa w 1998 roku, określającej nowy sposób sprawowania władzy publicznej w układzie terytorialnym i związanej z nią zmianą podziału terytorialnego kraju. Terytorialny kształt nowych województw powinien uwzględnić uwarunkowania historyczne i ekonomiczne. Naturalnymi centrami takich województw są największe polskie miasta, które ze względu na liczbę mieszkańców, potencjał gospodarczy i naukowy, rolę kulturotwórczą i zaplecze instytucjonalne od lat spełniają funkcje metropolii. Ze względu na fakt, że w Polsce występuje 12 takich aglomeracji miejskich, liczba województw winna zostać zmniejszona do 12”.

Sprawy przyszłego kształtu administracyjnego kraju były także dyskusyjne podczas spotkania Prezydium Sejmiku z parlamentarzystami ziemi śląskiej w dniu 12 stycznia. Samorządowcy zaprezentowali, uzgodniony z radami gmin, projekt podziału województwa katowickiego na powiaty. Jak się okazuje, uchwała Sejmiku z 1993 roku w tej kwestii nie straciła na ważności. Przewodniczący Sejmiku Janusz Frąckowiak stwierdził, że przy opracowaniu projektu brano pod uwagę przede wszystkim naturalne więzi między gminami. Na koniec Sejmik zwrócił się do wszystkich gmin z następującą ankietą: jakie zmiany należałoby wprowadzić do propozycji Sejmiku I. kadencji, co do siedzib powiatów i ich terytorialnego zasięgu? Jakiej preferencji poszczególnych gmin co do przynależności do konkretnego powiatu?

Secesja Radzionkowa

Na mapie województwa katowickiego pojawiła się z początkiem 1998 roku ponownie, po latach nieobecności, gmina Radzionków, która po wieloletnich zabiegach Radzionkowskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego odłączyła się od Bytomia. Nowa gmina ma ponad 18 tysięcy mieszkańców. W połowie lat siedemdziesiątych włączono ją do Bytomia, w ramach gierkowskiej centralizacji, chociaż mieszkańcy Radzionkowa wcale nie mieli na to ochoty. Tym bardziej, że Radzionków ma swoje tradycje samorządowe sięgające daleko w przeszłość, by wspomnieć tylko, iż jego przedwojennym wieloletnim burmistrzem był późniejszy powojenny wojewoda Jerzy Ziętek. Ponadto Radzionków pozostał w zasadzie enklawą śląskości, gdy Bytom zmieniony został silnie powojennymi migracjami ludno-



ściowymi. Stąd też działacze Radzionkowskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego podjęli przed siedmiu laty starania o odzyskanie samodzielności. W kolejnych wyborach startowali pod hasłami secesji i za każdym razem zdobywali wszystkie radzionkowskie miejsca w radzie miejskiej Bytomia. Jednak secesja nie mogła długo dojść do skutku, gdyż między Bytomiem i przyszłym Radzionkowem wyniknęły spory graniczne, i mieszkańcy spornych terenów musieli decydować w referendum, do jakiej gminy chcą należeć. Wreszcie Radzionków rozpoczął ponownie samodzielną egzystencję. Pierwszym po latach tymczasowym burmistrzem został Gustaw Jochlik, jeden z liderów Radzionkowskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, który prowadził przez lata walkę o samodzielność. To jemu właśnie prezydent Bytomia wręczył w noc sylwestrową tablicę z napisem „Urząd Miejski w Radzionkowie”, co miało swoją wymowę symboliczną.

Jeszcze o szkolnictwie

Po raz kolejny Sejmik Samorządowy Województwa Katowickiego zajął się trudnymi sprawami szkolnictwa podstawowego na swojej ostatniej, grudniowej sesji w 1997 roku. W uchwale pozytywnie oceniono funkcjonowanie szkół w województwie katowickim, stwierdzając jednak, że subwencja oświatowa z budżetu państwa nie pokrywa rzeczywistych kosztów ich prowadzenia. W efekcie wiele gmin dopłaca do oświaty, a średnio niedoszacowanie subwencji wynosi w skali województwa 13,8 procenta. We wnioskach specjalnej komisji ds. przekształceń w szkolnictwie oceniono, że zarządzanie szkołami przez gminy zwiększyło jej sprawność, w tym również racjonalizację wydawania pieniędzy. Niemniej właśnie finanse stanowią najważniejszy problem oświaty, skoro pomimo niewielkich wynagrodzeń nauczycieli zdecydowaną większość kosztów oświaty (76 procent) stanowią wynagrodzenia wraz ze składkami ZUS. Trudno się dziwić, iż w postulatach znalazły się przede wszystkim wnioski natury finansowej. Chodzi zatem o zwiększenie subwencji oświatowych z budżetu państwa, a także o podwyższenie wynagrodzeń w oświacie, by osiągnęły one poziom 120 procent przeciętne wynagrodzenia w sferze materialnej. Ponadto komisja Sejmiku wniosła o wystąpienie do Ministerstwa Edukacji Narodowej z wnioskiem o umieszczenie pedagoga szkolnego w wykazie stanowisk szkoły podstawowej.

Uchwała Prezydium Sejmiku Samorządowego w sprawie Telewizji Katowice

Prezydium Sejmiku Samorządowego Województwa Katowickiego składa stanowczy protest przeciwko niepowołaniu przez okres ponad pół roku dyrektora TVP SA Oddziału Katowice.

Brak decyzji w tej sprawie wyrządza poważną szkodę w zarządzaniu Ośrodkiem Regionalnym TVP w Katowicach i dezorganizuje jego pracę.

Z dniem 01.01.1998 roku został ograniczony czas emisji programu regionalnego, przygotowywanego w ośrodku TVP w Katowicach do około 3—4 godzin dziennie, łącznie z programami informacyjnymi. Pozostaje to w jaskrawej sprzeczności z trybem konsultacji społecznych, zadaniami telewizji publicznej, wynikającymi z konstytucyjnego prawa obywatela do rzetelnej informacji oraz Ustawy o Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji.

Województwo nasze podjęło trud realizacji Kontraktu Regionalnego, restrukturyzacji górnictwa i hutnictwa, budowy stref ekonomicznych, realizacji programu szkolnego „Wiedzy o regionie”, a w przyszłości także tworzenia województwa samorządowego i powiatów.

Zadania te wymagają kontaktu ze społeczeństwem, co będzie niemożliwe przy ograniczonym czasie antenowym telewizji w Katowicach i oddaniu go do dyspozycji tzw. ogólnokrajowego holdingu.

Ośrodek Katowicki pełni ważną rolę kulturotwórczą i edukacyjną w naszym regionie obsługując cztery województwa: opolskie, katowickie, bielskie oraz częstochowskie.

Wnosimy o jak najszybsze:

- powołanie dyrektora TVP SA w Katowicach,
- przywrócenie czasu antenowego w jego dotychczasowym wymiarze w TVP SA w Katowicach.

Decentralizacji państwa nie może towarzyszyć centralizacja telewizji — jest to niezgodne z zasadami społeczeństwa obywatelskiego.

Bo telewizja bez programu (dodajmy od razu — interesującego i różnorodnego), nawet jeśli miała najlepsze wyniki ekonomiczne (co się jednak nie zdarza), jest tworem co najmniej absurdalnym. Samo emitowanie przez kilkanaście godzin czegoś, czego nikt nie ogląda, nie można jeszcze nazwać programem. Przynała to — ustami przedstawicieli swoich związków zawodowych — szara większość pracowników tutejszego ośrodka.

Na początku tego roku zwołano w tym celu konferencję prasową, by po raz pierwszy (od bardzo, bardzo dawna — jak sami przyznali) zainicjować wspólne stanowisko wobec Zarządu TVP S.A. Dotyczyło ono wotum nieufności (podobno kolejne) wobec osób sprawujących w ośrodku funkcje kierownicze. Tym razem uczyniono to publicznie.

Związki zawodowe wierzą, że sytuację może uzdrowić powołanie nowego dyrektora. Tylko, że już sam tryb jego wyłaniania niw wróży niczego dobrego. Trwająca ponad pół roku przepychanka personalna świadczy dobitnie, że warszawska centrala zupełnie nie ma pomysłu na telewizję regionalną w Polsce. Relacjonowane przez prasę projekty jej naprawy tylko mnie w tym utwierdzają. Rozszerzenie działalności tak zwanego „holdingu telewizyjnego regionalnych” może w znaczny sposób obniżyć koszty działalności poszczególnych ośrodków, ale nikt mnie nie przekona, że jest to droga służąca ich rozwojowi. Od początku świata wiadomo, że bez pieniędzy telewizji (ani niczego innego) nie tylko w kapitalizmie) robić się nie da. Dlatego funkcja telewizji regionalnej będzie stopniowo marginalizowana — aż do zupełnego unicestwienia. A wtedy warto się zastanowić, czy w ogóle ma sens utrzymywanie ośrodków regionalnych. Z ekonomicznego punktu widzenia jest to absurd albo „luksusowy prezent dla regionów”, by posłużyć się słowami obecnego jej prezesa. Tylko że Telewizji Polskiej S.A. po prostu nie stać na takie przepęty.

Rozwiązaniem mogłaby być jej „decentralizacja” sprzężona z reformą administracyjną państwa. Wtedy duże regiony mogłyby udźwignąć ciężar posiadania telewizji regionalnych z prawdziwego zdarzenia. Czyli takich, które samodzielnie decydują zarówno o swoim programie, jak i obsadzie w niej kluczowych stanowisk. Sama Telewizja zrobić tego nie może, bo wymaga to rozwiązań prawnych daleko przekraczających jej możliwości. Z drugiej strony zmieniające się władze poszczególnych regionów chyba zbyt małą posiadają świadomość potęgi narzędzia, bo nabyły słabo artykułując potrzebę jego posiadania. A szkoda!

W ten oto sposób po raz drugi znalazłem się w rzecze, która utraciła zdolność płynięcia. Bo Pisałem już o tym w listopadowym numerze „Słaska”. Nic się od tamtego czasu (prócz wspomnianej wyżej konferencji) nie zmieniło. Chcę wierzyć, że gdy tekst ten ukaże się drukiem (w połowie lutego), katowicki ośrodek będzie już rządzony silną ręką i mądrą głową nowego dyrektora. Niestety, nie znam jego programu merytorycznego. Mogę w tym miejscu jedynie upublicznić fragmenty programu własnego, który nie znalazł uznania w oczach członków „przesłuchującego” mnie Zarządu TVP S.A.

Program powinien znaleźć się na pierwszym miejscu, jeśli idzie o hierarchię działań nowego dyrektora. A należałoby zacząć od solidnego raportu, który powinien zawierać rzeczywiste dane o aktualnej kondycji ośrodka. (...) Ale nawet nie czekając na wyniki takiego raportu, należy zdać sobie sprawę z nikłej, prawie zerowej oglądalności katowickiego programu regionalnego. Sprawy pogorszył jeszcze fakt nie poinformowania widzów o oddaniu dotychczasowej częstotliwości nadawania (natychmiast przejęła ją prywatna telewizja TVN) i przeniesieniu się na inny kanał. Jeżeli teraz przywołamy ogromną akcję informacyjną prowadzoną przez Radio, gdy wyłączano na czas remontu maszyny w Raszynie, to niefrasobliwość osób kierują-

Podobno nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. Tylko, że czasami trzeba, gdy z rzeką dzieje się coś dziwnego, niezrozumiałego — zmienia się w małe cuchnące bajoro. To właśnie stało się z regionalnym ośrodkiem telewizyjnym w Katowicach.

Bajzel w Bytkowie

nych ośrodkiem graniczy z sabotażem. Odzyskanie tek głupio utraconych widzów wcale nie będzie sprawą łatwą. Dlatego trzeba im zaproponować zupełnie nową, ciekawą i radosną telewizję regionalną...

Zacznijmy od „Aktualności”. Należałoby zupełnie zmienić ich formułę, aby prowadzący je lektorzy mieli żywszy kontakt z widzami. Jest to sprawa zarówno podawania przez nich informacji, jak i sposobu ich fotografowania. Ale także doboru. Przecież po raz kolejny najładniejsza dziewczyna Polski pochodzi ze Śląska. Tylko że łatwiej jej zostać rzecznikiem rządu niż trafić do katowickiego ośrodka. Dlatego trzeba go otworzyć dla ludzi młodych, którzy nie muszą udawać spontaniczności i optymizmu. Powinni nimi kierować doświadczeni dziennikarze, ale generalnie na antenie powinni pojawić się nowi ludzie, wnoszący świeżość i uśmiech. W dotychczasowej praktyce ośrodka dominuje ponura powaga zmęczonych i zużytych twarzy. Podobnie przedstawiają się realizowane przez ośrodkowych dziennikarzy materiały, które cechuje bardzo negatywna cecha — znużenie regionem. Wszystkie są do siebie bliźniaczko podobne, bo realizowane w straszliwej manierze: jedziemy, kręcimy, a potem zobaczymy co z tego wynika. Zazwyczaj — niestety — nic. I nikt tego nie kontroluje. Zatem zmiany wymaga procedura przyjmowania do realizacji programów i filmów. Należałoby powołać system niezależnych recenzentów, którzy opiniowałby zgłaszane do realizacji projekty, a potem powołać komisję kołaudacyjną z prawdziwego zdarzenia. Ale to również wymaga otwarcia się ośrodka — zwłaszcza na środowiska twórcze. W pierwszej kolejności chodzi o rozszerzenie współpracy z Wydziałem Radia i Telewizji. Jego studenci i absolwenci powinni znaleźć w nim atmosferę życzliwej, twórczej współpracy, a nie zawiści i lęku przed konkurencją i młodością. Dlatego większość z nich przedkłada region, miast zaisłać go swym entuzjazmem i inspirującymi pomysłami.

Śląsk nie był i nie jest pustynią kulturalną. Tradycją ośrodka było produkowanie dużych i dobrych programów rozrywkowych, przedstawień teatralnych czy widowisk plenerowych. Dobrze byłoby wrócić do tych tradycji i przynaj-

mniej zwiększyć jego funkcję dokumentacyjną. Szczególnie gdy idzie o wydarzenia artystyczne. To prawdziwy skandal, że nie znalazły się środki na profesjonalną rejestrację najwybitniejszych przedstawień bytomskiego Teatru Tańca, chorzowskiego Teatru Rozrywki, Opery czy Operetki Śląskiej. (...) Podobnie rzecz ma się z gospodarką. Dokonuje się tutaj eksperyment daleko przekraczający granice regionu. Jednak do zwyczajnego mieszkańca tej ziemi docierają tylko zagrożenia i lęki. Należałoby uruchomić cały blok programów poświęconych restrukturyzacji i przemianom gospodarczym na Śląsku. Trzeba tylko to zrobić w przyjaznej dla widza formie i zerwać z okropną formułą (za to najtańszą) długich studyjnych głędeń. (...)

Należałoby również poszerzyć ofertę ośrodka skierowaną do rdzennych mieszkańców regionu, wykorzystując ich wrodzoną muzykalność, gwara i humor. Przysłodowo nie ma programów pokazujących świetne tradycje sportowe czy muzyczne Górnego Śląska. W ogóle wątki jego skomplikowanych i trudnych dziejów rzadko znajdują drogę na ekran. Dlatego powinno się uruchomić program (cykl programów), który w atrakcyjny sposób pokazywałby młodemu ludziom korzenie ich tożsamości.

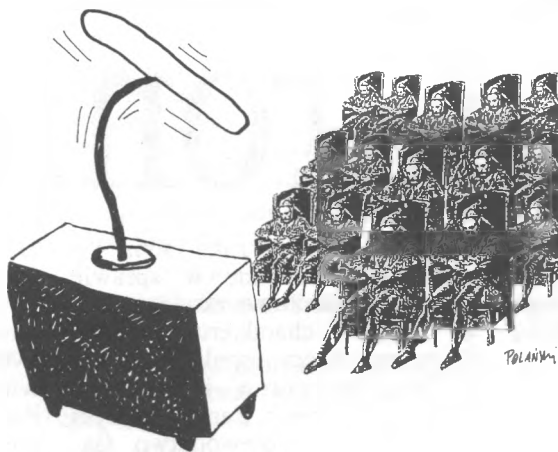
No cóż, może rzeka śląskiej telewizji regionalnej niebawem zacznie płynąć...

Ale póki co polecam uwadze wszystkich fragmenty pewnej niedawno wydanej książki:

„Bo ta rozgłośnia nagle zaczęła być jakimś skansenem, radiowym dinozaurem (...) no, rozpacz co to było za radio”. (...) „Wiedziałem, że jest tutaj parę osób, które myślą podobnie tak jak ja. To znaczy, że nie można tego tak zostawić, że to radio musi się zmienić, że nie mogą być jakieś kliki, jakieś sitwy, które opanowały poszczególne pasma, nie dopuszczając nikogo i tam robią pieniądze”. (...) „Trzeba było stworzyć nową organizację (...) i bardzo trzeźwo zastanowić się i odpowiedzieć sobie na pytanie: co my mamy tutaj do zrobienia i ilu do tego ludzi. W związku z tym nieuniknione były bardzo trudne pociągnięcia”. (...) „Trzeba było dokonać wyboru w taki oto sposób: jeżeli to radio ma się rozwijać, jeżeli ma być obecne, cieszyć się jakąś opinią poważnych instytucji, to musi być radiem odbieranym. Nie ma na to rady. Radio, które jest wydumane, którego nikt nie kupuje, jest niczym”. (...) „Tamte dawne radio było zamknięte. Musiał być ktoś, kto nowego człowieka wprowadził i bez tego wprowadzenia nie było szansy. Natomiast to radio w tej chwili uważam za chyba najbardziej otwartą instytucję, jeśli nie w Polsce, to w regionie. Nie jest tak, że aby przyszedł do radia trzeba protekcji, znajomości. Nie! Po prostu przychodzi się i sprawdza się. Każdy jest poddawany próbie. W ciągu kilku lat są to dziesiątki ludzi”. (...) „Ja myślę, że o tym jakiej jest radio, świadczy o tym i liczba słuchaczy, i marka tegoż radia, nie tylko tutaj, w regionie ale i poza regionem. To jest radio, które w tej chwili stało się instytucją nie tylko nadającą program, ponieważ Radio Katowice stało się w pewnym sensie kreatorem, mecenasem przedsięwzięć kulturalnych. Spore pieniądze na to przeznaczamy”.

Są to fragmenty niedawno wydanej książki Feliksa Netza „Róg Ligonia i Królowej Jadwigi”. Bardzo pouczające wobec marazmu i bezhołowania panującego w katowickim ośrodku telewizyjnym. Polecam ją uwadze tym wszystkim, którzy jeszcze wierzą, że telewizję regionalną w Katowicach można uratować i że może ona pełnić rolę ośrodka równie kulturotwórczego, co Radio Katowice. Mnie osobiście trudno w to uwierzyć, ale obym był złym prorokiem...

HENRYK URBANEK



Rys. Marek Polański



Foto: Stanisław Jakubowski

„Przepiękny widok na Zamek p. Prezydenta” — tak przed wojną reklamowała się gospoda „Na Fojtuli” w Wiśle-Czarnem. Na zboczu, zwanym przez górali Zadnim Groniem, nad miejscem połączenia Wisetek Białej i Czarnej w Wisłę, od stycznia 1931 r. miał rezydencję prezydent II Rzeczypospolitej, Ignacy Mościcki. Dzisiejsza Wisła żyje nadzieją, że prezydent III RP wróci w góry, a restauratorzy i właściciele hoteli ponownie będą wabić klientów bliskością głowy państwa.

Prezydent na Zadnim Groniu

JAN DZIADUL

współpraca:

HALINA KLUZ

Mieszkańcy Wisły jeszcze pamiętają, że z okazji każdego przyjazdu prezydenta Mościckiego dzieci w szkołach dostawały bułkę z masłem i kielbasą oraz kubek prawdziwej herbaty.

Czym wyryje się w pamięci nowy gospodarz?

Jesienią zeszłego roku radni Wisły podjęli uchwałę w sprawie „przywrócenia Zameczkowi w Wiśle - Czarnem charakteru rezydencji Prezydenta Rzeczypospolitej zgodnie z wolą fundatorów i budowniczych”. Fundatorem Zameczku było przedwojenne województwo ślą-

skie, z którego skarbu wyłożono 2 mln zł na okazałą rezydencję.

— Odzyskaniem Zameczku zainteresowany był już Lech Wałęsa — informuje Maciej Oczkowski, wiceburmistrz Wisły. — Aleksander Kwaśniewski także widzi siebie w Wiśle.

Zameczek był pierwszym reprezentacyjnym gmachem wybudowanym w II Rzeczypospolitej. Dlaczego prezydenta ściągnięto właśnie do Wisły? To, że tu było pięknie, to rzecz oczywista. Lokalizacja rezydencji tuż przy źródłach „królowej polskich rzek” miała też swój symboliczny wymiar. Najważniejsze chyba jednak jest to, że na taki gest stać było wówczas jedynie autonomiczne i bogate (w porównaniu z resztą kraju) województwo śląskie.

Odkrycie Wisły

W 1926 r. prezydent Mościcki mianował Michała Grażyńskiego nowym wojewodą śląskim. Od tego momentu Wisła stała się wielkim płacem budowy. Wojewoda Grażyński postanowił przekształcić ten zakątek Beskidów w zielone płuca dla czarnego Śląska. Malutka drewniana wioseczka przeobraziła się w ciągu kilkunastu lat w nowoczesny mурowany kurort. Rezydencja głowy państwa została więc od początku wpisana w strategię rozwoju Wisły. Prezydent Mościcki przyjeżdżał tutaj przeważnie dwa razy w roku: w lutym na narty, w październiku na polowania. Pod nieobecność głowy państwa rezydencję można było zwiedzać — Zameczek szybko stał się jedną z największych turystycznych atrakcji Wisły.

Jan Krop, nauczyciel, historyk Wisły, wieloletni prezes Towarzystwa Miłośników Wisły, uważa, że jednym z najważniejszych powodów budowy rezydencji głowy państwa były racje polityczne: — Celem była budowa autorytetu polskiej władzy, polskiego męza stanu. Chodziło o zastąpienie w świadomości lokalnej cesarza głową państwa polskiego.

Na każdy przyjazd Habsburgów do Wisły (mieli tutaj pałacyk myśliwski) bito okolicznościowe medale, które rozdawano góralom, najczęściej najbardziej zasłużonym w myśliwskich nagonkach.

— W ten sposób ugruntowywano pozycję władcy! — tłumaczy Jan Krop. — Choć polskość górali śląskich przez wieki zachowała się w języku, to władza miała

tu obce oblicze. Dlatego decyzja Grażyńskiego miała głęboki cel narodowy i polityczny.

W 1932 r., tuż po ślubie, zwiedzała Zameczek matka Jana Kropa: — To był niebawmy zaszczyt dla kobiety, która wcześniej nic nie widziała poza górami. Ona przez całe życie wspomina ten dzień.

2 września 1939 r. Zameczek zajęli żołnierze niemieccy. Wisła z całą Ziemią Cieszyńską włączona została do III Rzeszy. O wojennej historii Zameczku wiadomo tylko tyle, że znajdował się w gestii dowództwa SS, że bywał tutaj Himmler... Nic więcej nie wydostało się poza ogrodzenia i otaczający rezydencję dzień i nocą kordon żołnierzy. Wycofujący się hitlerowcy ogłocili Zameczek z większości wyposażenia ruchomego. Pozostawili za

to zadziwiającą pamiątkę — niekniętego piastowskiego orła wyrzeźbionego przez budowniczych w portalu nad głównym wejściem.

Działacz Towarzystwa Miłośników Wisły mówi, że orła sprofanowano dopiero w latach osiemdziesiątych, kiedy Zameczkiem zarządzała kopalnia „XXX-lecia”. Na piastowskim godle pojawił się (wyrzeźbiony albo doklejony?) herb górnictwa. Historia była niczym wobec potęgi (i głupoty) górnicych decydentów.

Cyrankiewicz i inni

Po wojnie Zameczek ponownie zaczął pełnić rolę rezydencji głowy państwa. Administracyjnie podporządkowany był dyrekcji rządowej rezydencji na Wawelu, skąd też pochodziło wyposażenie. Bywał tutaj Bolesław Bierut. Właśnie za Bieruta pracę sprzątaczką w Zameczku dostała Helena Moiczek z Wisły - Czarne: — Dla świata Zameczek był zamknięty czy był Bierut, czy nie. Całego terenu pilnowało wojsko.

Helena Moiczek mówi, że w latach pięćdziesiątych w Zameczku pracowało tylko pięć miejscowych osób: — Dwie kobiety, które utrzymywały pokoje w czystości, i trzech palaczy. Wszystkie inne prace wykonywało wojsko.

Za Bieruta miejscowy personel koszarowano już w przededniu przyjazdu gości. Do domów wypuszczano po wyjeździe. Obsłudze nie wolno było zbliżyć się nawet do ogrodzenia, żeby przypadkiem na zewnątrz nie wydostało się, kto przebywa w Zameczku...

Bierut przyjeżdżał ze swymi kucharzami: — Miejscowych dopuszczono do gotowania dopiero wtedy, gdy stałym gościem zaczął bywać premier Cyrankiewicz — przypomina pani Helena.

Po likwidacji urzędu prezydenta Zameczek przejął rząd. Helena Moiczek widywała tutaj Rolę-Żymierskiego, Ochaba, Mijała, bywał też Gomułka, ale już jako pierwszy sekretarz. — To nieprawda, że Gomułka był w Zameczku internowany. Trzymano go w Wiśle, ale nie u nas — najpewniej siedział w pensjonacie „Wiślanka”.

Po prezydencie Mościckim drugą legendą Zameczku

Historia Zameczku Prezydenta RP

1907 — arcyksiążę Fryderyk Habsburg, właściciel lasów wiślańskich, wybudował na Zadnim Groniu modrzewiowy zameczek myśliwski (w stylu alpejskim), a dwa lata później pierwszą w protestanckiej Wiśle kaplicę katolicką.

1927 — z inicjatywy Michała Grażyńskiego, nowego wojewody śląskiego, rozpoczęto remont zameczku myśliwskiego, który miał się stać letnią rezydencją „dla każdorazowego prezydenta RP”. Skarb śląski wyłożył na to 200 tys. zł.

1927 — 23 grudnia zameczek doszczętnie spłonął.

1928 — w lipcu rozpoczęto budowę, według projektu znanego krakowskiego architekta prof. Adolfa Szyszko-Bohusza, nowej rezydencji prezydenta. Województwo śląskie wydało na to 2 mln zł.

1931 — 21 stycznia prezydent Mościcki po raz pierwszy pojawił się w Zameczku (1 lutego obchodził w nim swoje imieniny — w tym dniu wmurował akt erekcyjny, w którym zapisano, że zameczek wybudował lud śląski, by Prezydent Rzeczypospolitej po trudach mógł odpoczywać u źródeł królowej rzek polskich).

1934 — 23-hektarowa nieruchomości przeszła na własność „Skarbu Państwa Kancelarii Cywilnej Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej”.

1939—1945 — Zameczek znajdował się w gestii dowództwa SS — wielokrotnie miał tu przebywać Heinrich Himmler.

1945 — pod koniec roku, po wyremontowaniu, przekazano rezydencję prezydentowi Bolesławowi Bierutowi. Po likwidacji urzędu prezydenta Zameczek przejął rząd jako Ośrodek Wypoczynkowy Pracowników Rady Ministrów.

1981 — rząd przekazał Zameczek w użytkowanie kopalni „XXX-lecia” (dziś „Pniówek”) jako dom wypoczynkowy górników.

1994 — Zameczek Prezydenta wpisano do rejestru zabytków.

1997 — Zameczek przejęła Jastrzębska Agencja Turystyczna założona przez Jastrzębską Spółkę Węglową.

i Wisły stał się Józef Cyrankiewicz. Premier miał na Stecówce zaprzyjaźnionego górala, z którym lubił spotykać się w restauracji na Kubalonce, powyżej Zameczku. Jednej z biesiad przypisywane są narodziny dowcipu o dwóch rządach. Miało być tak: do długiego stołu, na którym kelnerzy ustawili rząd kieliszków z wódką, premier zaprosił wszystkich obecnych w restauracji górali. Mimo takiej zachęty rozmowa z premierem nie kleiła się. Aż wszedł góral, wypił ile trzeba, i tak miał powiedzieć: Ten rząd, tu na stole, to nam się podoba, ale ten pana, już jakoś mniej...

Dla Cyrankiewicza gotowała Emilia Cieślak przyjeżdżająca do Zameczku na początku lat sześćdziesiątych: — Na jego przyjazd obowiązkowo musiały być krupnioki i swojski salceson. Premier popijał przywożoną ze sobą wódką. W Zameczku dopiero za górników zaczęto sprzedawać alkohol.

W latach siedemdziesiątych rządowa rezydencja przyjmowała już wszystkich mających odpowiednie dojsca w URM. Pojawiali się tu aktorzy, literaci, dziennikarze... W tym czasie Zameczek zaczął odbiegać standardem od innych rządowych ośrodków wypoczynkowych. Prawdopodobnie dlatego w 1981 r., kiedy Solidarność zaczęła wypominać władzy rozsiadane po kraju rezydencje, w których oderwała się od świata pracy, władza zrobiła ukłon w tym kierunku i przekazała Zameczek w użytkowanie górnikom kopalni „XXX-lecia”, dziś „Pniówek” (obecnie w strukturach Jastrzębskiej Spółki Węglowej).

W kosztach węgla

W połowie bieżącego roku JSW utworzyła, w ramach procesu restrukturyzacji, Jastrzębską Agencję Turystyczną, która przejęła od kopalń wszystkie domy wypoczynkowe: — Celem jest oddzielenie tego obszaru działalności od produkcji węgla — mówi Roman Major, wiceprezes JSW. — Jeżeli chodzi o Zameczek, to chętnie go oddamy rządowi. Dziś odbiega on standardem od tego, co oferują inne obiekty w Wiśle. Ewentualny remont byłby bardzo kosztowny, a nas na to nie stać.

W październikowy wtorek w Zameczku przebywał tylko jeden gość i jedna osoba obsługi: — W sezonie mamy komplet! — zapewnia Katarzyna Dachowska, zastępca kierownika. — Po sezonie obiekt jest najczęściej wynajmowany na weekendowe imprezy.

W ubiegłym roku, kiedy utrzymanie Zameczku topiono jeszcze w kosztach kopalni „Pniówek”, przyniósł on ponad 250 tys. zł strat. Tadeusz Meisner, prezes JAT, szacuje, że w tym roku agencja dołoży około 180 tys. zł. Wartość księgową Zameczku wyliczono na 1,024 mln zł.

— Moglibyśmy wyremontować Zameczek na współczesną miarę, mamy możliwość zaciągnięcia kredytów, sprzedaży miejsc „do przodu” — twierdzi prezes Meisner — ale najpierw musimy być pewni statusu obiektu: jest nasz, czy rządowy?

Prezes Meisner mówi, że historyczne walory Zameczku obniżone zostały w momencie przekazywania go przez rząd kopalni. Wywieziono wówczas większość oryginalnego wyposażenia. Przywieziono wprawdzie trochę historycznych mebli, ale nie pasujących do stylu Zameczku: — Po rasowym pudlu i rasowym jamniku nie rodzą się przecież rasowe szczenięta — porównuje.

Przed trzema laty kopalnia „Pniówek” wystąpiła do wojewody bielskiego o stwierdzenie wieczystego użytkowania Zameczku: — wojewoda wstrzymał bieg tej sprawy do czasu zbadania, czy przekazanie obiektu kopalni w użytkowanie nie nastąpiło z naruszeniem prawa — informuje Janina Płonka, kierownik w wydziale geodezji Urzędu Wojewódzkiego w Bielsku-Białej. — W tym czasie Zameczkiem interesował się już prezydent Wałęsa.

Jeżeli stwierdzona zostanie nieważność tamtej decyzji, to obiekt wróci do właściciela, a kopalni przysługiwać będzie odszkodowanie za remonty i inwestycje.

Prezes Meisner uważa, że sytuacja może być klarowna gdzieś za 2-3 miesiące: — Tlumaczyli zwłokę reorganizacją urzędów centralnych, teraz wyborami, a my mamy związane ręce. Agencja turystyczna ma być dochodowa, a Zameczek ciągnie spółkę w dół.

Przed zmianą?

Przebywający we wrześniu w Bielsku-Białej Aleksander Kwaśniewski opowiedział się za jak najszybszym przywróceniem Zameczkowi reprezentacyjnych funkcji: — Sam chętnie wypoczywałbym w Beskidach, a ta wspaniała budowla służyłaby przyjmowaniu ważnych gości.

Prezydent zapewnił, że znajdą się pieniądze na gruntowny remont Zameczku.

— Już we wrześniu zwróciliśmy się do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji o szybką decyzję w tej sprawie — mówi Adam Wilk z Kancelarii Prezydenta.

W kancelarii mówi się, że nowy szef MSWiA może stwarzać prezydentowi kłopoty z powrotem na Zadni Groń.

— Czekam na dokumenty z URM — informuje Andrzej Kosiński, wicedyrektor departamentu nieruchomości, zezwoleń i koncesji w MSWiA — dopiero na ich podstawie mogą być rozstrzygnięte losy Zameczku.

Wiceprezes Roman Major uważa, że to są niepotrzebne ceregiele: — Jeżeli URM, czy kancelaria zwrócą się do nas o przekazanie Zameczku w trybie administracyjnym, to bez problemów go oddamy.

Dzisiaj w Zameczku panuje atmosfera przypominająca podpadające dworki szlacheckie z końca XIX wieku, które żyły wspomnieniami niegdysiejszej świetności, i nadzieją na przyszłość.

Apartament Mościckiego, dziś oznaczony numerem 14, nie jest jakąś specjalną atrakcją przyciągającą turystów: — Najczęściej pytają o niego Polacy z zagranicy — mówi Katarzyna Dachowska — naszym turystom wszystko jedno.

Czy apartament prezydenta, czy zwykły pokój — cena jest jednakowa: 58 zł za dobę w sezonie i o 10 zł mniej poza sezonem.

Zresztą, za co tu płacić? U prezydenta od razu rzuca się w oczy telewizor w stylowej szafce. Szafka jest przedwojenna, ale nie ma gwarancji, że pochodzi z pierwotnego kompletu. Stylowe meble zapełniają jeszcze 3 pokoje (w samym Zameczku jest 16 pokoi, w dolnym budynku, w którym mieszkała obsługa — 22) — reszta to wczasowa mieszanina, z takimi kwiatkami do górskiego kozucha, jak zastawy w... kaszubskie wzorki.

Zameczek jeszcze z zewnątrz imponuje swoją architekturą — w środku przygębnią porysowanymi, skrzypiącymi parkietami, pasującymi bardziej do szkolnej klasy, niż historycznej budowli. Mocno wytarte chodniki na schodach dobitnie świadczą, że bywał tu masowy turysta...

— Sprawiedliwości klasowej stało się już zadość — teraz czas na sprawiedliwość dziejową: na Zadni Groń powinien wrócić prezydent Rzeczypospolitej — uważa Jan Krop.

Od Bonczyka do Różewicza

WIESŁAWA KONOPELSKA

Choć Górnośląskie Towarzystwo Literackie powołano 19 grudnia 1992 roku w Katowicach - jego korzenie sięgają ponad stuletniej tradycji organizacji o tej samej nazwie. Podstawą zawiązania tego Towarzystwa na Górnym Śląsku stała się Biblioteka Polska utworzona w Jassach przez osiadłych w Rumunii uchodźców powstania styczniowego, którzy stworzyli tam silny ośrodek kulturalny polskości. Z upływem lat środowisko polskich uchodźców wykruszyło się, pojawiła się więc potrzeba wyboru nowego miejsca, gdzie można by przekazać bogate zbiory oraz majątek. Wybór padł na Bytom - miasto, które w tym czasie stało się centrum odrodzenia narodowego w pruskiej części Górnego Śląska. Trzeba było jednak w tym powołać organizację. I tak doszło w 1892 roku do utworzenia Towarzystwa Literackiego na Górnym Śląsku, które przejęło liczący 4 tysiące tomów księgozbiór wraz z okazałym funduszem, z zadaniem rozwijania szerokiej działalności kulturalnej i wydawniczej. Pomimo rozlicznych trudności Górnośląskie Towarzystwo Literackie przetrwało także lata wojny światowej, by w roku 1920 przekształcić się w Towarzystwo Przyjaciół Nauk na Śląsku. Natomiast ocalony i pomnożony księgozbiór stał się podstawą przyszłej Biblioteki Śląskiej.

1. Tak oto w największym skrócie przedstawia się rodowód Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego sięgający minionego stulecia. - *Wydawało się więc ogromną pokusą sięgnięcie do tamtej nazwy i wpisanie w nią współczesnych kontekstów związanych oczywiście z tu i teraz.* - mówił w jednym z wywiadów w 1993 roku Tadeusz Kijonka, człowiek, który po stu latach podjął myśl utworzenia na nowo Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego. W jakim stopniu miała to być kontynuacja, a w jakim zjawisko nowe? Rozmiar działań określiła teraźniejszość, czyli sytuacja w jakiej znalazła się nie tylko polska literatura po burzliwym roku 1989. Środowisko ludzi związanych z kulturą, sztuką i literaturą poszukiwało nowych pomysłów i nowych rozwiązań przeciwstawiających się postępującej degradacji kultury - nie tylko w obronie jej wartości ale i elementarnych warunków funkcjonowania w tym także rozpadowi środowisk twórczych. Myśl ta okazała się niezwykle trafna. Górnośląskie Towarzystwo Literackie - będąc poniekąd spadkobiercą swego poprzednika okazało się salomonowym wyjściem w sytuacji środowiskowych podziałów i niechęci do zbiorowych działań.

Niezależne od często zwaśnionych środowisk twórczych, nie związane z żadną opcją polityczną, nie mające - prócz symbolicznej - przeszłości; zapraszające w swe szeregi wszystkich, którym bliskie są sprawy rozwoju kultury literackiej sztuki i literatury szybko zyskało popularność w różnych kręgach. Lista osób, które wyraziły chęć założenia takiego Towarzystwa jest długa. Pod numerem jeden widnieje oczywiście nazwisko inicjatora całego przedsięwzięcia i autora statutu - Tadeusza Kijonki. Ale już pod numerem drugim pojawiło się nazwisko Kazimierza Kutza - wybitnego twórcy i gorącego obrońcy spraw Śląska. Dalej można zna-

leż osoby związane z innymi organizacjami twórczymi, bo - jak głosi statut GTL - przynależność do nich nie wyklucza przynależności do tegoż Towarzystwa, które jest stowarzyszeniem społeczno-kulturalnym. Znaleźli się pośród członków - założycieli ze Stowarzyszenia Pisarzy Polskich m.in.: Józef Krupiński, Renata Zwoźniakowa, Anna Wernerowa i Jan Paweł Krasnodebski. Ze Związku Literatów Polskich - Leszek Bugajski, Andrzej Niedoba, Bolesław Lubosz, Feliks Netz, Harry Duda, Włodzimierz Wójcik, Stanisław Gola, Jan Pierzchała, Józef Musioł, Tadeusz Soroczyński, Katarzyna Młynarczyk, Ryszard Kincel, Rajmund Hanke i Edward Szopa. Zadeklarowali swą przynależność liczni, dotąd nie zrzeszeni - a to m.in. Marta Fox, Maria Korusiewicz, Jan Malicki, Piotr Wilczek, Marian Kisiel, Grażyna Szewczyk, Stanisław Bieniasz, Barbara Poremba-Wolkowa. Dołączyła również liczna grupa załziańskich poetów i pisarzy wraz z Wilhelmem Przeczkim, Kazimierzem

Kasprem, Renatą Putzlacher, Adamem Wiesławem Bergerem, Danielem Kadłubcem, Władysławem Sikorą, Janem Rusnokiem, Gustawem Sajdokiem, Janem Pyszko oraz i wieloma innymi. Toteż na liście członków-założycieli widniały 83 nazwiska.

Ustanowione zostało również członkostwo honorowe - a to nie tylko dla podniesienia prestiżu samego Towarzystwa, lecz by wskazać na daleko szerszy kontekst działalności a także na aspekt integrujący, co stanowi jeden z zasadniczych celów istnienia GTL-u. Tak więc członkostwo honorowe przyjęli prof. Henryk Markiewicz - wybitny teoretyk literatury i literaturoznawca, mający wielkie zasługi w kształtowaniu humanistyki na Śląsku; Henryk Bereska - katowiczanie, znakomity tłumacz literatury polskiej na język niemiecki; Wiesław Myśliwski - jeden z najznakomitszych pisarzy polskich, w którego polu zainteresowań zawsze znajdowały się problemy tożsamości narodowej, regionalnej, twórca „Regionów”; Erwin Kruk - pisarz pochodzenia mazurskiego, poruszający problemy bliskie Ślązakom - trudnych życiorysów, rodowodów; prof. Florian Śmieja - wywodzący się z Końcyc poeta, znakomity znawca literatury iberoamerykańskiej (choć związany z uniwersytetami w wielu krajach, zawsze znajduje wiele powodów, dla których powraca do kraju, na Śląsk). W piątą rocznicę istnienia GTL-u członkiem honorowym został także Tadeusz Różewicz, decyzją Walnego Zgromadzenia Wyborczego GTL-u zwołanego w pięciolecie „małego jubileuszu” 19 grudnia 1997 roku, postanowiono także, iż Zarząd Towarzystwa wystąpi do władz Uniwersytetu Śląskiego z wnioskiem o przyznanie temu wybitnemu poecie godności doctora honoris causa tej uczelni.

2. Pomimo niekorzystnej pory - skoro Zgromadzenie Założycielskie zwołano w okresie przedświątecznym, 19 grudnia 1992 roku, już 4 stycznia 1993 roku został złożony w Sądzie Wojewódzkim z kompletem dokumentów wniosek o rejestrację GTL-u, zaś miesiąc później nowa organizacja została wpisana do rejestru stowarzyszeń. Wkrótce też, bo już 24 kwietnia odbyło się Zgromadzenie Wyborcze - na ten czas został wydany drukiem statut, przygotowano legitymacje, ba - uzyskano nawet prawa do tytułu czasopisma „Śląsk”.

INNY ŚWIT

antologia młodej poezji
na Śląsku



WYBÓR, WSTĘP I OPRACOWANIE
MARIAN KISIEL



GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
KATOWICE 1994

Prawie natychmiast po uzyskaniu formalnej rejestracji Towarzystwa - co także miało znaczenie - przystąpiono do realizacji wcześniej już powstałych pomysłów. Jeszcze w lutym 1993 r. zorganizowano pierwszą sesję literacką poświęconą „Homerowi odchodzącego Śląska”, Norbertowi Bonczykowi, w setną rocznicę jego śmierci, będącą swoistym holdem dla wszystkich przeszłych dokonań ludzi pióra wywodzących się i związanych z Ziemią Śląską, których powołaniem było nie tylko pisarstwo ale wielorakie zaangażowanie w kształtowanie śląskich dziejów. I druga ważna decyzja - urealnienie marzenia sprzed lat, czyli podjęcie przez Tadeusza Kijonkę, prezesa GTL-u, starań o powstanie pod skrzydłami GTL-u pisma społeczno-kulturalnego pt. „Śląsk”. Ale od rejestracji tytułu do ukazania się pierwszego numeru „Śląska” droga była jeszcze daleka. Najtrudniejsze było „wydeptywanie” finansowych ścieżek, przekonywanie do idei pisma (w początkach lat 90-tych na rynku co chwila pojawiały się nowe pisma, by po krótkim czasie funkcjonowania na rynku prasowym przepaść z kretesem) i szukanie sojuszników. Kiedy w listopadzie 1995 roku ukazał się pierwszy numer „Śląska” niewiele było takich, którzy wierzyli w powodzenie tego rodzaju przedsięwzięcia. Trzeba było więc udowodnić, że n a w e t n a Ś l ą s k u może narodzić się pismo skupiające wielu wybitnych twórców, ludzi kultury, nauki - nie tylko z bliskich kręgów lokalnych, czasopisma, które szybko stanie się tytułem opiniotwórczym i znaczącym dla obrazu kultury regionu.

Kolejne miesiące i lata działalności GTL-u przynosiły coraz to nowe literackie spotkania, konferencje, wieczory autorskie, okolicznościowe imprezy. A to sesja poświęcona literackim wizerunkom Wojciecha Korfańskiego, spotkania z Florianem Śmieją, z prof. Janem Miodkiem (również członkiem GTL-u), konferencja literacka w Rybnej na temat miejsca literatury na Śląsku z udziałem znakomitych znawców

Zarząd GTL-u pierwszej kadencji

Tadeusz Kijonka - prezes, Grazyna Szewczyk - wiceprezes, Marian Kisiel - sekretarz, Piotr Jędroz - skarbnik, Stanisław Goła (Bielsko), Harry Duda (Opole), Kazimierz Kaszper (Zaolzie), Józef Krupiński (Tychy), Gustaw Przeczek (Zaolzie), Tadeusz Soroczyński (Opole), Aleksander Widera (Katowice), Edmund Wojnarowski (Katowice).

tematu: Leszka Bugajskiego, Mariana Kisiele, Harrego Dudy, Kazimierza Kaszpra i Ryszarda Bednarczyka; udziału w spotkaniach organizowanych w ramach Górnośląskiego Festiwalu Kameralistyki i wiele innych.

Ważnym wydarzeniem było powołanie w czerwcu 1993 r. Koła Cieszyńsko-Zaolziańskiego GTL, którego członkami po dziś dzień są niemal wszyscy przedstawiciele środowiska literackiego Zaolzia. Jego przewodniczącym wybrano Kazimierza Kaszpra. „Geografia” GTL-u, zgodnie z programem, rozszerzyła się nie tylko na środowisko zaolziańskie. W Bielsku Koło GTL-u (przewodniczącym został Stanisław Goła) utworzono na inaugurację Dni Polskiej Literatury Współczesnej, zaś w Opolu w 5. rocznicę śmierci Edmunda Osmańczyka. Przewodniczącym tego Koła został Tadeusz Soroczyński. Od tego czasu liczba członków GTL-u stale rosta, wkrótce też przekroczyła stu członków i to niedawno utworzone stowarzyszenie stało się największą regionalną organizacją społeczno-literacką w kraju.

Spośród licznych imprez zorganizowanych w pierwszym okresie szczególnie rozgłos zyskały trzydniowe spotkania pt. „Znad Wilii i Olzy”, które zorganizowano w grudniu 1993 r. - w 1. rocznicę utworzenia GTL-u. Impreza ta nawiązywała do mającej miejsce przed kilkoma laty wizyty polskich poetów z Wilna na Śląsku w 1989 roku. Tym razem odbywała się już w innej atmosferze. Wśród gości z Wilna znajdowali się m.in. Romuald Mieczkowski, Wojciech Piotrowicz, Józef Szostakowicz,

Alina Lassota, Aleksander Śniezko, Aleksander Sokolowski i Mirosława Wojszwiłto. Z kolei stronę zaolziańską reprezentowali m.in. Renata Putzlacher, Adam Wiesław Berger, Kazimierz Kaszper, Kazimierz Jaworski, Władysław Sikora, Jan Pyszko, Jan Rusnok. O spotkaniu tym tak mówił Tadeusz Kijonka: *„Tytuł tej literackiej imprezy ma wyraźne odniesienia topograficzne - a poprzez to bardzo czytelne poetyckie przesłanie. Jakże nostalgicznie skoro w nazwy obu rzek wpisana jest historia polskiego rozdarcia i wielkiej rozłąki. Dziś, po rozpadzie bloku państw podporządkowanych Moskwie, przekraczaniu granic nie towarzyszą już większe emocje, lecz jeszcze kilka lat wstecz... (..) Od tamtego czasu zmieniło się wiele nad Wiliją i nad Olzą. Nowe styki i kontakty literackie są bez porównania łatwiejsze, nie ma też przeszkód organizacyjnych w rozwijaniu inicjatyw wydawniczych i twórczych, o ile tylko znajdują się środki. Pojawili się z kolei inne kwestie wynikające z sytuacji obu środowisk, z których jedno jest wpisane w życie stolicy niepodległej Litwy, drugie działa w przygranicznym Zaolziu ze swobodnym prawem przejścia w jedną i drugą stronę. Jest więc okazja do porównań i dyskusji oraz wspólnych wniosków wykraczających poza ramy literatury. Potwierdziły to katowickie spotkania i całodzienna wyprawa na Zaolzie. Jeszcze w 1992 roku Romuald Mieczkowski pisał w „Lekcji polskiego”: Nie miało nas tu być/ złamanego plemienia niedobitki/do ust. Nabrali milczenia / traktując rzeczywistość/ jak deszcz / przedwczesną zimą / i wszystko co przemija // To był czyściec za życia / z nieodmiennym przekleństwem / z rosyjską / jestestwem w głębi siebie / z kryjówką dla rodowodów / i słów okaleczonych / w zamkniętych duszach jak granice // (...) O-nasza kresowa mowa- / ileż języków musisz uszanować / wypowiadając jedno polskie słowo. Natomiast Jacek Sikora - młody poeta z Zaolzia tak widział tamtą rzeczywistość: Nie lubię pisać listów w pociągu / gdy Polska wita cię / rajem rozbitych stodoł / W kuszetkach orły liczą butelki w torbach / w szponach trzymając dezodorant // Chciałem ci napisać / że w Czechach piwo wciąż się leje / a w Polsce jak w kawiarni przy zamku / ludzie markotni po wyborach / w gitarze Śląska zabrakło // Deszcz nad zamkiem brzeskim / wtuła poetów / w rozmowy nie na temat // (List do Tomka Vermana).*

Renata Putzlacher tak komentowała to literackie wydarzenie na łamach ostrawskiego „Głosu Ludu”: *„Tegoroczne spotkanie zapowiadało się więc ciekawie co najmniej z kilku powodów: ze względu na podobieństwo naszych losów i doświadczeń, ale jednocześnie ze względu na odmiennosć naszych sytuacji. Długie rodaków rozmowy zdawały się więc nie mieć końca. (...) Jedno jest pewne: w dziejach żadnego narodu nie może nastąpić pustka, stąd to, co zapoczątkowali nasi przadkowie, musi być kontynuowane. Zwłaszcza w przypadku wszechobecnie zagrożonej kultury. Tylko od nas zależy, co zostawimy po sobie. Tym bardziej, że*

GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE

Tadeusz Różewicz

ma zaszczyt zaprosić na

KONFERENCJĘ LITERACKĄ

p.t.

PÓL WIEKU TWÓRCZOŚCI TADEUSZA RÓŻEWICZA

w programie:

godzina 11.00 - 13.00

TADEUSZ KŁAK

- Wejście Różewicza - sytuacja poety w latach 1945 - 1950.

ANNA WĘGRZYŃKOWA

- Tadeusz Różewicz i pokolenia literackie.

MARIAN KISIEL

- Tadeusza Różewicza spory o poezję.

godzina 14.00 - 15.00

STANISŁAW GĘBALA

- Przeszłość dla słowa - przestrzeń dla człowieka.

O teatrze Tadeusza Różewicza.

LESZEK BUGAJSKI

- W świecie prozy Tadeusza Różewicza.

godzina 15.00 - 17.00

dykusja

godzina 17.00

TADEUSZ RÓŻEWICZ CZYTA WIERSZE

na początku
jest słowo
wielka radość tworzenia

po końcu wiersza
zaczyna się
nieskończoność

waluchaj się

ona przemienia się
dla ułaskawionych
w Boga

ale przed poetą
otwiera się przepaść

po latach
zostanie odgrzebany
oczyszczony z błota
pyłu ziemi

kamień z nieba
wyzuty z ognia
meteor

1990

KATOWICE, 14 LISTOPADA 1994
Aula Wojewódzkiego Ośrodka Metodycznego
ul. Kasprzaka 7 (Koszułka)

Zarząd GTL-u - skład obecny

Tadeusz Kijonka - prezes, Grażyna Szewczyk - wiceprezes, Marian Kisiel - sekretarz, Stanisław Bieniasz (Zabrze), Stanisław Gola (Bielsko), Edward Szopa - skarbnik, Stanisław Gębala (Bielsko), Zygmunt Dmochowski (Opole), Kazimierz Kaszper (Zalotzie), Jan Malicki (Katowice), Włodzimierz Wójcik (Sosnowiec), Ryszard Kincel (Racibórz).

nad Wilią i Olzą wszyscy jesteśmy chorzy, i choć w każdym wypadku choroba ta przebiega inaczej mamy tę samą diagnozę: chorujemy na polskość. Choroba ta przebiega nie bez powikłań, niemniej, jak zauważył Romuald Mieczkowski, spotkanie Wilnian z Zaolzianami raz jeszcze nauczyło nas tolerancji i szacunku wobec krajów, w których mieszkamy. Kolejne spotkanie ma odbyć się nad Wiliją, w kraju Mickiewicza, Miłosza ale także poetów - przyjaciół śląskiego GTL-u.

3. Następne lata przyniosły kolejne ważne spotkania: dwudniową sesję przygotowaną w 25. rocznicę śmierci Juliana Przybosa (i była to jedyna sesja poświęcona temu znakomitemu poecie mającemu także związki ze Śląskiem Cieszyńskim), konferencję literacką zorganizowaną z okazji półwiecza twórczości Tadeusza Różewicza z udziałem pisarza, sesję pn. „Literatura odzyskanego Śląska” zorganizowana z okazji 75-lecia przyłączenia Górnego Śląska do Macierzy; sesję poświęconą życiu i twórczości Wilhelma Szewczyka w 5. rocznicę śmierci tego wybitnego publicysty, poety i pisarza. 15. rocznicę wprowadzenia stanu wojennego w Polsce GTL upamiętnił organizacją sympozjum pt. „Kultura czasów stanu wojennego”. Szerokim echem odbiło się również spotkanie przypominające postać Zdzisława Hierowskiego uwieńczone dyskusją nad stanem krytyki literackiej na Śląsku. Trudno chociażby tylko wymienić wszystkie spotkania, sesje i konferencje – było tych imprez łącznie ponad 100!...

W 1996 roku po raz pierwszy ogłoszono konkurs „O Nagrodę Skrzydła Ikara” na cykl wierszy i poemat, ogłoszony w języku polskim i czeskim. W minionym roku odbyła się jego druga edycja ciesząca się jeszcze szerszym powodzeniem. Konkursowi towarzyszy za każdym razem sesja literacka, która ma miejsce w Domu Polskim w Ostrawie, natomiast wręczenie nagród odbywa się w Cierlicku, w Domu PZKO im. Żwirki i Wigury. Uroczystość tę poprzedza spotkanie pamięci na „Żwir-

kowisku”, w miejscu tragedii słynnych polskich lotników.

Po zaledwie pięciu latach obecności w życiu kulturalnym regionu GTL zyskał wysoko ocenianą pozycję, zdobytą dzięki swej niezależności od nikogo i od niczego,

nie wikłaniem się w dawne spory i utarczki środowiskowe, nie stawianiem barier przed nikim, kto tylko wyrazi wolę uczestnictwa w pracach czy tylko przynależności do Towarzystwa albo pozostawania wyłącznie jego sympatykiem czy przyjacielem. Dziś to już bardzo liczne grono osób. Ostatnie dni przyniosły nowe postaci: podczas grudniowego Walnego Zgromadzenia Wyborczego nie tylko wybrano nowy zarząd, którego prezesem został ponownie Tadeusz Kijonka, ale pozyskano jedenastu nowych członków. Są wśród nich m.in. Lech Majewski, Henryk Waniek, ksiądz Jerzy Szymik, Antoni Halor, Maciej M. Szczawiński. O honorowym członkostwie dla Tadeusza Różewicza już wspominałam.

Żeby jednak czytelnik nie odniósł wrażenia, że życie Górnos Śląskiego Towarzystwa Literackiego jest usłane różami, potwierdza się jednak, że mają też kolce. Największym z nich i chyba najbardziej raniącym jest pozabawienie nie tylko GTL-u ale i środowiska literackiego przyznawanego w znacznie trudniejszych dla literatury czasach budynku zwanego Domem Literatury, gdzie od-



GÓRNOŚLĄSKIE
TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH
REDAKCJA MIESIĘCZNIKA
SPOŁECZNO-KULTURALNEGO
"ŚLĄSK"

JULIAN PRZYBOS PO LATACH

Ogólnopolska Sesja Literacka
w 25-rocznicę śmierci

KATOWICE - CIESZYN
28-29 listopada 1995

KOŁO CIESZYŃSKO-ZAOLZIAŃSKIE
GÓRNOŚLĄSKIEGO TOWARZYSTWA LITERACKIEGO

PROGRAM SESJI

11 LISTOPADA 1995 - W I K

KATOWICE - DOM LITERATURY
ul. Mijonarzy Obłąków 11

GODZINA 18⁰⁰-18⁰⁰

- MARIAN KISIEL: Julian Przybosi - poeta programowej ofensywy: spór o strategię zachowań.
- JAN MALICKI: "Treny" i nurt elegijny w twórczości Przybosa.
- BOGUSŁAW KIERC: Cienna lustra w poezji Przybosa.
- ANDRZEJ K. WAŚKIEWICZ: Wizerunki poetyckie Przybosa w obrazie krytyki.

GODZINA 19⁰⁰

"WZNIOSŁY UFAPDEK ANIOLA" - monodram Bogusława Kierca.

20 LISTOPADA 1995 - II K

CIESZYN - LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCE
im. Antoniego Osuchowskiego

GODZINA 18⁰⁰-15⁰⁰

- KRYSZYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ: Julian Przybosi jako nauczyciel.
- KAZIMIERZ KASZPER: Awangarda nad Olzą.
- TADEUSZ KLAK: Autoportret poety - o cieszyńskich listach Juliana Przybosa.

Po przerwie:

"WZLATUJĄCA PRZESTRZEŃ" - Wiersze Juliana Przybosa w interpretacji artystów Sceny Polskiej z Czeskiego Cieszyna.

ŚWIAT INTEGRALNY

pół wieku twórczości
TADEUSZA RÓŻEWICZA

Materiały konferencji literackiej
14 listopada 1994
pod redakcją
MARIANA KISIELA



GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
KATOWICE 1994

Wypisy ze Statutu GTL

Rozdział II - Cele i środki działania

Par. 7

Górnos Śląskie Towarzystwo Literackie jest stowarzyszeniem niezależnym i samorządnym, zrzeszającym osoby zajmujące się czynnie twórczością literacką, naukowo-badawczą i wydawniczą oraz upowszechnieniem i rozwojem kultury literackiej, ze szczególnym uwzględnieniem Śląska, bez względu na ich przynależność do innych organizacji twórczych i zawodowych, reprezentowane poglądy i przekonania oraz wyznawane programy artystyczne.

Par. 8

Górnos Śląskie Towarzystwo Literackie ma prawo do wyrażania opinii o stanie i potrzebach rozwoju kultury oraz do reprezentowania interesów osób i środowisk zrzeszonych w Towarzystwie wobec władz, organizacji, instytucji i urzędów, w zakresie swoich statutowych celów i zadań.

Par. 9

Celem Górnos Śląskiego Towarzystwa Literackiego jest podejmowanie i integrowanie wysiłków osób, środowisk i instytucji zajmujących się twórczością literacką, naukowo-badawczą oraz działalnością wydawniczą, służących rozwojowi twórczości i kultury literackiej na Górnym Śląsku, popularyzacji dorobku miejscowych autorów oraz rozwijaniu współpracy i kontaktów literackich w kraju i za granicą.

Na nowo stawiane pytania

TOMASZ NAWROCKI



Foto: Andrzej Pawłowicz

Pytania o tożsamość stawiali m.in. Zdzisław Pietrasik (od lewej), Dorota Stasikowska-Woźniak i Krzysztof Zanussi.

Spotkanie w Marcholcie

Czy tego narodowego teatrum, tych wzdychań i rozmyślań nie za wiele? Otóż nie. Piękna i ciężka choroba na polskość, na symbole narodowo-religijne, na rodaków rozmowy, w toku których przerzucamy się „argumentami z historii”, na ojczyźnianą dyematologię — to nasza rzeczywistość.

W 1988 roku piszący te słowa wybitny polski historyk Tadeusz Łepkowski nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Przyszedł jednak przełom 1989 roku i pełne namietności spory o polską tożsamość narodową, o charakter narodu polskiego, o nasz rodowód wytraciły dynamikę i przestały się liczyć jako problem podstawowy. (P. Śpiewak) Zajęliśmy się budową nowego świata i własnego dobrobytu, a spory o uparte trwanie polskości pozostawiliśmy wąskim elitom intelektualnym i tym politykom, którzy w ten sposób określają swoją tożsamość.

Co pewien czas pojawiają się jednak próby zainicjowania kolejnej narodowej dysputy. Stawia się pytania o kształt kanonu historycznego, o narodowych bohaterów, demistyfikuje się narodowe mity. Dobrze się stało, iż do prób tych dołączyło też katowickie środowisko twórcze organizując sesję **Pytania o polską tożsamość kulturową**.

Inicjatywa jej przeprowadzenia zrodziła się w kręgu poetek, pisarek i dziennikarek związanych z kwartalnikiem „Wyrazy”. Pomysłodawczynią była Anna Tatariewicz, a organizatorką i spirytus movens całego przedsięwzięcia — Dorota Stasikowska-Woźniak (redaktor naczelna „Wyrzów”). To właśnie dzięki nim, a także dzięki Tadeuszowi Kijonce (z redakcji naszego miesięcznika) i Zdzisławowi Pietrasikowi z redakcji „Polityki” (patron medialny) mogła się odbyć 5 grudnia 1997 roku w „Marcholcie” (pamiętającym najlepsze czasy katowickich środowisk twórczych) im-

preza, na której poddano dyskusji problemy narodowej i śląskiej tożsamości.

Na stylizowanej na salon dworku szlacheckiego scenie, w otoczeniu portretów autorstwa Olgerda Bierwaczonka, wystąpiło kilkunastu znanych przedstawicieli świata kultury i nauki z Warszawy, Krakowa, a także z naszego regionu. Zaprezentowali bardzo różnorodne, niekiedy bardzo osobiste próby odpowiedzi, na wydawałoby się proste pytania o to, co oznacza, gdy o sobie mówimy, iż jestem Polakiem, czy też jestem Ślązakiem. Formułowali je zarówno w języku rozprawy naukowej, eseju, osobistej refleksji, głosu w panelowej dyskusji, a także w postaci fragmentów prozy (Feliks Netz *Urodzony w święto zmarłych*). Pozwoliło to na uniknięcie monotonii i hermetyczności typowej dla wielu konferencji naukowych. Dało jednocześnie pretekst do polemiki wokół prowokacyjnie postawionej przez Jacka Wodza tezy o utracie znaczenia dyskursu artystycznego w sporach nad kwestiami narodowymi i przewadze na tym polu refleksji naukowej. Większość uczestników zdecydowanie odrzuciła jednak ten pogląd, przyjmując stanowisko o komplementarności obu dyskursów.

Trzy sesje, dwanaście wystąpień, wielogodzinna dyskusja z udziałem kilkunastu osób. Ogrom poruszanych problemów. Nie sposób w krótkim tekście omówić wszystkie kwestie poruszane podczas grudniowego spotkania. Część tekstów zainteresowany czytelnik odnajdzie zresztą w tym numerze „Śląska”, pozostałe mają być opublikowane przez kwartalnik „Wyrazy”. Dlatego też zamiast szczegółowej relacji lepiej ograniczyć się do przedstawienia kilku pytań, wokół których toczyła się wówczas debata.

Dlaczego znów pytamy o polską tożsamość narodową?

Już w inauguracyjnym spotkaniu wystąpieniu Paweł Śpiewak nie bez racji zauważył, iż po 1989 roku przestaliśmy o sobie myśleć w kategorii tożsamości naro-

dowej. Na zaniechanie wówczas takiego dyskursu zwracali też uwagę i inne osoby (np. Anna Tatariewicz). W dyskusji przypomniano również, iż większość Polaków nie odczuwa obecnie żadnych dylematów narodowych i dobrze zna odpowiedź na pytanie z *Katechizmu polskiego dziecka* Władysława Bełzy (*Kto ty jesteś?*). Jaki w takim razie jest sens powrotu do *narodowej dylematologii* i ponownego stawiania pytania o polską tożsamość kulturową? Czy nie tworzy się w ten sposób sztucznych problemów, które są obce ludziom z ulicy.

Przebieg całej konferencji pozwalał jednak na rozwiązanie tych wątpliwości. Spotkanie miało przecież miejsce na Śląsku, gdzie dla części jego mieszkańców kwestia polskiej identyfikacji narodowej nie jest wcale sprawą całkowicie oczywistą, gdzie mieszka mniejszość niemiecka, gdzie toczy się wcale nie abstrakcyjny i obecny także w „Marcholcie” spór o istnienie narodu śląskiego. Powtórzyć można za organizatorami, iż trudno *wyobrazić sobie miejsce bardziej odpowiednie na zadanie pytań o polską tożsamość kulturową, jak nie w tej niezwyklej części Polski* (Kazimierz Kutz), której mieszkańcy coraz częściej stają przed dylematami narodowymi.

Co więcej zmiany rozpoczęte przełomem 1989 stworzyły zupełnie odmienny kontekst dla stawianych przez lata pytań (wątek ten przewijał się między innymi w wypowiedziach P. Śpiewaka, A. Tatariewicz, J. i K. Wodźów). Zmienia się nasze myślenie o narodzie, zmieniają się cele i zadania określające naszą zbiorową tożsamość (pisał o tym niedawno K. Michalski), inaczej też rozkładają się relacje pomiędzy wątkami pozytywistycznymi i romantycznymi w naszym polskim romantyzmie (tak przed laty swoiście polską syntezę romantyzmu i pozytywizmu określił T. Łepkowski). Stwarza to w sposób oczywisty potrzebę nowego spojrzenia na wiele narodowych spraw.

Podobne wyzwania stawia kwestia integracji europejskiej. Tak jak Niemcy, Francuzi i reszta Europy musimy sobie postawić pytanie o to, czym będzie Polska i *co znaczy być Polakiem w jednoczącej się Europie?* Dodajmy za uczestniczącym w spotkaniu Krzysztofem Zanussim, w Europie jednoczonej przez kulturę amerykańską i symbolizującą ją restaurację Mc Donald'sa.

Czym jest polskość?

Poszukiwaniem różnych wariantów odpowiedzi na to pytanie zajęli się autorzy występujący w pierwszej części spotkania. Ich wypowiedzi, a także tocząca się później dyskusja dotykała różnych aspektów zagadnienia, pokazując ogrom dylematów stojących przed każdym podejmującym ten problem. Wprowadzenia do sesji i uporządkowania terminologii dotyczącej *najsubtelniejszego i najbardziej skomplikowanego tworu zrodzonego przez ewolucję historyczną* (Eduard Meyer) jakim jest naród podjął się P. Śpiewak. Pokazał z jednej strony jak wraz z mającym miejsce przełomem zmienia się nasze myślenie o narodzie, z drugiej zaś przedstawił *mity polskie* (idiomy) określające polską tożsamość narodową. Sprowadzają się one do: polskiego katolicyzmu; myślenia o sobie w kategorii ofiary; a także w kategoriach zagrożonej sekty mającej misję dziejową oraz w kategoriach tożsamości romantycznej i wywiedzionej z niej specyficznej roli inteligencji.

Wątki te podjęte zostały w kolejnych wystąpieniach. Gorzko brzmiała refleksja Edmunda Lewandowskiego nad charakterem narodowym Polaków. Autor, którego prace poświęcone tej problematyce wywoływały jeszcze nie tak dawno burzliwe dyskusje, przypominał, co mieliśmy do powiedzenia o naszych cechach narodowych. Znamiennie jednak jest, iż zwrócenie uwagi na nieustrukturalizowanie charakteru Polaków, postawienie tezy o jego kobiecości i przyjęcie sejmiku szlacheckiego za symbol narodowy nie wywołały żywszej reakcji.

Podobnie zresztą jak prowokacyjny tytuł wystąpienia Adama Krzemińskiego — *Polska Frankensteinem Europy*. Dla publicysty Tygodnika „Polityka”, Polskę można przyrównać do obrzydliwego monstrum złożonego z kawałków i ożywionego przez dr Frankensteina. Żyjąc w tak dość waczenie pozszywanym kraju, mieszkamy w poniemieckich i pożydowskich domach. Kim w takim razie jesteśmy, pyta. Sięga równocześnie w historię tam poszukując genetycznego błędu kulturowego utrudniającego procesy modernizacji Polski.

Tak jak my wprowadziliśmy się do nie należących wcześniej do nas domów, tak ktoś inny żyje w opuszczonych przez nas mieszkaniach. A nam pozostaje jedynie pamięć o nich. Pamięć o świecie, który w istotny sposób określał to, kim dziś jesteśmy. Świat ten przywołany został przez Józefę Hannelową w bardzo osobistej, niekiedy wręcz intymnej refleksji o kształtowaniu się własnej tożsamości kulturowej. Dla redaktorki „Tygodnika Powszechnego” i jej rówieśników mieszkających w Wilnie sposobem istnienia była tożsamość kresowa, która kształtowała się poprzez próby zrozumienia innych mieszkańców jej miasta. To przenikanie elementów kultury różnych grup narodowych decydowało o bogactwie tego świata, wzbogacając równocześnie kulturę polską.

Problem kresów wracał jeszcze kilkakrotnie w dyskusji. Zwrócono między innymi uwagę na specyficzną sytuację Polski, która prawie w całości składa się z terenów pogranicznych (kresy — bez środka P. Śpiewak). Zaś A. Tatariewicz przypominała znaczenie dla naszej kultury obecności twórczych osobowości na kresach wschodnich. Uczyniła to polemizując z K. Zanussim, który dostrzegł zruszczenie znacznej części Polski (z Warszawą na czele) i przenikanie tych elementów do kultury polskiej.

Autorka ta wcześniej zaprezentowała interesującą próbę odczytania społecznego rodowodu Polaków. Rodowodu, w którym przenikają się tradycje szlachecko-inteligenckie i chłopskie. Dotyczy to np. dzisiejszej inteligencji, która wywodzić może swą społeczną genealogię nie tylko ze szlachty (jak pisał przed laty Józef Chałasiński), ale także ze wsi (*za stodoły*). Zwróciła też uwagę na specyfikę kulturową polskiej wsi, pytając równocześnie, czy uda się ją ocalić? Czy też pozostanie nam tylko wiejski skansen?

Szukając odpowiedzi na pytania o polską tożsamość narodową warto też wstąpić na ścieżki wydeptane przez naszych poprzedników. Przypominała o tym Grażyna Borkowska mówiąc o pozytywistycznej refleksji na ten temat. Z pism Włodzimierza Spasowicza, z utworów niktnej gdzieś pod szkolną patyną Elizy Orzeszkowej, można odnieść się do całkiem współczesnych dylematów. I tak np. przypomniane przez G. Borkowską opowiadanie autorki „Nad Niemnem” — „Oficer” pokazuje, iż ludzie są niekiedy stawiani w sytuacji, w której nie jest możliwe odpowiedzenie na pytanie: *kim jestem?*

Pytanie o śląskość tej niezwyklej części Polski

Te słowa nieobecnego osobiście, ale obecnego duchem Kazimierza Kutza (na konferencji odtworzono jedynie nagranie jego wypowiedzi) posłużyć mogą za motto drugiej części spotkania w „Marcholcie”. Części zdominowanej przez rozważania poświęcone dylematom tożsamościowym naszego regionu. Wygłoszone w niej referaty czytelnik znajdzie na sąsiednich stronach naszego pisma. Dlatego przywołam jedynie ważniejsze problemy wówczas poruszone.

Najbardziej istotnym z nich jest niewątpliwie kwestia tożsamości ludzi tu mieszkających. O człowieku pogranicza żyjącym najpierw gdzieś na kresach państwa niemieckiego, a później na peryferiach Polski, o jego świadomości kresowej, która skazuje go na wybór opcji narodowej, o dylematach lojalności obywatelskiej i pojawieniu się

młodych ludzi myślących o sobie w kategoriach europejskich mówił Marek S. Szczepański. Na kontekstualność samoidentyfikacji (samookreślenie w zależności od sytuacji) Ślązaków zwrócili z kolei uwagę Kazimiera i Jacek Wodzowie. W dyskusji podkreślano też tkwiące u podstaw tożsamości śląskiej kompleksy Polski i świadomość doznanych krzywd (T. Kijonka).

Pojawił się wreszcie, bo jak na takim spotkaniu mógł się nie pojawić, problem narodu śląskiego. Bezpośrednio odnosiły się do niego dwa wystąpienia. Jarosław Tomaszewicz dokonał precyzyjnej politologicznej analizy mającej udzielić odpowiedzi na pytanie, czy można mówić o istnieniu takiego narodu. Doprowadziła go ona do wniosku, iż brak jest elementów pozwalających ukonstytuować się Ślązacom w naród. Istniejące odrębności pozwalają jedynie mówić o grupie etniczno-językowej (termin Józefa Chlebowczyka). Daleki od przyznania racji propagatorom tezy o istnieniu narodu śląskiego był też Krzysztof Karwat. Pokazując jak wyrasta ona z jednej strony z próby wyjścia z cienia grupy działaczy Ruchu Autonomii Śląska i Śląskiego Związku Akademickiego, z drugiej zaś jak kształtują ją śląskie kłopoty z tożsamością i potrzeba odreagowania za wieloletnie krzywdy Ślązaków. Obaj autorzy zgodnie też przestrzegali, iż cała sprawa nie może przynieść nic dobrego dla Śląska i jego mieszkańców.

Z poglądami tymi polemizował obecny na sali Jerzy Gozdelik, jeden z liderów Związku Ludności Narodowości Śląskiej. Wedle niego istnieją obiektywne dane pozwalające Ślązacom uważać się za odrębny naród. Człowiek ma zresztą prawo wyboru swej opcji narodowej (o tym, iż słowo tożsamość zawiera pojęcie wyboru mówił wcześniej w nagranej na potrzeby spotkania wypowiedzi Wiesław Myśliwski). Jeżeli Ślązacy nie są narodem, to co w takim razie z Austriakami. To nie kłopoty z tożsamością, ale z jej uznaniem.

W „Marcholcie” poruszano także i inne ważne aspekty związane z problemami tożsamości śląskiej. Marian G. Gerlich podjął się próby demystyfikacji niektórych śląskich mitów związanych np. z symboliczną rolą rzeki Brynicy, mitologizowania śląskiej *godki* i stroju, czy też traktowania jako specyficznie śląskich wartości uniwersalnych (związanych z rodziną, pracą i religią). Kazimiera i Jacek Wodzowie opomnieli się o uwzględnienie czynnika politycznego, rzeczywiście niezbędnego w jakimkolwiek dyskursie na tematy tożsamościowe. Równocześnie przeprowadzili analizę politycznych uwarunkowań odradzania się tożsamości śląskiej. Dobrze się też stało, że organizatorzy pamiętali o Zaolziu i w programie spotkania znalazło się wystąpienie Tadeusza Siwka poświęcone *polskiej tożsamości z czeskimi elementami*. Dylematy narodowe dotyczą nie tylko nas tu w kraju, ale także Polaków poza jego granicami, którzy jak część mieszkańców Zaolzia nadal mówią śląską gwarą i kultywują tradycyjne zwyczaje, choć kibicują czeskim klubom piłkarskim.

Zamiast podsumowania

To tylko niektóre z wielu poruszonych podczas grudniowego spotkania w „Marcholcie” zagadnień. Pozostaje tylko mieć nadzieję, iż organizatorzy dotrzymają słowa i całość materiałów (wraz z zapisem ciekawej dyskusji) zostanie opublikowana. Powinno stać się to impulsem do szerszej debaty o naszej polskiej tożsamości kulturowej, a być może też do powrotu do postawionych w grudniu pytań, na kolejnym spotkaniu. Jeżeli oczywiście organizatorom starczy sił, a sponsorom łaskawości. Jak trafnie zauważyła A. Tatarkiewicz, temat nadal pozostaje aktualny. Dodajmy, iż być może w perspektywie naszego wstąpienia do Unii Europejskiej, coraz bardziej aktualny. Dlatego powtórzmy za podsumowującym konferencję Z. Pietrasikiem *Co dalej z tą polskością?*

Termin *pogranicza* jest bardzo pojemny, uniwersalny i odnosi się do zjawisk powszechnie występujących. Wszak istnieje pogranicza bogactwa i nędzy, zdrowia i choroby, dobrostanu i zlegostanu, szczęścia i nieszczęścia, kultury wysokiej i masowej, miłości i nienawiści, pogranicza między klasą wysoką, średnią i niższą. Pogranicza występuje we wszystkich społeczeństwach i zbiorowościach ludzkich czy wreszcie w samych jednostkach. Każdy z nas — jak zauważył Horst Bienek, niemiecki pisarz urodzony na Górnym Śląsku — nosi swój kawałek pogranicza.

Idea traktowania Górnego Śląska jako regionu pogranicza kulturowego, czy używając całkiem już archaicznej terminologii: **regionu narożnikowego**, pojawiła się znacznie wcześniej, między innymi w refleksjach i rozprawach Ezechiela Ziviera, historyka i archiwisty książąt pszczyńskich: Jana Henryka XI oraz Jana Henryka XV. *Śląsk* — pisał za Zivierem ks. dr Emil Szramek — *stanowi pod względem geograficznym rodzaj narożnika i od wieków dzieli los wszystkich narożników, że się mianowicie o nie zawadza i w nie uderza. Każde uderzenie zaś i ciśnienie powoduje ruch bądź to zewnętrzny, czyli zmianę położenia, bądź to wewnętrzny, wytwarzający ciepło, które albo wiąże albo rozsadza.*

Drugim obok **pogranicza**, kluczowym pojęciem szkicu staje się termin **tożsamość kulturowa**. Rozumiem ją jako trwały związek pewnej grupy ludzi i pojedynczych jej członków z określonym zespołem poglądów, idei, przekonań, z konkretnymi zwyczajami i obyczajami, z danym systemem wartości, norm i wreszcie z terytorium oraz konkretnym miejscem. Owa identyfikacja powinna umacniać jedność grupy i świadomość jej odrębności. Tożsamość taka wyraża się zatem w zasadzie: *Jest się takim, jakim się jest, jest się innym, a to że jest się innym, ma stanowić powód do dumy, a nie do zawstydzenia.*

Na kresach Rzeszy

Pojęcie **region pogranicza kulturowego** odnosi się do tych obszarów państwa — ulokowanych zazwyczaj peryferyjnie wobec wielkich centrów polityczno-administracyjnych — w których istnieje wyraźna świadomość społecznej odrębności, a regionalny układ kultury stanowi wynik wieloletniego przenikania licznych kultur i tradycji o zróżnicowanym pochodzeniu. Regiony pogranicza zmieniały w ciągu wieków przynależność państwową i administracyjną, znajdowały się w kręgu oddziaływania rozmaitych systemów polityczno-administracyjnych oraz gospodarczych. W rezultacie — zamieszkującą je ludność cechują niejednoznaczne i zróżnicowane wybory narodowe, a narodowy indyferentyzm nie jest zjawiskiem marginalnym.

Zmiany przynależności politycznej Górnego Śląska, jego kontreans między Polską, Czechami, Austrią, Prusami, Niemcami, nasuwają kilka konkluzji podstawowych. Przede wszystkim, uderzające, historycznie trwałe jest peryferyjne ulokowanie Górnego Śląska, we wszystkich organizmach państwowych, do których należał. Chodzi tutaj rzecz jasna nie tylko o **peryferyjność geograficzną**, pewną stałą kresowość tego regionu, ale przede wszystkim o **peryferyjność polityczną i kulturową**. Będąc przez ostatnie stulecia wielkim i ważnym zagłębieniem przemysłowym Prus, a później Rzeszy Niemieckiej, czy wreszcie Polski był zapóźniony kulturowo, o słabej liczbie elicie wykształcenia, zwłaszcza w przypadku ludności rodzimej. To zapóźnienie, trafnie choć metaforycznie, zilustrował Johann W. Goethe pisząc po wizycie w Tarnowskich Górach (rok 1790) takie oto zdanie: *Z dała od wykształconych ludzi, na kresach Rzeszy*. Peryferyjności tej nie towarzyszyła, częsta w takich przypadkach, miseria choć metaforycznie, zilustrował Johann W. Goethe pisząc po wizycie w Tarnowskich Górach (rok 1790) takie oto zdanie: *Z dała od wykształconych ludzi, na kresach Rzeszy*. Peryferyjności tej nie towarzyszyła, częsta w takich przypadkach, miseria choć metaforycznie, zilustrował Johann W. Goethe pisząc po wizycie w Tarnowskich Górach (rok 1790) takie oto zdanie: *Z dała od wykształconych ludzi, na kresach Rzeszy*.

Zmienna przynależność państwowa odegrała szczególną rolę w dezintegracji śląskiej społeczności regionalnej. Dopiero jednak plebiscyt i trzy powstania śląskie, ważne zdarzenia w histo-

rii polskiej i niemieckiej państwowości, te dezintegracyjne procesy w sposób gwałtowny przyspieszyły. Zbiorowość czy społeczność regionalna silnie związana z Górnym Śląskiem i małymi ojczyznami, o zróżnicowanych wyborach narodowych, częściowo narodowo indyferentna, zmuszona została do jasnych deklaracji narodowych (jestem Polakiem lub jestem Niemcem). Sam podział poplebiscytowy był nieznanym w przypadku ówczesnej Europy Centralnej rodzajem operacji na żywym organizmie. Oto bowiem w rezultacie decyzji politycznych podzieleno zwarty terytorialnie i społecznie obszar. Plemiennosc górnośląska została trwale i bezpowrotnie naruszona.

Takie odczytywanie roli plebiscytu i powstań nie oznacza bynajmniej, iż wcześniej zbiorowość śląska była tworem jednolitym społecznie czy politycznie. Oczywiście pęknięcia istniały, choć nie były tak widoczne jak przed tymi wydarzeniami. Dynamikę tych podziałów w skali lokalnej ukazywał — być może w przerysowanej postaci — Józef Chałasiński w studium nad konfliktem polsko-niemieckim w osadzie „Kopalnia” czyli w poczciwych Murkach, ulokowanych dziś w granicach Katowic. Podziały ugruntowały się na przełomie wieków XIX i XX



Foto: Andrzej Pawłowicz

Marek S. Szczepański podczas katowickiej sesji

MAREK S.
SZCZEPAŃSKI

Tożsamość pogranicza

i były związane z przybyciem niemieckich urzędników, przemysłowców, kupców sprowadzanych do zakładów przemysłowych, ludzi obcych rodzimym Górnoszlązakom: wyznaniowo, językowo i kulturowo.

Człowiek rozdwojony

Do polskości — stwierdziła wybitna socjolog Antonia Kłóskowska — *zbliżał starych Ślązaków podobny lub wspólny kult świętych, nabożeństwo, nacisk na obrzędowość, przywiązanie do lokalnego kościoła i proboszcza*. Co zatem pociągało Ślązaków w niemieckości? Zapewne najbardziej fascynowała ich wyraźna wyższość cywilizacyjna, techniczno-organizacyjna tego kraju, konfrontowana z sytuacją odrodzonej Polski. Nie bez znaczenia była przejrzystość biurokratyczna Prus i Rzeszy, potęga gospodarcza i — mimo wojennej porażki — polityczna czy militarna. Istniała także cała grupa ludności rodzimej zainteresowanej bądź nie zainteresowanej polskością czy niemieckością, o chwiejnej opcji narodowej, czy wręcz narodowo nieokreślona. Ten typ zbiorowości społecznej, o niezdefiniowanej opcji narodowej nie jest niczym nowym w regionach pogranicza kulturowego. Ludzie ci najczęściej odwoływali się do ojczyzny prywatnej (*heimatu*), Górnego Śląska, Śląska Cieszyńskiego jako głównych układów odniesienia społecznego i kulturowego. Oni także współcześnie najbardziej są skłonni poprzeć ruchy autonomiczne, dalekie jednak od separatyzmów. Przyjmuje się, że w okresie międzywojennym, w polskiej części Górnego Śląska warstwa ludności o chwiejnej opcji narodowej stanowiła około 35 proc. ogółu mieszkańców. W 1926 roku, w wyborach komunalnych, oddała ona niemal w całości swe głosy na listy niemieckie.

Tożsamość narodowa jest więc w przypadku typowego człowieka pogranicza rozproszona, a nawet podzielona. Ten typ społecznej świadomości określany bywa także mianem *świadomości kresowej*. Najkrócej mówiąc, o wyborze ojczyzny i opcji narodowej w regionach pogranicza decydował, w pew-

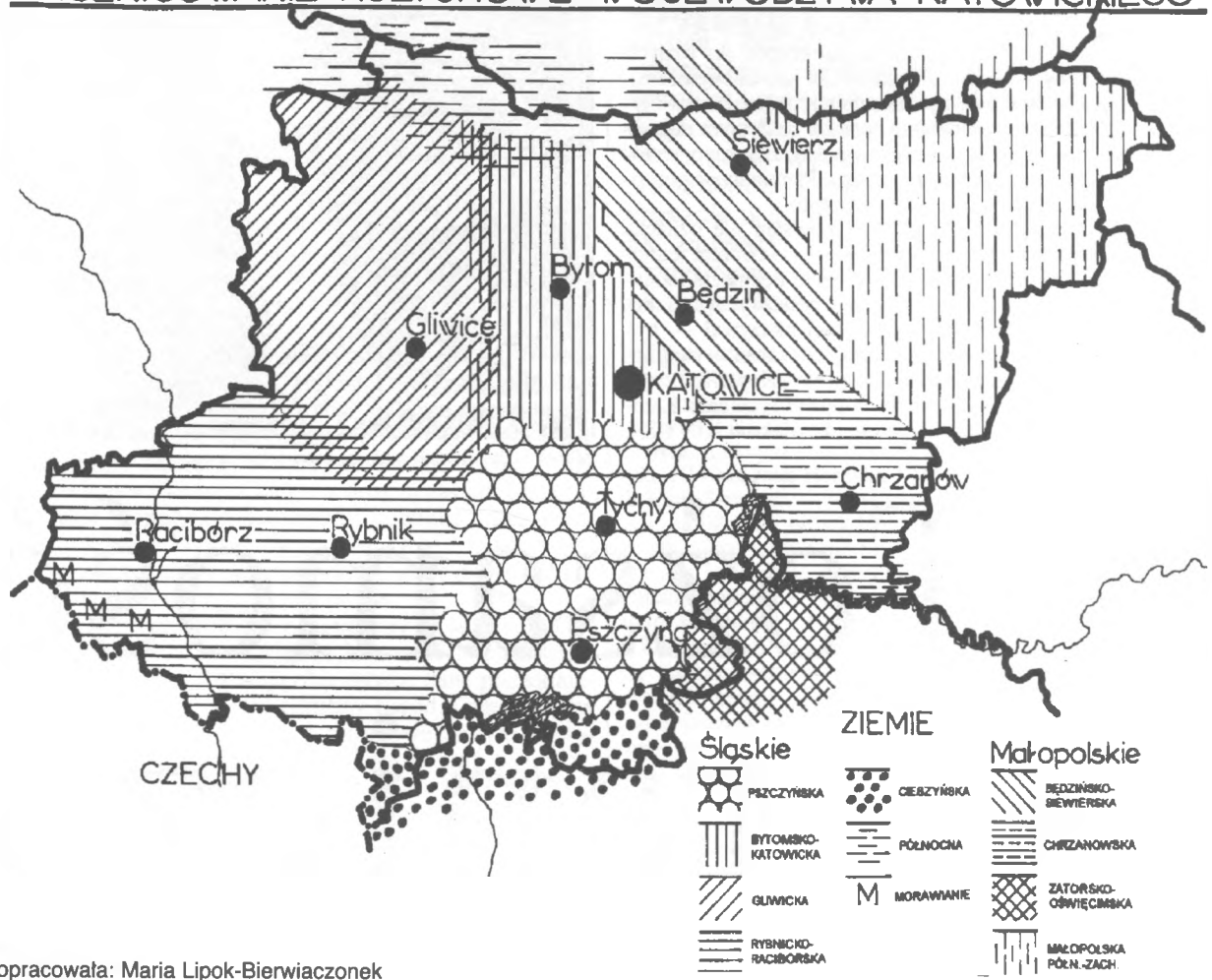
Mała liczebność narodu wzmacnia jego ambicje. Być może to wyjaśnia entuzjazm, z jakim Abchazi studiują swoją historię, zgłębiają inne gałęzie wiedzy, aktywnie uczestniczą w kulturze. Wielki naród może pozwolić sobie na pewną obojętność wobec własnej przeszłości, gdyż nie boi się zatracenia — naród mały ma takie lęki i to pobudza jego intelektualne siły.

(Fazil Iskander: prozaik abchaski)

nej przynajmniej mierze, bilans atrakcyjności, ekonomiczny niemal rachunek zysków i strat, aktywów i pasywów związanych ze zróżnicowanymi wyborami narodowymi, politycznymi i obywatelskimi.

Używając literackich określeń i metafor można powiedzieć, iż typowy człowiek regionu pogranicza urodził się w Gleiwitz, lecz dorastał w Gliwicach, po II wojnie światowej pozostał w tym mieście lub został przymusowo z niego wysiedlony czy też dobrowolnie wyjechał do Niemiec; dla Niemców pozostawał wtedy zbyt polski, opatrywany etykietą *Wasserpolake*, dla Polaków zbyt niemiecki, szwabski, hanyski; wiodąc żywot przesiedleńca [wypędzonego] lub emigranta odbywał czasami podróż sentymentalną do swojego *heimatu* lecz tylko sporadycznie wracał doń na stałe; niekiedy jednak — używając terminów Siegfrieda Lenza — spalił na zawsze „muzeum ziemi ojczystej”. Ten zaś co pozostał na Górnym Śląsku miał w kłopoty z narodową autoidentyfikacją i autodefinicją; jedynie przynależność do regionu i lokalnego świata społecznego, ojczyzny prywatnej, *heimatu*, była bezproblemowa. *My, Górnoszlązacy* — pisał Stanisław Bieniasz w *Biografii*, jednej ze swoich sztuk, wystawionej w 1991 roku przez Teatr Śląski w Katowicach — *zawsze siedzimy między dwoma krzesłami. Obojętnie gdzie nas rzuci, zawsze nam czegoś brakuje: jakaś część naszej duszy zostaje po drugiej stronie granicy. Najwyższy czas*

ZRÓŻNICOWANIE KULTUROWE WOJEWÓDZTWA KATOWICKIEGO



żeby się jakoś ułożyć i pojednać. Takich typowych ludzi pogranicza, w większości zaawansowanych wiekowo, jest wszakże na Górnym Śląsku coraz mniej, choć wciąż można ich spotkać, głównie w tradycyjnych społecznościach lokalnych, małomiasteczkowych i wiejskich. To właśnie one stanowią laboratoryjne enklawy regionu pogranicza kulturowego.

Zmienna przynależność polityczna Śląska wpłynęła na powstawanie bardzo skomplikowanych i trudnych do jednoznacznego odtworzenia biografii pojedynczych ludzi tutaj mieszkających. Niektórzy stwierdzali nawet metafizycznie, iż ukształtował się w regionie narożnikowym niepowtarzalny — mozaikowy — typ *duszy górnośląskiej*. Biografia tyskiego prałata z okresu międzywojennego ks. Jana Kapicy jest tutaj bardzo wymowna. Kapica, przez pewien czas działacz niemieckiej partii Centrum, publicznie wyrażał przekonanie o *zmarłych wstaniu Polski*. Nie można jednak twierdzić — stwierdził w jego biografii ks. Janusz Wycisło — *aby widział możliwość powrotu Śląska do Macierzy*. Intensywny rozwój wypadków politycznych i kościelnych na Górnym Śląsku coraz silniej wciągał w swój wir ks. Kapicę. Wiadomość o przyłączeniu części Górnego Śląska do Polski uczcił napisem na dzwonie kościoła pod wezwaniem świętej Marii Magdaleny w Tychach: *Głóście po wszystkich krańcach ziemi: wyzwolił Pan swój naród*.

Tożsamość narodowa może ulec całkowitej przemianie w ciągu życia jednostki. W takich przypadkach mówimy — używając nieznośnego żargonu socjologicznego — o konwersji narodowej. Tymczasem w wielu regionach pogranicza kulturowego i rzadziej — poza nimi — możliwa jest inna forma konwersji, mianowicie *konwersja lojalności obywatelskiej*. Wyraża się ona nie w zmianie indywidualnego wyboru narodowego, ale w lojalnej postawie obywatela wobec instytucji i obowiązków formułowanych przez kolejne państwa, sprawujące polityczną oraz administracyjną władzę nad regionem. Inaczej mówiąc, na Górnym Śląsku można było czuć się Gór-

noślązakiem (nie Polakiem i Niemcem), ale pozostawać lojalnym obywatelem Niemiec, czy po plebiscycie i podziale regionu — Polakiem.

Naruszona plemiennność

II wojna światowa była kolejnym zdarzeniem dramatycznym nie tylko w skali planetarnej, ale również w odniesieniu do losów śląskiej zbiorowości regionalnej. Widocznym jej rezultatem były wysiedlenia czy używając terminu wysiedlanych — wypędzenia. Warto w tym kontekście przypomnieć, że w wyniku II wojny światowej utraciło swoje małe i duże ojczyzny około 40 milionów osób. Wysiedlenie i wypędzenia objęły około 10 proc. społeczeństwa polskiego i 20 proc. społeczeństwa niemieckiego. Z przydzielonych nam po wojnie — w zamian za Kresy Wschodnie — ziem poniemieckich, w tym głównie ze Śląska, Pomorza i Warmii, wysiedlono co najmniej 3,5 miliona Niemców. *Nie ma miejsca dla Niemców* — pisał w początkach marca 1946 roku ks. Franz Scholz, proboszcz parafii Gorlitz-Ost, przemianowanej później na Zgorzelice, a jeszcze później na Zgorzelec. *Trzeba zachować godność. Gorlitz-Ost ma teraz zupełnie polski wygląd. Nazwano go Zgorzelice, zlikwidowano zewnętrzne ślady niemieckiego miasta o sześćsetletniej historii. Pozostanie w kraju, który w zasadzie nie chce ścierpieć żadnej niemieckiej mniejszości, jest praktycznie możliwe tylko po wyparciu się niemieckości. Ale to zbyt wysoka cena. Jestem przyjacielem Polski, ale właśnie jako Niemiec, kończy Franz Scholz.*

Plemiennność regionalna została po raz wtóry poważnie naruszona, choć jednocześnie wzrosła tak eksponowana w powojennych latach jedność narodowa PRL. Zwiększyła ją jeszcze bardziej prowadzona w ramach akcji łączenia rodzin emigracja, głównie ze Śląska, Pomorza i Warmii, ludzie deklarujących nie-

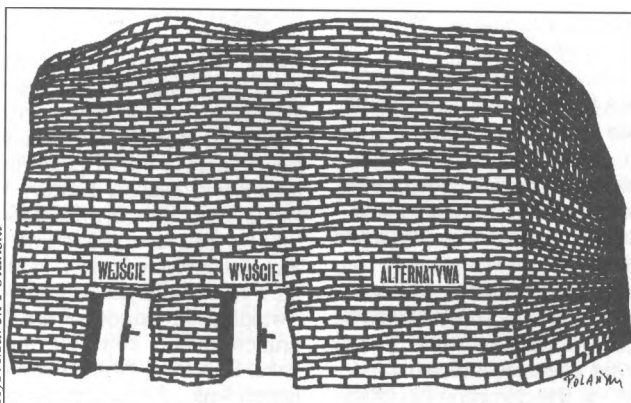
Naród pogranicza, pogranicze w narodzie?

Być może mozaikowy układ społeczny Górnego Śląska zmieni — w jakimś stopniu — decyzja Sądu Wojewódzkiego w Katowicach, który na posiedzeniu niejawnym w dniu 24 czerwca 1997 roku, zarejestrował stowarzyszenie pod nazwą *Związek Ludności Narodowości Śląskiej*. Można przyjąć — pisze Sąd w uzasadnieniu — że od wyboru osoby zależy jej narodowość, a że tubylczy Ślązacy stanowią mniejszość na Górnym Śląsku, to każdy wie, kto przebywał na tym terenie jakiś czas i kto chce dostrzec ten fakt. Zresztą organ nadzorujący, choć rozdziera szaty nad tym, że założyciele odważyli się powołać rejestrowane stowarzyszenie, faktu pozostawania w mniejszości etnicznych tubylców nie kwestionuje. Ta precedensowa decyzja Sądu wywołała bardzo liczne — często emocjonalne — dyskusje, polemiki i spory. Wzięli w nich udział zarówno zwolennicy Związku, jak i jego przeciwnicy, a kluczowym tematem debaty było istnienie, bądź nieistnienie, narodu śląskiego czy śląskiej narodowości. 10 września 1997 roku Sąd Apelacyjny rozpatrujący odwołanie od decyzji Sądu Rejestrowego, przygotowane przez Wojewodę Katowickiego Eugeniusza Ciszaka, odroczył ostateczną decyzję rejestracyjną ZLNŚ do 24 września 1997 roku, by w końcu ją uchylić. U schyłku roku 1997 jest jeszcze — jak sądzę — zbyt wcześnie, aby odpowiedzialnie oceniać skutki działania inicjatorów ZLNŚ dla losów Śląska i regionalnej konfiguracji polityczno-społecznej.

Organizatorzy ZLNŚ odwołują się do ostatniego — precedensowego — spisu powszechnego w Czechosłowacji z 3 marca 1991 roku, w którym istniała możliwość deklarowania śląskiej opcji narodowej. Z takiej możliwości skorzystało 44 556 osób czyli 0.5 proc obywateli tego kraju. Dla porównania polską opcję narodową zadeklarowały 59 383 osoby (0.6 proc.), a niemiecką 48 969 osób (0.5 proc.). Potencjalną klientelę ZLNŚ stanowią może grupa tych mieszkańców Górnego Śląska, którzy pytani o autoidentyfikację narodową eksponują raczej przynależność do ojczyzny prywatnej niżli ideologicznej (*Jo nie jest ani Polok, ani Niemiec. Jo jest Ślonzok; Jestem przede wszystkim Ślązakiem, jestem wyłącznie Ślązakiem*). *Przycumowanie do Polski* — pisał K. Kutz — *tak ważne w innych stronach kraju, na Górnym Śląsku — u ludności rodzimej — było zawsze martwe jak lekcja łaciny*. Ta ostatnia ocena znanego reżysera jest dzisiaj już nieusprawiedliwiona, albowiem grupa osób bez identyfikacji narodowej na Górnym Śląsku nie jest znaczna i nie przekracza 15 proc. zbiorowości rodzimej.

Działania ZLNŚ tłumaczy się wielorako. **Po pierwsze**, można je traktować jako wyraz niezadowolonia i frustracji z postępów procesów regionalizacji kraju i tworzenia dużych jednostek administracyjno-politycznych. **Po wtóre**, próba tworzenia nowego Związku wiąże się — zakładając szlachetne intencje działaczy — z wysiłkiem na rzecz etnicznej autoprezentacji i wzmocnienia zbiorowej asertywności Górnoszlązaków, stanowiących mniejszość w województwie katowickim. **Po trzecie**, stanowiąc też może zabieg zmierzający do politycznej autokreacji kilkunastu działaczy, zwłaszcza w kontekście przyszłych wyborów samorządowych, a nade wszystko parlamentarnych, opartych na ordynacji preferującej mniejszości narodowe. **Po czwarte**, nie należy też wykluczać w pełni indywidualnej i zbiorowej potrzeby autodefinicji narodowej i wyrażenia odrębności przez część Górnoszlązaków. Nieco pełniej intencje i zamierzenia działaczy ZLNŚ, ich ewentualne sukcesy i porażki, oceniać jednak będzie można dopiero w nadchodzących latach.

Rys. Marek Polański



Poczucie, że coś odkrywamy w humanistyce, wynika dziś tylko z naszych braków w odczytaniu, napisał R. Kapuściński w trzecim tomie *Lapidarium*. Tekst, który przedstawiłem nie zawiera odkryć socjologicznych ani nowatorskich hipotez i idei. Jest raczej próbą skromnej rekonstrukcji dziejów śląskiego pogranicza kulturowego. Pogranicza, które powoli traci swoje tradycyjne atrybuty i staje się **regionem wielokulturowym**. U podstaw tej metamorfozy leżą zapewne liczne przyczyny, a najistotniejszą spośród nich jest bez wątpienia powojenna zmiana granic i towarzysząca jej wędrówka ludów. Katowicka część Górnego Śląska oddalona jest blisko 300 kilometrów od granicy niemieckiej, typowi ludzie pogranicza kulturowego, dwujęzyczni, dwukulturowi odchodzą na zawsze ze swoich ojczyzn prywatnych i *heimatów* lub je już wcześniej opuścili. Jeszcze tylko szybkie studia i badania etnograficzne czy socjologiczne pozwolą utrwalić społeczną pamięć o tych wiekowych już dzisiaj osobach, rozsiansych w regionie, Polsce i Republice Federalnej Niemiec. Tymczasem młodzi i młodzi coraz bardziej czują się Europejczykami, a względna stabilność polityczna i gospodarcza Starego Kontynentu powoduje, że dbałość o eksponowanie tożsamości lokalnej nie jest już tak dla nich ważna. To właśnie ci mieszkańcy województwa katowickiego stają się ludźmi **transgranicznie kulturowymi**, przekraczającymi dzięki edukacji, podróżom, kulturze i umiejętnościom językowym, granice regionów, państw czy nawet kontynentów. Emanują potem wielokulturowością czy europejskością, pozostając tylko częściowo przypisanymi do ojczyzn regionalnych i *heimatów*. Zastępują powoli dominujące niegdyś na Górnym Śląsku osoby o pogranicznej tożsamości.

Województwo katowickie, częściowo wpisane w Górny Śląsk, na skutek wspomnianych już przemieszczeń ludzi, migracji za pracą, mieszkaniem i nauką staje się regionem wielokulturowym, w którym wydzielić można kilka kluczowych krain. Ilustruje je mapa przygotowana przez Marię i Jerzego Bierwaczonków na użytek miesięcznika *Śląsk* i jego Czytelników. Jej ogląd uzmysławia, że w województwie istnieje przynajmniej sześć krain kulturowych o zróżnicowanym profilu: kraina pszczyńska, bytomsko-katowicka, gliwicko-zabrska, raciborska, zagłębiowska i wreszcie jaworznicka (zob. **mapa 1**). W czterech pierwszych znaczącą rolę odgrywa nadal rodzima kultura śląska. Inny jest natomiast profil kulturowy krainy zagłębiowskiej i jaworznickiej, choć i one — podobnie jak kultura śląska — mają plebejski (robotniczy) charakter i katolicki rodowód.

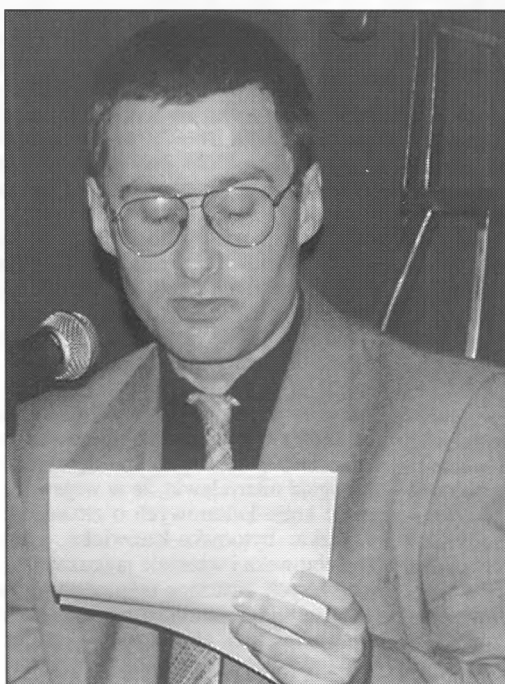
We wszystkich sześciu przypadkach ważnym czynnikiem modyfikującym istniejące systemy kulturowe był — zróżnicowany w skali poszczególnych krain — napływ ludności z pozostałych części kraju. Zróżnicowana społeczność przybyszów dysponowała — i nadal dysponuje — wyjątkowo zróżnicowanym kapitałem kulturowym i *podręcznym zasobem wiedzy*. Ważnym czynnikiem potencjalnie integrującym ją z ludnością rodzimą była zajmowana przestrzeń zamieszkania, miejsce pracy, nauki i modlitwy. Jak jednak wiadomo bliskość przestrzeni nie musi prowadzić do bliskości społecznej. W niektórych nawet przypadkach — także w warunkach śląskich — narosły trudne do przezwyciężenia bariery, mity, dystanse społeczne, utrwaliły się stereotypy i uprzedzenia, utrudniające głębszą integrację *hanysów i goroli*.

Na te zróżnicowania nakładają się również — choć w poszczególnych krainach w odmiennym stopniu — podziały o charakterze etnicznym (ludność rodzima — ludność napływowa; ludność polska — ludność deklarująca niemiecką opcję narodową lub narodowościową). W gruncie rzeczy niemal każda jednostka osadnicza wchodząca w skład regionu to niepowtarzalny ze społecznego, politycznego, kulturowego, ekonomicznego, osadniczego i ekologicznego punktu widzenia partycularz. Stanowi on ośrodek skupienia zarówno dla ludzi mieszkających tutaj od pokoleń (*hanysy*), jak i *goroli* poszukujących w niedalekiej przeszłości swoich szans życiowych i profesjonalnych na Górnym Śląsku. ■

Czy istnieje „naród śląski”?

JAROSŁAW
TOMASIEWICZ

Pewien mały niedźwiadek polarny podszedł pewnego dnia do swej mamy i pyta: „Mamo, czy ja jestem prawdziwym niedźwiadkiem polarnym?” — „Oczywiście, synku” odparła matka. — „Ja jestem prawdziwą niedźwiedzicą polarną, twój tata jest prawdziwym niedźwiedziem polarnym, więc i ty nie możesz być nikim innym”. Niedźwiadek zwrócił się z tym samym pytaniem do ojca, potem też do babci i dziadka, od wszystkich otrzymywał taką samą odpowiedź. W końcu wybuchnął: „To ja w takim razie nie wiem, dlaczego jest mi tu tak zimno!”



Jarosław Tomasiewicz

Z problemem „narodowości śląskiej” jest trochę podobnie, jak z tym niedźwiadkiem: obiektywne warunki zdawałyby się wskazywać, że żadnego narodu śląskiego nie ma, a jednak dla części Ślązaków jest to jedyne wytłumaczenie ich odrębności. Problem „narodu śląskiego” znakomicie ilustruje więc wieloznaczność pojęcia „naród” oraz pułapki, jakie stawia na nas „nacijocentryzm”, czyli widzenie świata wyłącznie przez pryzmat narodu.

I.

By odpowiedzieć na pytanie, czy Ślązacy są narodem musimy najpierw zastanowić się co to znaczy naród?

Od Wiosny Ludów ugruntowało się w Europie przekonanie, że ludzkość składa się z narodów. Joseph de Maistre posunął się do stwierdzenia: „Widziałem w życiu Francuzów, Włochów i Rosjan... jednak co do człowieka, to oświadczam, że go nigdy nie spotkał...”? Tymczasem naród to wynalazek europejski! W Czarnej Afryce podstawową formą organizacji społecznej jest plemię, co w ponury sposób unaocznia tragedia Krainy Wielkich Jezior: mówiące jednym językiem ludy Tutsi i Hutu żyjąc tam wspólnie od XIV w. nie stopiły się w jeden naród. W Azji na czoło wysuwa się więź religijna — w 1947 r. jednolita etnicznie Bengalia została podzielona według kryterium wyznaczonego między Indie i Pakistan.

Naród nie jest też zbiorowością odwieczną, choć znakomity mediewista Benedykt Zientara widzi początki świadomości narodowej już w mrokach wczesnego średniowiecza. Mamy wówczas jednak raczej do czynienia z przejawami świadomości państwowej: „naród szlachecki” w Rzeczypospolitej Oboj-

ga Narodów obejmował wszystkich herbowych bez różnicy języka czy wyznania.

Pojęcie „naród” w nowoczesnym jego rozumieniu pojawiło się w czasie Rewolucji Francuskiej, kiedy słowem tym zaczęto określać polityczną wspólnotę obywateli tworzących państwo. Sieyès pisał: „Naród jest stowarzyszeniem współników żyjących pod jednym prawem i reprezentowanych przez jedno ustawodawstwo”. W tym znaczeniu słowo „naród” używane jest w Europie Zachodniej, takie rozumienie terminu uniemożliwia jednak uznanie za naród Polaków w XIX stuleciu czy Kurdów współcześnie. W dobie Romantyzmu narodem zaczyna nazywać się także kulturową wspólnotę ludzi połączonych jednym językiem, kulturą, „duchem” — wedle słów de Maistre’a „Narody mają swoją duszę i prawdziwą moralną jedność, która czyni je tym, kim są. Jedność ta wypowiada się przede wszystkim w języku”, w świetle tej definicji narodem nie są jednak mówiący czterema językami Szwajcarzy; nie wiadomo też dlaczego używający tego samego języka Serbowie, Chorwaci i Bośniacy nie chcą być jednym narodem. Pozytywizm odświeża jeszcze inną interpretację terminu „naród” — naród ma być wspólnotą biologiczną, łączącą ludzi tej samej „krwi” i rasy, wywodzących się od wspólnych przodków. Francuski antropolog Vacher de Lapouge powiedział: „Nie wchodzi się do rodziny czy narodu na mocy postanowienia. Całe życie człowiek nosi w żyłach krew, z którą przyszedł na świat. Rasa przytacza jednostkę... Cóż jednak poczęlibyśmy my, Polacy bez Jana Matejki, Fryderyka Chopina, Wincentego Pola, Adama Mickiewicza wreszcie?”

Może więc rację ma Ernest Gellner piszący w swej książce „Narody i nacjonalizm”: „Dwie osoby należą do jednego narodu jeżeli — i tylko jeżeli — uważają, że należą do tego samego narodu”. Gellner stwierdza autorytatywnie, że to „Nacjonalizm stwarza narody, a nie na odwrót”.

Ale to chyba nie takie proste. Realistyczna teoria narodu powinna uwzględniać zarówno czynnik subiektywny (świadomość narodowa), jak i obiektywny (warunki umożliwiające powstanie owej świadomości). Do stworzenia narodu bynajmniej nie wystarczy tylko oświadczenie woli.

Nie wystarczy, że ja sam uznaję się za członka jakiejś grupy — także inni muszą mnie za takiego uznać (boleśnie doświadczyli tego chociażby emigranci ze Śląska, w Niemczech uznawani za „Wasserpolacken”).

Rozpatrując proces etnogenezy wyjść trzeba od społeczeństwa, które zamieszkując wspólne terytorium wytwarza w procesie wymiany dóbr i usług wspólną kulturę (a więc — na ogół — i język niezbędny dla komunikowania się). Gdy taka grupa uświadomi sobie wspólnotę łączących ją interesów oraz odrębność własnej kultury — staje się narodem. Józef Chlebowczyk w swej pracy „O prawie do bytu małych i młodych narodów” zauważa, że czasem taka samoświadoma grupa zaczyna dopominać się o własne państwo, innym znów razem to państwo pomaga stworzyć świadomość narodową.

W każdym bądź razie najważniejszym elementem konstytuującym naród jest ŚWIADOMOŚĆ NARODOWA. Bez niej grupa etniczna pozostaje co najwyżej „narodem potencjalnym”. Natomiast siła świadomości narodowej pozwala narodowi przetrwać nawet w rozproszeniu, nawet wtedy, gdy (jak Żydzi) zatracił swoje terytorium, język, państwowość.

Zalążki śląskiej świadomości etnicznej dają się zauważyć. Jak wynika z badań przeprowadzonych w 1996 r. przez Towarzystwo Zachęty Kultury w Katowicach za Ślązaków uważa się jedną trzecią mieszkańców, przy czym 12,5 procenta to Ślązacy bez identyfikacji narodowej polskiej czy niemieckiej. Samoidentyfikacja jest jednak wprawdzie koniecznym, ale niewystarczającym warunkiem przynależności do narodu. Świadomość narodowa nie bierze się znikąd — rodzi się na gruncie realnej kultury i obiektywnie istniejącego społeczeństwa. Podstawą tworzenia narodu nie może być identyfikacja negatywna: „Nie czuję się ani Polakiem, ani Niemcem”. Po-

Foto: Andrzej Pawłowicz

dobnie deklaruje się przecież chociażby młodzież silnie związana z różnymi subkulturami. By naród zaistniał, jego członkowie muszą mieć się z czym identyfikować: z językiem, kulturą, przeszłością historyczną, wspólnym dążeniem do samostanowienia.

II.

Zastanówmy się wobec tego, czy na Śląsku zaistniały wspomniane powyżej obiektywne warunki („elementy konstytutywne”) powstania narodu. Przyjrzyjmy się bliżej złożonemu problemowi śląskości.

Kwestia tożsamości śląskiej to klasyczny przykład problemu pogranicza z jego dwoistością, czy wręcz pewnym rozdwójeniem zbiorowej jaźni. O duszę Ślązaka od niepamiętnych czasów rywalizują obce potęgi. Od średniowiecza Śląsk był miejscem, w którym ścierały się wpływy polskie, czeskie i niemieckie. Ta etnicznie polska ziemia ulegała wpływowi niemieckiej kultury i kolonizowana była intensywnie przez osadników z Rzeszy. Pograniczna kraina przechodziła stale z rąk czeskich w polskie i odwrotnie: do państwa Polan została przyłączona dopiero w 990 r., na początku XIV w. Jan Luksemburski włącza Śląsk w obręb krajów Korony Św. Wacława, w 1745 r. większość dzielnicy wcielona zostaje do Prus. Pozostawanie poza granicami Rzeczypospolitej wymusza izolację polskojęzycznych Ślązaków od głównego nurtu polskiego życia. Obowiązująca wówczas feudalna teoria „narodu” widziała go jako ogół poddanych monarchy. Polskojęzyczny Ślązak był więc w mniejszym stopniu „Polakiem” niż ruski szlachcic znad Dniepru.

XIX-wieczni obserwatorzy zauważali dwoistość śląskiej tożsamości: „język polski, ale serce pruskie”, powiadali. Dziennikarz Józef Łepkowski podkreślał śląskie poczucie odrębności i określał Ślązaków jako masę etniczną surową, choć podatną na polskie wpływy. Jeszcze większe były jednak wpływy niemieckie. Germanizacja elit sprawiła, że rodzima kultura była kulturą wyłącznie plebejską, wszelki awans społeczny wiązał się z przyjmowaniem wyższej kultury niemieckiej. Etnograf Lucjan Malinowski zauważał: „*od chwili, kiedy Ślązak zamieni ojcowską kamizelkę na cywilizacyjny surdut, przestaje mówić po polsku...*” Poczucie niższości cywilizacyjnej słowiańszczyzny i wynikająca zeń fascynacja kulturą niemiecką to niezwykły istotny moment w rozważaniach nad tożsamością śląską! Odrębność etniczną Ślązaków wyjaśniała teoria „wasserpolnisch”. Terminu tego po raz pierwszy użył w XVII w. proboszcz kluczborski Adam Gdacjusz, w XIX w. powszechnie nazywano tak słowiańską ludność Śląska i jej gwary. Wedle owej teorii nie miał to być dialekt języka polskiego, ale mieszanina różnych języków — polskiego, czeskiego, łużyckiego i dominującego niemieckiego. Zupełnie realną była możliwość asymilacji Ślązaków w obrębie państwa pruskiego — zachowując swój język i zwyczaje staliby się zarazem stuprocentowymi Prusakami (a później Niemcami). Podobna sytuacja ma miejsce np. w Alzacji i Lotaryngii, których niemieckojęzyczni mieszkańcy pozostają lojalnymi Francuzami, czy w Belgii, gdzie organizacja niemieckiej mniejszości nosi nazwę Partii Niemieckojęzycznych Belgów. Tak się jednak nie stało...

Paradoksalnie, właśnie zabory przyczyniły się do obudzenia świadomości polskości Śląska — teraz w jednym organizmie państwowym z nim znalazła się Wielkopolska i Pomorze. Współbrzmie z tym nowa teoria narodu: już w Oświeceniu naród zaczęto rozumieć jako „*zgrupowanie ludzi mających jeden język, zwyczaje i obyczaje*”; Romantyzm umocnił tę koncepcję. Nic więc dziwnego, że Hugo Kołłątaj postuluje przyłączenie Śląska do Ks. Warszawskiego, że manifest Towarzystwa Demokratycznego Polskiego mówi o Polsce „*od Odry do Karpat*”. Nowa idea napotyka jednak na opory, zwłaszcza konserwatyści („Kurier Poznański”, krakowski „Czas”, petersburski „Kraj”) przeciwni są zajmowaniu się Śląskiem. Pisma takie jak „Kurier Poznański”, „Orędownik” i „Katolik” występują przeciw przyłączeniu się postów śląskich do Koła Polskiego w parlamencie Rzeszy. Hr. Stanisław Tarnowski odmówił przyjęcia od Górnoślązaków daru — popiersia Jagiełły wyrzeźbionego w bryle węgla — z okazji 500-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego. Michał Bobrzyński odcina się od polskiego zaangażowania na Śląsku jeszcze w 1904 r.! Uproszcze-

niem jednak byłoby traktowanie takich zachowań tylko w kategoriach serwilizmu wobec zaborcy. Za tą postawą stało odmienne od etnicznego, państwowe rozumienie narodu, przyjmujące geopolityczną formę „idei jagiellońskiej”.

Polska świadomość narodowa na Śląsku umacnia się jednak mimo przeciwności. Wpływa na to nie tylko działalność krzewicieli polskości takich jak Miarka czy Stalmach, ale przede wszystkim czynniki obiektywne. Pierwszym z nich był zogniający się antagonizm społeczny — na Śląsku podziały etnicznie nakładały się na klasowe, wzajemnie się stymulując. Przede wszystkim jednak to Bismarckowska polityka Kulturkampfu wymusza wyraźne samookreślenie się narodowe. Ślązacy wciśnięci są między dwie żywotne kultury, na scenie dziejów mogły pozostać tylko narody historyczne. Na przełomie wieków warszawska „Prawda” oceniała, że polska świadomość narodowa jest udziałem 20 procent Górnoślązaków.

Większość pozostawała jednak indyferentna narodowościowo. Polski działacz narodowy Wojciech Szukiewicz pisał: „*Wieki oderwania sprawiły, że lud polski Górnego Śląska nie miał żadnego poczucia narodowego. Polakiem się nie czuł, Niemcem nie był, więc uważał się za Górnoślązaka*”. Interesy tej polskojęzycznej ludności wyrażało wydawane przez Adama Napieralskiego pismo „Katolik”, które jednak ściśle związane było z niemiecką partią katolicką Centrum. Poseł tej partii ks. Glowatzky deklarował: „*Nie ma Polaków między nami, a tylko po polsku mówiący Górnoślązacy*”. Przez polskich działaczy narodowych polityka Centrum oceniana była nieraz jako „miękką germanizacją” i zamaskowany niemiecki nacjonalizm. Uprawnione jednak wydaje się przypuszczenie, że ta katolicka partia usiłowała budować polityczną wspólnotę w poprzek podziałów narodowych, stawiając solidarność wyznaniową ponad więzią etniczną.

Na Śląsku Cieszyńskim poczucie odrębności regionalnej wyraża utworzona w 1909 r. przez Józefa Koźdonia Śląska Partia Ludowa. W ideologii tego ruchu zauważamy zarówno postfeudalną „świadomość państwową” (lojalność wobec dynastii habsburskiej), jak i wątek religijny — „ślązakowcy” rekrutują się głównie spośród ewangelików. ŚPL wykorzystuje jednak przede wszystkim starą, sięgającą średniowiecza świadomość dzielnicową, ożywioną przez ekonomiczny i kulturowy antagonizm między autochtonami a napływową ludnością polską z Galicji. Separatyści przyznają, że Ślązacy to ludność polskiego języka i pochodzenia, ale kulturowo i politycznie bliższa ma być ona Niemcom. Koźdoń kwestionuje dogmat ówczesnego nacjonalizmu, jakoby więź językowa miała decydować o wspólnotie narodowej. Zwróćmy tu uwagę na pewną analogię: niewiele wcześniej podobny spór rozgorzał między Niemcami i Francuzami na temat ludności Alzacji. Fustel de Coulanges pisał wówczas: „*Tym co wyróżnia narody nie jest ani rasa, ani język. Ludzie czują w sercu, że są jednym narodem, gdy łączy ich wspólnota myśli, interesów, uczuć, wspomnień i nadziei...*” Śląska Partia Ludowa podkreślała przy tym przede wszystkim ekonomiczne i cywilizacyjne korzyści płynące ze związku z niemiecką. Na uwagę zasługuje fakt, że Koźdoń nie myślał o tworzeniu odrębnego „narodu śląskiego” — dzielnicowa odrębność miała być tylko etapem do całkowitej germanizacji!

Rzeczpospolita Polska uszanowała odrębność Górnego Śląska, nadając 15 lipca 1920 r. Województwu Śląskiemu tzw. statut organiczny, gwarantujący mu szeroką autonomię. Przyłączenie Śląska do Polski nie przyniosło jednak Ślązacom spodziewanego awansu materialnego i społecznego. Nawet w okresie prosperity bardzo dotkliwym było bezrobocie, nieliczna rodzima inteligencja boleśnie odczuwała konkurencję przybywającej Brynicy, wiele konfliktów powodował brak zrozumienia dla regionalnej odrębności i niezręczna polityka polonizacyjna. Korespondent Stanisława Bęty pisał w czasie recesji lat 1925-1926: „*Dziś wiarę w Polskę tracą nawet ci nieliczni, którzy bez wszelkich wyrachowań dążyli do zjednoczenia z nami*”.

Następuje bolesne zderzenie ethosu szlacheckiego (traktowanego przez napływową inteligencję i czynniki państwowe jako kwintesencja polskości) z plebejską kulturą autochtonów. Jeden z rozczarowanych Ślązaków mówił: „*Są i tacy przybysze, którzy wstydzą się nas. Wtykają naszą śląską mowę. To więcej szkodzi zbliżeniu tej dziedziny z resztą polski niż lata niemieckiej niewoli*”. Polacy z Galicji i Kongresówki okazują się nie mniej (a chyba nawet bardziej) obcy,

niż urzędnicy z Berlina. Aktywista piłsudczykowski Związku Związków Zawodowych Jan Nowak wspominał słowa, jakimi jeden z urzędników zwrócił się do bezrobotnego, byłego powstańca: „*Kto was o to prosił żebyście szedł na powstanie*”. Rzeczpospolita okazuje się niewdzięczną macochą, traci szansę trwałego pozyskania Ślązaków dla polskości.

Nic dziwnego, że w tych warunkach narastają nastroje ksenofobiczne. Na Górnym Śląsku śpiewa się na melodię pieśni kościelnej: „*Boże coś na nas zesłał tyle biedy, na Śląsk się pchają gorole i żydy*.” Na Śląsku Cieszyńskim nawet socjaliści domagają się zamknięcia śląskiego rynku pracy dla przybyszy z innych województw. Narasta problem tzw. „chacharów”. Tym peroratywnym mianem określano tu ludność o niskim statusie społecznym i nieokreślonej świadomości etnicznej, która w okresie kryzysu zmienia przynależność narodową z przyczyn ekonomicznych. Rychło odradza się ruch autonomiczny, który jednak — wobec postępującej polaryzacji narodowościowej — traci na znaczeniu w latach 30.

Okupacja hitlerowska pogłębiła zamęt w stosunkach narodowościowych na Górnym Śląsku, po raz pierwszy oficjalnie dekretnie istnienie tutaj narodowości „śląskiej”. Część mieszkańców Śląska skorzystała z tej możliwości — w powiecie bielskim uczyniło tak 30.451 ludzi (wobec 148 tysięcy deklarujących się jako Polacy i 44 tysięcy Niemców). Hasła regionalistyczne (np. zagwarantowanie stanowisk w przemyśle i administracji dla Ślązaków) dawało się też słyszeć w niektórych formacjach niepodległościowego podziemia takich jak Zjednoczone Organizacje Śląskie.

Wyzwolenie w 1945 r. okazało się dla Ślązaków kolejną, bodaj najcięższą próbą. Armia Czerwona traktowała Górny Śląsk jako terytorium wroga dopuszczając się tutaj mordów, gwałtów i rabunków. Krzysztof Karwat w książce „*Ten przeklęty Śląsk*” opisuje masakry ludności cywilnej takie jak ta w Boguszycach, wywiezienie w głąb ZSRR do pracy przymusowej 25 tysięcy śląskich górników, ciesząc się ponurą sławą obóz w Świętochłowicach-Zgodzie, gdzie zginęło 1600 osób. Autonomia Śląska (połączonego z Zagłębiem Dąbrowskim) została zniesiona już 6 maja 1945 r. Stanowiska kierownicze w województwie śląsko-dąbrowskim zajęli głównie przybysze z „Czerwonego Zagłębia”, spychając Ślązaków na margines życia publicznego. Ludność autochtoniczna została poddana upokarzającej repolonizacji (komuniści programowo dążyli do stworzenia homogenicznego społeczeństwa — nie tylko bezklasowego, ale i jednolitego etnicznie). Gospodarcza eksploatacja regionu przyjmuje półkolonialne formy. Polska po raz drugi straciła swą szansę.

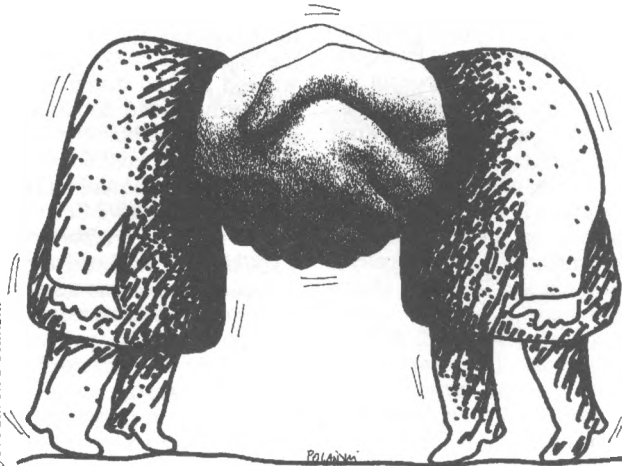
III.

Historia dała Ślązakom aż nadto powodów odczuwania swej odrębności. Czy jednak trudne dzieje tego regionu wystarczają, by Ślązaków uznać za naród? Trudno na to pytanie dać jednoznaczną odpowiedź, skoro tak wielkie rozbieżności istnieją w sposobie rozumienia pojęcia „naród”. W dodatku naród istnieje w dużej mierze subiektywnie, w sercach ludzi, i nawet najbardziej autorytatywna opinia naukowca niewiele może tu zmienić.

Wydaje się jednak, że brak jest elementów pozwalających Ślązakom ukonstytuować się w naród.

Ślązacy posiadają niewątpliwie własną tożsamość kulturową, ale jest to kultura w formie zalążkowej. Ceniąc folklor śląski i twórczość artystów wywodzących się z tego regionu trudno jednak mówić o stworzeniu przez Ślązaków odrębnej kultury porównywalnej z polską, czeską czy niemiecką. Nie ma nawet literackiej formy dialektu śląskiego. Nie istnieją historyczne tradycje śląskiej państwowości — trudno za takowe uznać XIII-wieczną monarchię Henryków Śląskich. Górny Śląsk nie jest w stanie

Rys. Marek Polański



zaistnieć jako samodzielny organizm z powodów ekonomicznych; przemysł ciężki i wydobywczy, niegdyś motor postępu, dziś jest kulą w nogi.

Skoro więc nie narodem — czymże wobec tego są Ślązacy? Myślę, że najbliższe prawdy będzie określenie ich za Chlebowczykiem mianem grupy etniczno-językowej (czasem zwanej też narodowścią), czyli zbiorowości obdarzonej własną kulturą, ale nie mającej warunków do przekształcenia się w naród. Wbrew „nacjocentrycznym” stereotypom grupy tego rodzaju nie są żadną anomalią; podobny charakter mają np. bliskie nam geograficznie społeczności Kaszubów (ich język bardziej różni się od polskiego niż słowacki!), Łemków-Rusinów, Poleszuków czy Łużyczan.

Narodowości te można by obdarzyć mianem „narodu w formie embrionalnej” lub raczej „narodu karłowatego”. Te grupy etniczne we właściwym czasie nie rozwinęły się w narody historyczne i chyba bezpowrotnie straciły swoją szansę na to. Chyba — gdyż widzimy rodzenie się quasi-narodowej świadomości „padańskiej” u części mieszkańców północnych Włoch.

IV.

W odróżnieniu jednak od ligi Umberto Bossiego szansa grup takich jak Ślązacy tkwi nie w działaniach politycznych, lecz w odrodzeniu i rozwijaniu własnej kultury. Śląscy patrioci powinni więc raczej skodyfikować dialekt śląski i popularyzować go poprzez media, dbać o zachowanie dawnych obyczajów, organizować przeglądy folklorystyczne i konkursy literackie. Tymczasem poczynaniom „Ojców-Założycieli” nowego narodu przyświeca naiwna wiara w możliwość dekretności rzeczywiście — „oto zarejestrujemy się jako stowarzyszenie, i wtedy będziemy narodem!”

Liderom „narodu śląskiego” chciałbym zwrócić uwagę na jeszcze jedną konsekwencję upolitycznienia tego problemu: uznanie Ślązaków za wspólnotę raczej prawno-polityczną niż kulturową w połączeniu z zasadą swobodnej opcji narodowej grozi Ślązakom rozmyciem ich tożsamości. Jeśli się okaże, że do Związku Ludności Narodowści Śląskiej zaczną masowo napływać np. przybysze z Kieleckiego, to co uczynią wówczas rodowici Ślązacy dla zachowania swej odrębności?

Powinniśmy uszanować poczucie odrębności Ślązaków i ich prawo do swej „małej ojczyzny”. Wydaje mi się jednak, że błędem jest dążenie ZLNS do naśladowania narodów politycznych, próba powtórzenia drogi jaką przeszły one od „*Heimatlandu*” do „*Vaterlandu*”. Nie jest realnym, by w końcu XX wieku w środku Europy było miejsce na jeszcze jeden naród. Ślązacy jako wspólnota regionalna mogą być zarówno Polakami, jak Czechami czy Niemcami, tworząc pomost dla przenikania się kultur. Ślązacy jako „naród” nie będą ani Polakami, ani Czechami, ani Niemcami. W tym ujęciu tożsamość śląska i polska będą się wykluczały. Tymczasem moim zdaniem tożsamość regionalna, narodowa i europejska powinny się wzajemnie ubogacać.

Uznanie „narodu śląskiego” nie wydaje się pozytywne także z punktu widzenia interesów ogólnonarodowych. Nawet tu na Śląsku problem ten budzi kontrowersje, zdaniem wielu mieszkańców tego regionu żaden odrębny naród nie istnieje

tutaj. Przeciwnemu Polakowi idea, że Ślązacy stanowią odrębny naród, tym bardziej musi wydawać się absurdalna. Choć zdajemy sobie sprawę z odmienności śląskiej gwary czy zwyczajów, to śląskie krupnioki nie są uważane za podstawę do secesji większą niż, powiedzmy, góralskie parzenie. W pozostałej części Polski uznanie narodu śląskiego byłoby odebrane jako przyzwolenie dla nieskrepowanego „narodotwórstwa”, dowolnego kreowania „narodów” takich jak łowicki czy kurpiowski.

Górny Śląsk

KRZYSZTOF
KARWAT

— kłopoty z tożsamością

Świadomie dolewam kropelkę oliwy do ognia, wzniecone go przez kilku bystrych młodych ludzi ze Śląskiego Związku Akademickiego, by pokazać mechanizm kreowania „natio silesia”. Wystarczyło przyssać się do tak trudnego do zdefiniowania i rozciągliwego pojęcia, jakim jest „naród”, by osiągnąć planowane cele. Wystarczyło pożonglować cytatami, kilkoma datami z dziejów Śląska, kilkoma historycznymi nazwiskami, by zasiać ziarno, które od razu urodzajnie wzeszło. Akuszerami nowej nacji stały się najpierw lokalne, a później ogólnopolskie media. Temat był i jest zbyt intrygujący, aby można było go zignorować i nie próbować nim zainteresować złażnionego sensacji czytelnika czy widza, choć początki wcale nie zapowiadały aż takiego szumu.

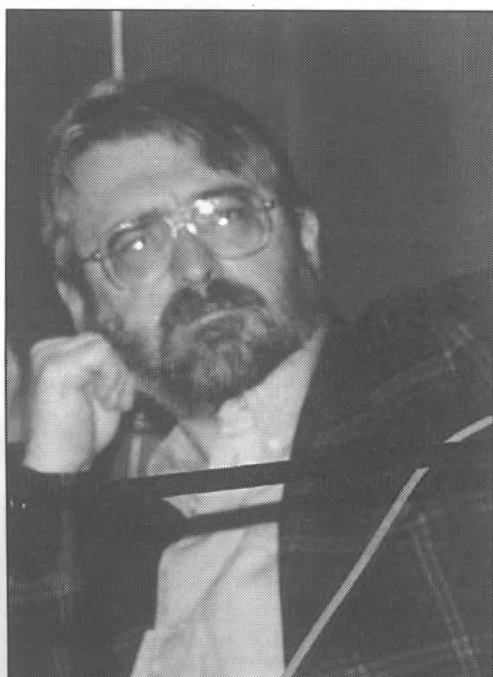
„Żaden naród sąsiadujący z Królestwem Polskim — pisał w połowie XV wieku Jan Długosz — nie jest bardziej zawistny i wrogi Polakom od Ślązaków”. Oto hasło, które działacze Związku Ludności Narodowości Śląskiej mogliby wprowadzić na swoje sztandary, zapewne jednak wcześniej tak odwracając ostatnie słowa, by zatrzeć sugerowany antypolonizm Ślązaków a przywołać antyśląskość Polaków. Poza tym wszystko się właściwie cudownie zgadza: słynny średniowieczny kronikarz *expressis verbis* potwierdza nie tylko narodową odrębność Polaków i Ślązaków, ale i głęboką niechęć, która ich od siebie odpycha. Czyż trzeba lepszych argumentów i większych autorytetów, by zaświadczyć fakt istnienia nowej (starej?) nacji?

przyciągała, bo mimo niewątpliwego wsparcia społecznego, wynikającego z atrakcyjnych haseł, nawołujących do głębokiej i radykalnej decentralizacji kraju, była i jest na marginesie życia politycznego regionu. Rybniccy działacze RAŚL. już wcześniej wielokrotnie pokazali, że nie potrafią zamienić szczerego skądinąd dążenia do upodmiotowienia społeczeństwa śląskiego w skuteczne działania polityczne, które wszystkich nas zbliżyłyby do tego celu. Stanowią oni środowisko pozbawione elit i osobowości, które mogłyby odcisnąć wyraziste piętno na życiu regionu. To szlachetni amatorzy, którzy — tak to wolno ująć — w czasie wolnym od pracy chcą zbawić Górny Śląsk. Kiedy jednak przychodzi czas politycznych prób i przesileni popełniają dziecinne błędy, idąc na przykład — jak cztery lata temu — samodzielnie do wyborów parlamentarnych, jakby w ogóle nie mając świadomości, że dla każdego stowarzyszenia 5-procentowy próg wyborczy jest stanowczo za wysoki.

Po oczywistej klęsce, RAŚL. zdawał się tęsknie spoglądać w stronę SLD, też nie umiając rozdzielić tego, co w ustach postkomunistów jest pustą retoryką prosamorządową, a tym, jakie są przekonania „starych, tradycyjnych Ślązaków” — owego rzeczywistego zaplecza wyborczego RAŚL., zdecydowanie przecież katolickiego. Także do głębszej współpracy dojść nie mogło, lecz przecież oddaleni od ośrodków władzy i od me-

Wychodzenie z cienia anonimowości

Na konferencję prasową, zorganizowaną w styczniu ubiegłego roku, na której ogłoszono programowy mariaż Śląskiego Związku Akademickiego i Ruchu Autonomii Śląska, przysłała ledwie garstka osób. Większość miejscowych gazet nie zauważyła tego faktu. Regionalne radiostacje i telewizje milczały. I nie było w tym nic nadzwyczajnego. Pierwsza z organizacji pozostawała właściwie szerzej nieznaną, druga, choć swego czasu wiele o niej pisano z uwagi na konfliktogenne i skłaniające do polemik słowo: „autonomia” — też większej uwagi już nie



Krzysztof Karwat

Foto: Andrzej Pawłowicz

diów rybniczanie podczas ostatniej kampanii przedwyborczej zaskoczyli już chyba samych siebie, tworząc blok z Unią Polityki Realnej. Bardziej egzotycznej koalicji już wymyślić nie można było. Skutki były z góry do przewidzenia, tak jak do przewidzenia była porażka w wyborach do Senatu, skoro RAŚL wpisał na katowicką listę kandydatów aż trzech swoich liderów. To jasne, że jeden drugiemu odbierał głosy.

Piszę o tym tak szczegółowo, bo te niepowodzenia wyborcze — zawsze przy relatywnie wysokiej ilości głosów — musiały wywołać jakiś rodzaj frustracji i sprawić, że już wcześniej popróbowano zmiany taktyki. W tym właśnie czasie pojawili się na scenie chłopcy ze Śląskiego Związku Akademickiego, inteligentni i — co ważne — zaprawieni już w różnych polityczno-ulicznych bojach, sprawdzeni w NZS-owskich strajkach, happeningach Ligi Republikańskiej tudzież w działaniach innych radykalnie antykomunistycznych środowisk, takich jak partia Kornela Morawieckiego czy Ruch „Wolność i Pokój”. Ich lider podczas 1. majowego pochodu wstąpił się gestem wręczenia szefowi katowickiej SdRP czerwonego buraka. Stracił wtedy wprawdzie okulary, bo posłowi nerwy puściły, lecz już nie był anonimowy. Kiedy zaś wymyślił ideę odrodzenia (urodzenia?) narodu śląskiego, pozostało mu już tylko rozglądać się za ludźmi, którzy pomogliby mu wyjść na powierzchnię. Ruch Autonomii Śląska, z rozbudowanymi strukturami, z jakimś tam aparatem i zapleczem organizacyjnym, nadawał się do tego celu znakomicie. Zresztą sam też potrzebował świeżej krwi. Jedni więc dali „bazę”, drudzy — „nadbudowę”. RAŚL uzyskał zaplecze intelektualne, Śląski Związek Akademicki — społeczną podstawę bytu, tym razem już stricte politycznego. Obie organizacje mogły już wtedy, przypomnę: w styczniu 1997 roku, zadeklarować, że „podejmą wspólne działania na rzecz uznania przez Rzeczpospolitą Polską narodowości śląskiej oraz respektowania przez nią w praktyce prawa ludności do rzetelnej informacji i swobodnego deklarowania narodowości”. Jako się rzekło, te zapisy programowe długo nie docierały do opinii publicznej. Logika wydarzeń przesunęła zainteresowanie społeczne na te miesiące i dni, kiedy to projektowany Związek Ludności Narodowości Śląskiej miał być zarejestrowany w katowickim Sądzie Wojewódzkim.

Polityczne motywy

Z biegiem okoliczności sprawił, że rozprawy rejestracyjne, zrazu odkładane, spotkały się w czasie z uroczystościami 75-lecia przyłączenia wschodniej części Górnego Śląska do Polski, których rangę podnieść miała choćby tylko obecność prezydenta Kwaśniewskiego w Katowicach, w tych dniach wręczającego wnukowi Wojciecha Korfatego insygnia Orderu Orła Białego. Ten kontekst musiał wydać się kłopotliwy Urzędowi Wojewódzkiemu i samemu wojewodzie, który podjął zdecydowane działania, mające na celu niedopuszczenie do rejestracji.

Stało się inaczej. Sąd Wojewódzki nowe stowarzyszenie zarejestrował. I dopiero wtedy wybuchła prawdziwa wrzawa. Pojawiły się najróżniejsze spekulacje i zasadnicze pytania. Oto bowiem powstała niebywale paradoksalna sytuacja: podpisem jednego prawnika nie tyle zalegalizowano nowe stowarzyszenie, co usankcjonowano istnienie śląskiej narodowości. Niezależnie od tego, czy ktoś wierzy, że taki naród istnieje bądź nie wierzy, sama świadomość, że powołuje się go w jakiejś salce sądowej, jest paralizująca i — co tu kryć — dziwaczna. Takie jednak były prawno-polityczne konsekwencje

tego aktu. W tym momencie nowa organizacja mogła korzystać z wszelkich przywilejów, gwarantowanych wszystkim mniejszościom narodowym żyjącym w granicach Rzeczypospolitej, w tym także przywileju ominięcia 5-procentowego progu wyborczego. Wprawdzie do wrześnieowych wyborów było już za mało czasu, by zbudować listy wyborcze, tym bardziej że wojewoda katowicki natychmiast założył apelację, to przecież kalendarze polityczne mają swój mniej lub bardziej regularny rytm, zaś młodzi działacze ze Śląskiego Związku Akademickiego — dużo czasu i cierpliwości.

Nie ulega bowiem najmniejszej wątpliwości, że stowarzyszenie powołano dla doraźnych celów politycznych, wyborczych. Żaden z działaczy Związku Ludności Narodowości Śląskiej, rzecz jasna, nigdy się do tego publicznie nie przyznał. „Naszym głównym celem — czytamy w deklaracji programowej z 19 lipca 1997 roku — jest ochrona własnej tożsamości. Będziemy stanowczo przeciwstawiać się wszelkim próbom asymilacji wbrew naszej woli. Równocześnie jednak, pozostając wiernymi śląskiej tradycji otwartości, deklarujemy gotowość współpracy z wszystkimi grupami narodowymi i etnicznymi mieszkającymi na Śląsku w celu wszechstronnego rozwoju tej ziemi. Razem z ugrupowaniami regionalistycznymi i mniejszościowymi będziemy lansować model społeczeństwa różnicowanego pod względem narodowym, kulturowym i językowym, społeczeństwa, którego zwornikiem są wspólne prawa i swobody obywatelskie. W państwie chcemy widzieć gwaranta tych praw, a nie biurokratyczną machinę dławiącą jednostki. Zapowiadamy stanowczą walkę z wszystkimi formami kolektywizmu i centralizmu. Zjawiska te prowadzą nie tylko do dyskryminacji ludzi i całych regionów, ale także stanowią realne zagrożenie dla państwa, wywołując sprzeciw obywateli. Tylko władza w państwie scentralizowanym, władza o nieczystym sumieniu i brudnych rękach, musi obawiać się separatyzmu, gdyż sama go prowokuje”.

Przytaczam tak obszerny fragment tego dokumentu, by jeszcze raz podbudować swą tezę, że nie mamy do czynienia z ludźmi niemądrymi, szalonymi czy też inspirowanymi przez zagraniczne ośrodki polityczne (pojawiające się insynuacje, że całą tę akcję przygotowano w Niemczech, należy, moim zdaniem, zdecydowanie odrzucić). Zapewniam, że i inne deklaracje Związku brzmią równie stanowczo i po „europejsku”. Pod niejednym zdaniem chciałoby się samemu podpisać, i to obiema rękami. Szkopuł tylko w tym, że narodu śląskiego jako realnego bytu jak nie było, tak nie ma. Z takiego punktu widzenia drugorzędne jest, że Sąd Apelacyjny przychylił się do protestu wojewody katowickiego i unieważnił wcześniejszy wydykt. Także w Sądzie Najwyższym ani nawet przed strasburskim Europejskim Trybunałem Praw Człowieka, gdzie zamierzają dotrzeć ojcowie chrzestni narodu śląskiego, niepodobna urodzić Ślązaków jako nację, choć — rzecz jasna — każdy wyrok przychylny dla grupy katowickich i rybnickich działaczy będzie miał trudne do przewidzenia konsekwencje polityczne.

Ucieczka w śląskość

O ileż ważniejsze od stwierdzenia, że kilka osób ze śląską metryką urodzenia wykazało w tych miesiącach zaiste zdumiewający spryt i intuicję polityczną, jest wcześniejsza konstatacja, iż pomysł założenia Związku Ludności Narodowości Śląskiej — mimo wielu protestów, głosów jednoznacznej dezaprobaty i oburzenia — padł na podatny grunt i od razu zakiełkował. Kłopoty z rejestracją — a tak to bywa, gdy w grę

wchodzą wysokonakładowe mass media — tylko wzmogły zainteresowanie ideą i przysporzyły jej wcale licznych zwolenników. Próba odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak się stało, dlaczego tak się stać mogło, jest zadaniem pasjonującym, pozwalającym rzucić ostre światło na Górny Śląsk. Być może, iż fala dyskusji, jaka toczy się w kraju na ten temat, przyniesie ożywcze zainteresowanie tą częścią Polski, zawsze narażonej — jak przekonaaliśmy się: wręcz od czasów Długosza — na stereotypowy, fałszywy i jakże często krzywdzący osąd.

To wariant optymistyczny. Niestety, bardziej prawdopodobny jest scenariusz odwrotny: Górny Śląsk w świadomości mieszkańców innych regionów wylania się obecnie jako twór jeszcze bardziej niezrozumiały, wręcz wrogi z uwagi na skrywane zagrożenia, które mogą osiągnąć także innych, no i na separatystyczne tęsknoty, w które teraz łatwiej będzie uwierzyć wszelkiej maści centralistom. Nie odmawiając dobrej woli, zwłaszcza rybnickim członkom Ruchu Autonomii Śląska, trzeba nazwać ich strategię działania lapidarnie i dosadnie: to przysłowiowa niedźwiedzia przysługa, oddana regionowi, który najważniejsze i najtrudniejsze chwile — z punktu widzenia gospodarczego i społecznego — ma dopiero przed sobą.

Mleko się już jednak rozlało. Pozostaje tylko jeszcze głębiej wwiercić się w motywację tych Ślązaków, którzy gotowi są „zapisać się” do nowego narodu. Odrzucamy tym razem doraźne motywy polityczne, bo one zaciemniają obraz i nie wyjaśniają, dlaczego tak wielu tzw. rdzennych Ślązaków ma kłopoty z tożsamością.

Rzecz jasna, przyczyny tkwią w historii. Tej odległej, i tej całkiem bliskiej. Społeczność Górnego Śląska przez wieki kształtowała się w „narożniku Europy”, by przywołać tu znane określenie ks. Emila Szramka, pioniera etnografii na tym obszarze, który — przypomnijmy — już w połowie XIII wieku odpadł od Rzeczypospolitej, przechodząc kolejno w ręce Czechów, Austriaków i Niemców. Częste zmiany porządków politycznych i działania kolonizacyjne rozpoczęte jeszcze za czasów Piastów spowodowały, że ziemię tę poddawane były nieustannej infiltracji obcych, importowanych z zewnątrz idei, które z czasem utworzyły zadziwiającą mieszkankę etniczną i kulturową. Plebs w dużej części pozostawał słowiański i także też były korzenie jego kultury materialnej i duchowej. Warstwy wykształcone były niemieckojęzyczne. Te światy jednak wzajemnie nachodziły na siebie i nie zawsze na ich styku dochodziło do iskrzenia.

Dopiero XIX-wieczny industrializm, z wszystkimi konsekwencjami, jakie przyniósł oraz rodzące się ruchy narodotwórcze i emancypacyjne mas ludowych przybliżyły moment, w którym różnicowanie się mieszkańców Górnego Śląska przybrało nowej i innej jakościowo dynamiki. Względy językowe i socjalne, także religijne, oddalały od siebie poszczególne grupy społeczne, co zrazu nie było postrzegane w kategoriach rywalizacji stricte narodowej. Bo trzeba w tym miejscu powiedzieć rzecz najważniejszą: poczucie tożsamości narodowej w dzisiejszym rozumieniu tego pojęcia pojawiło się wśród polskojęzycznych Ślązaków dość późno, o czym w dużej

mierze decydował brak własnych elit intelektualnych. Świadomość swej odrębności musiała jednak istnieć, lecz trwałość plemiennych więzów społecznych kierowała uwagę raczej na wartości rodzime, swojskie, kojarzone z mitologią ziemi, obyczajami i wiarą ojców. W dobie zaś agresywnej polityki Bismarcka i u progu rodzących się totalitaryzmów XX-wiecznych owa nadrzędność identyfikacji z regionem i jego kulturą miała też swój wymiar utylitarny. To był sposób na przybranie barw ochronnych, gwarantujących względne bezpieczeństwo, także, a może przede wszystkim, socjalne. Ta swoista mimikra pozwalała nie tylko przetrwać, ale i zachować swą odrębność etniczną.

Tego elementu jakże często nie bierze się pod uwagę, oceniając indyferentyzm narodowy Ślązaków, ich skłonność przechodzenia raz do jednej, raz do drugiej grupy narodowościowej. Polacy wychowani z jednej strony w tradycji romantyczno-patriotycznej, której symbolem pozostają powstańcze zrywy niepodległościowe, z drugiej — nacjonalistycznej, utrwalonej w epoce realnego socjalizmu, nie potrafią i nie chcą odrzucić tej miary, która nakazuje postrzegać i oceniać człowieka (i jego konstrukcję etyczną) poprzez pryzmat autodeklaracji typu narodowego.

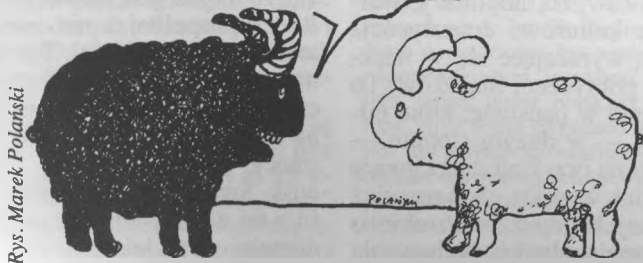
To skutkuje do dzisiaj, bo jak potwierdzają najnowsze badania socjologiczne ciągle żyje na Górnym Śląsku wcale liczna grupa ludności autochtonicznej, która identyfikację etniczną, wyrażającą się w zdaniu: „Jestem przede wszystkim Ślązakiem”, stawia wyżej od deklaracji narodowej, niekiedy wręcz z niej rezygnując. Wojciech Korfanty w dobie plebiscytu i powstań śląskich społeczność tę wyceniał aż na 1/3 całej populacji śląskiej.

Ani Polacy, ani Niemcy nigdy nie mogli pogodzić się z takim stanem rzeczy. Coraz ostrzejsza rywalizacja o śląskie dusze, której ostatecznym wyrazem stała się zmiana granic państwowych w roku 1922, a także, choć w zgoła innych okolicznościach, w roku 1945, nakazywała zawsze tak interpretować dzieje Śląska i Ślązaków, by jedne racje narodowe przeważały nad drugimi. Trwała swoista licytacja, której finału nigdy się nie doczekaliśmy i pewnie nie doczekamy. Tak więc narodowa myśl polska podkreślała polski charakter gwary śląskiej i kultury ludowej, niemiecka zaś — wskazywała na dorobek cywilizacyjny i intelektualny zrodzony w ramach państwa pruskiego.

Śląski plebejusz jakże często wymykał się z tak założonych ram. Doświadczyli tego liczni badacze, pisarze i publicyści z Królestwa Polskiego czy Wielkopolski, którzy w połowie minionego stulecia przyjeżdżali na Górny Śląsk, ze zdumieniem odkrywając, że ta dawna dzielnica Rzeczypospolitej tak bardzo przypomina Polskę, a jednocześnie zawiera w sobie cechy niezrozumiałe czy niepokojące. Lucjan Malinowski,

badacz języka i etnograf, choć przyszło mu z entuzjazmem odkrywać całe wioski polskojęzyczne, zanotował nie bez goryczy: „Lud nie czuje swej odrębności pleiennej od Niemców. Nazwiska »Niemiec« i »Polak« mają tu swoje specyficzne znaczenie. Kto umie tylko po polsku, ten jest Polak, kto tylko po niemiecku — ten uważa się za Niemca, lecz jeśli spytać człowieka, posiadającego oba języki, ja-

Dali mi stansę!
Mogę się ostrzyć,
mogę ufarbować,
mogę iść za rzekę...



Rys. Marek Polański

kiej jest narodowości, zawsze odpowie, że jest zarazem Polak i Niemiec (...). Od ludności polskiej ościen-nych krajów, zwłaszcza na granicach, lud śląski stroni. Kiedy ich upewniłem, że w naszym kraju taki sam lud, ten sam język i wiara, odpowiadali mi: »my nie są Polacy, my są Prusacy«.

Łatwo sobie wyobrazić, jakie uczucia w polskim badaczku musiały wywołać takie deklaracje wypowiedziane przecież po polsku (a ściślej: w gwarze śląskiej), a jednak odcinające się od polskiego narodu. Zdanie: „Jo zech Prusok”, nie miało jednak albo też nie musiało mieć charakteru identyfikacji narodowej, tak jak byśmy to chcieli dzisiaj czytać. U schyłku XX wieku jest to bardziej zrozumiałe niż w latach 70. ubiegłego stulecia. Tym sposobem wyrażono przywiązanie do określonego porządku prawnego, ale i obyczajowego, panującego na ziemi ojców.

Z czasem, po upadku państwa pruskiego, jeszcze jaśniejszą deklarację stanowiło przyznanie się do swej śląskości, niejako wierniejszej i trwalszej od struktur państwowych i narodowych. Późniejsze: „Jo niy Polok, niy Niemiec, ino Ślązok” miało ten sam sens, wskazujący na silne przywiązanie do tej części dziedzictwa kulturowego, która pozostaje niezmienna i własna, niezależnie do tego, czy stolica państwa, w obrębie którego przyszło żyć, znajduje się w Berlinie, Wiedniu czy w Warszawie. Śląskość była zatem azylem, ale i znakiem najsilniejszych emocji i pozytywnych uczuć. Nic dziwnego więc, że niepokoiła i Niemców, i Polaków, choć w różnych okresach w różnym stopniu.

Pół wieku po Malinowskim, Aleksander Szczepański, konsul RP w międzywojennym i wówczas niemieckim Bytomiu, informował warszawską centralę: „W sensie czysto etnograficznym przyjąć można, że liczba Polaków przewyższa znacznie 600.000 (mowa o tej części Górnego Śląska, która przypadła po plebiscycie Niemcom — przyp. K.K.), wielu bowiem z tych, którzy oficjalnie zaliczają się do Niemców, w życiu domowym używa języka polskiego. Zresztą daje się tu zauważyć wzmożenie się pojęcia i określenia »górnoszlazak« jako narodowość”.

Swoją indyferentność narodową Ślązacy okupili duchowym cierpieniem. Pozostając grupą etniczną politycznie i socjalnie upośledzoną, mieli z czasem coraz silniejsze przekonanie, że są wykorzystywani przez obcych, przez przybyszów, obojętnie, jakim językiem mówiących, że stanowią kartę przetargową. Ucieczka w śląskość stanowiła, a teraz — po roku 1989 — nadal dla wielu stanowi, rodzaj obrony przed manipulacjami i próbą kupczenia ich poczuciem odrębności kulturowej. W warunkach państwa demokratycznego zamykanie się w obrębie śląskiego ethosu może nareszcie przybrać formę manifestacji swej odmienności, tym bardziej że dawne normy i wzorce życia społecznego ulegają szybkiej degradacji, upadając pod naciskiem uniwersalizującej kultury masowej i cywilizacji technicznej.

Identyfikacja etniczna

Ostatnie lata przynoszą niezwykłą nobilitację wartości górnoszlazkich. Ta kulturowa emancypacja przynosi wymierne rezultaty, wyrażające się w większej aktywności społecznej i politycznej Ślązaków. To namacalne owoce egzystowania w państwie, które odrzuciło ideologię totalitarną i — w dużym stopniu — nacjonalistyczną. Nigdy dotąd na przykład ranga gwary śląskiej nie była podniesiona tak wysoko, choć przecież używa się już jej coraz rzadziej. Nigdy też nie zrobiono tak wiele w dziele edukacji regionalnej i wychowania

młodej generacji w duchu miłości do „małej ojczyzny”. A wszystko to dzieje się w momencie, gdy tzw. rodowici Górnoszlazacy stanowią już mniejszość, zaś wspomniane procesy cywilizacyjne zacierają dawne podziały i odmienności. W tak radykalnych aktach jak chociażby właśnie powołanie Związku Ludności Narodowości Śląskiej trzeba więc widzieć także potrzebę gwałtownego „odreagowania” po latach zakłamania i niewolnienia śląskich dusz i sumień. To także forma „odrobienia historycznych zaległości” i jednocześnie rozpaczliwa próba przeciwstawienia się owym tendencjom uniwersalizującym czy też unifikującym współczesnego człowieka.

Z tego najgłębszego punktu widzenia, dostrzegającego przede wszystkim jednostkę tęskniącą do ujawnienia swej prawdziwej, a wcześniej ukrywanej przed światem zewnętrznym tożsamości — nawet tak spektakularne i doraźnie polityczne działania, jakich dopuścili się inicjatorzy Związku, uzyskują inny sens i kontekst. Idea wyodrębnienia „natio silesia” przywołała bowiem w autochtonach pamięć o doznawanych krzywdach, także tę dziedziczoną z generacji na generację. I choćby tylko dlatego wydała się wielu Ślązakom atrakcyjna.

Cóż, zawiera ona jednak podstawowy fałsz. Narodu śląskiego po prostu nie było i nie ma. Mimo pozorów, że Ślązacy stanowią jednolity szczepek, w istocie ich pochodzenie było i jest zróżnicowane. Co ważne — silnie zróżnicowane były również warunki codziennej egzystencji mieszkanców Górnego Śląska, krainy nigdyś tak rozległej, wielojęzycznej i wielostrojowej, że właściwie do dziś toczą się spory przy wytyczaniu jej historycznych granic. Procesy germanizacyjne i polonizacyjne były zaś tak silne, a kultura niemiecka i polska tak atrakcyjna i trwała, że przeciwstawiły się one wyłonieniu odrębnej nacji. Decydowały przede wszystkim czynniki zewnętrzne: te ziemie były niestannie dzielone już od czasów Piastów, co nie sprzyjało wyodrębnieniu się silnych ośrodków politycznych, którym zależałoby na odcięciu się od zależności czy to Wiednia, czy Berlina czy Warszawy. Nawet w najbardziej sprzyjającym momencie historii, czyli po upadku wilhelmskich Niemiec, tendencje separatystyczne, które przecież musiały się pojawić, były relatywnie słabe i wykazywały się w głowach pojedynczych polityków. Ślązacy w swej masie, nawet jeśli nie chcieli czy też nie potrafili powiedzieć, czy są Polakami czy Niemcami, nie pobudzili w sobie innej identyfikacji narodowej. Żyli po prostu bez jakiegokolwiek. I wcale ich to ani nie deklasowało, ani — także dzisiaj nie deklasuje jako ludzi. W przeciwnym wypadku musieliby przyjąć, że etyczna wartość i godność człowieka zależą od identyfikacji narodowej.

I to jest ten moment, którego animatorzy „natio silesia” nie chcą przyjąć. Z bezwzględnie prawdziwego faktu, że wielka część Ślązaków nie czuła się ani Polakami, ani Niemcami (i jako się rzekło: takich ludzi i dziś spotykamy) wyciągają wniosek o istnieniu odrębnej nacji. Jest inaczej, choć zapewne dla mieszkańców Kongresówki czy Galicji rzecz to niepojęta: okazuje się, że można pod koniec II tysiąclecia być obywatelem Rzeczypospolitej i nie mieć w pełni ukształtowanej tożsamości narodowej. Tak jednak jest. Więzy etniczne mogą być silniejsze. I fakt ten — powtórzmy raz jeszcze — wcale człowieka nie czyni gorszym. Ba, można na nim budować nie tylko bogatą wewnątrznie egzystencję jednostkową, ale i opierać los całych zbiorowisk. Świetnie to wyczuwał Wojciech Korfanty i potrafił z tej wiedzy uczynić pożytek. Także dla Polski. Pamiętajmy o tej lekcji. ■

Zaolzie, skrawek Śląska Cieszyńskiego, zamieszkiwany w przeszłości przeważnie przez ludność polską, a przyznany po pierwszej wojnie światowej Czechosłowacji, postrzegany jest najczęściej przez pryzmat stosunków polsko-czeskich. Miejsca ludność, ich język, kultura i pochodzenie przynależności narodowej oceniane są zazwyczaj pod kątem polskiej albo czeskiej tożsamości narodowej nie biorąc pod uwagę etnicznego wymieszania ludności. Większa część Zaolzia wchodzi w skład jednego z najbardziej uprzemysłowionych regionów dawnej Czechosłowacji — obecnie Republiki Czeskiej, przyciągającego od ponad stu lat ludność z bliższych i dalszych okolic. Obszar ten jest dzisiaj najgęściej zaludnionym terenem państwa czeskiego, gdyż na 800 km kw. żyje tu 360 tys. mieszkańców, tzn. 450 mieszkańców na km kw.

Ludność miejscowa stanowi więc dziś tylko część ludności całego regionu, podobnie jak na Górnym Śląsku, w Zagłębiu Ruhry itp. Opierając się na dostępnych danych porównujących gminę zamieszkania z gminą urodzenia mieszkańców Republiki Czeskiej można pokusić się o następujący szacunek pochodzenia ludności Zaolzia, liczącej obecnie 360 tys.: 125 tys., tzn. 35 proc. ogółu stanowi ludność autochtoniczna, żyjąca tu od pokoleń (prawie jedna trzecia, tzn. prawie 40 tys. mieszkańców tego terenu, zadeklarowało w ostatnim spisie ludności narodowość polską). Kolejnych 125 tys. miejscowych mieszkańców to ludność zasiedziała, składająca się z urodzonych na tym terenie dzieci i wnuków imigrantów z innych regionów, najczęściej z Czech i Moraw, w mniejszym stopniu też z Polski (z tej grupy pochodzi szacunkowo zaledwie ok. 3 tys. mieszkańców deklarujących narodowość polską). Ostatnią grupą jest ludność napływowa we właściwym znaczeniu tego słowa, tzn. ludzie, którzy urodzili się poza Zaolziem i przenieśli się na jego teren w przeciągu swojego życia. Tych ostatnich jest ok. 110 tys. (tzn. 30 proc. ludności całego regionu), a między nimi jest ok. 2-3 tys. Polaków.

Tożsamość narodowa ludności Zaolzia zależy od jej pochodzenia. Tożsamość ludności napływowej, a w dużym stopniu również zasiedzianej, wywodzi się z korzeni leżących poza obszarem Zaolzia i ma najczęściej czeski charakter narodowy, w mniejszym stopniu również słowacki, romski, polski i in. Ostatni czechosłowacki spis ludności w 1991 r. pozwolił m.in. zadeklarować tożsamość regionalną, konkretnie morawską i śląską, jako tożsamość narodową. Z dwu tych tożsamości Morawianie należą na Zaolziu do ludności napływowej lub zasiedzianej, a Ślązacy są autochtonami. Znamienne jest, że narodowość morawską zadeklarowało na Zaolziu więcej osób, aniżeli narodowość śląską. Występujące w przeszłości w grupie ludności napływowej czy zasiedzianej tożsamościowe opcje niemiecka i żydowska prawie że zniknęły z Zaolzia w konsekwencji drugiej wojny światowej.

Ludność autochtoniczna reprezentuje poza wariantami tożsamości polskiej i czeskiej również oficjalnie uznany za narodowy, choć niezbyt liczny, wariant tożsamości śląskiej. Istnienie wymienionych orientacji narodowych tożsamości ludności Zaolzia odbija się w kolejnych spisach ludności, które jednak nie są w stanie objąć wszystkich licznie występujących tu przejawów tożsamości mieszanej i przejściowej.

Niejednoznaczność oceny tożsamości narodowej wynika z jej złożoności. Tożsamość narodowa ma bowiem co najmniej dwa główne wymiary: obiektywny i subiektywny. Szerzej na ten temat pisał Karol Daniel Kadłubiec w lipcowym numerze „Śląska” z ubiegłego roku. Obiektywne atrybuty tożsamości to głównie język i kultura, a subiektywna jest świadomość przynależności

Zaolzie zmierza do Europy

TADEUSZ
SIWEK



Tadeusz Siwek

grupowej uwarunkowana społecznie i psychologicznie. I tu bardzo często występuje rozdźwięk. Obiektywne atrybuty tożsamości wskazują na inną przynależność narodową niż subiektywna świadomość. Niekiedy występują wspólnie różne obiektywne wyznaczniki narodowe, wskazujące na powiązania z dwoma a nawet trzema narodowościami, co teoretycznie opisał w roku 1995 Kazimierz Ślęczka.

Jaki kształt ma więc dzisiejsza polska tożsamość wśród ludności Zaolzia? Na pewno nie taki sam jak tożsamość narodowa ludności Polski, bo Zaolziacy nie żyją na co dzień tymi samymi sprawami, które nurtują większość Polaków w kraju. Sprawność polskiej gospodarki, siła nabywcza złotego, aktualna sytuacja polityczna w Polsce, ustalenia polskiego prawa itp. nie mają zbyt wielkiego wpływu na Polaków z Zaolzia, którzy interesują się nimi przeważnie tylko dzięki swoim sentymentom. Te praktyczne sprawy oddziałują bardziej na niedawnych przybyszów z Polski, którzy przeważnie zachowali polskie paszporty. Na Zaolziu są ich jednak tylko 3 tysiące. Tożsamość tych Polaków jest najbardziej zbliżona do tożsamości Polaków z Polski tak pod względem obiektywnym, jak i subiektywnym. Na terenie państwa czeskiego poza Zaolziem, w Czechach właściwych i na Morawach mieszka na stałe o wiele więcej imigrantów z Polski na polskich paszportach. Jest ich prawie 10 tys. i są to przeważnie Polki, które znalazły się w Czechach w poszukiwaniu pracy i wyszły później za Czechów. Nie tworzą grupy społecznej we właściwym sensie tego słowa, żyją w rozproszeniu i pomimo swojej jednoznacznie polskiej tożsamości są bardziej narażone na asymilację niż społeczeństwo polskie na Zaolziu.

Tożsamość większości osób deklarujących polską narodowość na Zaolziu, które mają obywatelstwo czeskie i których jest ponad 40 tys., wskazuje w większym lub mniejszym stopniu pewne rysy, które na pierwszy rzut oka można uważać za charakterystyki czeskiej tożsamości narodowej. Znaczna część zaolziańskich Polaków ma np. w swoich dokumentach zapisane imię w brzmieniu czeskim, często wbrew swojej woli, gdyż taka była praktyka czeskich urzędów metrykalnych aż do lat 60. Dopiero w ostatnich trzech dziesięcioleciach dopuszczane jest zapisanie dziecka imienia w brzmieniu odpowiadającym językowi ojczystemu każdego obywatela, lecz zapisy imion polskich dzieci po czesku zdarzają się do dziś, gdyż wielu obywateli nadal nie wie, że czeska forma nie jest już jedyną obowiązującą formą zapisu imienia. Niektórzy rodzice rozwiązują ten problem przez wybór imienia, które ma jednakowe brzmienie w języku polskim i czeskim, jak np. Jan, Roman, Irena, Anna. Nazwiska Zaolziaków z czeskim obywatelstwem są przeważnie zapisane w dokumentach w wersji pol-

Foto: Andrzej Pawłowicz

skiej, choć i tu występują niekiedy formy zczeszczone. Natomiast wszystkie tutejsze Polki mają w dokumentach zapisane nazwisko z charakterystyczną dla języka czeskiego końcówką -ova. Tutaj na razie nie ma odstępstw od reguły, choć po roku 1989 i otwarciu Czech na świat zaczęto już tu i ówdzie opuszczać ową archaiczną słowiańską końcówkę przynajmniej u cudzoziemców. Niekóre ambitniejsze gazety przestały np. pisać Margaret Thatcherová na rzecz Margaret Thatcher. Ale to na razie wszystko.

Najważniejszy atrybut kulturowy polskiej tożsamości narodowej — język — może wydawać się wśród zaolziańskich Polaków atrybutem niejednoznacznym. Większość z Zaolziaków posługuje się bowiem trzema systemami językowymi. Polski język literacki jest używany w niewielkim stopniu. Jest to język polskich szkół oraz język używany w kontaktach z Polską. W pasywnym odbiorze jest to również język kultury — literatury, prasy, filmów, radia i telewizji. Najbardziej rozpowszechnionym systemem komunikowania wśród Zaolziaków jest gwara śląska, która jest językiem rodzinnym i towarzyskim w tutejszym środowisku. Nie ogranicza się przy tym tylko do wsi, czy warstw plebejskich. Gwarę śląską można na Zaolziu usłyszeć wszędzie, nawet z ust mieszkańców wielkich miast nie wyłączając miejscowych polskich intelektualistów. Trzecim językiem dla Zaolziaków jest język czeski, którym posługują się z reguły w pracy, w urzędach, w kontaktach z resztą Republiki Czeskiej. Pasywnie odbierają go również z czeską kulturą i środkami masowego przekazu. Język czeski funkcjonuje jednak również u wielu Zaolziańskich Polaków jako język prywatny, rodzinny, gdyż większość z nich żyje w małżeństwach narodowościowo mieszanych. Wszechobecność języka czeskiego powoduje również występowanie czechizmów w wypowiedziach zaolziańskich Polaków w gwarze śląskiej i w literackim języku polskim.

Kultura ludowa ma na Zaolziu wyraźnie polski charakter i nie różni się w niczym od kultury ludowej polskiej części Śląska Cieszyńskiego. Tu trzeba przyznać, że wiele typowo śląsko-polskich zwyczajów utrzymują również miejscowi Czesi, zwłaszcza ci, którzy mają polski rodowód. Zagrożeniem dla niej jest urbanizacja, gdyż w wielkich miastach — a zwłaszcza w monotonnych osiedlach tradycyjna kultura zamiera.

Patrząc na aktualną statystykę widzimy, że ludność czeska ma dziś na Zaolziu wyraźną przewagę liczebną. W porównaniu ze stanem sprzed kilkudziesięciu lat, kiedy ludności polskiej było na tym terenie znacznie więcej, nie ulega wątpliwości, że wielu z dzisiejszych Czechów musi mieć polskie pochodzenie, ponieważ do radykalnej wymiany ludności przecież nie doszło. Polskie pochodzenie ma na pewno większość autochtonów oraz część ludności określonej we wstępie jako zasiedziała, ogółem można ich liczbę oszacować na 40—70 tys. osób. Ludność ta prezentuje — przynajmniej subiektywnie — czeską tożsamość narodową, lecz z wyraźnymi obiektywnymi atrybutami polskości. Na Zaolziu nie jest zaskakujące spotkanie z mieszkańcem deklarującym narodowość czeską a mówiącym piękną gwara śląską z wyraźnie polską fonetyką, utrzymującym w domu polskie obyczaje itp. W wielu wypadkach fragmenty polskiej tożsamości występują w formie szczątkowej a ich nosiciele często nawet nie zdają sobie sprawy z ich polskiego pochodzenia. Tak jak u zdeklarowanych Polaków występują wyraźne wpływy czeskie, tak u zaolziańskich Czechów występują liczne wpływy polskie. Jednoznaczne określenie przynależności etnicznej w tak przemieszonym społeczeństwie nie jest najczęściej prostą sprawą.

Konkretne przejawy narodowej tożsamości autochtonicznych mieszkańców dzisiejszego Zaolzia mogą być bardzo poplątane: np. ten, kto zna Klausea bardziej niż Buzka, Spartę ogląda częściej niż Legię, kurs korony obserwuje z większą uwagą od kursu złotówki powinien być chyba Czechem. Natomiast ten, kto recytuje na pamięć Pana Tadeusza, zna Wajdę i Gombrowicza, podziwia Bońka i Szurkowskiego, musi być Polakiem. Dla nie-

wtajemniczonego może być zaskoczeniem, że obydwie wyżej wymienione charakterystyki mogą należeć do jednej i tej samej osoby. Świadczy to jednak o tym, że polska tożsamość narodowa na Zaolziu pomimo obcego środowiska przetrwała w koegzystencji z tożsamością czeską do dnia dzisiejszego.

Dla baczego obserwatora Zaolzia nie powinno być niespodzianką, że polska tożsamość narodowa zachowała się lepiej w sferze obiektywnej, podczas kiedy w sferze subiektywnej ustąpiła wyraźnie tożsamości czeskiej. Wskazuje to na chronologiczne pierwszeństwo występowania polskiej tożsamości narodowej na tym terenie, ponieważ obiektywne atrybuty tożsamości nie zmieniają się łatwo ani szybko. Obiektywne pierwiastki polskiej tożsamości wytrzymują więc długo, ale przy długotrwałym oddziaływaniu obcego środowiska ulegają stopniowo przekształceniu. Całkowita utrata polskiej tożsamości, czyli asymilacja, dotyczy bardziej izolowanych Polaków i Polek w głębi Czech niż ludności Zaolzia, która pomimo zmniejszającej się liczby zachowuje cechy wszechstronnego społeczeństwa.

Subiektywna tożsamość jednostki kształtuje się pod wpływem dążeń, celów i wartości życiowych poszczególnych jednostek. Dla wielu zaolziańskich Polaków utrzymanie swej polskiej tożsamości nawet w trudnych warunkach jest wartością nadrzędną. Są to przeważnie idealisci. Bardziej praktycznie nastawieni Zaolziacy przypisują polskiej tożsamości mniejsze znaczenie, które w skrajnym wypadku może przybrać formę świadomego dążenia do przekształcenia swej dotychczasowej tożsamości na inną, z reguły czeską. Są to ludzie, którzy w skrajnym wypadku celowo dążą do asymilacji z czeskim społeczeństwem w celu ułatwienia sobie awansu społecznego, czy też po prostu z powodu niechęci do odstawiania od ogółu lub z wygodnictwa, gdyż utrzymywanie tożsamości mniejszościowej zawsze wymaga pewnego wysiłku i wyrzeczeń.

Polska tożsamość na Zaolziu ma wyraźnie regionalny charakter i niekiedy jest krytycznie określana nawet przez samych Zaolziaków jako tożsamość zaścianka. Polska kultura i język żyją tu na szczeblu lokalnym a na wyższych szczeblach osiągalnych przez miejscowych autochtonów panuje kultura czeska. Wyjściem z zaolziańskiego zaścianka są kontakty z narodową kulturą polską, która jest w zasięgu ręki, lecz w sytuacji zamkniętej granicy czesko-polskiej, czego byliśmy świadkami w latach 80., kontakty te zamierają i otwierają przestrzeń wzajemnym fobiom i negatywnym stereotypom.

Na szczęście obecny okres jest dobrym okresem stosunków polsko-czeskich. Granica jest łatwo przekraczalna i wzajemne kontakty na wszystkich szczeblach systematycznie rosną. To powoduje rozpowszechnianie się pozytywnych opinii o sąsiadach w obu społeczeństwach, rozwój stosunków gospodarczych i handlowych a co za tym idzie, również rosnące zapotrzebowanie na ludzi znających równocześnie język polski i czeski, łatwo poruszających się w polskich i czeskich realiach itp. W tej sytuacji nosiciele idealistycznej koncepcji polskiej tożsamości mają powód do satysfakcji a pragmatycy odkrywają nowe możliwości wykorzystania znajomości języka i kontaktów, które w okresie wzajemnej izolacji wydawały się bezużyteczne.

Te pozytywne zmiany pójdą na pewno dalej wraz z równoległymi staraniami Polski i Republiki Czeskiej o przyjęcie do Unii Europejskiej. Granica na Olsie będzie coraz mniej dzielić, a wolny ruch osób powinien podtrzymać polską tożsamość tam, gdzie została chociaż w okrucinach. Nowa sytuacja społeczno-polityczna Europy Środkowej po upadku tutejszych totalitaryzmów ułatwia podtrzymanie tożsamości nawet w bardzo małych grupach etnicznych i z tego skorzystają na pewno Polacy z Zaolzia. Zachowaniu polskiej tożsamości na Zaolziu, pomimo jej zaściankowego charakteru, paradoksalnie najlepiej służy idea zawarta w sloganie: „Zaolzie zmierza do Unii Europejskiej”.



Rys. Marek Poltański

Rodzi się wiele wątpliwości, rozterek, ale też refleksji, gdy w kontekście potocznego rozumienia śląskiej tożsamości będziemy się zastanawiać nad tożsamością narodową, polską. Okazuje się, że ta regionalna, pozbawiona poważniejszej refleksji nadal przynależy do przeszłości, jest też silnie naznaczona stygmatem emocji, ale i atrakcyjności.



Foto: Andrzej Pawłowicz

Marian Grzegorz Gerlich

Śląskie symbole i znaki

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Nadal zamyka się ona w opłotkach tego, co swojskie, i tym samym choćby polskie uniwersum symboliczne, świat pewnych ogólnonarodowych przeżyć czy odniesień i identyfikacji historycznych nie odgrywa w tym myśleniu poważniejszego znaczenia. To tradycyjne, potoczne widzenie, rozumienie i definiowanie własnej tożsamości uległo wprawdzie marginalizacji, ale w efekcie brak poważniejszej alternatywy. Tym samym zrodziła się swoista „pustka”. Typowe zaś dla przeszłości widzenie tożsamości ma też wyraźnie charakter falowy. Sama śląskość tkwi w kokonie tego, co swojskie, kurczy się, lecz określone jej elementy podlegają rewitalizacji. Tradycyjne wymiary tożsamości śląskiej są na ogół znane, ale znikome jest rozpoznanie tego, co nowe.

Górnośląska zbiorowość — raz jeszcze

W ostatnich kilku latach, zwłaszcza socjologowie, po części również przedstawiciele etnologii podjęli próby opisu specyfiki współczesnego oblicza lokalnej ludności rodzimej. Po 1989 roku okazało się, że przysł mit zadekretowanej jedności i jednorodności tej grupy. Okazało się, że podlega ona silnym podziałom wewnętrznym, procesowi różniczkowania. W konsekwencji także lokalny

układ etniczno-narodowościowy zostaje niestabilny. Tak więc obok ludności o wyraźnym poczuciu przynależności do narodu polskiego żyje też kategoria ludności o poczuciu przynależności do narodu niemieckiego, a ponadto wyodrębnia się ludność indyferentna narodowo, a wreszcie taka, która identyfikuje się głównie ze śląskością. Istnieje też wiele postaw pośrednich. I co charakterystyczne, dla znacznej części ludności rodzimej znamienne jest poczucie prymatu śląskości, nad tym, co nie-śląskie. Nie można też wykluczać wreszcie trwania pewnej ponadnarodowej więzi regionalnej, śląskiej.

Myślenie symboliczne i tożsamość

Nie wchodząc w szczególną materię problematyki związanej z definiowaniem pojęcia „znak” należy wskazać, iż istnieje zgoda, co do tego, że „wszelki znak ma charakter relacyjny: opiera się na związku tego, co znaczące, z tym co znaczone. Interesujący termin odnosi się do obu zasygnalizowanych typów relacji, bądź jedynie do elementów znaczących”. Istnieje zatem wiele sposobów przejawiania się znaku, w tym szczególnego rodzaju jakim jest symbol.

W przypadku górnośląskim, na poziomie potoczności nie istnieją oczy-

wicie wysublimowane operacje myślowe na ten temat. Niemniej jednak istnieje specyficzny rodzaj myślenia symbolicznego. W rezultacie pierwsza ogólna kategoria znaków określa istotę lokalnej tożsamości, a druga, szczegółowa odnosi się do konkretnych cech śląskości. Dla samych Górnoślązaków, to co symboliczne, czyli szczególnie wyrazisty przejaw znaku, jest rozumiane jako wieloznaczne i zawiera pewien uogólniony typ opisu własnej tożsamości. Natomiast to, co jest — użyjmy określenia Jerzego Kmity — „oznaką humanistyczną”, czy choćby „funkcjo-znakiem”, ma już charakter bardziej jednoznaczny. W obu jednak przypadkach stykamy się z nadawaniem określonym obiektom, wytworom czy zachowaniom konkretnych pojęć abstrakcyjnych — oczywiście poprzez swoistą umowę społeczną — które podlegają wyrażonej mityzacji. Spróbujmy więc omówić wybrane aspekty obu kategorii lokalnych pozostałości dawnego myślenia symbolicznego.

W tej grupie wyróżnia się całą grupę różnego rodzaju obiektów naturalnych i materialnych, będących efektem działalności człowieka, które często znajdują odzwierciedlenie w lokalnym folklorze, w dawnych opowieściach typu ludowego, tekstach anonimowych stanowiących wykładnię panujących poglądów.

Tak więc na początku podstawowe znaczenie ma „ziemia śląska”, czyli po prostu obszar Górnego Śląska. Granice tego terytorium są jednak mgliście i na ogół mylnie wykreślane. Istnieje silna identyfikacja z tą przestrzenią. Granice regionu to w potocznym rozumieniu teren zwartego zasiedlenia przez ludność rodzimą. „Tam jest Śląsk, kaj my som”.

To symbol realny, ale też ogólny, odległy. Natomiast symbolem wyrazistym jest „sercu najbliższa okolica”, czyli przestrzeń własnego bytowania i bytowania przodków, których życie symbolizują groby.

Interpretacja ogólna — ramy tożsamości

Jednak najsilniejszym znakiem śląskości, w którym się ona odzwierciedla jest „orbis interior”, czyli obszar realnego bytowania codziennego, gdzie wszystko jest jasne, proste, oczywiste, zrozumiałe i logiczne.

Lecz są też pewne przestrzenie wyróżniane na innej zasadzie. Są one również znakami śląskiej tożsamości. Na ogół są wyodrębniane na bazie swoistych par opozycji binarnych. U podstaw ich wyróżniania leży kryterium etniczne. Tak więc przykładowo ziemia pszczyńska jest najczęściej symbolem polskości, a z kolei ziemia raciborska symbolem niemieckości. Lecz w obu przypadkach są to — zwłaszcza wskutek owych odniesień etnicznych — wyraziste symbole śląskiej, skomplikowanej tożsamości.

Potoczne myślenie symboliczne odnosi się też wyraźnie do rzek i stawów. W pierwszym przypadku owe jednostki geograficzne są znakowane politycznie. Weźmy pod uwagę najbardziej typowe przykłady, które są pojmowane jako określone linie graniczne. Do rangi symbolicznej urosła zwłaszcza Brynica, granica między „nami a Rosją”, w okresie międzywojennym „między Ślonzokami a Czerwonym Zagłębiem”, a po 1945 roku postrzegana jako granica pomiędzy „Ślonzakami” a „towarzyszami — zza Brynicy”, między uciskanymi a uciskającymi. To wreszcie także granica, już od 1922 roku, między katolikami, czyli Górnoszlązakami a „bezbożnikami”. Jest to więc rzeka implikująca symbolicznie treści negatywne.

Natomiast Wisła już w rozpoznawalnej perspektywie XIX wieku, co potwierdzają zapisy folklorystyczne, jawiła się jako granica, poza którą była „Ona, Polska”, albo po prostu Polska, ale też niekiedy jako granica, poza którą „są Austryjoki”. Po 1922 roku rzeka ta stała się symbolem polskości, oczywiście dla określonej kategorii ludności. Natomiast Odra, owa „pra-matka rzek śląskich” była postrzegana przede wszystkim jako rzeka — i to zarówno przez ludność

etnicznie polską i Niemców — realnie odgraniczająca Górnoszlązaków od Dolnoszlązaków.

Wyróżniano był też obszar stawów i jezior pszczyńskich. „Żabi kraj” — był — poza już zasygnalizowanym aspektem — pojmowany jako kraina rolnicza, kraina hodowli ryb. I w tym kontekście jako obszar polski poddawany pozytywnym, cywilizacyjnym oddziaływaniom dworu w Pszczynie.

Szczególnym symbolem Górnego Śląska są też bogactwa naturalne, zwłaszcza jednak węgiel kamienny, który znalazł silne odzwierciedlenie w opowieściach, pieśniach i paremiach ludowych, także opowieściach wspomnieniowych.

Potoczne myślenie symboliczne odnosi się również do materialnych wytworów ludzkich nieodłącznie związanych z własną przestrzenią. Najbardziej ewidentnymi znakami są więc typowe elementy lokalnego pejzażu przemysłowego, czyli kopalniane szyby, hałdy, kominy, piece hutnicze. „Tam kaj to jest, to jest Slonsk nasz ukochany...”

Najsilniejsze znaczenie symboliczne dodatkowo waloryzowane aksjologicznie i sakralnie mają natomiast górnośląskie miejsca kultowe i pątnicze. Chodzi tu zwłaszcza o Górę św. Anny z figurką drewnianą św. Anny Samotrzęć i Piekary Śląskie z obrazem Matki Boskiej Piekarskiej.

Opolski ośrodek ma jednak nie tylko zasygnalizowane znaczenie duchowe. Jednak w tym kontekście symbolizuje on również miejsce wspólnego doświadczenia religijnego ludności polskojęzycznej i niemieckojęzycznej. Lecz ta symbolika jest jeszcze bardziej złożona. Oto bowiem losy sanktuarium na Górze św. Anny — konkretnie jego dzieje w naszym stuleciu — służą do ukazania skomplikowanej historii Górnego Śląska. Na ogół pogardzane przez historyków i socjologów, i często dość naiwnie pojmowane przez część etnologów, opowieści ludowe relacjonują właśnie postawę Górnoszlązaków wobec tego miejsca. Podkreśla się, że to właśnie tu dokonywano licznych gwałtów symbolicznych. Do I wojny światowej to miejsce pojmowane jest jako symbol wspólnego losu mieszkańców Górnego Śląska. W okresie powstań śląskich stało się symbolem podziału, konfliktu i wpływów obcych, konfrontacji między Polską i Niemcami. Zaś w czasach nazistowskich wzniesiono tam mauzoleum czynu niemieckiego żołnierza, nawiązano też do wierzeń starogermańskich, a po 1945 roku nastąpiło zburzenie tego obiektu i wzniesienie Pomnika Czynu Powstańczego. Ale to nie koniec. To właśnie miejsce uosabia również przestrzeń formowania się mniejszości niemieckiej. Odprawiane zaś od pewnego czasu w lokalnym sanktu-

arium msze św. w języku niemieckim symbolizują nowe czasy. Podobnie jak określone reakcje skin headów.

Piekary Śląskie. Jest to zwłaszcza dla Górnoszlązaków mieszkających w tej części regionu, przede wszystkim miejsce kultu. Ale było miejscem kultu, nawet w latach międzywojnia, także dla Niemców. Jednak nade wszystko lokalny ośrodek urosł także do rangi jednego z najbardziej znaczących miejsc krzewienia „polskiego ducha”. To przecież z tego miejsca wieścił odrodzenie Polski „śląski Wernyhora” Wawrzyniec Hajda. Stąd też od początku naszego stulecia Piekary Śląskie, niezależnie od swojego znaczenia religijnego, symbolizowały związek Górnoszlązaków z polskością. Swoją szczególną wyraz znalazło to w latach międzywojnia. Wreszcie trzeba zwrócić uwagę na symbolikę tego miejsca po 1945 roku. Otóż pielgrzymki do piekarskiego sanktuarium były dowodem wysokiej religijności, ale również bezgłóstnego, choć masowego oporu przed nową ideologią, przed ustawicznym procesem delegalizacji śląskiej tożsamości.

Specyficzne znaczenie symboliczne miały także obiekty kultowe w takich miejscowościach jak Turze, Pszów czy choćby Bardo Śląskie (Wartha) leżące już na ziemi dolnoszląskiej.

Swoistą symbolikę mają również pewne konkretne miasta, a także ich dzielnice. Chodzi tu głównie o odniesienia etniczne. Tak więc przykładowo Mikołów kojarzony jest jako miasto polskie, podobnie jak Królewska Huta, czy Tarnowskie Góry postrzegane głównie w kontekście pobytu Jana III udającego się pod Wiedeń. A z kolei Gliwice, czy Zabrze to miasta utożsamiane z niemieckością.

Swoistym znakiem był wreszcie także Trójkąt Trzech Cesarzy, który symbolizował wyjątkowe położenie Górnego Śląska, a także realne zagrożenie ze strony obcych.

Powtórzmy, to jedynie wybrane aspekty omawianej kategorii symboli śląskiej tożsamości.

Znaki rozdarcia

To złożona interpretacja symboliczna związana głównie z problemem identyfikacji grupowej odnoszącej się do kultury, przeszłości, więzi i poczucia odrębności. U podstaw zaś potocznego, symbolicznego myślenia na ten temat tkwi zespół szczególnych determinant. Są to zwłaszcza: „syndrom krzywdy”, „syndrom uprzedzeń wobec obcych”, „syndrom zniewolenia przez obcych” i „syndrom utraconego Raju”. Owa symbolika rozdarcia dotyczy przeszłości, ale też teraźniejszości. Zawsze też wszelkie myślenie potoczne jest tu determinowane poczuciem odrębności, której zakres jest różnie poj-

mowany a także znamiennej „wspólnoty pamięci”, która wyrasta z wspólnoty doświadczeń.

Symbolem własnej tożsamości jest nade wszystko „nasza śląska tradycja”, które to określenie nie jest bliżej precyzowane. Wyodrębniane są tylko pewne ewidentne elementy składowe dziedzictwa, które wręcz mają symbolizować specyfikę, a nawet odrębność tego, co śląskie. Chodzi tu głównie o znormalizowane kulturowo wzory zachowań związane ze świętowaniem roku kościelnego. O szeroko pojętą sferę zwyczajowości związaną z ludzkim cyklem „rites de passage”, czyli „obrzędami przejścia” od narodzin do śmierci, które dotyczą: rozwoju biologicznego i społecznego jednostki. W istotnym zakresie są one również znakami żarliwej pobożności Górnolązaków.

Symbolem własnej tożsamości jest też „nasza kultura”, które to pojęcie nie jest ostre, często też wchodzi w zakres sposobu pojmowania własnej tradycji. Jednak szczególnym aspektem kultury śląskiej jest podkreślanie jej inności i swoistej odrębności, co niekiedy prowadzi do jej przeciwstawiania kulturze polskiej.

Obyczajowość to znak szczególny lokalnej, regionalnej tożsamości, którego specyfika określa zwłaszcza swoistą inność, odrębność od obyczajowości polskiej.

Szczególny charakter symboliczny ma wreszcie własna, śląska przeszłość, czyli konkretyzując historia Górnolązaków z Górnego Śląska postrzegana głównie poprzez pryzmat upokorzeń i krzywd bezustannie doznawanych. To symbol o szczególnym i trwałym znaczeniu; zarazem swoista lokalna wykładnia historiozoficzna.

Poczucie więzi grupowej to fundamentalny, obok przestrzegania tradycji i realizowania określonych wzorów kulturowych, element konstytuujący „bycie Ślązakiem”. Wiąż z innymi, z grupą, świadczy o poczuciu identyfikacji. Ma znaczenie realne i symboliczne. Wszelkie zaś zachowania dewiacyjne naruszające więzi z grupą były pojmowane w kategoriach zaprzęstwa. „Być Ślązakiem” to znaczy być z innymi, odczuwać związek z całą regionalną zbiorowością.

Tożsamość śląską w dawnym potocznym rozumieniu potwierdza też poczucie odrębności. Należało być przede wszystkim „swojakiem”, uczestniczyć w realizacji określonego kodu kulturowego, konkretnych sekwencji kulturowych

odziedziczonych po antenatach i tym samym usankcjonowanych. Realne poczucie odrębności przejawiające się w obiegowych sformułowaniach, w których wykazywano swoją odrębność etniczną od Polaków i Niemców jest skrajnym przejawem zasygnalizowanej tendencji. Natomiast typowe jest zwłaszcza bliżej nieokreślone poczucie swojej oryginalnej odmienności, które nie miało konsekwencji politycznych, i mieściło się w szerokiej perspektywie polskości. To było raczej instynktowne poczucie więzi, bo dominuje głównie optyka śląskocentryczna. I ona ma swój głęboki sens symboliczny.

Szczególnym przypadkiem znaku symbolicznego jest triada: śląska religijność, śląska praca i śląska rodzina, jako istotne wyznaczniki regionalnej tożsamości. Według tego myślenia są one typowe głównie dla Górnego Śląska. Są uznawane jako symbole tego, co własne. Powiada się, że w tym zawiera się śląskość. „To idzie wypisać na śląskich sztandarach” co dowodzi, iż następuje proces zawłaszczania wartości uniwersalnych do lokalnych. W tym specyficznym myśleniu istotną rolę odgrywa proces mitologizacji rzeczywistości, który na poziomie argumentacji symbolicznej staje się znakiem wyjątkowym.

W tej kategorii znaków wskazać można jeszcze wiele innych przykładów. Z całą jednak pewnością szczególnie wyraźnie wyodrębnia się „śląską mowę” oraz tradycyjny strój regionalny. Gwary, lokalne odmiany polskiego języka ogólnonarodowego, stanowią dla ich użytkowników istotny element identyfikacji, główny śro-

dek komunikacji, wreszcie to, co jest atrakcyjne i niezbędne. Proste stwierdzenie: „Kto godo po śląsku i sie tego nie wstydi jest Slonzokiem” wyjaśnia nieomal wszystko. To jest realny symbol ciągłości, trwania, związku z przeszłością i przyszłością. Natomiast strój regionalny, zwłaszcza kobiecy, był symbolem, który zmienił się w czasie, zawsze jednak poświadczając odrębność Górnolązaków. W różnym wymiarze i natężeniu.

Między dawnymi i nowymi czasami

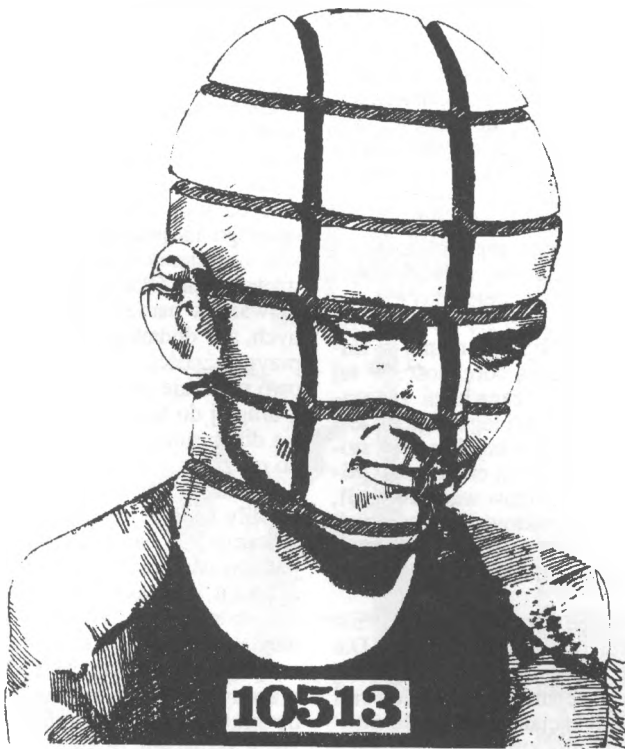
Przytoczone symbole i znaki tożsamości śląskiej są znamienne dla dawnego potocznego myślenia. Ale jednak ciążą również nad współczesnością. Są przejawem ontologii ludowej, lecz w kontekście procesu rewitalizacji śląskiej tożsamości nabierają swojego nowego znaczenia i są swoście zawieszane między mityzacją a myśleniem racjonalnym, które jednak nie potrafi się oderwać od typowych dla regionu śląskiego schematów interpretacyjnych i symboli.

Pozostaje problem odniesień do polskości, do tożsamości narodowej. I tu sprawa się komplikuje, bo jednak śląska tożsamość jest jednolita i wieloznaczna zarazem, spójna i rozdarta, a ponadto tradycyjna śląskość coraz wyraźniej się kurczy. Traci swoje tradycyjne podłoże, a zarazem brak chyba poważniejszych ożywczych i twórczych inspiracji pobudzających potoczne wyobrażenia i wizje.

Warto więc w tym miejscu — odwołując się do przeszłości śląskiej ludności rodzimej — przywołać myśl Józefa

Obrebskiego, która wprawdzie odnosiła się do zupełnie innych realiów: „W koncepcjach jakiejś grupy etnicznej wybija się więc na pierwszy plan stale i niezmiennie wizerunek grupy obcej. Wizerunek własny jest tylko refleksiem tych kontrastów, na których podstawie jakaś grupa etniczna definiuje odrębność grup innych. To wszystko, co grupa ocenia jako swoje, własne, różniące się od innej grupy etnicznej, zostaje postawione w ten związek jako antyteza tych cech, które stanowią o odrębności grupy obcej”.

W efekcie ludowy charakter kultury śląskiej ludności rodzimej, żyjącej od średniowiecza poza etniczną macierzą, nie może skłaniać do prostych i pochopnych wniosków. Także w odniesieniu do sposobów potocznego pojmowania tożsamości. ■



Rys. Marek Michalski



Jacek Wódz

Z politycznego punktu widzenia

JACEK
WÓDZKAZIMIERA
WÓDZ

Niech nam będzie wolno rozpocząć od konstatacji, iż tożsamość regionalna rozumiana w postaci kulturowej jest na Górnym Śląsku faktem i to faktem socjologicznie rozeznany i przez nikogo rozsądnego nie kontestowanym. Jakie są zatem konsekwencje polityczne tożsamości kulturowej w tym specyficznym regionie?

Otóż to, co wydaje nam się ważne i co chcemy uczynić przedmiotem dalszych rozważań, to właśnie pytanie o konsekwencje polityczne faktu istnienia kulturowej odrębności regionu. Jest to pytanie mające co najmniej dwa aspekty. Po pierwsze jest to pytanie o to czy w samej definicji tożsamości regionalnej zawarte są treści polityczne? Po drugie jest to pytanie o to, czy w szerszym układzie politycznym (stosunku do Polski, do jej sąsiadów, do granic państwowych, do sytuacji regionów w Europie itd.) tożsamość Górnego Śląska rodzi skutki polityczne wpływające na sytuację samego regionu.

1. W procesach rewitalizacji tożsamości śląskiej, jakie bardzo intensywnie rozpoczęły się na przełomie lat 80. i 90., pojawiło się wiele treści politycznych (np. odniesienie do innych części Polski, kontestacja roli Warszawy itd.). Zresztą stowarzyszenia i partie regionalne same wyraźnie podkreślają te aspekty tożsamości regionalnej (por. cytowany przez M. G. Gerlicha artykuł pt.: „Niesforność peregrynów” w miesięczniku Ruchu Autonomii Śląska — „Jaskółka” — M. G. Gerlich: „W poszukiwaniu narodu śląskiego — w — ŚLĄSK Nr 8/22 sierpień 1997). Te czysto polityczne rewindykacje znalazły się w jednoznacznej postaci we wniosku o rejestrację Stowarzyszenia Ludności Narodowości Śląskiej. Co prawda skomplikowane procedury prawne doprowadziły do odmowy rejestracji tego stowarzyszenia, ale przecież sam fakt powstania takiego wniosku i poparcie jakie zyskał on na Górnym Śląsku jasno wskazują, że rewindykacje tożsamościowe mają tu wyraźne konotacje polityczne.

Drugi aspekt owych konotacji politycznych to podkreślenie szczególnego charakteru transgranicznego tego regionu co w oczywisty sposób każe najmniejsze nawet rewindykacje, nawet czysto kulturowe, widzieć również w perspektywie politycznej. Nie dość tego, Górny Śląsk staje się od kilku lat podmiotem gospodarczej wymiany międzyregionalnej w Europie co podkreśla de facto jego polityczną odrębność. W tej sytuacji wydaje się, że rozważanie kilku zagadnień związanych z politycznymi konotacjami tożsamości tego regionu jest uzasadnione tym bardziej, że dotychczas te aspekty były stonkowo rzadko poważnie traktowane (co jest częściowo „winą” piszących o tzw. regionalizacji socjologów warszawskich, którzy nie rozumiejąc specyfiki Śląska traktowali go w swych projektach jako region taki sam jak i inne projektowane przez nich czy przez władze dla przyszłego podziału administracyjnego kraju).

Istnieje wiele aspektów wskazanego przez nas zagadnienia politycznych konotacji tożsamości regionalnej śląskiej. Dla jasności skupimy się tu na dwu zagadnieniach — z jednej strony na przejściu między rewindykacjami tożsamościowymi o charakterze kulturowym a rewindykacjami tożsamościowymi o charakterze politycznym, z drugiej strony na tworzeniu

się na Górnym Śląsku specyficznych form reprezentacji politycznej. To ostatnie zagadnienie pomoże nam we wskazaniu potrzeby poszukiwania rozwiązań specyficznych dla tego właśnie regionu.

2. Tożsamość kulturowa regionu, jak to wskazaliśmy wyżej, nie podlega wątpliwości. Trzeba jednak zaznaczyć, że zjawisko odradzania się poczucia tożsamości śląskiej ma swoją dynamikę i właśnie krótkie wskazanie na pewne elementy tej dynamiki pozwoli nam na zrozumienie funkcji jaką odgrywa dziś tzw. ideologia regionalna, a więc zespół treści wytwarzanych dla konkretnego użytku politycznego, ale bazowanych na faktycznych odczuciach płynących z różnic kulturowych. Zanim jednak przejdziemy do tego etapu prezentacji zadajmy sobie pewne pytanie — tożsamość kulturowa wiąże się ze zjawiskiem samoidentyfikacji kulturowej ludności, która posiada swą odrębną tożsamość kulturową. Jak zjawiska te przebiegały na Górnym Śląsku po 1989 roku?

Rozpocznijmy od stwierdzenia iż już w ostatnich latach 80. dały się bardzo wyraźnie odczuć liczne inicjatywy społeczne zmierzające do prawa miejscowej ludności do kultywowania swej kultury, do rozwoju wiedzy o swej historii i swej tradycji. Po latach, kiedy to z czysto politycznych względów władza totalitarna blokowała te procesy, ów społeczny odruch wydawał się bardziej niż rozumiały i co trzeba podkreślić zyskiwał wiele poparcia społecznego także wśród ludności nieśląskiej ale tu już od lat zakorzenionej. Przemiany demokratyczne lat 1989/90 w wyraźny sposób sprzyjały rozwojowi tak renesansu poczucia przynależności śląskiej jak i tworzeniu się struktur społeczeństwa obywatelskiego w ramach którego życie asocjatywne odgrywa przecież bardzo ważną rolę. Powstały jednak problemy z określeniem, kto może się poczuwać do śląskości. I choć najważniejsze stowarzyszenie regionalne, Związek Górnośląski w bardzo otwarty sposób podszło do tego zagadnienia (odchodząc od czysto etnicznego, opartego na pochodzeniu od rodziców czy dziadków Ślązaków określenia śląskości) to praktyka społeczna wciąż rodziła wiele pytań. Okazało się bowiem, że owa śląskości jest definiowana w bardzo różny sposób przez samych zainteresowanych, a w dodatku odnosi się to nie tylko do samego poczucia przynależności, ale także do szerszego kontaktu w którym owo poczucie powstaje, a więc z jednej strony do przeszłości, z drugiej do zakresu przestrzeni społecznej, z trzeciej wreszcie do stosunku do innych części Polski, do Niemiec a nawet do poczucia granicy państwowej.

Dokładniejsze przyjrzenie się temu zagadnieniu, na co pozwoliły badania zespołu kierowanego przez Kazimierę Wódz wskazuje, iż bardzo istotnym elementem samoidentyfikacji jest swoiste brzemie przeszłości (zwłaszcza z okresu wojny, okupacji, ale także lat powojennych a nawet najnowszych, tych tzw. „gierkowskiach”), które ukierunkowuje pewne elementy samoidentyfikacji na zatajanie pewnych elementów swej historii własnej czy rodzinnej. To nie poczucie winy, bo o żadnych winach nie ma tu mowy, to raczej lęk przed tym, by nie być źle zrozumianym i by przez to nie wytworzyć złych skojarzeń ze swą czy swej rodziny przeszłością. Przy

bardzo niskim stopniu wiedzy tzw. reszty Polski na temat Śląska taki lęk wydaje się bardzo zrozumiały.

Inne badania prowadzone w formie analizy historii życia pozwoliły na sformułowanie hipotezy, iż mamy do czynienia na Górnym Śląsku ze swoistą samoidentyfikacją kontekstową. W zależności od sytuacji społecznej w której następuje samookreślenie, podkreśla się opcję albo czysto śląską, albo polsko-śląską, albo śląsko-niemiecką, albo czysto polską. W naszych badaniach nie zetknęliśmy się z opcją czysto niemiecką, ale wiadomo, iż istnieje ona, choć częściej zdarza się na terenach Śląska Opolskiego. Nie jest jednak istotne dla nas, która z tych opcji występuje jak często, ważne jest natomiast podkreślenie, iż samoidentyfikacja ma właśnie ów kontekstowy charakter.

Z tego co powiedziano wyżej wynika jasno, iż procesy odradzania się tożsamości regionalnej w postaci kulturowej uwiarygodniły znaczne skomplikowanie zagadnienia samej tożsamości śląskiej. Jednocześnie jednak Polska stała się krajem demokratycznym. Dla celów mobilizacji społecznej zaczęto szybko budować ową ideologię regionalną, która miała pozwolić lokalnym i regionalnym przywódcom na zmobilizowanie ludności śląskiej do stworzenia elektoratu o specyficznych cechach regionalnych. W oczywisty sposób włączono więc elementy polityczne do samej definicji tożsamości. Skoro okazało się, że trudno będzie znaleźć elementy wspólne wewnątrz tej samej grupy łatwiej było posłużyć się dwiema technikami, z jednej strony idealizacji własnej grupy, z drugiej wskazaniem na odrębność „innych”. W ten sposób grupie własnej przypisano wiele cech pozytywnych, z założenia wskazując, że owi „inni” tych cech nie posiadają (technikę tę nazywa się czasem techniką czarnego ekranu na tle którego wszystkie nasze jaśniejsze punkty są szczególnie widoczne).

Za owych „innych” przyjmowano raz całą resztę Polski (zwłaszcza zaś centrum, stąd mówiono o kolonizacji Śląska przez centrum), raz tylko „przybyszów” a więc ludność pochodzącą z innych regionów Polski, ale od lat zamieszkałą na Górnym Śląsku (to o tej ludności mówiono, iż są to „goście” na Górnym Śląsku), najczęściej jednak mieszkańców bezpośredniego sąsiedztwa a więc Zagłębiaków. Stosunkowo łatwo jest zrekonstruować cel takich działań, a ich funkcja mobilizacyjna była oczywista. Jednocześnie jednak nastąpiła polityzacja tożsamości regionalnej, która już nie była czystym wyrazem odmienności kulturowej ale mieszkanką owej odmienności kulturowej i obrazów ideologicznych.

Drugim elementem była inwencja tradycji. To zjawisko dobrze znane w literaturze historycznej i politologicznej opisywane przez E. Hobsbawma i T. Rangera. Owa inwencja to nie tworzenie faktów, to raczej działanie polegające z jednej strony na idealizacji pewnych faktów czy cech społecznych zaistniałych w przeszłości, z drugiej taki dobór tych elementów, by tworzyły spójny obraz danej zbiorowości co w konsekwencji sprowadza się do stworzenia z takiej „wytworzonej tradycji” podstawy dla budowania w przyszłości poczucia prawa do własnego rozwoju kulturowego (a w przyszłości i politycznego). Zjawisko takie obserwujemy na Górnym Śląsku, zwłaszcza w wydaniu intelektualnej części elit regionalnych. Warto przytoczyć tylko dwa przykłady takiej inwencji tradycji. Pierwszy to podkreślanie cywilizacyjnej i przemysłowej tradycji tego regionu sytuującej go wyżej niż wiele innych regionów kraju (zwłaszcza regionów dawnych zaborów rosyjskiego i austriackiego). Jest w tym bardzo wiele prawdy, tak się odbywał rozwój Górnego Śląska, iż faktycznie miał on podstawy do zbudowania cywilizacji przemysłowej o wiele wcześniej niż inne ziemie Polski. Z tego faktu wyprowadza się też słuszny wniosek o większej wartości pracy i o jej solidności. Wszystkie te cechy, które występowały w szybko uprzemysławianych w końcu XIX wieku okręgach przemysłowych jak np. pijaństwo czy tzw. patologie miejskie, wynikające z szybkiej urbanizacji.

W owych zabiegach o „wytwarzanie tradycji” widzimy więc wyraźną intencję budowania obrazu pozytywnego. Jest to więc sposób, podobnie jak ideologia regionalna, na dowartościowanie swojej grupy co daje szansę na jej bardziej skuteczną mobilizację do zachowań politycznych typowych dla społeczeństw demokratycznych. Inny przykład takiej inwencji tradycji to odniesienie się do tradycji europejskich (a raczej środkowoeuropejskich) regionu z wyraźnym przeciwstawieniem tej tradycji sytuacji Warszawy, której się tych tradycji i chyba słusznie, odmawia.

Mamy tu do czynienia z nawiązaniem do tradycji państwa prawa (czy się to komu podoba czy nie państwo niemieckie przed I wojną światową było państwem prawa i to pozostało w pamięci elit regionalnych) i z próbą postawienia swojej grupy ponad tradycją polityczną innych części społeczeństwa polskiego. Obydwa przykłady wskazują na to, że w warunkach społeczeństwa demokratycznego, budowanego w Polsce po 1989 roku mamy do czynienia z polityzacją tożsamości śląskiej. Nie jest to z naszej strony krytyka tych zjawisk, to raczej apel by przestać przypadek śląski rozpatrywać jako przypadek odrębności kulturowej, a zdać sobie sprawę iż mamy do czynienia ze zjawiskami mającymi głębokie konotacje polityczne.

3. Przejdźmy teraz do następnego zagadnienia, do problemów specyficznych form reprezentacji politycznej na Górnym Śląsku. Z góry zaznaczamy, że nie chcemy tu prowadzić dyskusji na temat autonomii śląskiej, która jest faktem historycznym, a która dziś może służyć (i często służy w dyskursie politycznym na Górnym Śląsku) tylko za symboliczne odwołanie. Jest to idea społecznie wypalona i elity regionalne winny pracować nad bardziej nowoczesnymi rozwiązaniami. Rzeczywistość dzisiejsza jest inna niżli czasy po I wojnie światowej i dla poważnych polityków regionalnych jest oczywistym, iż nie można dziś w mechaniczny sposób powtarzać rozwiązań politycznych z lat 20.

Jednak samo odwołanie symboliczne jest bardzo żywe, można powiedzieć, że tym żywsze im bardziej odwołujemy się do symbolu niżli do poszczególnych rozwiązań, które zresztą są stosunkowo mało znane nawet wśród elit politycznych regionu. Ważniejszą sprawą jest tworzenie się politycznej reprezentacji w czasach po zmianie demokratycznej. Zanim jednak przejdziemy do czasów po 1989, nie można nie wspomnieć o pewnym fakcie politycznym, który miał miejsce w województwie katowickim w latach 60. i 70., a który dziś dość mocno wpływa na aktualne formy reprezentacji politycznej na Śląsku. Mamy na myśli sprawowanie urzędu najpierw Przewodniczącego WRN, a później wojewody przez generała Jerzego Ziętka. Jego sposób sprawowania władzy regionalnej (jeśli w wielkim skrócie można tak nazwać władzę na szczeblu wojewódzkim) był dość szczególny — nosił wiele cech regionalnego przywództwa charyzmatycznego i pozostał w społecznej świadomości jako szczególnie efektywny i korzystny dla Śląska. Ten sposób sprawowania władzy, a także fakt iż czynił to rodowity Ślązak często podkreślający swą śląskości, często używający w kontaktach społecznych gwary śląskiej, spowodował, iż samo pojęcie reprezentacji politycznej nie było w latach minionych kojarzone tutaj wyłącznie negatywnie. Nie dość tego, można mówić o pewnych elementach ciągłości pojęcia reprezentacji politycznej, chociaż system totalitarny de facto uniemożliwiał funkcjonowanie władzy mającej szerszą społeczną legitymację. Mówiąc o reprezentacji politycznej mamy tu na myśli czysto socjo-polityczne rozumienie tego terminu a nie pojęcie prawno-konstytucyjne.

Wracając do problemów specyfiki reprezentacji politycznej na Górnym Śląsku, warto zatrzymać się nad trzema zagadnieniami, które świadczą o istnieniu tu tych form tożsamości politycznej, które znajdują swój wyraz właśnie w typie reprezentacji politycznej. Te trzy zagadnienia to:

a) sposób w jaki reprezentowane są tu partie o charakterze ogólnokrajowym,

Rys. Marek Polanski



b) istnienie specyficznych protopartii regionalnych czy nawet lokalnych,

c) specyficzne wzory karier politycznych i tworzenie się specyficznych elit politycznych.

Wyniki wyborów o charakterze krajowym (a więc wyborów parlamentarnych i prezydenckich), a także dwu referendów pozwalają na konstatację wyznaczającą dość wyraźną granicę zachowań politycznych mieszkańców województwa katowickiego. Otóż po stronie śląskiej województwa zwyczajstwa odnosią zwykle partie prawicowe, gdy po stronie zagłębiowskiej jest to zwykle zdecydowane zwycięstwo SLD. Stopień zorganizowania partii o charakterze krajowym jest zdecydowanie wyższy po stronie zagłębiowskiej niż po stronie śląskiej województwa. Jedynym wyjątkiem jest UW w Gliwicach, położonych po stronie śląskiej, ale mających charakter zupełnie odmienny od reszty miast śląskiej części województwa (miasto inteligentkie o dużym odsetku ludności przybyłej z dawnych terenów wschodnich II RP). Dane te są łatwe do sprawdzenia, bowiem dla celów wyborczych województwo katowickie jest podzielone na trzy okręgi wyborcze, i Zagłębie Dąbrowskie stanowi osobny okręg. Można na podstawie tych danych stwierdzić, że partie polityczne o charakterze ogólnokrajowym są silnie reprezentowane w Zagłębiu Dąbrowskim.

Na terenach śląskich województwa reprezentowane są albo małe struktury polityczne o charakterze krajowym, albo, co najczęstsze, w okresie przedwyborczym następuje mobilizacja ad hoc wokół prawicowych komitetów wyborczych o charakterze krajowym. Odnosi się to także do ostatnich wyborów parlamentarnych, trudno bowiem AWS uważać za klasyczną partię polityczną działającą na szczeblu ogólnonarodowym. Jeśli spojrzymy na sytuację polityczną na szczeblu lokalnym tj. na szczeblu dużych gmin miejskich (a pamiętajmy, iż mamy do czynienia z największą w Polsce konurbacją liczącą około 4 mln ludności, miasta są tu więc miastami średnimi i dużymi) to ów podział wskazany wyżej uwydatni się jeszcze mocniej.

4. Z naszych badań empirycznych wynika, że o ile w miastach zagłębiowskich reprezentacje polityczne na szczeblu lokalnym tworzone są według logiki partyjnej, a podmiotami politycznymi są to oddziały terenowe ogólnopolskich partii politycznych (głównie SLD) o tyle w miastach śląskich logika partyjna funkcjonuje o wiele słabiej, reprezentacje polityczne tworzone są według zasady regionalnej (o czym szerzej powiemy w dalszej części tej prezentacji), a podmiotami politycznymi są komitety wyborcze często tworzone ad hoc i mające wyraźne lokalne i regionalne konotacje programowe. Wnioskiem który płynie z tych ustaleń jest stwierdzenie, iż partie polityczne o charakterze ogólnokrajowym są stosunkowo mało obecne w życiu politycznym regionu, że na szczeblu lokalnym (ale jest to w warunkach śląskich szczebel wielu miast średnich i dużych) partie te mają stosunkowo małe wpływy.

Można więc zapytać, czy owa specyfika śląska oznacza, że mamy do czynienia ze swoistą pustką polityczną? Otóż nie. Miejsce to zajęte jest przez specyficzne formy reprezentacji politycznej, które występują właśnie na terenie Górnego Śląska. To albo protopartie albo specyficzne komitety wyborcze zakorzenione w problemach regionalnych i lokalnych. Wyjaśnijmy najpierw, co to są owe protopartie polityczne. To struktury, które, oceniając ich działalność, mogą w przyszłości przekształcić się w partie polityczne, ale na obecnym etapie stanowią swoiste połączenie dwu logik działania: z jednej strony logiki stowarzyszeniowej, z drugiej strony logiki partyjnej. Zwykle takie protopartie powstają jako stowarzyszenia i rozbudowują swą strukturę organizacyjną w formie funkcjonalnej do swych celów stowarzyszeniowych. Jednak w okresach intensywnych debat politycznych, w okresie ważnych wydarzeń politycznych, a przede wszystkim w okresie przedwyborczym — stowarzyszenia takie porzucają logikę stowarzyszeniową. Przejmują wtedy reguły gry politycznej, rozwijają dyskurs polityczny, często same wystawiają kandydatów w wyborach albo desygnują swych członków do startu w wyborach w ramach tworzonych ad hoc komitetów wyborczych. Słowem, w okresie intensywnych działań politycznych protopartie działają jak zwykle partie polityczne. A potem wracają do swej logiki stowarzyszeniowej, wyżej cenią sobie wówczas swe cele społeczne i w sumie stanowią wątpliwą bazę organizacyjną dla osób wybranych. W historii zachowań politycznych znane są liczne przykłady takich protopartii, które zwykle mają terytorialnie dość ograniczone wpływy.

Otóż na Górnym Śląsku mamy do czynienia ze strukturą polityczną, która jest ewidentną protopartią polityczną, mającą w dodatku duże wpływy tak na szczeblu regionalnym (początkiem tych wpływów była możliwość obsadzania ważnych stanowisk w Urzędzie Wojewódzkim za czasów pierwszego solidarnościowego wojewody pana Wojciecha Czecha) jak i w wielu śląskich miastach dużej i średniej wielkości. Tą protopartią polityczną jest Związek Górnośląski, organizacja o charakterze stowarzyszeniowym, wielce zasłużona dla podjęcia publicznych debat nad śląską tożsamością, która jednak w wielu sytuacjach politycznych zachowywała się jak partia polityczna (np. w okresach wyborów rozwijając dyskurs polityczny i desygnując swych kandydatów tak do Sejmu RP jak i do władz lokalnych).

Istnienie takiej protopartii, w dodatku w swych pierwszych latach wyraźnie wspieranej organizacyjnie przez parafie rzymsko-katolickie, zapełniło ową pustkę jaka wydawała się tworzyć w śląskiej części województwa, gdy partie o charakterze ogólnokrajowym nie były w stanie zdobywać tam szerszych elektoratów i budować silnych struktur organizacyjnych. Trzeba jeszcze wspomnieć o tworzeniu się w wielu miastach śląskich specyficznych lokalnych struktur wyborczych, też często o charakterze stowarzyszeniowym, odgrywających na szczeblu lokalnym funkcje protopartii lokalnych.

W tym fenomenie budowania sobie tylko właściwych form reprezentacji politycznej na szczeblu regionalnym i lokalnym wyraża się właśnie owa polityzacja tożsamości śląskiej. To właśnie takie struktury (co zresztą oczywiste, to one bowiem muszą przed wyborami mobilizować elektorat regionalny i lokalny) rozwijają dyskurs polityczny o charakterze regionalnym i one wpływają na polityzację tożsamości regionalnej. Oczywiście jest, że przy takim połączeniu logiki stowarzyszeniowej (przypomnijmy nie było jakich stowarzyszeń, ale stowarzyszeń, których celem jest rozwój tożsamości regionalnej!) z logiką dyskursu politycznego następuje przeplatanie się tożsamości kulturowej z tożsamością polityczną.

Przejdźmy teraz do ostatniego zagadnienia — form przywództwa lokalnego i regionalnego. Przypomnijmy, że żywa jest tu jeszcze tradycja przywództwa charyzmatycznego. Modne dziś powroty do historycznych dokonań Wojciecha Korfiantego to też przecież swoista tęsknota za przywództwem charyzmatycznym. Z naszych badań wynika, że właśnie w niektórych miastach śląskich istnieją powody do uznania, iż lokalni przywódcy budują taką właśnie formę przywództwa. Badany przez nas przykład Rybnika, analizowany już i opisywany, to tylko jeden z przykładów, gdzie przywództwo lokalne zakorzenione właśnie w lokalności i regionalności, budowane jest w oparciu o szeroką strukturę społeczną o formie stowarzyszeniowej i pobudzanej do dyskursu politycznego tylko w okresach wyborczych. Ta struktura służy jako baza społeczna dla bardzo silnej osobowości społecznej przywódcy lokalnego, ten zaś z kolei biorąc na siebie o wiele więcej odpowiedzialności niżli by to z jego oficjalnych prerogatyw i obowiązków wynikało, tworzy nowe formy partnerstwa społecznego w sprawowaniu władzy.

Jest rzeczą oczywistą, że dla tego typu przywództwa łączenie rewindykacji kulturowej i rewindykacji politycznej to norma praktyki politycznej. Celem takich karier jest praca lokalna czy regionalna bez jej drożności, a więc bez promocji do ewentualnej kariery na szczeblu krajowym. Pozostaje sprawą bez wyjaśnienia, czy taka sytuacja trwać będzie dalej czy też wcześniej czy później zostanie to uznane za blokowanie karier krajowych dla elit lokalnych czy regionalnych.

Druga uwaga odnosi się do tworzenia na poziomie lokalnym dużych miast śląskich karier politycznych wywodzących z deklaracji po poszanowaniu kulturowych wartości regionalnych. W sytuacji, gdy w dużych miastach śląskich często władzę sprawują koalicje reprezentantów komitetów wyborczych utworzonych ad hoc bądź też protopartii regionalnych czy lokalnych, taka deklaracja (i potwierdzenie jej w praktyce politycznej) jest dobrą legitymacją do sprawowania władzy. W takiej sytuacji bardziej praktyka władzy niżli dyskurs polityczny służy potwierdzeniu łączenia logiki tożsamościowej o charakterze kulturowym i o charakterze politycznym.

1) Tekst ten jest zmodyfikowaną wersją wystąpienia Jacka Wodza na X Zjeździe Polskiego Towarzystwa Socjologicznego w Katowicach (wrzesień 1997), powstała przy współpracy Kazimierzy Wódcz.

To była operacja konieczna, przy użyciu radykalnych środków. Toteż jednym z zdecydowanych cięciem minister kultury i sztuki, Joanna Wnuk-Nazarowa, rozcięła iście gordyjski węzeł pt. Teatr Narodowy, wydając decyzję o rozdzieleniu sceny operowej i dramatycznej oraz ponownym utworzeniu dwu niezależnych instytucji. Sytuacja wraca więc

Okazuje się, że aż 20 procent swego budżetu Ministerstwo Kultury i Sztuki przeznaczają na utrzymanie Teatru Narodowego, który jest w stanie strawić każdą, wzrastającą od lat dotację... przy malejących zyskach własnych. To musi budzić społeczny sprzeciw: z jednej strony skąpe, dawkowane środki na przetrwanie — co w drastycznym stopniu doskwiera chociażby śląskim instytucjom artystycznym — a jednocześnie hojność ponad stan — i to przy marnych rezultatach. A przecież miało być akurat na odwrót!

SOBIEPAŃSTWO

do stanu sprzed pożaru Teatru Narodowego w 1984 roku, gdy w obrębie największego kompleksu teatralnego na świecie, za jaki uchodzi zespół gmachów przy Placu Teatralnym w Warszawie, działały dwie samodzielne instytucje, dysponujące odrębnymi zespołami artystycznymi i technicznymi.

Tak więc po trzech latach szamotaniny, sporów i konfrontacji okazało się, że był to jednak wielki, wyjątkowo kosztowny błąd, co zapowiedzieli przeciwnicy niefortunnej decyzji ministerialnej Kazimierza Dejmka, o zespoleniu obu instytucji pod jedną dyrekcją i nową nazwą. W efekcie nie tylko nie doszło do redukcji stanu zatrudnienia, przede wszystkim w pionie administracji, służb pomocniczych i technicznych, ale do ich rozrostu. Jednocześnie zmalała drastycznie liczba premier i spektakli, przy skokowym wzroście kosztów utrzymania tej gigantycznej instytucji. Nie da się nawet oszacować jak wielka była cena doprowadzenia do skutku chwalebnej, być może, idei powrotu do historycznej nazwy obu scen, nawiązującej do czasów Wojciecha Bogusławskiego — idei bliskiej szczególnie Kazimierzowi Dejmkiemu. Uplywa właśnie 30 lat, gdy rozstał się z dyrekcją Teatru Narodowego na krótko przed wyderzeniami marcowymi, odwołany ze stanowiska w atmosferze politycznej hysterii i szykan, po zdjęciu ze sceny „Dziadów” w jego inscenizacji, które przeszły do historii nie tylko jako wielkie wydarzenie artystyczne.

Decyzja, którą minister Kazimierz Dejmek w roku 1995 podjął, uruchamiając monstrualną operację zespolenia dwu instytucji narodowych pod jedną dyrekcją, okazała się pod każdym względem fatalną, której kosztów nie da się zbilansować. Teraz zaś dojdą nowe, związane z przywróceniem poprzedniego porządku. Tak więc co jeden minister złączył — inny teraz rozłączył, choć niewyobrażalne koszty tej podwójnej operacji poniesie będzie musiał znów budżet państwa.

Rzecz w tym, iż sam eksperyment nie został racjonalnie sprawdzony i zamienił się w odwrotność tego co zakładał projektodawca. Koncepcja Dejmka miała przynieść właśnie znaczne oszczędności finansowe, większą sprawność organizacyjną oraz redukcję rozduętej administracji i zatrudnienia w zespołach technicznych. Wbrew tym postanowieniom zatrudnienie akurat wzrosło: sam zespół kierowniczy obejmuje 26 stanowisk, w większości z tytułami dyrektorów. O tym do jakich przerosłów w Teatrze Narodowym pod tym względem doszło, świadczą porównania, które przytaczam za „Ruchem Muzycznym”. Otóż w roku 1996 instytucja ta zatrudniała łącznie 1307 pracowników, z tego 319 w pionie artystycznym, 473 — technicznym, 361 — administracyjnym i 154 w zespołach pomocniczych. Porównywalna British Royal Opera zatrudniała w tym czasie 820 osób — 270 w pionie artystycznym, 300 — w technicznym, 150 — w administracji oraz 100 w innych grupach pracowniczych. Czterokrotnie mniej zatrudniała w tym okresie Los Angeles Opera: łącznie 330 osób, z tego 240 w pionie artystycznym — tu liczby są porównywalne lecz zaledwie 60 w zespołach technicznych i jedynie 30 w administracji. Jest to oczywiście wynikiem całkowicie odmiennego systemu organizacyjnego, w którym wiele prac i zadań zleca się na zewnątrz. W ogóle na porównania nie ma się co silić, skoro zysk z biletów w Teatrze Narodowym to zaledwie 8 procent wpływów (aż 78 procent wynosi państwowa dotacja), gdy w przypadku British Royal Opera i Los Angeles Opera zysk ten, przy wielokrotnie wyższych cenach biletów, wynosi 56 procent.

Czy jednak zadecydowany rozdział scen przyniesie istotne zmiany pod względem zatrudnienia, skoro w okresie trzech

ostatnich lat akurat „papierokraci”, czyli administracja, jeszcze wzrosła w siłę. Działo się to przy wsparciu zakładowej „Solidarności” przeciwnej zmianom organizacyjnym i projektowanej restrukturyzacji, za to zaangażowanej w wywieranie skutecznej presji „na pozyskiwanie dalszych subwencji rządowych” —

o czym wiele w przywołanym już „Ruchu Muzycznym” (nr 25 z 14 grudnia 1997). Jak stwierdza autor artykułu pt. „Wielki, większy... Narodowy”, Douglas Keegan, żadne racjonalne racje ekonomiczne nie znajdowały posłuchu, rósł za to nacisk na płace i utrzymanie dotychczasowego porządku. W okresie tym doszło też do wyjątkowego wzrostu uposażeń, toteż płace osiągnęły, jak na warunki w polskich instytucjach artystycznych, wyjątkowo wysoki średni poziom, przekraczający kilkakrotnie uposażenia w innych naszych teatrach muzycznych, nadal w większości państwowych.

Nawet akceptując uzasadnione przywileje, do których scena o tytule teatru narodowego ma prawo, trudno przystać na tak wielkie różnicowanie i dysproporcje. Kwota 2400 złotych, która wypada średnio na 1 pracownika tej instytucji, jest 4-krotnie wyższa niż — dla przykładu — wynagrodzenie w Operze Śląskiej, Wrocławskiej, czy Krakowskiej. Rozwarstwienie pod tym względem osiągnęło poziom niepojęty, a przecież środki na ten cel pochodzą z budżetu tego samego państwa. Ile jednak w tym państwa — ile sobiepaństwa, dowieść łatwo.

W tych latach gdy teatralny moloch, zwany Teatrem Narodowym, podwajał swe finansowe nienasyconie, nie poparte rezultatami artystycznymi — w Poznaniu, Krakowie, Gdańsku, Bydgoszczy, Szczecinie i Bytomiu wyraźnie zmalało zatrudnienie, redukowano zespoły, ograniczono ilość i koszty premier oraz atrakcyjnych występów gościnnych i spektakli. W niektórych przypadkach redukcja zatrudnienia osiągnęła poziom granicy bezpieczeństwa artystycznego, choć wielu artystów zatrudnionych jest na częściowych etatach, czy też angażowanych jedynie do poszczególnych ról — byle ograniczyć wydatki i dotrwać jako tako do końca roku. W Operze Śląskiej redukcja zatrudnienia wyniosła ponad 30 procent, także liczba uposażeń najniższych, objętych rekompensatami socjalnymi, znacznie wzrosła. Jak w tych warunkach pozyskiwać młodych, najbardziej utalentowanych, nie mówiąc o artystach reprezentujących wysokie i najwyższe kwalifikacje, skoro z wielkim trudem utrzymywany jest stan posiadania, narazony i tak na ubytki.

Tak drastycznych dysproporcji w zakresie plac nigdy wcześniej nie było. Nastąpiło to na tak wielką skalę właśnie w latach ostatnich, gdy środki na kulturę zmalały niemal do połowy w stosunku do roku 1990 i oscylują w granicach 0,8 procent budżetu państwa. Co by więc nie rzec, lecz funkcjonujące przez lata siatki plac, nie dopuszczały do powstania aż tak znacznego materialnego rozwarstwienia i podziałów. Czy znajdzie się jednak skuteczny sposób by złagodzić dysproporcje w zakresie plac, oczywiście zależy to od możliwości finansowych, które są mizerne. Czy jednak aż tak wielkie środki muszą pochłaniać instytucje o randze narodowej. Tytuł sceny narodowej nie może się sprowadzać do splendorów z ministerialnego nadania a tym bardziej stać się podstawą do wygórowanych roszczeń, ponad możliwości budżetu na kulturę tego samego przecież państwa.

Trzyletnie gry i przetargi związane z połączeniem dwu scen w jeden zespolony Teatr Narodowy okazały się wyjątkowo kosztowne. Konieczna decyzja przywrócenia stanu poprzedniego pochłonęła znowu wiele środków i energii ze stratą dla działalności artystycznej. Czy okaże się jednak możliwe to co niezbędne — poważne ograniczenie zatrudnienia, w pierwszej kolejności „papierokratów”. Czy to akurat stanie się wykonalne — a może na odwrót, zatrudnienie w sumie jeszcze wzrosnie, kosztem całej biedniejszej kultury narodowej — jak to się działo dotąd.

TADEUSZ KIJONKA

Małe ciernie

krótka chwila przed nocą cała przed nią młodość
z włókienkami unerwień już gotowych na dreszcz
światło cichych błyskawic lekkie szybkie chmury
cienie chłopców łagodne cienie chłopców rozmyte

w zmarszczkach małej katuży płyną sennie księżycem
czemu nagle szerniałym gdy ławice ich ciał
w ciekły grynszpan rozpuszcza powiew wiatru i deszczu
pierwsze krople już spija dzielnica

przeświecają — drzy gwiazda — jeszcze chwilę przez ciemność
małe ciernie, ni śladu po chwili
światło cichych błyskawic chmury szybkie i lekkie
chwila krótka przelotna dzielnica

5.09.97 r.

Ach, jakież to wstrętne

Wracam wróciłem po latach w te strony
nie nagły pejzaż ani dźwięk zatarty
ale sen stary z którego wyplątać się
już nie sposób. Więc dalej — w półciemne
zaułki wspomnień, cóż! że dostrzec łatwo
jak zniewoleniom tym jest przynależna
śmieszność i nędza pasji bez nadziei
— to mnie nie boli. Niebo uspokoję
słodką jest wiedzą o czasie co minął
pozornie przecież bo tylko tam świecisz
jak rozpacz gwiazda połknięta w dzieciństwie

„Nowych nie znajdziesz krain ani morza,
to miasto pójdzie za tobą” — słyszałem
ani słowu nie wierząc. Za furtką stał ogród
nazw gotowych nas przyjąć zrymować do woli

Tam podróże dalekie zwiastował złotawo
słodki puzon pożądań, nad tym się rozvodzić
już nie będę.

Lecz skąd wiedza że pod tym coś się jeszcze kryje
poza duszno-słodkawym nurem w ciepłe lustro
własnej krwi? Że odkryłem tak wpatrzony w siebie
Swojej twarzy bliźniaczość? To jeszcze niewiele
każdy w sobie się pławi nawet kiedy płonie

Zatem milknę choć wracam wróciłem w te strony
nie ruszając się z miejsca, wszystko w lustrze było
tak czy owak. Nabrawszy światła w usta — krążyć
błądząc siebie nudnego w tych samych dzielnicach

Pustych okien chmur niemych drzwi szerniałych ślady
a każdy ślad powtarza — kto mnie śmie dotykać!
kalać swoim uczuciem, ach, jakież to wstrętne

4.09.97 r.

Na to samo miejsce

grudniowe światło wcześniej
rano, kiedy znów jestem starcem
i — jakbym nastuchiwał już tylko odgłosów
mijającego życia
albo grał na zwłokę z mgłą
co przez powieki przesączyć chce zimę

więc jeszcze wytargować smak
grudkę smaku kiedy linia
czy melodia życia schodzi
w coraz ciemniejsze rejestry
krwi — dzieciństwa — a może
tylko błoto marnej próżni

czuję
że trzeba odnieść wrażenie
na to samo miejsce
gdzie było kiedyś zielone
przed snem w ciemnych żyłach nocy

...tam rzeki płyną nieznane tam
twarze świecą tęsknione
tam rosą nagłe powroty tam
gruzy słów rozkwitają...

ale teraz
kiedy życie zaczyna się
jąkać
gubiąc w końcu sens
i wszelką oczywistość

smaku żużel w ustach
ożyw deszczem
Panie

17.09.1997 r.

Teraz

Maleje słońce ciemnieją gwiazdy
poeta w oślepiającym blasku jesieni
śledzi siny obłok nad miastem
i stara się nie myśleć

o sobie słowami

Przez barierkę balkonu
poeta coraz głębiej wychyla się w świat
a świat jest ciemny głuchy i obcy

tajemnicy śnionej przez poetę

Nie chce szumieć w morzu jego oddechu
umyka jego palcom załamuje się
w szklach okularów

jak śpiew dziecka nad urwiskiem doświadczeń

Z tego miejsca poeta opisywał światło
potrafił dotykać szeptem skrzydeł turkawek
na bezlistnych drzewach przed domem

czyjaś ręka wskazywała mu miejsca i słowa

Teraz
podnosząc głowę
widzi proszący na jego włosy i twarz
fosforyczny pył suchych gwiazd

drobinki ciemniejszego światła
coraz szybciej podchodzą do oczu

2.09.1997 r.

Ani śladu

ktoś znów mówi że jesień, tak się skrapla lato
deszczu żółte i chore chyba płatki teraz
deszcz w pamięci mi pada stary deszcz drży w głowie
widzisz jakie to proste? — mówią twoje ślady

stary deszcz nie wysycha nie rdzewieje obłok
biały — już spoza światła — prawdziwy kształt
śpiewa

ciemna świata golizno, a może śnieg spadnie?
wciąż się czuję niejako w przededniu
bez dnia
bo też tu, w środku siebie, po ciemku siedzący
mam zgryzoty znam jesień, w moich suchych słowach
ani śladu rzecz jasna nie odciska
żadna

8.09.1997 r.

Światło

Rzeczy ciężkie też być mogą
z mgły, co na oczach siada

albo z rozbrykanych sekund
wystrugane pod szpitalem listopada

Rzeczy ciężkie rozchylają usta. Raz
jak zwierzę raz jak okno, oniemiałe

wzgórza kładą dobrotliwie między steczki
dobrych myśli jasnych dłoni, nabrzmiewają
Oto jest rozumność ciężkich rzeczy: kurz zdmuchnięty
— łatwej kuli która świeci

jakby siepacz ciął przez światło, żeby jasne
zimnej czerni dowód dało, żeby zgasto

Ślad

Żal się ściele pod światło wzroku
albo żalu mgła, cichsza niż najcichsza
bywa czasem ła

powstrzymywana. Jest na miejscu

i — jeszcze —

w suchym szepcie ranka ręce sobie urabia
żyły pruje za nas
całą robotę czyniąc — ślepie, żeby sprawę

zdać. Bo któż słyszał żeby nawet ślad
nie pozostał po nocy co była za dnia?



Rys. Wojtek Luka



z VLASTĄ DVOŘÁČKOVÁ
ROZMAWIA
WILHELM PRZECZEK

„Głos najlepiej potrafi sprawdzić słowo”

— Droga Pani Vlasto, czy w trakcie wyboru autora decyduje temat, sympatia osobista, czy też przypadek?

— Jeśli o mnie chodzi nie mogę tego określić jednoznacznie. To bywa różnie. Dla przykładu: *Konopielkę* Edwarda Redlińskiego, *Czarny romans* Władysława Terleckiego, albo *Balladę o Januszku* Sławomira Łubieńskiego wybierałam, bo zachwylił mnie temat typowo polski, ale równocześnie niebywale atrakcyjny dla czytelnika czeskiego... Obszerną powieść Jarosława Iwaszkiewicza *Sława i chwała* (*Čest a sláva*, 1974) otrzymałam od wydawnictwa do tłumaczenia raczej przez przypadek, ale za to jego *Ogrody* pragnęłam przetłumaczyć od dawna. Poza tym jest kolosalna różnica między tłumaczeniami poezji i prozy, właśnie tłumacząc prozę mogę sobie ustalić „dzienną normę”, z tym, że wrócę do tekstu podczas obróbki literackiej. W trakcie przekładów poezji nie można postąpić w ten sposób...

— Właśnie. Wróćmy w tym miejscu do Pani twórczości poetyckiej. W latach 1957—1968 wydała Pani siedem zbiorów poetyckich: *Wietrzny dzień* (1957), *Tylko galeria*, *Czysta rzeka*, *Wśród przechodniów*, *Gwizdanie na palcach*, *Pozwólmy na odpłynięcie promu...* Wszystkie Pani zbiory poezji, jak podkreślała krytyka literacka, są stawianiem ważkich pytań. Może przynajmniej na paru przykładach odsłoni Pani rąbka tajemnicy?

— Wiersze pisałam chyba od momentu, kiedy nauczyłam się literek. Było to coś w rodzaju pamiętnika: niekiedy notuję dwa wersy, albo zwrotkę, staram się utrwalić nastrój, jakieś niepozorne zdarzenia, chwilowe wrażenia...

— Pani Vlasto, wydaje mi się, że tkwi tu jednak jakiś paradoks. Pisze Pani od dzieciństwa, a jednak debiut poetycki musiał poczekać. Debiutem przekładowym była powieść polskiego robotnika, a właściwie nie powieść — tylko książka wspomnieniowa. Po prostu proza Józefa Boka *Na Uralu*, która wyszła w 1950 roku... I dopiero siedem lat później Pani tomik *Wietrzny dzień*.

— Bystre spojrzenie, panie Wilhelmie. Długo nie miałam odwagi, żeby pójść z rękopisem do wydawnictwa i to jeszcze przyniosłam wtedy tomik wyrastający z mojego dzieciństwa, wiersze podyktowane autopsją... Miałam 33 lata, czyli według krytyki tak zwany spóźniony debiut.

— Krytyka zresztą dostrzegła w Pani debiucie to, że nie ma tu wierszy „udawanych”, że zbiór jest pełen zauroczenia wielkością życia, pisano nawet, że jest „szczerze optymistyczny”; chwalono Panią za „wyczuwanie na delikatne i złożone procesy, które są poza zasięgiem powierzchownego i rutyniarskiego postrzegania”. Jeśli mogę zapytać skąd się wziął tytuł debiutu *Wietrzny dzień*?

— Urodziłam się na Wierchowinie Czeskomorawskiej. W tej okolicy nie panuje nigdy martwa cisza, stale wieje wiatr i nie zostawia ani ludzi, ani krajobrazu w spokoju. I stąd tytuł tomiku.

— Dwa lata po debiucie ukazał się kolejny zbiór zatytułowany *Tylko galeria...*

— To był skutek mojego ośmielenia się z sytuacją literacką. Tym razem chodziło o zbiór wierszy wyraźnie konceptowanych. Ta symboliczna droga od obrazu do obrazu, od portretów świętych, szlachciców, mieszczan i ludzi współczesnych po szkice ludzkich rąk. Inspiracją malarstwem była w tym tomie tylko pozorna, u podstaw, czyli w podtekście leżał obraz współczesnego świata wypełnionego dramatami oraz konfliktami interhumanistycznymi. Całość była więc kompozycją dokładnie przemyślaną.

— Potem wychodzą kolejne tomiki poetyckie *Czysta rzeka* i *Wśród przechodniów* (*Mezi chodci*, 1962). I znowu po dwu latach tom poezji o dziwnym tytule *Gwizdanie na palcach...*

— Tu zdobyłam się na stawianie pytań w wymiarze problemów, które mnie bez przerwy niepokoiły i nadal niepo-

koją: w świecie, który dla nas ludzi jest nieustająco „światem tymczasowym”, bezpośrednią obecnością śmierci, niebezpieczeństwem istnienia wielu półprawd. Podejmo- wałam w tym zbiorze wierszy próbę swoście pojmowanej konfrontacji z autentycznością człowieka...

— Podobnie zresztą było w tomiku poetyckim *Zezwolenie na odpływ promu (Nechat odjet prám, 1968)*... i za- jąła się potem Pani tworzeniem słuchowisk radiowych.

— Tak było. Odeszłam na jakiś czas od poezji. W tam- tym czasie bardzo dużo tłumaczyłam, w szczególności chodziło o teksty poetyckie. Pierwszym wydaniem książ- kowym z poezji polskiej był mój wybór z dzieła Marii Ko- nopnickiej *Na fujarce*. Książka pokazała się w Państwo- wym Wydawnictwie Literatury Pięknej w Pradze (1958). Ale wróćmy do słuchowisk radiowych, o które Pan pytał: W sumie jest ich siedem. Pierwsze z nich szło na falach praskiej rozgłośni Radia Czechosłowackiego w 1975 roku, nosiło tytuł *Ostrze igły (Špička jehly)*. Jest w nim mowa o szarej codzienności kobiety pracującej zawodowo, matki dwojga dzieci, zalatanej i śpieszącej się bez przerwy. W momencie zagrożenia nie może pozwolić na to, żeby ją mniejsze czy większe niepowodzenia zniszczyły ostatecz- nie. Uświadamia sobie, że trzeba się nauczyć szukać rado- ści nawet w najmniejszych drobnostkach. Powiem uczci- wie i szczerze: zaczęłam pisać to słuchowisko w dniu, kie- dy mnie — także zagonioną i śpieszącą się — miał przeje- chać tramwaj, tylko o włos uniknęłam śmierci. To znaczy, że przeżycia i doznania mojej radiowej bohaterki przedsta- wiałam prawdziwie... *Ostrze igły* otrzymało nagrodę w konkursie radiowym na słuchowiska...

— **Przyzna mi Pani jednak rację, Pani Vlasto, że słu- chowiska radiowe rzadko bywają omawiane przez kry- tykę literacką...**

— Pewnie to i racja, panie Wilhel- mie, ale ja otrzymałam za to słucho- wisko „królewskie honorarium” w postaci listu nieznanego mi pani: pisa- ła w nim, że również była załamana, ale po wysłuchaniu tej audycji ra- diowej, przestała myśleć o samobój- stwie. Jej list przez długie lata doda- wał z kolei pewności mnie samej: jakoś wyraziściej zaczęłam sobie uświadamiać, że nasz świat jest po- przetykany mocnymi nitkami ludz- kiej wspólnoty...

— **Chyba z tych odczuć zrodziło się potem Pani kolejne słuchowi- sko radiowe *Zielony świat*...**

— Dokładnie tak było. Słuchowi- sko opowiada o letnim wieczorze na przedmieściu Pragi. Podczas burzy rozgrywa się kłótnia, a potem akt pojednania dwu młodych ludzi. Ko- mentatorami i świadkami zajścia są dwa koty, które z płotu obserwują wydarzenie. Krytyka literacka tym razem to zauważyła. Pisała o *Zielo- nym świecie* jako o utworze lirycz- nym, ale ja sama uważam słuchowi- sko za komedię. Była to próba połą- czenia prozy (dialogi ludzi), „blan- kwersu” (rozmowa drzew z lampą uliczną) i wiersza rymowanego (roz- mowa kotów). W sumie dało to cie- kawie rezultaty. Jeśli dodać do tego wyczyn aktorów radiowych otrzy- mamy utwór, który może przemó- wić do wielu ludzi...

— **Napisała Pani potem jeszcze kilka słuchowisk... *Cnota czeskiej***

***szlachcianki, Kwaśne jabłko, Wyjątkowa nuta* i inne. Jest Pani także autorką najróżniejszych szkiców oraz esejów zamieszczanych często jako wstępy do tomików tłumaczonych poetów, ale nie o to chcę pytać. W jaki sposób tłumaczy Pani poezję? Tłumaczyła Pani prze- cież Czesława Miłosza, Karola Wojtyłę, Tadeusza Ró- źewicza, Wisławę Szymborską, Zbigniewa Herberta, Marię Pawlikowską-Jasnorzewską, Marię Konopnicką, ale także Adama Mickiewicza...**

— Polską poezję tłumaczę w podobny sposób, jak piszę własne wiersze — z radością, albo z cierpieniem... Tadeusz Różewicz napisał kiedyś, że poezja jest właściwie woła- niem do drugiego człowieka. Tłumaczenie jest częścią tej sztafety. Przenosi to wołanie i posłannictwo dalej. Nie mo- że zbroczyć z trasy i musi biec do celu jak najlepiej potrafi i ze wszystkich swoich sił... Poezja polska, w której rozczy- tuję się od lat, którą wnikliwie obserwuję i cieszę się na ko- lejne tomiki znanych i nieznanymi autorów — poezja ta posiada wiele drobnych, a czasami wspaniałych utworów.

— **Droga Pani Vlasto, proszę mi wybaczyć wścib- skości, ale czy może Pani przybliżyć czytelnikowi całą tę „technikę” przekładu tekstu poetyckiego?**

— No cóż, panie Wilhelmie, mogę tylko powiedzieć ja- ka jest u mnie najczęściej praktyka przekładu. Zaznaczam jednak, że „sposób” ten się zmienia i przywoływana przez Pana „technika” zmienia się w zależności od tłumaczone- go autora. Najczęściej zapamiętuję wers, całą zwrotkę i one towarzyszą mi na każdym kroku. Domagają się swojej czeskiej wersji. Niekiedy przychodzi to łatwo, innym ra- zem trudniej. Wiersze — nawet te tłumaczone „od środka” — przesładują mnie bez przerwy: w czasie jazdy metrem, podczas pracy w ogrodzie. Najczęściej tak długo, aż na- uczę się całego oryginału na pamięć. Potem zaczyna się

pierwszy wiersz, jego jądro obrasta otoczką, zaczyna się przybliżać do swojego kształtu ostatecznego. Nie- kiedy wydaje mi się, że nie dam ra- dy, że wiersz jest nieprzetłumaczal- ny. Dotyczy to przede wszystkim autorów, którzy zmierzają w twó- rczości w kierunku aforyzmu, kiedy staje się koniecznością to, żeby zachować prawie każdy szczegół i że- by — oczywiście — oddać dokład- nie pointę. W takich przypadkach „dojrzwianie przekładu” musi po- trwać dłużej.

— **Wiem, że Pani jest zauroczona dziełem Karola Irzykowskiego. Czy może Pani skomentować bardziej szczegółowo swój stosunek do jego twórczości krytyczno-literackiej. Wiem również, że zachwyci się Pa- ni poezją Józefa Czechowicza...**

— Panie Wilhelmie, na temat dzieła Karola Irzykowskiego wypo- wiadałam się już wielokrotnie, ale mogę jeszcze powtórzyć krótko dla czytelników „Śląska”: myślę, że wiele spraw przez niego porusz- nych może również zaciekać czy- telnika czeskiego... A Józef Czecho- wicz? Jest to dla mnie autor bez naj- mniejszego śladu deklaracyjności, proklamacji, czy też patosu, bardzo sugestywnie łączący wieloznaczą- ność z wewnętrzną muzykalnością. Wychodzi od konkretnego, ale równo- cześnie potrafi swoją poezję nasycić snem, mitem, wspomnieniem... Oczarowało go miasto, ale stale wraca do wsi, kieruje się w stronę

VLASTA DVOŘÁČKOVÁ należy do grona wybitnych czeskich tłumaczy polskiej literatury. W swoim dorobku translatorskim posiada ponad czterdzieści tytułów. Sama wydała siedem własnych zbiorów poetyckich. Poza przekładami polskiej poezji i prozy zajmuje się także tłumaczeniami z angielskiego i niemieckiego. Jej domeną jest jednak polska poezja, a tacy pisarze, jak: Józef I. Kraszewski, Eliza Orzeszkowa, Henryk Sienkiewicz, Stefan Żeromski, Jarosław Iwaszkiewicz, Kazimierz Brandys, Władysław Terlecki, Sławomir Łubiński, Edward Redliński i in. znajdują się na liście polskich autorów, których pani Vlasta przybliżyła czeskiemu czytelnikowi.

W ostatnim czasie odeszło kilku zna- komitych tłumaczy czeskich, zajmują- cych się przekładami literatury polskiej. Wspomnijmy choćby Helenę Teigową, Otokara Bartoša, Jana Pilará, Jarosla- va Simonidesa; poważnie zachorował Erich Sojka. Grono tłumaczy zostało wyraźnie uszczuplone, a młodych jakoś wyraźniej nie widać. Pozostały więc na tym polu dwa niekwestionowane autory- tety — Helena Stachová (proza, utwory sceniczne, film polski) oraz Vlasta Dvořáčková. Z obu tymi znakomitościami przeprowadziłem szereg rozmów dla najróżniejszych polskich i czeskich pism (*Życie Literackie, Opole, Tak i Nie, Zwrot, Ogniwo, Pamiętnik Literacki, Moravskoslezský den, Nové knihy i in.*).

przyrody, marzy o spokoju i pokoju, pragnie osiągać pewniki życiowe, ale przesładują go przeżycia wojenne, myśli równocześnie o dzieciństwie i śmierci — i wszystkie te przeciwności tworzą bardzo silne napięcia wewnętrzne jego poezji. Jest to po prostu PAN POETA, jak się u nas mówi — i każdy jego najdrobniejszy utwór przysparza tłumaczowi wiele pracy i wysiłku. Właśnie dlatego mnie pociąga i pragnę teraz poświęcić się tłumaczeniu tej wspaniałej poezji.

— Tłumaczyła Pani również utwory sceniczne Tadeusza Różewicza: *Stara kobieta wysiaduje*, *Kartoteka*, *Do piachu*...

— Scena, praca dla teatru — to jest na pewno wspaniała możliwość. Muszę jednak powiedzieć, że sztuki Tadeusza Różewicza, które uważam za wyśmienite intelektualnie i formalnie, miały u nas w Czechach trudne „życie sceniczne”. Poza *Kartoteką* tylko nieliczne znalazły reżysera czeskiego. Widziałam w Polsce kilka różewiczowskich inscenizacji, wszystkie udane, pomysłowe, widzowie byli zawsze zafrapowani i zmuszeni do refleksji. Nie pozostaje nic innego, jak wierzyć w to, że także u nas dojdzie do przełamania przysłowiowych lodów pod tym względem.

— Powiedziała mi Pani kiedyś w wywiadzie, że „głos najlepiej potrafi sprawdzić słowo”...

— Pamiętam. Stwierdzenie to wywodzi się z moich doświadczeń wynikających ze współpracy z radiem. Poza kilku audycjami złożonymi z przekładów współczesnej poezji polskiej, przygotowałam także audycje poświęcone Waławowi Potockiemu, Juliuszowi Słowackiemu, Adamowi Mickiewiczowi, Marii Konopnickiej. Z listów słuchaczy wiemy, że programy te zyskały sobie wielu zwolenników i mają bardzo pozytywny rezonans. Dla mnie jako tłumaczki jest bardzo ważne to, żeby sły s z e ć przetłumaczone wiersze. I tu powtarzam dobitnie: GŁOS NAJLEPIEJ POTRAFI SPRAWDZIĆ SŁOWO!

— W czwartym numerze ostrawskiego pisma *ALTERNATIVA* — *NOVA* opublikowała Pani znakomite przekłady Wisławy Szymborskiej...

— Wiersze, poezję i tomiki obecnej Laureatki Nagrody Nobla tłumaczyłam już od dawna. Zazwyczaj jestem niezadowolona z moich starszych przekładów... Razem z Mirosławem Holubem już pod koniec lat pięćdziesiątych tłumaczyliśmy wiersze z pierwszych tomików Białoszewskiego, Czycza, Harasymowicza, Herberta i innych. Od razu nas zaintrygowali swoją „prapremierą” — wierszami na łamach „*Życia Literackiego*” (1955 r. — przyp. W.P.)... Potem całą rzeszę polskich poetów tłumaczyłam na czeski samodzielnie. Przez kilka lat zajmowałam się Pawlikowską: szczerpy tomik przygotowany przez Słonimskiego wręczył mi podczas naszego pierwszego spotkania Zbigniew Herbert. Nosiłam książeczkę w kieszeni, tomik towarzyszył mi na każdym kroku. Magdalena Samozwaniec, którą spotkałam pewnego razu w Warszawie, cieszyła się, że wiersze jej siostry ukażą się w języku czeskim — niestety nie doczekała się tego. Ale nawet o niej, czy o Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, nie mogę myśleć jak o kimś, kto już nie żyje — w Krakowie mam zawsze uczucie, że muszę je spotkać

Vlasta Dvořáčková powiedziała mi kiedyś: *POEZJĘ TŁUMACZĘ W PODOBNY SPOSÓB, JAK PISZĘ WŁASNE WIERSZE — Z RADOŚCIĄ, ALBO Z CIERPIENIEM*. Zapytana o początki działalności przekładowej odpowiada: „Początki większości tłumaczy bywają podobne: każdy z nas przymierzał się najpierw do krótkich utworów, do wierszy tłumaczonych dla różnych czasopism. Dla mnie były to bardzo przydatne „lata terminowania”, lata niezmiernie pozytywne. Rozpoczęłam w 1947 roku...”

Jezykiem polskim zaczęła się interesować jeszcze w czasie wojny, jako studentka Gimnazjum Realnego w Havlíčkovym Brodzie. Jak się zwierzyła: „Podziwiałam Polaków, którzy tak bohaterko walczyli z hitlerowskim okupantem. Staralam się nauczyć jako samouk przynajmniej podstaw języka polskiego, żeby móc przeczytać parę polskich książek. Kiedy po wojnie, w lecie 1945 r. rozpoczęto wykłady na wyższych uczelniach, zgłosiłam się na *Fakultet Filozoficzny UK w Pradze* i wiedziałam już na pewno, że chcę studiować język czeski w kombinacji z językiem polskim. Wykłady prowadził prof. Marian Szykowski i prof. Karel Krejčí. To było niesamowicie interesujące. Zajęcia z panią Izą Šaunová były moimi pierwszymi lekcjami języka polskiego. Jestem i zawsze będę wdzięczna właśnie tym wykładowcom, a kolejnymi moimi nauczycielami byli wszyscy wybitni polscy autorzy, których tłumaczyłam...”

W.P.

przecież gdzieś w okolicach Sukienic, albo w drodze na Wawel... Tłumaczyłam następnie Morsztyna — to była niesamowicie trudna praca, ale była to zarazem wielka radość i w pewnym stopniu zabawa. A poezja Wisławy Szymborskiej i Tadeusza Różewicza? Z nich obojga przygotowałam po dwa wybory — i nadal chętnie tłumaczę każdy ich wiersz, przecież potrafią niepowtarzalnie „przekraczać oczywistość i nadawać jej inny wymiar”...

— Warto tu przypomnieć, że wybór Tadeusza Różewicza *W środku życia* pokazał się już w 1958 roku, a wybór z Wisławy Szymborskiej *Sól* wyszedł w 1962 r.

— Poza autorami, których tomiki wyszły później w moim przekładzie w postaci książek, publikowałam na łamach „*Světové literatury*” (to odpowiednik polskiej „*Literatury na świecie*” — przyp. W.P.) publikowałam wiersze Leopolda Staffa, Mieczysława Jastruna, Ewy Lipskiej, Czesława Miłosza, eseje Jana Błońskiego o Gałczyńskim i Kazimierza Wyki *Podróż do krainy nieprawdopodobieństwa*. Na pewno zapomniałam o wielu innych sprawach, ale proszę nie wymagać ode mnie, żebym przewertowała stare roczniki „*Světové literatury*”...

— Droga Pani Vlasto, bardzo sobie cenię Pani pochwałę pod moim adresem, które napisała Pani w liście po moich przekładach poezji Jaroslava Seiferta ogłaszanych na łamach „*Życia Literackiego*”, „*Radaru*”, „*Miesięcznika Literackiego*” i innych pism. Podkreśliła Pani, że udało mi się przetransponować seifertowski rytm...

— No bo rzeczywiście liczy się przede wszystkim rytm. Ktoś może pomyśleć, że wolny wiersz (tzw. wiersz „biały”) można tłumaczyć jak prozę. To jest jednak nieprawda... Uważam, że właśnie rytm jest podstawą, a poszukiwanie rymów radością, decydujące jest odnalezienie właściwej tonacji poezji! I kto nie znajdzie tej poetyckiej tonacji w przekładzie — ten daje zamiast żywych kwiatów — garść suchej trawy.

— Chciałbym, Droga Pani Vlasto, podziękować za przekłady moich wierszy i za to, że interesuje się Pani także twórczością nas, polskich poetów i pisarzy, którzy mieszkają w Republice Czeskiej i są obywatelami czeskimi. Tłumaczyła Pani przecież także naszą twórczość, co jest dla nas wielkim wyróżnieniem...

— Współpracowałam z Erichem Sojką nad przekładami wierszy Renaty Putzlacher *Małgorzata poszukuje mistrza* (*Markéta hledá mistra*), tłumaczyłam także wiersze Pana i kilku poetów z Cieszyńskiego... Ale domyślam się, że na zakończenie będzie chodziło o jakieś „przesłanie”. Bardzo lubię chodzić po antykwiariatach praskich. Przegrzebuje stopy książek, ale właśnie te stopy są niesamowicie wymowne... Jakże dużo jest książek, które nie zdołały przejść przez próbę czasu! Życzylabym sobie, żeby przynajmniej jeden mój tomik, przynajmniej jedno tłumaczenie — pozostały żywe i żywotne. Nawet po latach.

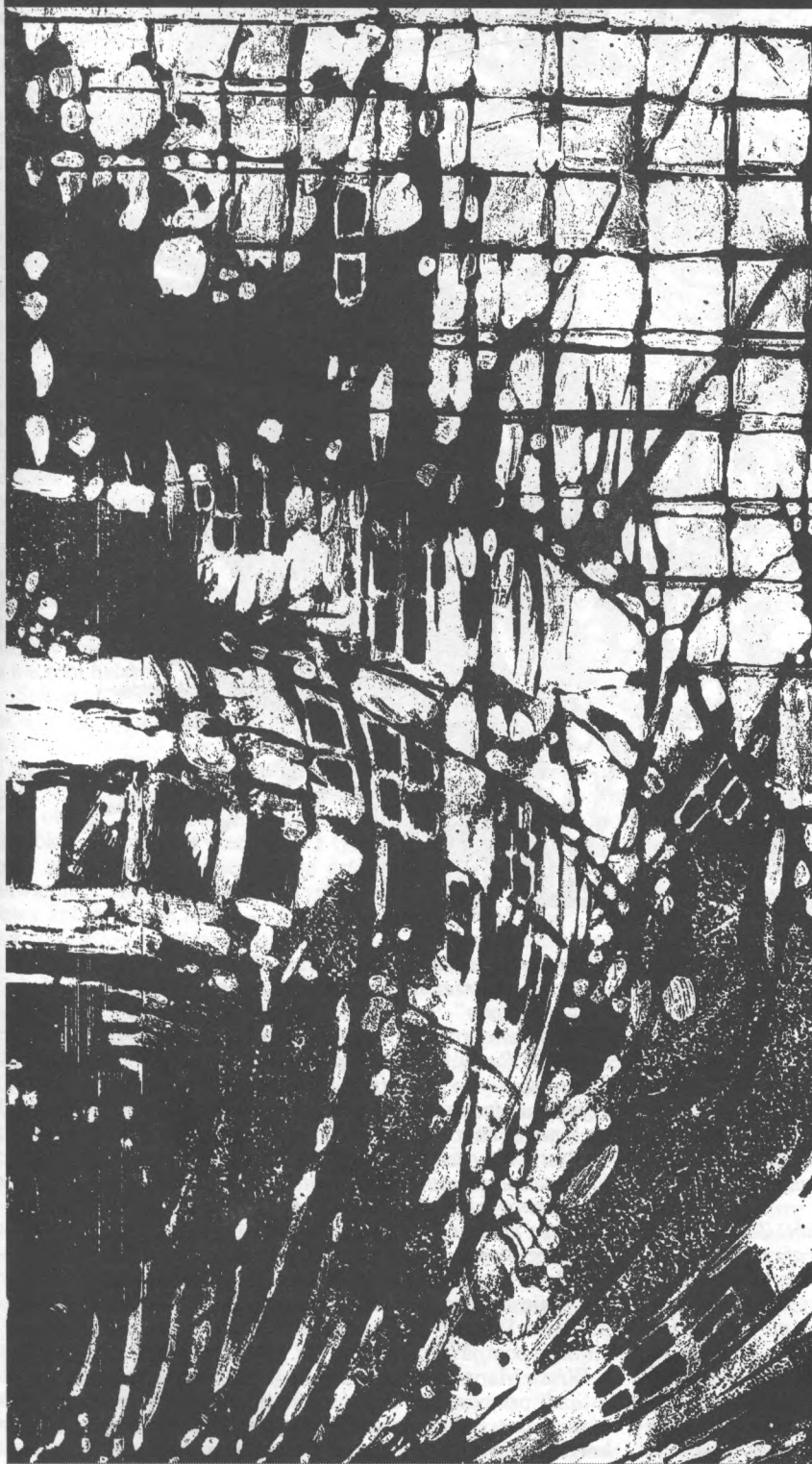
— Serdecznie Pani dziękuję za rozmowę w swoim imieniu oraz także w imieniu czytelników „*Śląska*”...

— Rádo se stálo.. ■

OKNA

Nie

JACEK DURSKI



mogę wyjść na podwórko, do bawiących się chłopców. Matka niepokoiłaby się, że wybiją mi zaraz zęby i nie mogłaby spokojnie odpocząć przed przyjęciem gości. Kazała cichutko podejść swemu syneczkowi do cierpiącej matki postuchać jak chrypi serce pod białą piersią i powiedziała szeptem „Chyba dziś umrę, a jeśli zejdiesz do tych niegodziwych bachorów, to umrę dzisiaj na pewno”. I kazała mi odejść jak najciszej i czytać coś mądrego. Tak chciałbym przewrócić z tobą ten tapczan, włożyć ci między nogi brzytwę ojca. Bój się Pana Boga, że tak pomyślałem. Kłuje mnie w głowie.

A na podwórku chłopcy rzucają piłką, dyndają na trzepaku, skaczą po metalowych kublach. Zrobili pociąg i pędzą za psakiem dozorczyńni.

Idę do stołowego popatrzeć z okna na ulicę Mariacką.

Może przejedzie wóz z węglem albo dorożka z jakimiś gorolami. Postucham jak stukają o asfalt chude koniki. — Co tak łazisz i łazisz? — sploszyło na chwilę moje myśli pytanie Eisengrebera. Zapada się pod jezdnię stukający obrazek. Przywieram twarzą do szyby. Nie. Otwieram okno. A może czarny wóz najeździe na czarną dorożkę. Wygrzebie się z węgla pijany woźnica, wyprysnie spod walizek pijany dorożkarz i dadzą sobie po pysku. Wyleżą z bram pijane prostytutki, pijani dozorczy i będzie pijane kino na ulicy Mariackiej. — Co tak stoisz i stoisz? — włązi mi w obrazek następne pytanie Eisengrebera. Rozprasza zbiegowisko pod osiemnastym numerem. Jeszcze milicjant wykrzyknie „To ja wam w komisariacie przypierdolę”, na „przypierdolę”, „przypierdolę” woźnicy i dorożkarza. I oglądam szaroszara ulicę, po której nic nie jedzie i nikt nie idzie.

Przy stole, w fotelu schowany za gazetą złości się Eisengreber. Rozerwał sobie usta kurzą nogą. I teraz nie może krzyżeć do Trumana za oceanem „Na co czekasz głuptaku?” Siedzi w gazecie wymyślając cichutko przodownikom pracy i gorszej służącej, która jak poszła po wódkę do sklepu, tak poszła.

Patrzę na ten pokój, ponury jak całe mieszkanie. Ściany trzy osiemdziesiąt, wytarte do połowy kulkami chleba a wyżej z siedmioletnim brudem. Sufit pięć na sześć ciemniejszy od ciemnej podłogi. Piec z powbijanymi między kafle gwoździami. Meble, każdy z innej parafii. Eisengreber z rozdartą gębą.

Przywołuję anioła stróża. Sadzam niebieskiego za stołem na poważnych i śmiesznych krzesłach. Siedz tu i tu. I pilnuj, abym nie dźgnął jednym z tych widelców, w gazetę, za którą twarz Eisengrebera. A najlepiej to przepędź zwyrodnialca na cztery wiatry z mojego domu. Nie przepędzaj bo wejdzie w inną rodzinę. Lepiej zarznij go tym nożem i wyslij w szafie do wszystkich diabłów.

— Co tak patrzysz i patrzysz? — syczy Eisengreber. Składa gazetę Pstrowskim do Markiewki. Skubie wylazące z fotela czarne fafoły. Nie rozerwał sobie gęby kurzym gnatem, ale wielką kurwą, ponieważ dostał na obiad zamiast udka skrzydełko. I teraz musi

Grafika: Wojtek Łuka

szeptać. Kładzie giry na stół, on Amerykanin z Czeladzi. Wygina przy filiżance z kawą szare pląfusiska. Gmera paluchami w szklankach po herbacie i w kubku na wódkę. Unosi zgiętą stopą widelec.

Otwieram szybko okno i pluję Broyowej na parapet.

— Hh — charczy Eisengreber radośnie, widząc, że może to samo nogą, co ręką.

Pluję Broyowej i pluję, aż język boli.

Z bramy wylazi dozorca Pućsamino. Idzie ciężko, podpierając się laską i kulą. Jeden syn siedzi w Rawiczu, za rozebranie jakiejś panią, drugi syn siedzi w Strzelcach Opolskich, za kradzież desek z trybuny pierwszomajowej, a córka leży w szpitalu w Bogucicach, pewnie ma raczysko. Przystanął pod sklepikiem szmat i butelek. Smarknął na swój los i wlecze się dalej. Zagroziły mu drogę stare prostytutki z wielkimi torbami. Poczesał zmartwionego pijaczka, Wróci do domu bez galot, ale z laską i kulą, i zbije swoją babę, żeby wiedziała, że bez spodni też jest z niego obywatel.

Dość już mam tych obrazków Mariackiej pod tytułem „Pućsamino i prostytutki” i obrazków bez tytułu. Leżącego na jezdni dozorca. Pobitej dozorczyń Pućsamino. Mordobic między alfonsami o portfele zrobionych gości. Polowań na gnoja, który załatwił swoje i nie zapłacił. Rechetów i jejków.

Rośnie mi z rączki ręka Wagligóry. Wygarniam na Tylną Mariacką, całe to chodzące kurestwo. Przenoszę z jezdni na schody Mariackiego Kościoła, niewiedzącego o bożym świecie dozorcę. Może Pan wystrzela Pućsamino po pysku? Jeszcze przewracam betonowy słup z postrzępionymi afiszami. Sterczy na chodniku irytując nawet analfabetów.

Zatoczę głupca na ulicę Dworcową. A potem, kulaj się zdrowo aż do Warszawy. Niech go postawią na jakimś placu i czytają co napisali.

Posprzątałem z Mariackiej wszystkie brzydactwa. Wyrzuciłem razem z kurwami pijaków, złodziei, kapusiowatych. Zostało szare nic.

A chcę czegoś pięknego.

Zdzieram kawał jezdni i jeszcze kawał. Trzaska oddzierany od gruntu asfalt. Łamię się w czarne płyty. Odrzucam daleko przeciwległą kamienicę. Odslonięta ziemia śmierdzi ale porasta trawą.

Na zielonym błoniu grzechocze don Kichot. Zamęczył żelastwem szakę. Chory z idei, upiór u fotografa, strach w redakcji. „Polak nie Hiszpan” — powiedziałyby ciocia Hela. Człapie za wariatem Sancho, cały zmachany, bo zjadł wczoraj swojego osiołka. „Też Polak” pokiwałby głową wuj Horacy.

Przygalopował pod bramę lekki szwadron. Kilku wiernych chłopców na gorących koniach. Zostali na wrześniowej drodze i nie wiedzą gdzie zginąć. „Atakujemy?” pyta ojciec białonogą klacz. Spojrzył w okno. Puste. Przecież urodziłem się

Grafika: Wojtek Łuka



dopiero w czterdziestym trzecim. Zarżała ostra klacz. Osadzają się w strzemionach ulani przed szarżą „Było, nie było panno Pelasiu”.

Po zielonej trawce utyka Kichotek, cały we wróblach. Nie zawrócił Rawy kijem. Skopali go w redakcji, obiecując, że jak jeszcze raz przyjdzie, to opiszą idiotę. Nie ma nawet czym zgać jutrosińskich wiatraków, bo zapomniał wyjąć dzię z naczelnego. Zamiast do Jutrosina, pójdzie wreszcie do dentysty. Na razie stoi samotny na śląskim polu, wspominając ostatnią minutkę Rossynanta jak przysiadł na chudym zadzie, pomyślał po ludzku i zdechł.

A co z moim ojcem i białonogim koniem?

Ojciec, dzięki Bogu przeżył trzy wojny i Powstanie Wielkopolskie, spadając z kilku koni.

— Nie możesz patrzeć z innego pokoju? — syczy głos za plecami. Warczy „nie możesz?” Syczy „patrzeć”. Szeleści „innego pokoju”.

Wraca Mariacka z kurwami i pokój z Eisengreberem.

Siadł przy drugim oknie, na stoliczku do wszystkiego. Na stosie gazet, na nierozwiązanych i rozwiązanych przez matkę krzyżówkach, na ojca teczce z kłopotami instytutu, na moich

akwarelkach: „Koniec świata”, „Pan witytator pokrajany jak leci przez panią od polskiego”, „Kolejny pomysł wuja Stefana”, „Mariacka w dzień wypłaty”, „Wuj Mariusz wstający z grobu”, „Stalinogród koło Siemianowic”, „Ojciec widziany oczami Eisengrebera”. Siadł szeroko na ostatnich krzykach mody ciotki Heli i rozmyśla „Jak się uczaplić, aby nie robić a zarobić?” Frunął na złotym piórku za żelarną kurtynę do niedalekiej a dalekiej Szwecji. A tam też pracują, psiakrew. Przysiadł z powrotem w Polsce, na moich akwarelkach i wzdycha „Truman za oceanem, nie wie co począć ze świeżutkimi bombami, a on Teosiek musi trzymać mordę na kłódkę, bo rozerwał sobie usta tą świńską kurzyną, a poza tym, boi się strasznie urzędników Bezpieczeństwa. Wystarczy, że zięć zrobił mu wnuczkę bez rączek.” Spojrzył na idącego po ścianie pajaka. „Czy można o tej porze zabić wróźbitę?” „A niech se idzie do muchy” majtnął wspaniałomyślnie nogą. Odprowadziwszy kawałek maszerującego przejechał wzrokiem ze ściany na sufit, aż do gromadki pluskiew uciekającej od wczoraj przed proszkiem „Dedete”. Zapatrzył się w fuj-kropy i siedzi trupem.

Co za ulga. Nie trzeszczy stawami. Nie charczy. Nie pyta „Co tak”. „Co tak.” Nie gładzi czerwonych krost na czerwonych policzkach. Nie śmieje się z Pstrowskiego „Ręka rozumu nie miała”. Nie przepycha czarnych lufek czarnym wacikiem. Nie podnosi stopą widelców. Nie obiecuje służącym „Zgniotę was drzwiami, tłuściutkie”. O jak dobrze, że sparaliżowaną niemową. Ocknął się po iluś sekundach. Zamachał rękami „gdzie jestem?” Przyłożył pięść do nosa i choleruje na: spóźniających się gości, punktualny zegarek, za daleko stojący hotel, Trumana, który ma bomby a nie robi hałasu.

Sukinsyn. Zmiał moją wspaniałą akwarelkę „Stalinogród koło Siemianowic” i wrzucił do kapelusza ciotki Heli. Teraz drapie skaszowacią od wódki policzek, zastanawiając się na głos — Czy okazać spóźnialskim swoje niezadowolone przez cały wieczór, czy tylko przy powitaniu. Rozdziera moją drugą akwarelkę „Koniec świata” i części połową końca czarne lufki. — Co tak nic nie robicie? — warczy do lepszej i gorszej służącej, wyglądających przez trzecie okno. — Mało was oświeciłem jasnymi Anielkami? Mało wam ciężkich choler nakładłem na tacę? — pyta wychiskając kacowe wrzodziki. — Wylegują się jakby były na państwowej posiadzie. Zagięty, wypięty kuper, kawka, herbatka i tak bimabają w oknie. A stół nie nakryty, zakąski w proszku, wódka nie oziębiona.

Ze też Pan Bóg nie zadławi go swoim palcem — pomyślałem rozczarowany — albo czymś innym, przecież ma tyle chorób pod ręką. Ze też pozwala mu tak gadać i gadać, i kłaść się na matkę.

— Zupełnie jak w zjednoczeniu — szeleści dalej Eisengreber. — Przewiesiły się przez parapet i czekają na jakąś sensację, a „Starowin” ciepły. Przejadę mu po wargach brzytwą ojca — uśmiechnąłem się do czerwonej fanta-

zji. Nie będzie tyle gadał. — „Starowin” nie ochłodzony, a one opowiadają o pierwszych skrobankach — dudni piętami po ścianie. Przetnę mu twarz brzytwą, popatrzę na krwawiącego i wymaluję czerwony portret diabła, dam matce — mrugnąłem wesoło do nie namazanej akwarelki. — Nakrywać stół obrusem i w te pędy do kuchni, albo was „uch” — nie może znaleźć przerażającego słowa — łupiąc piętą w piętę. Zrobił z ręki młotek i trzasnął nim powracającego pajaka. „Kogo by teraz?” szczypie kacową krostę. Podrośli mu nos ze złości. Chyba będzie przeskądzał w czytaniu. Rozkłada gazetę z Pstrowskim. Dobrze, że jest dalekowidzem. Zobaczy z daleka przodowników pracy i wyrąbany chodnik. *Przeciagnę ci w kroku brzytwą i rozejdziesz się na poniedziałek i piątek* — obiecałem Eisengreberowi w czerwonych myślach. — *Rozerżnę cię, na prawo i lewo. Nie będziesz już skakał pod matką. Rozjedziesz się do Czeladzi i Kielc. I będę najważniejszy w domu* — zatańczyłem z kręstem „Krałowiczek ci ja”. Zakładają się o kopniaki w dupę, która wyjdzie za listonosza, a stół pusty — krzywi pyszczysko, robiąc z mojej najlepszej akwarelki, „Wuj Mariusz wstający z grobu” kolorową popielniczkę. Popycha zapalką zapalki w czarnej lufce. Wypukuje na wuja Mariusza czarne świństewko. Jest wściekły — nie dość, że musi, oddychać po tej stronie zelaznej kurtyny, to jeszcze zięć ciamcia zrobił mu wnusie bez rączek i taki wstyd, jemu, inżynierowi. Nie dość, że od środy do środy, musiał oprowadzać po całych Szopienicach delegatów zwycięskiej Korei, to dzisiaj, w czwartek niepotrzebnie kupił gazetę i niepotrzebnie przeczytał.

Zsuwa się wściekły ze stoliczka do wszystkiego. Wymachuje Pstrowskim. Macha przodownikiem minutę, pięć minut, kwadrans. Wygląda na to, że zwariował. Nie. Jest normalny. Tylko służce drażnią go zdrowymi pupami i ma ślinotok. Już pół godziny wachluje gazetą „czy o właściwej porze zabił pajaka?” Już z godzinkę stoi trzepocząc Pstrowskim, zieleniutki z wysiłku, podparty zielonym kręstem. jednak zwariował od „Starowinu”. Po dobrej godzinie opuszcza gazetę i pada umordowany na zielone krzesło. Skończył mu się ślinotok. — Co tak zasmiecone w tym pokoju? — syczy szurając nogami w strzępach akwarelek.

Dlaczego muszę bać się Pana Boga — pomyślałem niezadowolony — *przez Niego nie mogę skończyć z Eisengreberem. Nie pozwalasz, abym pokroił diabła brzytwą, a Sam nic nie robisz. Nie jesteś sprawiedliwy Ty mój Panie Boże. Zobacz tę kamienicę, w której muszę mieszkać, czarną, ponurą, chociaż z białymi krzyżami w oknach. Mogłoby straszyc w angielskim filmie. Spójrz na tego alfonsa ze smyczą, co wylał z bramy, wlał i znowu wylał, na szczekające kurwy, na ich córki kurewki, na rzygającego Pućsamino, na obrzyganą Pućsamino, na leżące na chodniku wyzwiska. Popatrz w oczy Broyowej, pomyłone, wypatrują Weh-*

rmachtu, chcą dalej mordować rękami młodziutkich Hansów. I zajrzyj tu, do tego mieszkania, gdzie kątem maluje i odrabiam lekcje. Zobaczysz moją matkę, zirytowaną „Teosiek spóźnia się z biura już dziewięć minut, może wypadł pod samochód”. Niestety, przyszedł po jedenastu i ślicznie gryzie matki paluszek. Zobacz Eisengrebera trawiczącego bigos i Eisengrebera na mojej zdychającej matce. Nie ujrzyś mego ojca, dyrektora, akurat wyjechał ekspresem do Warszawy, do instytutu, zabierając dwie sekretarki, aby nie mówiono, że pojechał tylko ze Stenią.

— Słuchaj, a może goście sterczą pod drzwiami — syczy Eisengreber nad uchem gorszej służącej. — Na pewno dzwonił, jak miałem ślinotok, a wy kłóciliście się o listonosza. I teraz nie wiedzą, co robić z nogami — syczy coraz ostrzej, zapominając o skałeczonych ustach. — Sprawdź, czy nie siedzą na schodach, a jak nie, to zarycz w dół, może już zesłi. A najlepiej, to stań pod bramą i czekaj na... Goście! — zawrzeszczał usłyszawszy dzwonek, aż rzuciło gorszą służącą na lepszą. I krzyknął „uu” a krzyknął „uu” bo wrzasnął „Goście!”

— *Pokarałeś go choć trochę Boże, jesteś cudowny, jesteś bomba* — spluwam radośnie na głowę Broyowej.

A matki Teosiek jęczy — „yp” — bo krzyknął „uu” a krzyknął „uu” bo wrzasnął „Goście!”

Zizza dzwonek. Pukają do drzwi paraso. Nie ma kto straszylom otworzyć. Lepsza służąca zaczęła o listonoszu. Gorsza, skacze jak wróbel na nici. Eisengreber schował twarz do kapelusza i jęczy. A ja? patrzę zyczliwie na ulicę Mariacką.

Z lewej, piękny kościół. Wrósł w ziemię i będzie. Przesuwam wzrok po gotyckiej wieży. Po czarnym grzbiecie z czarnymi wyrostkami. Drażnią mnie te sterczyny. Muszę coś na nich wieszkać, wiązać. Najchętniej balony, latawce.

Przed kościołem placyk, z drobną zielenią, ogrodzony kamiennymi słupami. Można postać na każdym, udając świętego i denerwując siostrę Benignę „Znowu jesteś wyższy, niż jesteś”.

Potem już kamienice, wprawdzie czarne jak smoła, ale gdyby je tak oprószyć bajkowo bielą i złotem, podmalować im te pierdołki nad bramami, oknami, to biegłyby z wdziękiem, trzymając się za ściany. A gdyby jeszcze kamienicę numer osiem wsadzić na miejsce siódemki, a siódemkę przewrócić na dach na miejsce trzynastki, a trzynastkę wywalić na gruzowisko, albo zatkać nią ulicę Stanisława, to architektki Warszawy, konferujący właśnie w Katowicach, z architektami Wrocławia otwarliby szeroko gęby i tak odjechali.

Wzdłuż kamienic — drzewa. Twarde sztuki urosły dźwigając kilogramy sady. Przeszkadzają Broyowej w wypatrywaniu Wehrmachtu. Każdy uczeń mojej klasy podlewa jedno drzewo, a ja pięć. Pozawieszałem na mariackich akcjach tabliczki z moim nazwiskiem i teraz, co wieczór, obie służące wychodzą

na ulicę z wiadrami wody. Cieszą się bardzo, że nie jestem opiekunem Parku Kościuszki. Jeśli matka pod wieczór jest zadowolona z życia, mogę towarzyszyć służbie i też podlewać.

Lomocą o drzwi parasole. Trzaska o szkiełko wziernika pierścionek. Służące splunęły na głowę Broyowej i na idącego chodnikiem pana fotografa spod dwunastki z panią kurwą spod piątki, oderwały się od parapetu i otrzepują piersi z sady. Jedna pójdzie otworzyć drzwi, a druga obudzić matkę. Za moment wpadną do pokoju goście.

Eisengreber wyrwał twarz z kapelusza ciotki Heli. Szybko zgarnął pod etażerkę strzępki akwarelek. Szybciutko wypucował buty o spodnie i jest „ęą”. Wsadził papierosa do fiki, lecz nie zapala. Zakurzy jak wejda goście. Uda głęboko za myślnego. Pół minuty z paralką. Potem, przeprosi, że był nieobecny, ponieważ chodził za żelazną kurtynę. I będzie taki ważny w fotelu. Obawia się tylko czy ta głupia Helena nie zepsuje mu „ważności” pytając, stwierdzając „Zaś robisz maskę z pyska. Zapnij prędko pasy i ląduj w Stalingrodzie, bo zamęczysz Zachód swoim wyglądem.”

Zazgrzytały w przedpokoju głosy. Szarpia ostro służącą „bezczelna, kazała państwu stać na schodach”. Słyszę też głosik matki. Wstała z tapczaniku i dobiega bezczelną słodkim zdaniem. — Mam nadzieję, że przeprosisz wszystkich za nietakt, nadzwyczajnymi zakąskami.

Pora zmykać ze stołowego, bo za zgrzytającym towarzystwem wpłynie niebieska matka, spojrzysz na mnie z niechęcią i zaszczębiocze z uśmiechem — Jacuńku, idź teraz do sypialni poczytać Dantego. Zapieje Dantego, zagadacze jak kura, aby wszyscy usłyszeli co jej!! syn czyta, oprócz Wasilewskiej.

A ja jestem głupi i słaby. Nie rozumiem wierszy Chudego, po jaką cholere, laż do środka Ziemi, zamiast pojechać do Oświęcimia. Nie rozumiem, dlaczego jedne nauczycielki mówią o Napierskim „bohater”, a inne „ściwro”. Nie rozumiem, czym matkę drażnię. Dlaczego mnie nie kocha, chociaż przynoszę ze szkoły piątkę za piątką. Nie umiem mocować się z kolegami, ani bić się naprawdę. Nie mam ani ojca ani Boga, aby obronił mnie przed Eisengreberem. Nie mam nawet szczyryka.

Patrzę na dozorczynię Pućsamino liczącą kubły śmieci. Na dozorce Pućsamino z kulą u boku. Na jakiegoś majstra ścigającego nienormalnych robotników, nie wypili z brygadzystą. Na rynnę, po której wczoraj zbiegł piorun.

Zamykam okno. *Narysuję te drobiazgi z Mariackiej, i w piwnicy zrobię sobie wystawę. Będą tam wisieć: Rozmawiająca z miotłą Pućsamino. Śpiewający pod oknem listonosz z torbą cukierków, miłość lepszej i gorszej służącej. Pućsamino, dozorca spod szesnastki, brat naszego Pućsamino,*

no, ale jakiś inny, kocik i postrach roznosicielei bimbru.

Narysuję też słońce, niech przezierna przez słąską chmurę. I to drzewo póki stoi. I tych stareńkich wózkarzy, ciągnących swoje wózki na tamten świat. I jeszcze raz narysuję zsiawitą w miotłę Pućsamino, umrze na tej miotle za miesiąc i nie będzie musiała grzebać córki z rakiem. Namaluję te wszystkie drobiazgi.

Zamknąłem okno, a może oczy. *Szuka Jutrosina Don Kichot. Sunie za nim cień Sancho Pansy. Galopują w kółko ulani. Ojciec słucha co powie koń. Niosą Kochotka na ostowej tarczy. Niosą mu wiatraczki z Jutrosina. I dziudchnę z redakcji.*

— A nie mówiłam, że będziemy Eisenowi zapalać kopciucha — skoczył na kondukt rozradowany głos. — A nie mówiłam, że będzie udawał trzech inżynierów z Montrealu — entuzjazmuje się ciotka Hela, grzechocąc zapałkami, przed wściekłym, że aż mógłby mordować Eisengreberem. Czy nie mówiłam? — pyta tryumfująco tupiących z uciechy gości. — Patrzcie jak siedzi, mógłby za Wicusia grać idiotę w „Idiocie”.

Przeciskam się niczym konduktor w tramwaju. Zaraz wydostanę się na korytarz. Ale, za dobre zaraz, bo właśnie gruchnąłem pod stół, potrącony przez niebieską matkę. Sunie jak oszalała. Jej Teośka traktują jak ćwierć-inteligenta. Zrobi w końcu porządek z tą głupią Helą. Wdepcze z kapeluszem w podłogę.

Poprawiam okulary i idę do łazienki popatrzyć przez lufcik na wesołe podwórko. Coraz słabiej słyszę wrzeszczącą w stołowym ciotkę Helę. Nie zapominaj, stara, że uratowałam ci życie. Tylko stara, nie zapominaj, że uratowa-

łam ci życie. Zapomniałaś już stara, że uratowałam ci życie.

Na podwórku umorusani chłopcy kopią piłkę i „zożkę”. Strzelają z proc do narysowanych kredą na ścianie esesmanów. Robią węża, pociąg, a ja stoję przy lufciku w łazience. Nie wolno mi zejść na dół, zostać lokomotywą albo wagonem. „Oni mają wszy” powiedziała matka.

Wszy? Ależ, mamo, oni jeżdżą w Wyścigu Pokoju. Ten z pompką jest rowerem, a ten na nim Wilczewskim. A ci na hulajnogach tworzą peleton. Wszystkie dziewczynki z naszej kamienicy, przestały grać w pomidora i podziwiają wspaniałych sportowców. Sypią po nich piaskiem i leją wodą. Ciężko jest na trasie Wyścigu Pokoju. Tylko blada Krysia niszczy fortepian. „Kiedy zniszczy? pytają sąsiedzi. Na szczęście Pućsamino zaczęła klupać dywan i zakłupie chopinka bladej Krysi.

Całuje — w prześmiesznych myślach ciotkę Helę — całuję ją od ucha do ucha. Dzięki twojemu pyskowaniu, nie muszę dzisiaj czytać Dantego. Mogę spokojnie wyglądać przez lufcik.

Dozorca Pućsamino wita się z bratem Pućsamino spod szesnastki. — Co u ciebie? — Dziękuję, wszystko nawala. Dozorca Pućsamino je na kamiennych schodkach zupeń nic. Dozorca Pućsamino wita się z listonoszem. — Co u mnie? Dziękuję, córka w szpitalu a synowie w pudłach. Dozorca Pućsamino zastawia na szczyry żelazo z kiebasą ale nie ma co włożyć w łapę temu ważnemu doktorowi i tym spryciulkom z izby adwokackiej. Dozorca Pućsamino odgarnia laską straszne myśli. Na podwórku Boguś, wojenny kaleka. Trzydziestoletnie dziecko bawi się kolankowymi rurami. *Napiszę o tobie smutny wierszyk.*

Pan Bóg, nasz Pan, stoi przy trzepaku. Opowiada dozorczyńni niebieskim głosem „Córkę pochowaś za tydzień i sama wkrótce pójdziesz za nią. Łątwo razem traficie do nieba. Młodszy syn wyjdzie z kryminału w pięćdziesiątym szóstym, starszego też wypuszczą, ale na ludzkie nieszczęście. Nie zobaczysz ich przed śmiercią, a starszego nigdy.”

Pućsamino klupie dywan i pyta miejsce gdzie stał Bóg „A co z moim chłopem? Będzie miał nową babę?”

Zapachniało w łazience niebiesko. Myją się nad umywalką pulchniutkie dłonie. Myją nos, pudrują.

— Przyjdź zaraz do gości, to ci powiem, żebyś czytał Dantego — wyszeptuje matka. Poprawia niebieską suknię i wychodzi z łazienki.

Znowu myślę o brzytwie, i o twoich białych pod złotą halką nogach. Znowu boję się Pana Boga, że tak myślę. Duszno mi. Gadam do szyby.



Dziewięciu milionerów?

GOSPODARKA

jąc im ofertę komplementarną.

Kucz jest absolwentem Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Toruńskiego. Dyplom z wyróżnieniem z zakresu malarstwa i rysunku uzyskał w roku 1986. Dysponuje więc już pewnym

doświadczeniem artystycznym. Teraz zamierza wraz z zaprzyjaźnionym plastykiem zamknąć się na dwa miesiące w wynajętej hali i przygotować zestaw projektów, które potem zostaną zrealizowane. Punktem granicznym będą największe w kraju targi szkła i ceramiki w Łodzi. Koniec kwietnia oznaczać więc będzie „ostry” start nowej firmy.

— To, że zaczynamy od zera, jest najpiękniejsze — wyznaje Kucz. — Otrzymałem znakomitą szansę. Jestem przekonany, tym bardziej, że wiem, iż Fundusz Górnośląski przygotowuje kolejną edycję akcji „Od zera do milionera”, że nie tylko nam się uda. To jest bardzo korzystna forma współpracy. Wierzę, że bez trudu uda się nam w przyszłości odkupić udziały Funduszu.

Podobne nadzieje towarzyszą dwójce najmłodszych laureatów tego swoistego konkursu, **Jarosławowi Ściślewskiemu** i **Januszowi Matlochowi**, studentom Śląskiej Międzynarodowej Szkoły Handlowej, którzy założyli spółkę „Business Guide to Poland”. To będzie firma consultingowa.

— Nasz pomysł wziął się z przekonania, że małe i średnie firmy z zachodniej Europy mają pewną trudność w dotarciu do polskich partnerów — twierdzi Ściślewski. — Nie stać ich na wynajęcie drogich konsultantów ze swoich krajów. Na przeszkodzie stoją również bariery językowe, mentalne, prawne. Nieraz trzeba trochę „powalczyć” z polską administracją. Zakładamy współpracę z izbami handlowymi i konsulatami. Będziemy również sami aktywnie poszukiwali podmiotów gospodarczych zainteresowanych współpracą z polskimi firmami. W tym celu wyślemy swojego człowieka do Francji i Szwajcarii. Zamierzamy również działać w odwrotnym kierunku i promować polskie przedsiębiorstwa za granicą.

Cóż, pozostaje wierzyć, iż po latach do końca wypełni się treścią hasło akcji inwestycyjnej Funduszu Górnośląskiego. Już teraz wiadomo, że setki drobnych przedsiębiorców czekają na kolejną edycję konkursu.

KRZYSZTOF
KARWAT

SLASK
45

Jakiś czas temu szczególnie pisaliśmy o akcji inwestycyjnej „Od zera do milionera”, prowadzonej i zrealizowanej przez Fundusz Górnośląski SA Przypomnijmy, że instytucja ta, wspomagająca rozwój regionalnego biznesu, zainwestowała w ten program milion złotych.

Wcześniej jednak, a ściślej w kwietniu ubiegłego roku, utworzono w całym województwie katowickim 47 punktów konsultacyjnych, które odwiedziło ponad tysiąc osób zainteresowanych tą formą pomocy i współpracy. W efekcie złożono 230 wniosków inwestycyjnych, których autorami byli właściciele już istniejących firm, a także ludzie, którzy dopiero marzyli o utworzeniu własnej firmy, lecz nie posiadali do tego wystarczająco dużego kapitału i nie chcieli bądź nie mogli zaciągać kredytów bankowych.

Specjalnie powołana komisja rozpatrzyła wszystkie nadesłane wnioski i wybrała 9 najlepszych, najciekawszych, takich, które dobrze rokują na przyszłość. Ich pomysłodawcy przejęli ów milion złotych, choć — rzecz jasna — nie była to żadna darowizna. Fundusz Górnośląski, inwestując tę kwotę, objął część udziałów w na ogół nowo tworzonych firmach. Jak poinformował jednak **Stanisław Przybyłowicz**, koordynator akcji, zaangażowanie kapitałowe Funduszu w te nowe przedsięwzięcia biznesowe nie potrwa dłużej niż 5 lat.

— Po tym czasie — zapewnia Przybyłowicz — lub nawet jeszcze wcześniej, jeśli tylko okaże się to możliwe, nastąpi odsprzedanie udziałów Funduszu pomysłodawcom, którzy wtedy przejmą pełną odpowiedzialność, także finansową, za swoje firmy.

Komisja rozpatrująca wnioski inwestycyjne w swym wyborze kierowała się tylko względami merytorycznymi, stąd tak wielka różnorodność wskazanych propozycji. Dziewięć wybranych firm to dziewięć różnych pomysłów, z różnych branż. Są wśród nich: firma budowlana zajmująca się czyszczeniem elewacji, przedsiębiorstwo wytwarzające drewniane balustrady balkonowe, firma konsultingowa oszczędzania energii, spółka produkująca i sprzedająca sałatki i surówki, wydawnictwo modeli kartonowych, centrum zabezpieczeń elektronicznych oraz firma handlowo-usługowa.

Na szczególną uwagę zasługuje projekt przedstawiony przez **Leszka Kucza** z Tychów. Człowiek ten za-

wiązał wraz ze swą siostrą, **Pelagią Gałuszkiewicz**, spółkę pod nazwą **Górnośląska Ceramika Artystyczna**.

— Jestem rodowitym Ślązakiem, co w tym przypadku ma pewne znaczenie, bo pragnę w swej działalności odwołać się do starych tradycji śląskich i dawnych form ceramicznych — powiedział Kucz. — Sam zachowałem po swym dziadku na przykład ceramiczną fajkę czy zegar. Ten rodzaj „pamiątkarstwa” był niegdyś bardzo popularny i powszechny. Twierdzę, że jest na nie zapotrzebowanie. Śląsk to duży rynek i w tym upatruję swoją szansę. Dość powiedzieć, że w Tychach na przykład ulokowana jest jedna z największych w kraju giełd kwiatowych, która zgłasza wielkie zapotrzebowanie na donice czy dzbany ceramiczne. Dotąd woziłem je, zresztą nie tylko ja, nawet z północy kraju. Przed ceramiką użytkową jest przyszłość, chodzi tylko o to, by istniejące na Śląsku stare zakłady ceramiczne, które swą produkcję kierują głównie do Niemiec, zwróciły się także w stronę rodzimego rynku. Przeważa działalność typowo rzemieślnicza, gama propozycji jest wąska i standardowa. Wierzę, że można ją zmienić.

Swe nadzieje na sukces Kucz kojarzy z kilkoma sprzyjającymi okolicznościami. Niedawno po ojcu odziedziczył wraz z siostrą, notabene ekonomistką, a zatem znajdzie w niej pomoc merytoryczną, dom i ziemię w Bieruniu Starym. Ten majątek właśnie wymaga dokapitalizowania i przekształcenia. Tutaj powstanie całe zaplecze produkcyjne. I nie tylko.

— Myślę o stworzeniu swego rodzaju szkoły, kształcącej fachowców, których potem zatrudnią lub którzy po latach sami utworzą podobne zakłady. 5-letni biznes-plan zakłada, że zatrudnimy 17-25 osób. To będzie zależało od tego, ile pieców ceramicznych uda się nam przygotować. Rzecz też w tym, że nie skupimy się tylko na ceramice użytkowej. Myślimy też o rzeźbach, płaskorzeźbach i w ogóle ceramice artystycznej, zresztą niekoniecznie tylko przeze mnie projektowanej. Produkcję tę kierować będziemy do powstających wszędzie biur i firm, da-

Taki tytuł tu,
na Górnym Śląsku,
brzmi banalnie.
Gdy jednak odnieśliśmy go
do Pojezierza
Łęczyńsko-Włodawskiego,
wówczas oddaje najcelniej to,
co stało się z tamtejszym
krajobrazem,
w którego sielskość
wtargnął niebывały przybysz.
No, i od kilkunastu lat
panuje niepodzielnie
nad widnokregiem...



Pejzaz z hałdą

B yłoby inaczej, gdyby zrealizowano podjęte przed laty plany. Pod Lublinem pojawiłyby się cały ciąg hałd, wież wyciągowych, kominów. Skończyło się, na całe szczęście, jedynie na przymiarce. Powstał przyczółek, który stał się samodzielnym organizmem gospodarczym. I w pewnej mierze kulturowym. W rezultacie za Lubelskie Zagłębie Węglowe, w którym wedle zapowiedzi sprzed 20. lat miało wydobywać 7 kopalni i dawać co piątą tonę polskiego węgla, „robi” tylko KWK „Bogdanka”. I sprawuje się doskonale. Zamiast na liście przeznaczonych do likwidacji, znalazła się jako pierwsza w wykazie najwydajniejszych i najrentowniejszych (koszt wydobycia wynosi 23—24 dolary przy średniej krajowej 32 dolary za tonę).

Dowodem tego są szpalery samochodów i ciągników z rejestracjami poza lubelskimi: Radom, Tarnobrzeg, Chełm, Biała Podlaska, Siedlce, Zamość, Przemyśl — czekających cierpliwie, tak jak tylko rolnik potrafi wyglądać zbawiennej okazji. Tu spełniającej się pod postacią 4 milionów ton rocznego wydobycia. Nabywcy chwalać sobie znośną cenę — około 160 zł za tonę „grubego” i wysoką jakość surowca — posiada bogaty zasób kalorii, pali się intensywnie i daje głęboki żar...

Kierowcy zgromadzonego przy szybie kopalnianym taboru, chętnie wdają się w pogawrkę. Otóż pokupność węgla bierze się nie wyłącznie z tego, że jest extra opałem, lecz

z jego łatwiejszej dostępności. Co wychodzi i taniej, i mniej się też traci nerwów przy jego zdobyciu. A przede wszystkim — w tej transakcji unika się pośredników, którzy przecież z każdego zdzierają skórę. A najwięcej właśnie z nich, bo produkt rolny nim dotrze do konsumenta, po drodze drożeje kilkakrotnie. Jeśli nie więcej... A kogo pilnuje ruchliwa tu niezwykle policja? Na pewno nie aferzystów węglowych, o których słychać ze Śląska. Chodzi najzwyczajniej o bezpieczeństwo na drogach — bo oni chcą wszak na samochody i przyczepy zabrać jak najwięcej urobku, i zwykle przekraczają nacisk na osie...

Na zasadnicze pytanie, czy Śląsk jest matką tutejszej kopalni — bo po to, żeby go zadać, przyjechałem do Łęcznej — zastępca prezesa Zarządu KWK „Bogdanka” SA, Teodor Kosiarski, odpowiedział: „Śląsk jest macochą, a oni wyrodnym dzieckiem, bo poszli inną drogą. I ich pozycja jest też różna. To znaczy o wiele lepsza, gdyż także w sferze mentalnej nie mają obciążenia. Wydajniej również pracują. Płacą tylko za robotę, a nie za to, że pracownik zjechał na dół i chwali się, iż jest górnikiem. Oczywiście, że nadal utrzymują związki ze Śląskiem, żeby wspomnieć chociażby szereg firm produkujących dla ich górnictwa. I istotniejsze bodaj związki — koleżeńskie! Przyjaźń bowiem zapewnia uzyskiwanie także wszelkiego rodzaju porad — po co niejednokrotnie

wyważać otwarte już dawno drzwi?! Górnicy z „Janiny” w Siemianowicach (pierwszy lepszy przykład) potrafią natychmiast zawsze coś dobrego podpowiedzieć. A zdobyte własne doświadczenia pozwalają już nawet na to, że obecnie jeden od drugiego może się wiele nauczyć... W Barbórkę będzie życzył swym kolegom ze śląskich kopalń, żeby im się wiodło w restrukturyzacji górnictwa i by osiągnęli te same wyniki, jakie są udziałem „Bogdanki”... A od nich na pewno otrzymają życzenia: Tak trzymać!”

Wyjątkowa pod wielu względami (jedyność, wysokie i stałe zarobki, chłonność rynku, dobry surowiec, świeże powietrze i szeroki oddech przestrzeni) podlubelska kopalnia jest w stanie zaimponować, a nawet wzbudzić zazdrość u mieszkańca Bytomia, Zabrze czy Szopienic. Ślązak czułby się tutaj jednak trochę na niby, namiastkowo, nieco jak wczasowicz. Pewnie dlatego wróciłby zaraz do siebie, do krzywych uliczek, gołębi, gwary, festynów. Tak też się stało onegdaj. Budowniczości „Bogdanki” pospieszili zaraz do swych siedlisk i „grub”, kiedy tylko ukończyli pracę. Wydobywania węgla podjęli się ich koledzy, dawni werbusi, którzy skorzystali z okazji i porzucili saksy, skoro Eldorado objawiło się oto u progu ich rodzinnych domostw.

Do nich należy Waldemar Maj. Czterdziestolatek. Pracował przez dwa i pół roku na Śląsku. Czuł się nie

najlepiej, mimo iż otoczenie uważało, że Waldi to fajny chłop, choć gorol. Na dole uprzedzenia znikwały. Hanysi i werbusi przeistaczali się w jednomyślny zespół. Łącznie z tymi z dozoru, ponieważ zadzierając nosa w chodniku można zawadzić nim o skałę. Podziemie wymusza po prostu demokratyczne stosunki... Tu natomiast wymagania są większe, absolutnie nie może być mowy o objaniu się, markowaniu. Zarobki też są wyższe. I pewniejsze...

A w jakiej mierze kopalnia „Bogdanka” usadowiła się w duchowości regionu. I czy treści górnicze, w tym tradycje śląskie, weszły w tutejszy obyczaj? Na te pytania było już trudniej uzyskać odpowiedź. A oto z tego powodu, iż ta sfera działalności ludzkiej jest mniej podatna na nowe i obce wpływy. Na szczęście, nie do końca jednak, bo coś z tych walorów zdołało się zaszczepić. Żeby przywołać choćby jeden tego typu „nabytek” kulturowy: Barbórkę! Kalendarz imprez wzbogacił się też o „Karczmę piwną”. Dalsze ślady: nazwa jednej z ulic wywodzi się od Gwarków. Z tamtej pory również datuje się odsłonięty obelisk, który upamiętnia otwarcie kopalni. Ale nikt już nie wie, co symbolizuje. Najtrwalszym elementem kulturowym okazała się orkiestra górnicza, która, a jakże, daje oprawę muzyczną wszystkim uroczystościom i wydarzeniom tego skrawka Lubelszczyzny. Górniczy muzycy uatrakcyjniają imprezy całego regionu. A przede wszystkim, zwyczajem śląskim, w górnicze święto robią głośną pobudkę na osiedlach, a także i w mieście...

Przedtem tego Śląska było tutaj jakby więcej, słyszało się szorstką i rubaszną gwarę wydelegowanych tu górników, ludniej bywało w piwiarniach. Przechodząc obok pracujących pozdrawiali: „Szczęść Boże”... Najkrócej można by ująć onegdajszy klimat, że do Łęcznej zawitał wielki świat, że powiało... Katowicami.

Wielu przybyłych ze Śląska górników zapisało się do biblioteki. Teraz przychodzą ich dzieci. Starsi stali się zamożniejsi, mogą sobie pozwolić na zakup książek. Uprawiają jak dawniej ogródki działkowe przy daczach nad jeziorami. Tak, pewnie też hodują gołębie, króliki... Dopiero spis nazwisk wyjawiał, że w Łęcznej, jak zresztą w innych częściach kraju, najwyczejniej nie rozróżnia się Śląska Górnego od Śląska Dolnego. Ci, o których z takim ukontenowaniem mówiła pani bibliotekarka, przybyli z Wałbrzycha, Lubina. Czyli na hasło: Lubelskie Zagłębie Węglowe pociągnęli, żeby znaleźć się jak najbliżej swych urodzinowych stron...

Muzeum Regionalne w Łęcznej skrzętnie gromadzi tej natury ekspozycje. Pierwsze, pod postacią minerałów i skamielin, pochodzą z wykopalisk geologicznych. Penetrowano wówczas pokłady węgla okresu karbońskiego. Stamtąd też uzyskano odciski roślin, drzewiastych skrzypów, ślady pni z pozostałościami zwęglonej kory. Jest też trochę fauny wodnej — ślady muszli, małży, głownogów, ząb rekina oraz podarowany dla tutejszych zbiorów cios mamuta ze Śląska (Jaworzno).

Wśród ekspozycji, kwalifikujących się natomiast do działu etnograficznego, figuruje pieczętowiec przechowywany mundur galowy oraz czapka górnicza — pamiątka po inż. Witoldzie Ilczaku. W trudnym do określenia terminie (chyba po przejściu na emeryturę) pojawi się podobny okaz — paradny strój ma przekazać muzeum Teodor Kosiarski...

Pamiątki to dość cenne i już dość liczne. Wśród nich brakuje chyba — jak sądzę — również dokumentu w postaci kroniki, w której obok zdjęć znalazłyby się zapisy wydarzeń, jakie towarzyszyły powstawaniu Lubelskiego Zagłębia Węglowego, jego niełatwej historii oraz prezentacja wspaniałych postaci środowiska górniczego. Przydałby się za-

pewne także jakiś jeden czy drugi pamiątnik budowniczo.

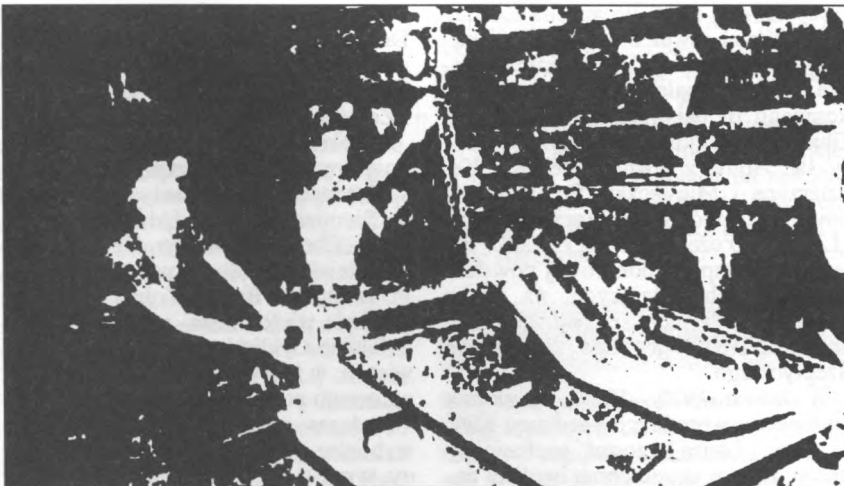
Kopalnia „Bogdanka” staje się nie tylko wyrazistym elementem pejzażu (tak przyrodniczego jak i duchowego), ale zmienia także sytuację gospodarczą. I w tym momencie musi paść następujące pytanie: A co z ekologią? Na miejscu zapewniają, że starania władz kopalnianych, świadomych zagrożeń tego typu inwestycji dla przyrodniczego otoczenia, skupiają się na tym, aby ingerencja w środowisko naturalne była jak najmniejsza.

Inżynier, Teodor Kosiarski, przekłada owe stereotypowe ogólnienia na konkretny język. Zgoda, w równinnym terenie pojawiła się paskudna narośl, dekomponująca — jak uważa wojewódzki konserwator — krajobrazową harmonię... Otóż zabiegi, jakie stosuje kopalnia, zmierzają — staranną rekultywacją — do odszpeczenia przyrodniczego otoczenia. Kiedy drzewa i krzewy pokryją zbocza usypanej góry, o tym zakątku będzie można mówić... No, może nie od razu, jako o uroczysku, ale właśnie o pejzażu z hałdą!

Ponadto, wzorem Zachodu, jak i bliższych przedsięwzięć tego rodzaju (stosowanych w KWK „Piast”), niechciane wzgórze stanie się miejscem rekreacji, ze ścieżkami rowerowymi, wyciągami narciarskimi oraz trasą turystyczną. Tak więc oswojony intruz nie będzie zanadto szkodził. Mało tego — sam coś zrobi dla nieco rozchwianej natury. Na wezwanie Poleskiego Parku Krajobrazowego natychmiast też spieszy zakładowa jednostka przeciwpożarowa. Kopalniani strażacy pełnią przy nim właściwie stały dyżur, który zaczyna się od wiosennych wypaleń do jesiennych ognisk...

Obawy, że niebawem wystrzeli następna góra, a później pojawi się cały łańcuch szczytów, są płonne. Z prostej i zbawiennej dla regionu przyczyny: Kto dzisiaj wyłoży tak ogromne pieniądze na nową kopalnię, gdy brakuje ich na likwidację starej? I tak mamy nadmiar węgla. Na dokończenie (podjęte prace sięgają ledwie połowy) kopalni w Stefanowie potrzeba wielkich dotacji. Nie obejdziesz się bez kapitału obcego. A temu nie tak znów spieszą wkiąć się w przemysł wydobywczy. Nic więc nie wskazuje, że coś się tu zmieni...

Wypadłoby chyba jeszcze dodać, że pejzaż z hałdą jest nie tylko wyróżnikiem krajobrazowym, lecz także symbolem. Symbolem żywym, dającym doraźny pożytek!



Dzieje kariery politycznej Hugona Hankego skłaniają do refleksji nad zawilościami ludzkiego losu. Jako polityk Hanke nie wyróżnił się umiejętnością sformułowania własnej oryginalnej wizji przyszłości Polski; żył jednak w czasach gorszych od koszmarnego snu, a jego droga życia pokrywała się z dramatem i rozterkami pokolenia, które przeżyło pierwszą i drugą wojnę światową, któremu było dane uczestniczyć w polskich walkach niepodległościowych oraz doświadczyć czarnego i czerwonego totalizmu.

Droga Hugona Hankego do Londynu

Doczekawszy końca drugiej wojny światowej na emigracji, pozostał po drugiej stronie żelaznej kurtyny, aby w okresie narastania w społeczeństwie polskim fermentu wolnościowego po śmierci Józefa Stalina i dążeń do reform politycznych i ekonomicznych stać się na krótko symbolem nadziei oraz obywatelskiej odwagi. Kim był i jaką odegrał rolę w naszej historii?

Siemianowickie korzenie

Hugo Hanke, powstaniec śląski, w okresie międzywojennym działacz chadecki, premier rządu polskiego na emigracji, wiceprezes Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną, urodził się 26 marca 1904 r. w Siemianowicach, jako syn górnika Filipa i Marii z domu Mańka. W 1910 r. wstąpił do 8-klasowej szkoły ludowej. Rodzice wychowywali go w atmosferze szacunku dla pracy, umiłowania języka polskiego i ojczystej kultury.

„Było nas 4 braci (Maksymilian, Jan, Augustyn, Hugon — Z.J.) i jedna siostra (Anna — Z.J.) wspominał Hugo Hanke. — W domu mówiło się tylko po polsku. Ojciec kupił nam tak zwane kantyczki, pomocne w nauce języka polskiego. Innym źródłem polszczyzny była dla nas gazeta „Górnoślązak”, abonowana przez ojca od samego zarania. Namawiał nas, byśmy w chwilach wolnych od pracy czytali w domu tę gazetę na głos. Językiem niemieckim posługiwaliśmy się z konieczności poza domem, ale ojciec mój nie znał go zupełnie”.

Po ukończeniu szkoły ludowej, Hanke podjął naukę w trzyletniej szkole do kształcącej, terminując równocześnie do 1922 r. jako elektrotechnik w hucie „Laura”. Zainteresowania narodowe, wrodzona pracowitość i pasja działania



Hugo Hanke (drugi od lewej) w kręgu ludzi kultury

społecznego, wrażliwość na ucisk narodowy były m.in. powodem wstąpienia do ZET-u, a później do pierwszego w Siemianowicach polskiego klubu piłki nożnej KS „Iskra”.

Mając niespełna 16 lat, Hanke złożył przysięgę jako członek Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska. Należał do plutonu łączności i chodził na szkolenia do lokalu „Starego Miksy” (przy dawnej ulicy Wojciecha Korfanego). Wziął również udział w polskiej akcji plebiscytowej. W trzecim powstaniu śląskim walczył w szeregach 7 kompanii III batalionu 4 pułku Karola Gajdzika, w rejonie Januszkowic i Góry św. Anny, a później Bierawy, Kędzierzyna i Miasteczka. Po likwidacji powstania wrócił do pracy w hucie „Laura”. 20 czerwca 1922 r. Hanke należał do kompanii honorowej powstańców śląskich witających, na rynku w Katowicach, pierwsze oddziały Wojska Polskiego generała Stanisława Szepetyckiego.

W latach 1923—1927, na skutek zmniejszenia produkcji i redukcji załogi huty „Laura”, został pozbawiony pracy. W tym czasie coraz bardziej an-

gażował się w działalność Zjednoczenia Zawodowego Polskiego. W latach 1927—1930 przewodniczył radzie zakładowej huty „Laura”. Pod koniec 1930 r. pełnił już funkcję sekretarza okręgowego Chrześcijańskiego Zjednoczenia Zawodowego w Katowicach, a od 1936 r. wiceprezesa Zarządu Głównego Chrześcijańskiego Zjednoczenia Zawodowego w Warszawie. Od 1926 roku należał do Chrześcijańskiej Demokracji, której przewodził Wojciech Korfanty. W następnych latach był członkiem Rady Wojewódzkiej i Zarządu Głównego tej partii.

W okresie międzywojennym należał do grupy najbardziej znanych działaczy społecznych (obozu antysanacyjnego) w Siemianowicach. Udzielał się na rzecz Chrześcijańskiego Uniwersytetu Robotniczego, Narodowego Związku Powstańców i Byłych Żołnierzy, którego był wieloletnim prezesem oraz w Klubie Cyklistów 1903 w Siemianowicach, w którym pełnił obowiązki honorowego przewodniczącego.

Podczas ostatnich przedwojennych wyborów do Sejmu został aresztowany, wraz z dr. Władysławem Tempką

(prezesem Zarządu Wojewódzkiego i I wiceprezesem Zarządu Głównego Stronnictwa Pracy), redaktorem Bolesławem Pałędzkim, redaktorem Stanisławem Sopickim oraz adwokatem Zbigniewem Korfantym — synem Wojciecha. Zatrzymani stanęli przed sądem okręgowym w Chorzwie, pod zarzutem bojkotu wyborów. Oskarżonych broniło 60 adwokatów z całego kraju; był to jeden z większych procesów politycznych. W postępowaniu apelacyjnym Hanke, Korfanti, Pałędzki i Sopicki zostali uniewinnieni, a skarb państwa poniósł koszty procesu.



Hugo Hanke (piąty od lewej, stoi) wraz z rodziną. Zdjęcie wykonano w okresie międzywojennym w Siemianowicach z okazji jubileuszu Filipa i Marii Hanke.

nady Stanisława Cat Maciekiewicza, który próbował ratować przed zniszczeniem zdeponowane tam skarby wawelskie, nastąpiło kolejne przesilenie gabinetowe. Następcą Mackiewicza 8 sierpnia 1955 r. został działacz chadecki Hugo Hanke.

Rząd miał swoją siedzibę SW i przy 43 Eaton Place, w gmachu w którym mieszkał i urzędował prezydent August Zaleski. Na posiedzeniach debatowano głównie o stanie skarbu i problemie repatriacji. Hanke odbył także misję do Paryża, gdzie spotkał się z biskupem Józefem Gawliną, i do Rzymu,

gdzie rozmawiał z ambasadorem rządu na emigracji przy Watykanie dr. Kazimierzem Papée. Wobec niepowodzenia misji, beznadziejnej sytuacji międzynarodowej, postanowił po 16 latach nieobecności wrócić do kraju, w którym na łasce „bezpieki” pozostawił rodzinę.

Z Siemianowic do Warszawy we wrześniu 1955 r. przyjechali przywitac ojca i męża, żona, synowie Marian i Roman oraz córka Hanka. Razem z najbliższymi wrócił do Siemianowic, odwiedził Oświęcim, Kraków i Jasną Górę. Poza wymiarem rodzinnym jego powrót miał także wydźwięk polityczny. Wpłynął na osłabienie pozycji rządu w Londynie i stał się pretekstem do wszczęcia kampanii propagandowej przez rząd komunistyczny w Warszawie. Na emigracji w dalszym ciągu pozostawali politycy i żołnierze wywodzący z rejonu siemianowickiego m.in. Zbigniew Korfanti, Walenty Fojkis i Mieczysław Kopiec, oficer I Dywizji Pancerniej gen. Stanisława Maczka.

18 października 1955 r. odbyło się w Warszawie zebranie, na którym powołano do życia Towarzystwo Łączności z Wychodźstwem „Polonia”. Po dyskusji zebrani uchwalili statut Towarzystwa i zredagowali list do Polaków z granicą oraz dokonali wyboru władz. W skład zarządu weszli: prezes Stanisław Kulczyński, wicemarszałek Sejmu, wiceprezisi Tadeusz Lehr-Spławiński, profesor filologii słowiańskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego i Hugo Hanke.

Angażując się w prace Towarzystwa Hanke położył duże zasługi dla idei krzewienia kultury polskiej i tradycji narodowych wśród Polonii zagranicznej. Był także współzałożycielem „Naszej Ojczyzny”. Miał jednak świadomość, iż jego nazwisko jest nadużywane dla celów politycznych. Najchętniej przebywał w towarzystwie ludzi kultury. Zmarł w Warszawie 19 grudnia 1964 r. Nad trumną Hugona Hankego ostatnie słowo wygłosili m.in.: Jan Dodatko, działacz polonijny z Detroit (USA) oraz profesor Stanisław Kulczycki, prezes Towarzystwa „Polonia”.

Na emigracji

We wrześniu 1939 r. Hanke przeżył dramatyczną ewakuację na wschód przez Sosnowiec, Pińczów, Miechów, Kielce, Lublin, Łuck, gdzie był świadkiem przejazdu kolumny samochodowej wiozącej ewakuowany z Warszawy korpus dyplomatyczny oraz kardynała Augusta Hlonda, ówczesnego Prymasa Polski. 17 września 1939 r. dotarł do Horodeńki. Tego samego dnia przekroczył granicę rumuńską i znalazł się w obozie przeznaczonym do internowania polskich lotników oraz robotników państwowych zakładów lotniczych.

Z Rumunii przez Jugosławię dotarł do greckiego portu Pireus, gdzie stał polski statek „Kazimierz Pułaski”. Na jego pokładzie Hanke doплыł do Marsylii. Następnie zgłosił się do polskiego obozu w Coetquidan. 25 października 1939 r. był już w szeregach polskiej armii, w stopniu kaprała.

W kwietniu 1940 r. I Polska Dywizja Grenadierów, a z nią Hanke, wyruszyła na front w rejon Saarbrücken. W czerwcu armia francuska była już rozgromiona. Hugo Hanke, jak wielu innych Polaków, dostał się do niewoli niemieckiej. We wrześniu 1940 r. Niemcy ulokowali jeńców w starych fortach nr 15 i 16 w Strasburgu. Hanke dostał się do Stalagu nr 5, w którym trzymano około 6000 jeńców polskich w bardzo trudnych warunkach higienicznych.

Nawiązał wtedy kontakt z francuskim ruchem oporu, 23 kwietnia 1942 r. zbiegł z niewoli niemieckiej. Przedostał się do nie okupowanej jeszcze części Francji i w Lyonie zgłosił się do funkcjonującej tam agencji rządowej — Towarzystwa Pomocy Polakom, a stamtąd do schroniska w okolicach Chambéry. Następnie przez granicę w Pirenejach z grupą Polaków przedostał się do Hiszpanii. Z Madrytu jego droga wiodła do Lizbony w Portugalii. Tutaj wsiadł w samolot, by wylądować w Shannon w Irlandii, skąd po przesiadce ruszył do Portsmouth w Anglii. W przeddzień Bożego Narodzenia 1942 r. Hugo Han-

ke dotarł do sztabu Wojska Polskiego, mieszczącego się w hotelu „Rubens” w Londynie.

Do grudnia 1943 r. pełnił służbę wojskową w Szkocji. Następnie został odkomenderowany, rozkazem naczelnego wodza generała Władysława Sikorskiego, do Londynu, z przydziałem do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Zadaniem Hugona Hankego była kontrola niemieckiej prasy, przygotowywanie materiałów dla kurierów udających się do kraju, odczytywanie mikrofilmów nadsyłanych przez polskie podziemie itp. Uczestniczył także w zebraniach Stronnictwa Pracy. Po rezygnacji ze stanowiska w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych przyjął pracę w Katolickiej Agencji Prasowej.

W 1945 r. Hanke przystąpił do odbudowy na emigracji Chrześcijańskich Związków Zawodowych. W krótkim czasie został powołany pierwszy Zarząd Chrześcijańskiego Zjednoczenia Polskiego (Polish Christian Trade Unions). Biura tej organizacji mieściły się przy Cornwall Garden 74. Rozpoczął się nowy okres działalności emigracyjnej Hankego. I tak najpierw został ministrem w rządzie generała Romana Odzierżyńskiego (z pensją 21, a później 23 funtów miesięcznie). Rząd ten powołano 25 września 1950 r., jego premier był jednym z dowódców generała Władysława Andersa pod Monte Cassino.

Program polityki zagranicznej rządu generała Odzierżyńskiego i III Rady Narodowej opierał się w tym okresie na koncepcji „Międzymorza” — unii Ukrainy, Białorusi, Litwy, Łotwy, Estonii, Czech, Słowacji, Węgier, Rumunii, Jugosławii, Grecji, Albanii i Polski — jako zjednoczonej siły równoważącej potęgę Rosji i Niemiec. Koncepcje te, niestety, były oderwane od rzeczywistości powojennej. W tej sytuacji prezydent August Zaleski powołał IV Radę Narodową.

Powrót do kraju

Mimo przeróżnych manewrów politycznych, ośrodek prezydencko-rządowy tracił na znaczeniu i przeżywał kryzys. Po powrocie z USA i Ka-

Polscy historycy zawsze mieli kłopoty z tą postacią. Karl Franz Ulitzka był przecież zdeklarowanym Niemcem urodzonym niedaleko Głubczyc i jednoznaczny przeciwnikiem powstań śląskich. W trakcie akcji plebiscytowej był bardzo aktywny, także na polu międzynarodowym, gdzie agitował za pozostawieniem całego regionu w granicach odrodzonych i demokratycznych Niemiec. Jednocześnie — i trudno także po latach tego nie docenić — w reencji opolskiej zdecydowanie bronił prawa Ślązaków do polskiej mowy i polskich nabożeństw, płacąc za to wygnaniem i ostatecznie — obozem koncentracyjnym.

Myliłby się jednak ten, kto przypuszczałby, że taka postawa była wyrazem politycznej czy narodowej schizofrenii, tak charakterystycznej dla Ślązaków. Ulitzka po prostu twardo stał na gruncie niemieckiej racji stanu, tak jak on ją rozumiał i jak rozumiała ją jego partia, Centrum, której zresztą na niemieckim Górnym Śląsku przez długie lata przewodził. Choćby już tylko z tego powodu trudno było (jest?) polskim badaczom dziejów Śląska mówić i pisać o tej postaci ciepło.

Ulitzka — jak by na to nie patrzeć — był rzecznikiem rewizji granic, ale w osobliwej formie. Otóż uważał on, że okrojone Niemcy powinny drogą pokojową, siłą swej ekonomiki i kultury, „przeciągać” Ślązaków na swą stronę, tak by oni sami zażądali unieważnienia granicy z roku 1922 i zamknęli usta rządowi w Warszawie. To była koncepcja utopijna, nierealna, nie licząca się z siłą „polskiego ducha”, pobudzonego w tysiącach Ślązaków, którzy mimo rozczarowań, na jakie szybko zostali narażeni, chcieli żyć w granicach Rzeczypospolitej.

Wypada pamiętać i niejako wczuć się niemieckie racje tamtego czasu, choć zapewne nie jest to łatwe. Niemcy, które przegrały wojnę i utraciły, zresztą nie tylko na Górnym Śląsku, znaczące z punktu widzenia gospodarczego tereny, przeżywały gorycz kłębki i nie mogły się pogodzić z ustaleniami wersalskimi. Gorycz — to jasne — zawsze powoduje agresję, dlatego stosunki narodowościowe na międzywojennym Górnym Śląsku były tak napięte i z czasem obfitowały w coraz krwawsze incydenty.

Ulitzka na tym tle wypada inaczej. Jako duszpasterz i wieloletni proboszcz parafii św. Mikołaja w Starej Wsi (to dzisiaj część Raciborza) działał na rzecz łagodzenia konfliktów narodowościowych. Sam zresztą opanował nie tylko gwara śląską, ale także literacki język polski. Wśród jego parafian długo zresztą przeważali polskojęzyczni wierni. Ulitzka stał na stanowisku, że nie wolno metodami siłowymi i policyjnymi wymuszać „narodowościowego posłuszeństwa”. Osobiście więc odprawiał msze także po polsku, co nie mogło się podobać ani władzom lokalnym, ani władzom prowincji górnośląskiej, której zresztą Ulitzka był czołowym budowni-

ścieżki i rozdroża

Kontrowersyjny Ulitzka

czym. Nigdy jednak nie udało mu się wymóc na Berlinie, by niemiecka część Górnego Śląska stała się autonomicznym krajem związkowym, o co walczył od wczesnych lat 20.

A trzeba wiedzieć, że proboszcz ze Starej Wsi był osobistością wielce wpływową. Z jego zdaniem liczono się nie tylko w Raciborzu czy Opolu, ale także w Berlinie. Wszak od roku 1920 aż do granicznego roku 1933, kiedy to władzę objęli faszyci, pozostawał posłem do Reichstagu, pełniąc zresztą równocześnie wiele innych ważnych funkcji administracyjnych i partyjnych. Tym samym wykroczył poza regionalne opłotki i przeszedł do historii politycznej przedwojennych Niemiec.

To był człowiek, który wierzył w siłę demokracji. Stając w obronie polskojęzycznego ludu, którego liczba w reencji opolskiej z roku na rok spadała, wyrażał swoje najgłębsze przekonanie wewnętrzne, nie tylko motywowane względami religijnymi, ale także politycznymi. Długo wierzył, że demokratyczne instytucje Republiki Weimarskiej wszystkim obywatelom zapewnią te same prawa i obowiązki. Inna rzecz, że realia tysiącokrotnie zaprzeczyły tej tezie. Mniejszość polska z dekady na dekadę poddawana była coraz ostrzejszej próbie nie tylko germanizacyjnej, ale i prawno-ekonomicznej. Zepchnięta do roli pariasów miała w końcu po prostu zniknąć. Warto przy tej okazji zacytować prezydenta reencji opolskiej, Josepha Wagnera, który w jednym ze swoich

przemówień wypowiedział te oto znamienne zdania: „Wszystko, co mogłoby wskazywać na cokolwiek polskiego, musi zniknąć. W ciągu 10 lat stanie się Śląsk rdzennie niemiecki! W ciągu 30 lat cały Górny Śląsk nie będzie wiedział nic o Polakach”.

Kiedy gauleiter Wagner wypowiedział te słowa, Franza Ulitzki nie było już na niemieckiej scenie politycznej. Ani krajowej, ani nawet regionalnej. To był rok 1935. Podraciborskiego proboszcza faszyci pozbawili wszelkich publicznych funkcji, pozwalając mu jedynie na prowadzenie parafii, zaś partia Centrum — kiedyś najsilniejsza na Górnym Śląsku — zmuszona została do samorozwiązania.

Jako się rzekło — graniczną datą był rok 1933. Wtedy to Ulitzkę napadnięto w niemieckich wówczas Gliwicach, pobito i na krótko aresztowano. Aż do wybuchu wojny stale był narażony na inwigilację hitlerowskich służb bezpieczeństwa. Regularnie był przesłuchiwany w związku z coraz częściej składanymi na niego doniesieniami. Pretekstem były wspomniane wyżej nabożeństwa w języku polskim. Niemiecki ksiądz, zawsze przecież co najmniej niechętnie nastawiony do narodowych aspiracji Górnoślązaków, nie chciał złamać swych przekonań. W końcu — a to był już rok 1939 — wyrzucono go z Raciborza z zakazem przebywania na Śląsku. Wtedy Ulitzka przeniósł się do Berlina. Tam przetrwał wojnę, ale w roku 1944 hitlerowcy na pół roku wsadzili go do obozu koncentracyjnego w Dachau.

Latem 1945, już po zakończeniu wojny, Ulitzka podjął mimo swego podeszłego już wieku udaną próbę powrotu do Raciborza. Bardzo szybko jednak przekonał się, że w nowych warunkach nie ma tu dla niego miejsca. Już po kilku dniach ponownie wyjechał do Berlina. Związał się ze środowiskami ziomkowskimi, ostro przeciwstawiając się deportacji ludności niemieckojęzycznej z terenów Górnego Śląska.

Pozostał wierny ideałom chadeckim, stając się jednym z założycieli niemieckiej CDU. Zmarł w wieku 80 lat, w roku 1953, doczekawszy jeszcze życzeń urodzinowych od papieża Piusa XII i kanclerza Konrada Adenauera.

Ulitzka dla Niemców to „nr 1” przedwojennego Górnego Śląska. Dla Polaków — to co najmniej postać kontrowersyjna. Dla nich tym „pierwszym” na zawsze pozostanie Wojciech Korfanty, którego nazwisko do dziś Niemcom z trudem przeciska się przez gardło. Obaj stali na najbardziej przeciwnych brzegach polityki, choć obaj — co godzi się zauważyć — byli chrześcijańskimi demokratami. Zadecydowało odmienne poczucie tożsamości narodowej. Ono to nakazało obu politykom zupełnie inaczej oceniać przeszłość i — co ważniejsze — przyszłość Śląska i Ślązaków. Ulitzka w tej konfrontacji poniósł klęskę.

KRZYSZTOF KARWAT

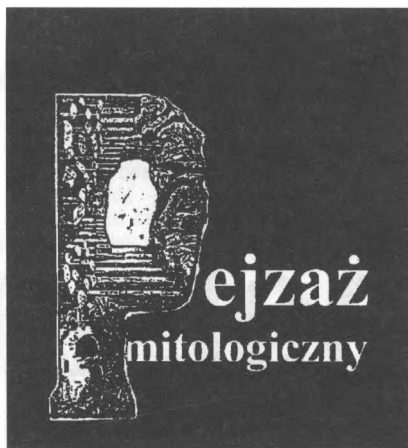
W całej Europie wątek ZAPADŁYCH MIEJSC (zmków, miast, wiosek, a także kościołów, gospód i karczem) należał zawsze do najpopularniejszych. Bo wielkie, wszechogarniające katastrofy przepowiadali nie tylko biblijni prorocy. I ginęły nie tylko Atlantydy. Opowieści o upadku i zagładzie stanowią sporą, wyraźną wyodrębniającą się i reprezentatywną grupę w ramach tradycyjnego folkloru ustnego. Jej charakterystycznym „podrozdziałem” jest znany nam już wątek zapadłych i powracających dzwonów.

Związane z tym wierzenia stanowią treść wielu baśni i podań ludowych. Opowiadano je ongiś równie barwnie na Półwyspie Pirenejskim jak i w Skandynawii. Tu i ówdzie wątki te żywe są zresztą do dziś. W opowieściach tego typu ziemia pochłania legendarne miasta i wioski na skutek przekleństwa lub ciężkich występków ich mieszkańców. Na miejsce takich zapadłych obiektów i pogrzebanych wraz z nimi grzeszników powstaje potem jama, której nie można zasypać, a najczęściej wielkie jezioro albo przerażająco głęboki staw.

Legendy upadku od dawna chętnie bywają podejmowane przez twórców wielkiej literatury, a także filmu. Takim fascynującym kilka pokoleń mitem jest opisywana przez pisarzy romantyzmu zagłada Jumne, Jomsborga albo pomorskiej Winety — Wolina. W tym nurcie płynie *Świtez* Adama Mickiewicza i głośny ongiś *Zatopiony dzwon* Gerharda Hauptmanna. Odbiorcy tv sat albo kabla przynajmniej raz w roku obejrzeć mogą często powtarzany przez stację TNT znakomity musical w reż. Vincente Minelli, z Gene Kelly i Cyd Charisse, p. BRIGADOON z 1954 r. — filmową wersję granego przez dziesięciolecia na Broadwayu oryginału, opartego na starej szkockiej legendzie o romantycznej miłości zwykłego śmiertelnika i dziewczyny z tajemniczego miasteczka, zapadłego przed wiekami, a wynurzającego się raz na sto lat w dzikiej bagnistej dolinie wśród szkockich wzgórz...

Dziwne to, ale ani ów motyw, ani nawet hasło Wineta, nie wiadomo dlaczego, nie zostały odnotowane w *Słowniku mitów*... Władysława Kopalińskiego, znakomitego tropiciela wszelkich wyrazistszych śladów wspólnej pamięci...

Katastrofa Atlantydy, czy biblijna zagłada krain i miast wraz z ich mieszkańcami, w ludowym opracowaniu nabiera jednak z reguły charakteru — jeśli można tak trywialnie rzec — detalicznego. Ziemia rzadko pochłania tu miasta, czy wieś. Najczęściej zapadają się gospody i karczmy — gdy hulający w nich ludzie zapomnieli o mszy niedzielnej albo nie uszanowali księdza przechodzącego z wiatykiem. Znikały kościoły — gdy zbezczeszcili je niegodziwcy i bluźniercy i zamki wraz z okrutnymi rycerzami-rozbójnikami, czy niesprawiedliwymi dziedzicami. Ale zapaść się mogła również karoca z lubieżną hrabiną i chłopski wóz, któ-



Zapadłe budowle: miasta, kościoły, zamki etc.

ANTONI HALOR

rego woźnica zmuszał zwierzęta do wysiłku przekleństwami i biciem lub (co uważano za jedną z największych zbrodni) podkładał bochenki chleba pod koła, żeby wyciągnąć wóz z błota...

Mimo wyraźnych tendencji moralizatorskich, charakteryzujących tego rodzaju opowieści (jawnie wzorowanych na egzemplach z niedzielnych kazań), podania o zapadłych budowlach, osadach i wioskach często mają zdumiewająco ścisły związek z autentyczną zagładą jakiejś miejscowości w czasie wojen lub w rezultacie straszliwych epidemii, grasującej dawniej (a też i całkiem niedawno jeszcze) na Górnym Śląsku.

Odnotowano wielką liczbę takich miejsc w naszych stronach: zamek na górze Grojec koło Lubszy i na Dorotce w Grodźcu, w Bytomiu zapadły klasztor w Goju, również klasztor w Ligocie, dziś dzielnicy Katowic (o czym pisał Lompa), koło Siemianowic puścić Jakobowice, zapadłe miasto Kozi-



Pod Pszczelnikiem w Siemianowicach leżeć miała zapadła wieś Jakobowice i jej skarby.
Ryc. Antoni Halor

niec w Mysłowicach, Wieżysko koło Mikołowa. Jedną z najpiękniejszych jest opowieść o tajemniczym mieście Lubum.

Przy jednej z dróg, w pobliżu Lubowic w dawnym powiecie raciborskim, rośnie mały zagajnik. Teren wokół tak jest poszarpany i pokryty wądołami, że przypomina rumowisko. Na owej dziedzinie miało stać ongiś potężne miasto Lubum, panujące nad całą wyżyną i dumnie spoglądające w dolinę Odry.

Mieszkańcy miasta stali się bogaci dzięki swej zapobiegliwości i pracowitości. Ale w dobrobycie zatracili ochotę do żmudnej pracy i rychło obrócili się w rabusi i bandytów. Napadali na bogate krypy handlowe płynące Odrą, rabowali karawany kupców i zabierali z sobą wszystko co im się wydawało być przydatnym. Łupy ukrywali w piwnicach i podziemnych przejściach ciągnących się pod miastem. Gdy stare chodniki były już wypłnione skarbami, kopano nowe i tak stopniowo podryli całe swe miasto. Wreszcie nadszedł dzień, w którym ziemia, nie potrafiąc już utrzymać całego tego ciężaru, zapadła się, a wraz z nią rozbójnicze miasto: wieże, mury, ludzie i zwierzęta. nie pozostało nic poza wielkim rumowiskiem.

Po wieluset latach ludzie powtórnie osiedlili się w tym miejscu. Gdy zaczęto budować zamek lubowiecki, znaleziono w ziemi otwory tak głębokie, że wsunięte długie tyki nie były w stanie wymacać dna. Jeden z takich otworów wydawał się być wejściem do sklepiń podziemnych. Nikt nie miał jednak odwagi wejść do środka, więc wysłali tam psa. Przez trzy dni słyszano jeszcze jego szczekanie i jęki, potem wszystko ucichło. Zwierzę zapewne zabłądziło w rozległych korytarzach i przejściach i nie było w stanie znaleźć wyjścia stamtąd.

Ewenementem osobnym jest kopalnia srebra w Bibieli koło Miasteczka Śląskiego, zatopiona na samym początku naszego wieku. Znana jest nawet dokładna data jej zagłady! Wśród należących ongiś do ks. Henckel von Donnersmarcka lasów schowanych jest tam kilka jezierek i stawów. Są to pozostałości owej kopalni. W latach 80. ubiegłego stulecia natrafiono w okolicy na bogate pokłady rud żelaza i srebronośnych kruszców ołowiu (wówczas jedno z bogatszych pól tej rudy w Europie); w 1889 r. powstała więc wielka kopalnia. Warunki eksploatacji były jednak bardzo ciężkie. Zakład kilka razy zalewały obfite tu wody podziemne. Ostateczna katastrofa nastąpiła dnia 17 VI 1917 r. i to tak nagle, że: „nie zdążono rozmontować maszyn pod ziemią. 700 górników straciło pracę, ledwo z życiem uchodząc”.

W ciągu kilku dosłownie godzin w miejscu tętniącego pracą wielkiego centrum górniczego powstało kilka jezierek i stawów „malowniczo wśród lasów położonych”. Okolice natychmiast weszła do legendy. Od czasu do czasu zjawiają się tam też kolejni poszukiwacze skarbów.



Kazimierz Twardowski

CZESŁAW
GŁOMBIK

Mistrzowie polskiej inteligencji

W stulecie powstania filozoficznej szkoły lwowsko-warszawskiej*

W XX wieku filozofia polska dała początek dwóm szkołom filozoficznym. U progu stulecia powstała szkoła lwowsko-warszawska. W latach pięćdziesiątych uformowana została lubelska szkoła filozoficzna Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Obie szkoły pojawiły się w warunkach historycznych szczególnie niekorzystnych dla nauki polskiej: starsza z nich, lwowska — gdy państwa polskiego jeszcze nie było; druga, lubelska — gdy państwowość nasza była wielorako zagrożona, zaś myśl katolicka, ze względu na sytuację prawno-ustrojową Polski, została pozbawiona możliwości normalnego funkcjonowania, realizowania oraz dokumentowania swych prac. Tyle można zauważyć wstępnie, pozostając przy okolicznościach narodzin wspomnianych szkół, że do zawiązania się i rozwoju zespołów naukowych, nastawionych na uprawianie nie tylko filozofii, lecz również innych dyscyplin humanistycznych, wcale nie są konieczne jakieś specjalnie sprzyjające okoliczności zewnętrzne i pozostające do dyspozycji środki materialne. Doświadczenie tych szkół wskazuje raczej na coś innego: trudności, poczucie zagrożenia mogą wyzwalać energię oraz determinację działań, nieosiągalną w bardziej sprzyjających sytuacjach czasu i miejsca.

Między szkołami zachodziły wyraźne różnice. Posiadały odmienne centra, związane z uniwersytetami Lwowa, Warszawy i Lublina. Różniły się programami prac, przy czym szkoła lwowsko-warszawska w większym stopniu skupiła się na sposobach prawomocnego filozofowania, a nie na jakimś jednym, wyróżnionym kierunku myśli filozoficznej (choć logika współczesna okazała się dziedziną studiów najbardziej angażującą jej wybitnych przedstawicieli), natomiast szkoła lubelska łączyła badanie nad wybraną tradycją filozoficzną z nowym sposobem jej odczytania: będąc szkołą tomistyczną, nakierowaną w zakresie węzłowej problematyki filozoficznej na poznawanie bytu realnie istniejącego, przedstawiła sam tomizm w wykładni, któ-

rą zwykło się nazywać tomizmem egzystencjalnym, czy też precyzującym. Szkoły były inne pod względem wpływów, zasięgu ich społecznego oddziaływania i — co być może najbardziej się narzuca przy pierwszych porównaniach — osobowo inaczej ułożyły się ich początki. Szkoła lubelska powstała w następstwie zespołowej pracy kilku uczonych, których zbliżyły serdeczne więzi osobiste oraz lata wspólnego nauczania na Wydziale Filozoficznym KUL. Należeli do nich profesorowie w części świeccy, a w części stanu kapłańskiego: Stanisław Kamiński (1919-1986), Marian Kurdziałek (1920-1997), Mieczysław A. Krąpiec, Stefan Swieżawski oraz Jerzy Kalinowski, który jako dziekan wydziału wniósł najwięcej inicjatywy w organizacyjno-naukowe uformowanie zespołu. Natomiast szkoła lwowsko-warszawska miała jednego założyciela — był nim niekwestionowany mistrz tych wszystkich, którzy ze szkołą związali swe losy, ich charyzmatyczny nauczyciel i wychowawca Kazimierz Twardowski (1866-1938). On dał początek szkole i w ośrodku lwowskim rozwinął działalność, która doprowadziła do zreorientowania pracy naukowej w zakresie filozofii polskiej. Jak rozumiał jej potrzeby oraz najpilniejsze zadania?

TWÓRCA SZKOŁY FILOZOFICZNEJ

Filozoficzne przygotowanie Twardowski zdobył w Wiedniu. Tam się urodził, uczęszczał do szkół, pod kierunkiem Franza Brentana (1838-1917) ukończył studia filozoficzne i w tym ośrodku opublikował w języku niemieckim swe najbardziej znane rozprawy: doktorską (*Idee und Perzeption. Eine erkenntnistheoretische Untersuchung aus Descartes*, 1892) oraz habilitacyjną (*Zur Lehre vom Inhalt und Gegenstand der Vorstellungen. Eine psychologische Untersu-*

chung, 1894). Jesienią 1895 roku przeniósł się do Lwowa, gdzie z dniem 1 listopada został mianowany profesorem nadzwyczajnym filozofii na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Lwowskiego; profesurę zwyczajną otrzymał w niespełna trzy lata później. Swój pierwszy wykład wygłosił w uczelni 15 listopada 1895 — mówił w nim o pojęciu filozofii — i odtąd już niezmiennie, do czasu przejścia w stan spoczynku w roku 1930, był związany obowiązkami profesorskimi i funkcjami akademickimi z Uniwersytetem Jana Kazimierza. Kilkakrotnie ponawianych propozycji przeniesienia się do Warszawy Twardowski nie przyjął.

Fakt rozpoczęcia przez Twardowskiego z dniem 15 listopada 1895 roku wykładów uniwersyteckich bywa niekiedy uznawany za początek związanej z jego nazwiskiem szkoły filozoficznej — szkoły Twardowskiego. Nie sądzę, by było to wskazanie trafne. Szkoła filozoficzna, jak zresztą każda inna szkoła naukowa, nie powstaje na życzenie, w następstwie obwieszczeń, czy zabiegów propagandowych nawet najbardziej usilnych. Nic też nie przemawia za tym, by narodziny szkoły lwowsko-warszawskiej przyspieszać. Powstanie szkoły wymaga pracy, zobiektywizowanych wyników badawczych oraz uczniów, a elementy te są niemożliwe do osiągnięcia bez pewnego minimum czasu. Podobnie było w przypadku Twardowskiego.

Gdy znalazł się w Lwowie, w mieście zastał wprawdzie stary Uniwersytet założony w roku 1661, bogate zbiory Zakładu Ossolińskich i również liczne archiwa kościelne oraz zakonne, także... kawiarnie niezmiennie kojarzące się z obliczem prawdziwie uniwersyteckiego miasta i z kręgami jego profesury — to przecież u Bienieckiego we Lwowie praktykował Jan Apolinary Michalik zanim w Krakowie założył „Cukiernię Lwowską”, powiększoną i przekształconą później w głośną *Jamę Michalikową*. Pod tym względem pracę musiał rozpoczynać od podstaw, od zorga-

nizowania normalnych studiów filozoficznych, powołania seminarium filozoficznego, uruchomienia lektorium ze stałe wzbogacającym księgozbiorem filozoficznym, od uporządkowania pracy Koła Filozoficznego, które szybko stało się miejscem pierwszych studenckich wystąpień, dyskusji, prowadzonych z reguły przy obecności Profesora. I przy tym wszystkim bogata oferta wykładów Twardowskiego, które objęły podstawowe działy filozofii.

To, czego i jak Twardowski uczył, odbiegało od dotychczasowych praktyk uniwersyteckiego kształcenia filozofów i uprawiania filozofii. Młodych ludzi chciał wdrażać do pracy, która odpowiadała rygorom postępowania naukowego. Przygotowywał ich do działań odpowiedzialnych oraz do wystąpień kompetentnych w zakresie spraw, jakie indywidualnie uznali za sobie właściwe i dostępne. Pragnął uczyć filozofowania, które niekoniecznie musiało się wzorować na tradycjach polskiej myśli romantycznej. Znał dobrze opinię, jaką Polacy zyskali w środowisku niemieckojęzycznym: *die Polen sind ja so unzuverlässig*, i chciał się jej przeciwstawić. Dążył do zerwania z ciężką nam niesolidnością, do zapanowania nad bylejąkością naszego działania i myślenia. Nie sądził, by w każdym przejawie zapału, wzruszeń, rozbudzonych uniesień i bliżej nieokreślonego niepokoju wewnętrznego, należało od zaraz doszukiwać się filozofii i jakichś metafizycznych głębin. Filozofia jeżeli ma być nauką, musi sprostać wymaganiom rzetelności i jasnego, komunikatywnego przekazu. To zaś wymaga przede wszystkim zdyscyplinowanego i krytycznego myślenia. Żadnych poglądów nikomu nie narzucał, nie oczekiwiał opowiedzenia się za określoną filozofią, obce było mu filozoficzne doktrynerstwo, natomiast stanowczo domagał się jednego: wysiłku samodzielnego trudzenia się z własną myślą i porządku w wypowiedzi. Czego nie znosił, to mętniactwa. „Byleś myślał rzetelnie, mówił, a nie bełkotał, Profesor dyskutował z tobą jak równy z równym” — zanotował o Twardowskim jeden z jego uczniów.

DWIE WIZJE UNIwersYTETU

Znamienne, że Twardowski wpływał na studentów nie tyle swoimi poglądami filozoficznymi, ile przede wszystkim cechami osobowości, postawą uniwersyteckiego profesora oraz zdolnością do wiązania uprawianych nauk — w tym wypadku filozofii — z wartościami moralnymi, wśród których dojrzałość duchowa, bezkompromisowość w głoszeniu prawdy oraz przekonanie o swoistej misji, jaką mają do spełnienia uczone i uniwersytet, należały do najważniejszych. W konsekwencji to, do czego w badaniach doszli jego uczniowie i co zdecydowało o ich naukowym sukcesie, nie było zwyczajną kontynuacją prac podejmowanych przez Twardowskiego. Był to po prostu niezwykle miary uniwersytecki nauczyciel i wychowawca, i to — w połączeniu z jego opiekuńczością wobec uczniów (nie mającą jednak nic wspólnego z pobłażliwością), ze zdolnością do ograniczenia ich prac i wprawiania młodych do niezwykle poważnego traktowania podjętych zobowiązań — zdecydowało w sumie o olbrzymim sukcesie pedagogicznym Twardowskiego jako mistrza szkoły.

Życie poświęcił Twardowski nauce i nauczaniu, jak mało kto z jemu współczesnych potrafił naukę upowszechniać i dbać o jej wielorakie potrzeby, z idei Uniwersytetu wyprowadzał zadania dla wszystkich, którzy — związani z tym wyjątkowym miejscem, i bez względu na ich narodową przynależność — byli odpowiedzialni za wzbogacanie kultury najwyższymi wartościami intelektu. „Według tej idei zadaniem Uniwersytetu — stwierdził Twardowski w jednym ze swych najpiękniejszych wykładów, już późnym, podsumowującym doświadczenia jego całożyciowych działań i przepojonym mądrością sędziwego wieku, wygłoszonym w trakcie uroczystego nadania mu przez Uniwersytet Poznański w roku 1932 godności doktora *honoris causa* — jest zdobywanie prawd i prawdopodobieństw naukowych oraz krzewienie umiejętności ich dochodzenia. Rdzeniem i jądrem pracy uniwersyteckiej jest tedy twórczość naukowa, zarówno pod względem merytorycznym, jak pod względem metodycznym. Cięży na Uniwersytecie obowiązek odkrywania oraz to nowych prawd i prawdopodobieństw naukowych oraz doskonalenie i szerzenie sposobów, które je odkrywać pozwalają. Z tych wysiłków wyrasta gmach wiedzy naukowej, wiedzy obiektywnej, która domaga się uznania wyłącznie na tej podstawie, że jest według praw logiki uzasadniona, i która narzuca się umysłowi ludzkiemu jedynie, ale i nieprzepracie, siłą argumentów”.

Wykład nosił tytuł *O dostojństwie Uniwersytetu*. Zauważmy, że tylko pół roku później z mową także poświęconą Uniwersytetowi wystąpił inny z grona wielkich filozofów naszego wieku. Był nim Martin Heidegger (1889-1976), który z końcem maja 1933, podczas uroczystego przejęcia obowiązków rektorskich na *Albert-Ludwigs Universität we Fryburgu Bryzgowijskim*, wygłosił wykład *Die Selbstbehauptung der deutschen Universität*. W prelekcjach tych przedstawione zostały tak różne wizje uniwersytetu, że są z sobą nieporównywalne. Co najwyżej mogą okazać się przydatne do zbudowania paraleli sprzecznych struktur, które mimo że wydają się być takie same, a przynajmniej historycznie podobne, to jednak w dwóch autorskich ujęciach radykalnie zostały pozbawione elementów istotowo wspólnych. Dla Twardowskiego idea uniwersytetu wyczerpywała się w służbie prawdzie obiektywnej, bez jakichkolwiek obwarowań i odniesień dodatkowych.

Heideggera interesował wyłącznie uniwersytet niemiecki, którego trwanie oraz zadania wiązał z zobowiązaniami wobec władzy. „Posłuszeństwo nauczycieli i uczniów — cytują na podstawie przekładu Jana Gawarecna umieszczonego w zbiorowym wydawnictwie Heidegger dzisiaj, Warszawa 1990 — budzi się i krzepnie jedynie na podstawie prawdziwego i wspólnego zakorzenienia w istocie niemieckiego uniwersytetu. Lecz jasność, rangę i moc osiada istota ta dopiero wtedy, jeśli najpierw i stale sami przywódcy podlegają przywództwu — jeśli kieruje nimi owo nieublagane zadanie duchowe, jakiego piętno wywarła na losach narodu niemieckiego jego historia”. By uniwersytet stał się tym, czym być powinien jako korporacja nauczycieli i uczniów najwyższej szkoły narodu niemieckiego, musi stale utwierdzać się w swym *samowiednym istnieniu* duchowo-narodowym. A światem duchowym jakiegoś narodu — kontynuował Heidegger — „nie jest nadbudowa nad kulturą, podob-

nie jak nie jest nim nagromadzenie użytecznych umiejętności i dzieł, lecz jest nim moc zachowania w najgłębszy sposób sił, jakie daje ziemia i krew, jako moc, która do głębi pubudza i wstrząsa do najdalszych granic jego *samowiedne istnienie*. Tylko świat duchowy zapewnia narodowi wielkość. Zmusza bowiem, by nieustanny wybór między wolą wielkości i dopuszczeniem do upadku stał się prawem określającym rytm marszu, który naród nasz rozpoczął w stronę przyszłej historii”.

Historia obeszła się w ten sposób z autorami tych dwóch konkretnych przesłań dotyczących uniwersytetu, że Twardowskiego zachowała w pamięci jako wielkiego nauczyciela-humanistę i mistrza polskich sfer oświeconych. Heideggerowi pozostała cierpki smak krótkotrwałego doświadczenia — z urzędu rektorskiego zrezygnował wszak już po roku — którego wewnętrznej logiki i moralnych konsekwencji bodaj nigdy nie przeniknął do końca, obstajac jedynie przy samousprawiedliwiających wyjaśnieniach, a które jak wciąż wydłużają się cieni towarzyszą dyskusjom nad jego nieudanym rektorskim urzędowaniem.

UCZNIOWIE TWARDOWSKIEGO

Filozoficzna szkoła lwowsko-warszawska to nie tylko Twardowski jako jej założyciel, lecz także jego uczniowie. Tych zaś pozyskał szybko, gdyż już po kilku latach pracy profesorskiej we Lwowie zawiązało się wokół niego ugrupowanie o którym pisano, że reprezentuje *szkołę Twardowskiego*. Takiego określenia użyto po raz pierwszy w roku 1908 na stronach wydawanego w Warszawie „Przeglądu Filozoficznego” — najstarszego polskiego czasopisma filozoficznego, założonego i wydawanego wówczas przez Władysława Werybę (1868-1916).

Pamiętać jednak należy, iż zainteresowanie studentów filozofią, a tym bardziej ich przygotowanie do samodzielnych studiów filozoficznych, wymagało pewnego minimum czasu. Początki były trudne i tylko pracowitość oraz jasno wytyczony program działań Twardowskiego doprowadziły do korzystnej zmiany sytuacji. Gdy przybył do Lwowa, uniwersyteckie sale wykładowe zastał prawie puste. Studentom brakowało nawyku do systematycznego korzystania z ogólnodostępnych wykładów z filozofii. A. Twardowski wykladał i wcześniej i rozpoczął wykłady punktualnie — w semestrze zimowym o godzinie ósmej, a w letnim o siódmej rano. Bardziej zaawansowane formy zajęć dydaktycznych (proseminaria, seminaria) nie były znane, więc nic dziwnego, że wśród uczestników jego początkowych wykładów kursorycznych znalazło się zaledwie kilku znajomych i równie niewielu innych słuchaczy, przy czym tych pierwszych sprowadziła do ław studenckich raczej grzeczność, zaś drugich zapewne zaciekawienie postacią dopiero co przybyłego z Wiednia nowego, młodego i w dodatku jeszcze znakomicie prezentującego się profesora.

Z wolna jednak frekwencja wzrastała i niebawem okazało się, że wykłady Twardowskiego trzeba było wprawie przenieść do największej sali w starym gmachu uniwersyteckim, a gdy i ta nie mogła pomieścić chętnych, rozwiązania musiano szukać poza uczelnia: w pierwszych latach

nowego wieku — przekazała jedna z jego uczennic — gdy liczba słuchaczy zbliżała się nawet do dwóch tysięcy, zaczęto „organizować wykłady w specjalnie na ten cel wynajętej sali Konserwatorium Muzycznego”. Wtedy też w otoczeniu Twardowskiego pojawili się studenci, dla których filozofia stała się specjalistycznym kierunkiem studiów i którzy pod jego kierownictwem przystąpili do prac nad rozprawami doktorskimi.

Jeszcze przed pierwszą wojną światową Twardowski wypromował kilku doktorów, a studia filozoficzne ukończyło pod jego kierunkiem dalszych kilkunastu studentów. Najwcześniej doktoraty uzyskali Władysław Witwicki w roku 1901, Jan Łukasiewicz w rok później oraz Zygmunt Zawirski w roku 1906. Do 1914 roku przygotowali pod jego kierunkiem swe dyseratacje Stefan Baley, Stanisław Leśniewski, Tadeusz Kotarbiński, Kazimierz Ajdukiewicz, Tadeusz Czeżowski. Współpracowali z Twardowskim, bądź pozostawali w nim w kontakcie w początkowym okresie swych studiów, między innymi Stefan Błachowski, Roman Ingarden oraz Władysław Tatarkiewicz, choć wszyscy trzej wymienieni uzyskali doktoraty na uniwersytetach niemieckich. W tym też czasie do jego bardziej znanych uczniów, którzy u niego zdobyli podstawy filozoficznego przygotowania, ale filozofii się nie poświęcili, bo związali się z innymi dziedzinami nauki, należeli Bronisław Bandrowski, Marian Borowski, Ryszard Gansiniec, Mieczysław Gębarowicz, Salomon Igel, Ludwik Jaxa-Bykowski, Juliusz Kleiner, Manfred Kridl, Jerzy Kuryłowicz, Zygmunt Łempicki, Bogdan Nawroczyński, Ostap Ortwin, Kazimierz Sośnicki, Władysław Szumowski, Daniela Tennerówna (Gromska), Mieczysław Treter. Czas ten stanowią w historii szkoły — generalnie — jej stadium przygotowawcze i wtedy też szkoła, ze względu na centrum wykształcającego się ruchu, była w ścisłym sensie szkołą lwowską.

W okresie międzywojennym nastąpił jej dalszy rozwój, związani z nią uczeni w pełni wykształcili własne zainteresowania badawcze oraz propagowali wzorce pracy naukowej inicjowane przez Twardowskiego, natomiast szkoła zyskała wówczas nowe środowisko, nowy ośrodek skupienia swych sił. Stała się filozoficzną szkołą lwowsko-warszawską. Weszła w stadium dojrzałe, a ze względu na osiągnięte wyniki był to czas jej rozkwitu i wzrastającego międzynarodowego uznania. Dalej była szkołą lwowską — bo we Lwowie pracował Twardowski i urabiał naukowo kolejne pokolenia wychowanków. W tym okresie grono jego doktorantów powiększyli między innymi Mieczysław Kreutz, Halina Stoniewska, Izidora Dąbska, Seweryna Łuszczewska-Rohmanowa, Maria Kokoszyńska-Lutmanowa, Walter Auerbach, Leopold Balustein. Z Lwowa wyszli już także pierwsi uczniowie uczniów Twardowskiego — u Ajdukiewicza doktoryzowali się Zygmunt Schmierer i Stefan Świeżawski.

Szkoła zyskała zarazem dookreślenie „warszawska”, gdyż wraz z odnowieniem Uniwersytetu Warszawskiego na wydziałach i katedrach tej uczelni podjęli profesorskie obowiązki uczeni, których rodowód filozoficzny był związany z Twardowskim. W Warszawie uwyraźnił się rodzaj wewnętrzznego odłamu całej szkoły — krąg logików matematycznych, czy też logików wedle ówczesnego nazewnictwa,

uformowany w następstwie niezwykle udanej współpracy naukowej polskich filozofów oraz matematyków — i przede wszystkim on zdecydował o dominującej roli szkoły lwowsko-warszawskiej w polskiej filozofii XX wieku, a w latach trzydziestych o jej przodownictwie w międzynarodowym ruchu filozoficznym. Znakończone grono polskich logików powiększyło w tym okresie kolejni wychowankowie warszawskich uczniów Twardowskiego, w tym Alfred Tarski, Stanisław Jaśkowski, Czesław Lejewski, Andrzej Mostowski, Jerzy Słupecki, Bolesław Sobociński, Adolf Lindenbaum. Naukowa i nauczycielska działalność Twardowskiego zawoocowała kilkoma pokoleniami najwybitniejszych uczonych, których wpływ na polską kulturę intelektualną okazał się rozległy i — wolno tak sądzić — edukacyjnie zdecydowanie silny. Lista osób związanych ze szkołą lwowsko-warszawską, lub pozostających w jej kręgu, obejmuje — jak podają historycy szkoły — około osiemdziesiąt nazwisk uczonych oraz kompetentnie przygotowanych do pracy nauczycieli polskiego szkolnictwa. Poza Lwówem i Warszawą objęły również placówki na innych naszych uniwersytetach, w tym zwłaszcza w Poznaniu i w Wilnie. Po drugiej wojnie światowej — ci, którzy ją przeżyli i pozostali w kraju — zasiedli na katedrach uniwersyteckich we Wrocławiu, Łodzi i w Toruniu; gościli także, na zasadzie dodatkowych zatrudnień bądź zaproszeń, w byłej Wyższej Szkole Pedagogicznej w Katowicach.

EDUKACYJNE WPŁYWY SZKOŁY

Bepośredni i pośredni uczniowie Twardowskiego reprezentowali bardzo różnicowane zainteresowania naukowe i zawodowo zajmowali się różnymi dziedzinami wiedzy. Byli wśród nich filozofowie (ci stanowili grupę najliczniejszą), nadto psychologowie, pedagogowie, historycy literatury, językoznawcy, historycy kultury, sztuki, medycyny. Z kolei w zespole filozofów najwięcej było logików i logistyków, ale obok nich występowały historycy filozofii, teoretycy i socjologowie moralności, metodolodzy nauki, estetycy, także filozofowie w ścisłym sensie słowa, a więc o zamysłach systemotwórczych. Badawczo członkowie szkoły zajmowali się tym wszystkim, co mieściło się w obrębie uniwersyteckich wydziałów filozoficznych tradycyjnie rozumianych, a ze względu na współpracę z matematykami, szczególnie wydajną w ośrodku warszawskim, wiązały się również z niektórymi nowopowstającymi dziedzinami studiów matematycznych. Brak wspólnego obszaru badań — co najmniej uwidaczniało się u logistyków — był natomiast rekompensowany zgodnie podzielaną świadomością metodologiczną. Głoszony przez Twardowskiego i podjęty przez uczniów postulat jasnego i odpowiedzialnego myślenia oraz wypowiadania stał się rodzajem metafizycznej normy, która łączyła wszystkich — od logików matematycznych poczynając, na subtelnym analizach tekstów filozoficznych klasycznego średniowiecza kończąc. Bo do pokrewieństwa ze szkołą poczuli się także niektórzy filozofowie katolicyści związani z ruchem neotomistycznym w Polsce, choć ze szkołą, w sensie „mistrz i uczniowie”, nie

mieli nic wspólnego. Deklarowali jedynie swoją akceptację wobec zbiorowego przedsięwzięcia naukowego, do którego dołączenie uznali za ważne z punktu widzenia nowoczesnie pojętych potrzeb myśli katolickiej — należeli do nich, przykładowo tylko, Józef M. Bocheński, Jan Salamucha, Konstanty Michalski.

Jest rzeczą oczywistą, że dziesiątki uczniów Twardowskiego, bez względu na to czy zajmowali stanowiska szkolnych nauczycieli, pracowali w administracji państwowej, czy przechodzili kolejne szczeble akademickiej kariery, starało się w swoim zakresie robić to, czym sami byli przejęci: wdrażać własnych uczniów oraz swoje otoczenie do poprawnego myślenia i metodycznego działania; dla tych, których pociągały studia filozoficzne znaczyło to: uwrażliwiać na doniosłość każdego filozoficznego zagadnienia, byle tylko postawionego i rozważanego jasno, ściśle oraz krytycznie. Kto przeszedł przez taką szkołę pracy, a korzystała z niej głównie polska inteligencja, ten był lepiej przygotowany do formułowania własnych przemyśleń, uzasadniania głoszonych poglądów, stawał się bardziej wymagający w dyskusjach, nie zadowalał się sądami byle jak przedstawianymi i gotów był do myślowego oporu wobec błagi, prostactwa oraz bełkotliwych „izmów”, jakich i historia i codzienność nie szczędziły nam i ciągle dostarczają w nadmiarze.

Za słowem mówionym szło słowo pisane — najczęściej polskie, i to nie tylko w tekstach, które miały służyć szkolnej czy akademickiej dydaktyce, lecz także w pracach badawczych. Przejawiała się w tym swoicze propolska postawa autorów tych publikacji, którzy chcieli pisać po polsku (choć języki obce znali znakomicie, w tym i klasyczne), posługując się przy tym słowem trafnym, komunikatywnym i — jak w przypadku Witwickiego oraz Kotarbińskiego — urokliwie pięknym, nie pozbawionym w figurach stylistycznych świadomego archaizowania. Jasnę myśl służyło wypracowane słowo. To na pracach najwybitniejszych przedstawicieli szkoły lwowsko-warszawskiej — Ajdukiewicza, Czeżowskiego, Kotarbińskiego, Tatarkiewicza, Witwickiego — kształciły się pokolenia polskiej młodzieży i inteligencji humanistycznej. Przedłużeniem odkrywczych rozpraw badawczych były bowiem ich opracowania zarysowe i podręcznikowe, o których wartości najlepiej przekonuje próba czasu: powstałe w międzywojennym dwudziestoleciu, zachowały swą przydatność przez dziesiątki lat, a niektóre z nich służą naszemu szkolnictwu do dziś: komplet *Historii filozofii* Tatarkiewicza doczekał się właśnie piętnastego wydania! To ostatnie przypomnienie warte jest więc końcowego postulat — niech powołane do tego instytucje i gremia, przede wszystkim PWN i Komitet Nauk Filozoficznych PAN, zadbają o to, by wspomniana *Historia filozofii* mogła stać się polskim „Ueberwegiem”, dziełem podobnie stale poszerzanym i aktualizowanym i równie miarodajnym w informowaniu o dziejach światowej i polskiej myśli filozoficznej.

* Artykuł jest zmienioną wersją wykładu inauguracyjnego, wygłoszonego w trakcie uroczystości otwarcia roku akademickiego na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach, trzydziestego od założenia Uczelni, w dniu 3 października 1997 roku.

Młody reżyser Michał Rosa należy do ulubieńców krytyki, która dopieszcza go za to, że nie kręci kolejnych „Psów” czy „Młodych wilków”, lecz pozostaje przy swoim. Już po społecznym „Gorącym czwartku”, nagrodzonym w 1994 roku w Gdyni za najlepszy debiut sezonu, spostrzeżono w nim jednego z najlepiej zapowiadających się reżyserów młodszej generacji.

Jak na razie Michał Rosa ma na koncie dwa filmy fabularne. Debiutancki „Gorący czwartek” prezentowano w telewizji i na rozlicznych festiwalach, ale nie w kinach, co zawsze ma rangę nobilitacji. Tyle, że Rosa objechał z tym filmem wiele seansów studyjnych i klubowych. Teraz „Farba”, która jest także filmem wyprodukowanym za telewizyjne pieniądze, wchodzi do rozpowszechniania w kinach. Jego drugi film jest dramatem młodzieżowym, to znaczy rozegranym w środowisku dzisiejszej młodzieży, co nie znaczy, że dziełem schlebającym tej młodzieżowej publiczności, która zapewnia sale na amerykańskich przebojach. Można powiedzieć, że przeciwnie.

Najpierw Rosa studiował architekturę na Politechnice Śląskiej w Gliwicach. Z dyplomem architekta trafił na rok do wojska, co znalazło później wyraz w etiudzie „Gry i zabawy wojskowe”, zrealizowanej w 1991 roku, już na studiach reżyserskich na Wydziale Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego. Tę etiudę nominowano do nagrody studentckiego Oscara i prezentowano na wielu festiwalach krótkiego metrażu. A niedługo po studiach Rosie udało się rozpocząć realizację kameralnego filmu fabularnego, czyli „Gorącego czwartku”, który otworzył mu drogę do kariery filmowej.

Nakręcony w ciągu zaledwie trzech tygodni „Gorący czwartek” stał się rewelacją festiwalu gdynińskiego w 1994 roku. Nagrodzono go wtedy Brązowymi Lwami za najlepszy debiut roku, a na pofestiwalowej konferencji mówili o nim dobrze Krzysztof Piesiewicz i Andrzej Żuławski. Uhonorowano Mateusza Pospieszalskiego za najlepszą muzykę, a naturszczycy grający główne role dostali wyróżnienia Fundacji Kultury Polskiej. A jednak wszystko to nie utorało mu drogi na ekrany kinowe. Wielka szkoda. Powiem od razu, że „Gorący czwartek” wydaje mi się filmem lepszym od nowszej „Farby”, która trafia właśnie na ekrany. Bardziej filmowym.

wędrowki po kinie

Dwa filmy Rosy

Na pierwszy rzut oka „Gorący czwartek” zdaje się być zapisem jednego dnia z życia trzech kilkunastoletnich chłopców ze szkoły specjalnej, którzy dokonują drobnej kradzieży, ale w tym filmie chodzi przecież o coś więcej. To rzecz o przedwczesnej dojrzałości, o młodych ludziach, którzy szukają sposobu, aby się wyrwać ze swego zamkniętego świata. Dramat społeczny, ale bez społecznej perswazji, co właśnie było jego zaletą. W tym szorstkim, realistycznym filmie można było dostrzec, że jego autor ma wycucie kina.

Rzecz w tym, że „Gorący czwartek” rozgrywa się we współczesnej scenarii górnośląskiej, z familokami i hałdami. Jego zaletą były ujęcia bohaterów na tle zdeformowanego pejzażu górnośląskiego, co w połączeniu z egzotyczną muzyką Mateusza Pospieszalskiego dało miejscami efekty wręcz niezwykle. Pamiętam, że na spotkaniu Rosy z publicznością w Zabrze (skąd reżyser pochodzi) ktoś nie od rzeczy zaczął go o Wernera Herzoga wędrującego po świecie w poszukiwaniu dziwnych krajobrazów komentujących stany duszy bohaterów. Coś z tego można zobaczyć w filmie Rosy, chociaż on sam raczej odżegnuje się od górnośląskości. Niemniej dzięki wyeksponowaniu górnoślą-

skiego, zdeformowanego pejzażu akcja filmu nabiera w niektórych ujęciach plenerowych sensu nieomal magicznego, chociaż wyniknęło to zdaje się więcej z intuicji autora niż ze świadomego zamiaru.

Również o „Farbie” można powiedzieć, iż jest dramatem opowiadającym o młodzieży, tyle że młodzieży starszej, poszukującej swego miejsca w zmieniającej się polskiej rzeczywistości, która zrobiła się różnorodna i kolorowa. Młoda gwiazda Agnieszka Krukówna (zapamiętana jeszcze z dziecięcego serialu telewizyjnego „Janka” Janusza Łęskiego) gra dziewczynę o ksywie „Farba” podróżującą po Polsce w towarzystwie niejakiego Cypa (Marcin Władyniak), młodzieńca trudnego do dokładniejszego określenia. Właściwie dziewczyna stara się odnaleźć swoją babcie, co stwarza wiele sposobności poznawania życia.

Niewątpliwie „Farba” nawiązuje do formuły „kina drogi”, ale przekornie. To zresztą więcej film chodzony, rozegrany w scenerii wielkomiejskiej, i z wyraźną intencją krytyczną. Jest to rzecz o zagubieniu dzisiejszej młodzieży, o młodzieży wychowanej na zachodnich magazynach („Farba” czytuje „Bravo Girl”), zachowującej się krzykliwe i dziwacznie. Wprawdzie w finale film Rosy staje się dziełem niezwykle dynamicznym i przejmującym (sekwencja na dworcu kolejowym), lecz wcześniej sprawia wrażenie chłodnego i beznamiętnego. Więcej w nim perswazji niż żywiołowości kina.

Nie da się ukryć, że widać w „Farbie” wyraźnie tezy scenarzysty (i zarazem przecież reżysera), który na to pokolenie młodzieży wyrosło w Polsce wolnorynkowej patrzy krytycznie i z dystansem. Sprawna reżyseria nie zdołała naprawić przesadnie luźnej konstrukcji i frapującej strony wizualnej. W efekcie „Farba” jest, owszem, filmem ciekawym, ale mało emocjonującym, z wyjątkiem owej niesłychanie przejmującej końcówki, gdzie do głosu dochodzą emocje.

Na razie Michał Rosa ma na koncie dwa filmy fabularne i wszystko przed sobą. Jeśli te filmy potraktować łącznie, to widać, że porusza się pomiędzy spekulacją intelektualną natury społecznej a naturalną żywiołowością kina, co prowadzi go raz w jedną, to znów w drugą stronę. Mnie się zdaje, że powinien zaufać swej filmowej intuicji, której dał dowody w „Gorącym czwartku”.

JAN F. LEWANDOWSKI

*Strażnik głód pilnuje obszar ust
przegląda starannie
paszporty słów
które udają się masowo
na zewnątrz do świata
nie dla nich przeznaczonego
tam grasują pirackie bandy zdań
falszujące zeznania
z cierpień robią festyny radości
dla gawiedzi
nie znającej nic
cokolwiek z prawdą ma wspólnego*

*dzisiaj nie wiadomo
w imię czego
trzeba umierać
po której stronie stanąć barykady
wszystkie tak naprawdę
niczego nie bronią
zaciemniają nieliczne obszary
dla ciepła przechodzącego
znakiem pojednania
z rąk do rąk*

*wziąć kwiat do ręki
i iść prosto przed siebie
tak długo
aż z drugiej strony
nie nadejdzie ktoś
z wazonem w rękę*

Nieznajoma

*Odwiedza mnie codziennie
z nastaniem szarej godziny
wchodzi cicho
żeby liści na drzewach
nie poruszyć
obłoków nie przestraszyć
one tylko wiedzą
kim jest ta dostojna pani
w letniej powiewnej sukni
z parasolką w dłoni
starannie ukrywa twarz
aby jej nigdy do końca
nie rozpoznać
jej zamiary
tajemniczy czas
ukrywa starannie
gdyby o cokolwiek zapytać
rozplywa się cieniem
wzdłuż ściany
i zostaję sam
z przyspieszonym
biciem serca*

Dłonie

*Ręką płynie rwąca rzeka bólu
gdzie to morze do którego zdąża
kraje głową na dwie połówki
soczystego jabłka
jestem tam gdzie mnie jeszcze nie ma
jeszcze mi nie spieszno
jest sporo do zrobienia
wypić kawę wypalić fajkę
popatrzeć na lot ptaka
dla domu niewiele da się zrobić
złotówkę znaleźć na bochen chleba
tak dużo pracy
a rzeka płynie swoim prawem
wylewa się na coraz większe obszary ciała
stanu zagrożenia
nikt nie ogłosi*

* * *

*Słońce zapaliło siedem kwiatów
tego nie ma w apokalipsie
święty Jan tego nie przewidział
usiadł obok dojrzewającego łopianu
czyżby czegoś nie przewidział
co ma się wcześniej dokonać
skąd mógł wiedzieć
że koniec wieku wszystko skomplikuje
teraz nie ma wojen są tylko mordy
wszystko daleko tylko płacz bliski
każdy dzień zarasta chwastami
a kwiaty łzami płoną
smutek rośnie na wysokość sosny
przyjdzie wicher
rzuci pod nogi połamane drzewa
są drogi na które wstępowanie
jest wielką nieostrożnością*

* * *

*W co mam wierzyć
skoro ptakom połamano skrzydła
rozprzedano wszystkie wartości
akcje wykupiono
zaciśnięte pięści*

*jaki pożytek z ciała
owiniętego w kokon bólu
grymas obrzydzenia
w oczach przechodnia
i to wszystko*

*myślałem kiedyś
góry przeniosę
a trudno podnieść
gazetę z podłogi*

Smak wiśni

Fortepian uwodzi biało-czarnym
ciałem z domieszką egzotycznych
odcisków. Poddaje się z łatwością,
choć nie jest mięczakiem.
Skośnooka właścicielka długich
palców, ton nadaje gryząc usta.
Jaki luźny on się staje, gdy mu
mięśnie w puch rozkłada.
Stopą trąca, udem wadzi w jego
kolan rzeźby smukłe. Raz napiera
dłoni siłą, to znów zwalnia ucisk —
szybko. Całą siebie jemu daje z
tętnem co go oddech nie zagłuszy.
I raz jeszcze, na — bis znowu,
ciało z ciałem, a z dwóch jedno.
Czarne z białym w żółte,
żółte z białym w czarne,
potem równie szybko bledną.
Jeszcze tylko dotyk płytki, by
zostawić odcisk nowy, ten co smakiem
świeżej wiśni znowu będzie stał
gotowy.

Inna

Tak, ona jest przykładem wyobcowania
i zupełnie jak w niedzielnym koncercie —
na własne życzenie.
Można zdierać naskórek pukając do
jej—Ja
już chyba bardziej wewnątrz nie można
nie w tym śnie i nie w tej ciągłej
temperaturze poniżej.
Wszelkie próby dotarcia zostają odebrane
jako czynna napaść i karane pełnym
wyciszeniem.
A wszystko w miarę naturalnego wzrostu
i co za tym procesu myślenia
w tym przypadku również ważna ilość.
Jest nawet szansa że zostanie świętą
to przecież rozsądne uzasadnienie
samotnego obcowania.
Tak też wolą sąsiedzi, ucieleśnienia
moralnych wartości dla dzieci wnuków nawet
samyh siebie.
A w gruncie rzeczy nie chodzi o zbawianie
świata (już raz było)
tylko poczucie własnej inności.

List polecający

Wróć dawną siebie, teraz gdy lato
jest jeszcze.
Za rogiem bociany czekają.
Nietknięty bez sam nadlamuje gałąź.
Agrest w ogródku dosyć się zmeszył,
już co dzień wypuszcza soki.
Ty znowu chowasz kaptcie pod łóżko,
podobno tylko do jutra, no chyba że
jak zwykle pogoda będzie nie taka.
Znajomy pyta co z tobą i czemu ciebie
tak mało, ruch zdaje się wolniejszy,
a ławki pod wieczór zimne i puste.
Wczoraj znalazłam nasze wspólne zdjęcie,
masz włosy rozwiane na głowie i spódnicę
zawianą, to znak że od Soliny wciąż wieje,
to znak że musisz wrócić.

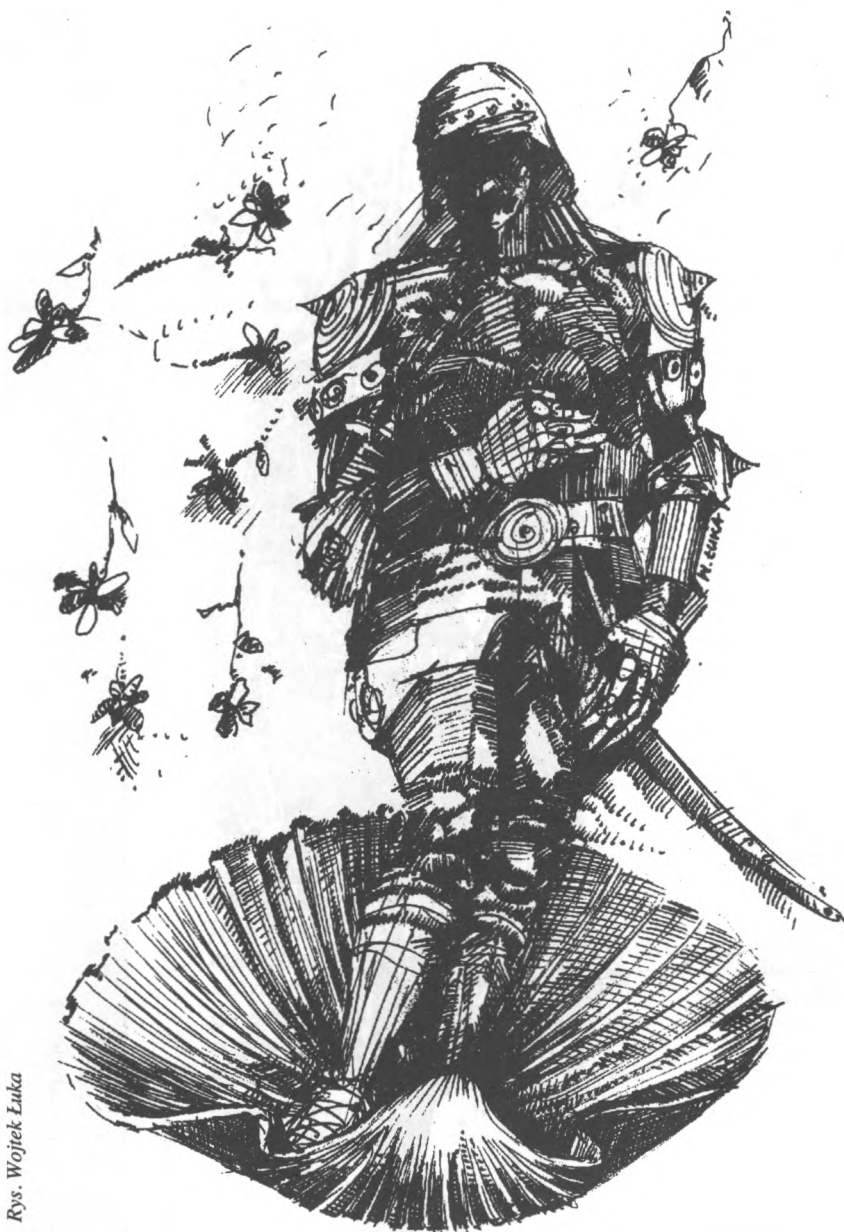


Rys. Bohdan Tarajtkowski

Sabina Wawerla (lat 19) — jest uczennicą III klasy
Technikum Poligraficznego dla Pracujących w Katowicach

Sandro i Wenus

JAN RÓŻEWICZ



Rys. Wojtek Łuka

Według Sandra czasy były złe. Spiewano głupie ballady, ubierano się pstrokato i niepraktycznie. Panował nie ten Książę. Książę przeważnie bywa paskudny, ale Medyceusz udawał znawcę sztuki. Godzinami gadał o rzeczach zupełnie mi obcych, chwalił, ganił, udzielał rad... i był skąpy. Z roku na rok coraz bardziej skąpy i nic tu nie zmieniał przydomek „Wspaniały” nadany mu przez dworzan i bliską rodzinę. „Wspaniały”!! — Sandro Botticelli zaśmiał się zgrzyliwie. Zaczął nerwowo gładzić a raczej szarpać swoją siwiejącą brodę. Odnosił dziwne wrażenie, że każde pociągnięcie wydłuża ją i przestraszony widmem brody omiatającej podłogę, zakrył dłonią oczy.

Artysta nie powinien się starzeć. Wina, sery, kardynałowie, nawet kobiety — proszę bardzo — ale nie artysta. A on się starzał.

Godzinami wpatrywał się w coś nie mogąc odkryć i zatrzymać w oczach istoty rzeczy, którą kiedyś chwycił w jednej chwili. Coraz trudniej było mu ująć w słowa sprawy proste, wyrazić coś jednym gestem. A był uznawany za jednego z najwyrazistszych ludzi (choć może nie mężczyzn) Florencji.

I nie mógł malować, zatracił zdolność malowania dla siebie, z wewnętrznej potrzeby. Nie malował póki nie dostał zamówienia, póki nie została uzgodniona cena — w złotych florenach. Ostatnią rzeczą, jaką zrobił dla siebie były sztychy do „Piekieł” Dantego. Wykonał je srebrnym ołówkiem, rezygnując ze światłocienia i opierając kompozycję wszystkich scen na perspektywie trudnej do przyjęcia nawet dla wielbicieli jego talentu. Sztychy nie podobały się. Z ilustrowaniem „Piekieł” zawsze był kłopot, bo różni ludzie słusznie i niesłusznie rozpoznawali siebie na rysunkach i wcale nie czuli się tym zachwyceni. Chociaż powinni — myślał Sandro — takie świetne sztychy! Tak, piekło — Sandro nagle oderwał dłonie od oczu. Poczul, że coś przeszkadza mu, dręczy w nieznośny sposób, zabija! Ale co? Pełen litości wobec własnych odczuć, stwierdził: to przecie tkalnia sąsiada! Krosna pocziwego sukiennika Moccia pracowały rytmicznie i nieubłaganie. Sandro przez całe lata słuchał ich głupawego stukotu i przywykł do niego. Teraz ten dźwięk wydawał mu się nieznośny. Trzeba z tym skończyć i to natychmiast! Wyszedł na taras i zaczął pohukiwać — Moccio! Panie Moccio! Mistrzu Moccio! Jedyną odpowiedzią był narastający stukot maszyn. Sandro słynał z pogody ducha, łagodności, wesołego a nawet figlarnego usposobienia, poza tym lubił sukiennika i nieraz pijał z nim czerwone wino. Jednak teraz malarz poczul, że wściekłość odejmuje mu zmysły i ryknął:

— Moccio! Brudny pająku! Wyjdź ze swojej ciemnej nory!

Wezwanie wypadło efektownie, bo w tkalni właśnie zmieniano łódki i straszny krzyk Sandra wpadł w niespodziewaną ciszę. Obliczony na pokonanie strasznego hałasu, był wielki i wielkie wywołał wrażenie w obu domostwach. Moccio wybiegł przed dom w towarzystwie swoich tkaczy a na taras wychynęli z pracowni uczniowie Sandra. Wywiązała się ożywiona dyskusja, co we Florencji oznaczało potworną awanturę i właśnie Sandro obiecywał sąsiadowi, że pieniądze jakie otrzyma w najbliższym czasie przeznaczy na zakup arkebuz, z którego odstrzeli Mocciovi... Niestety, licznie zebrani słuchacze nigdy nie dowiedzieli się co... Najstarszy uczeń Sandra,

Biagio wybiegł na taras i chwyciwszy mistrza za bufiasty rękaw koszuli, pociągnął go za sobą. Pobladły z gniewu mistrz na pozeğnanie pogroził sukiennikowi pięścią, a Moccio litościwie popukał się w czoło i wrócił do swoich krosien. — Gdzie mnie ciągniesz, synu psa i gamratki? Spytaj łagodnie Sandro, który znany był z wprost matczyego stosunku do swoich uczniów, nie wiadomo dlaczego stosunek nie był określany ojcowiskim, ale lepiej tego nie roztrząsać.

— Dwaj szlachetni cavalieros czekają na Mistrza w pracowni — szepnęł Biagio i przeczornie odskoczył w bok.

— Cavalieros, rycerze? — spytał z politowaniem Sandro. — Widziałeś kiedyś, w tym mieście kupczyków, rycerza i to w dodatku szlachetnego?!

— Ciszej, Mistrzu, to panowie Lorenzo i Giovanni di Purfrancesco.

— Sandro skrzywił się, zaklął paskudnie i poczuł nieprzyjemne mrowie w różnych częściach swego stąnącego z klasycznych proporcji ciała. Lorenzo i Giovanni siostrzeńcy Księża byli uważani za czarne owce rodziny, co wśród rzeszy różnych krewniaków Medyceuszów, mogło uchodzić za sztukę. Poza tym nigdy nie mieli pieniędzy, co prawda Książę, z reguły, wcześniej czy później spłacał ich długi, ale następowało to raczej później. Natomiast w czasie pracy artysta był narażony na kontakt z dwoma kuzynami, słynącymi z ciężkiej ręki. Mieli też ogromną łatwość i wprawę w używaniu swoich toledańskich rapierów i sztyletów, z którymi nie rozstawali się prawie nigdy. Sandro westchnął i wszedł do pracowni. Goście siedzieli rącząc się obficie (w co nie wątpił) jego winem i owocami. Ich obcisłe pludry, krótkie bufiaste spodnie, wyszywane srebrem kaftany były pokryte rudym kurzem i błotem. Nie wiadomo jak dawno myte włosy zlepiały się w kunsztowne strąki. Najwyraźniej młodzieńcy zawitali prosto z polowania, albo po jakiejś większej awanturze. Botticelli skłonił się lekko, znacznie za lekko, jak na wymagania swoich gości.

Spojrżeli na niego z niesmakiem i równocześnie pokręcili głowami. Lorenzo lekceważąco machnął ręką, Giovanni uniósł się z zydła, objął ramieniem (nie wiedząc czemu lewym) szcuple barki malarza i zaczął z nim niebezpieczną wędrowkę dookoła gościnnego stołu. Mówił coś, gestykulując potężną prawicą, z której Sandro nie spuszczał spłoszonego wzroku. Słowa Giovanniego nie docierały do niego. Słyszał tylko inne, wypowiedziane przed laty: dobrze zapłacę Sandro i mignęły mu zamarte w groźbie oczy mówiącego. To była stara historia. W pałacu Careggi odbywała się jedna z tych żalonych uczt duszy, organizowanych przez Księcia. Było wielu, którzy marzyli o udziale w takim sympozjonie, wielu nienawidzących tego, ale milcząca większość przychodziła, bo Księciu się nie odmawia. Potrawy były wykwińnię, choć trudne do spożycia, wina drogie i zwietrzałe ze starości. Każdy uczestnik uczyt pragnął być zauważony przez kogoś od kogo był zależny, a sam wielkim kołem omijał podległych sobie. Ciemno ubrany, blade, smutny Książę pragnął rozmawiać o sztuce więc rozmawiano o sztuce. Najgłośniejsi mówili ignoranci zagłuszając swoją niewiedzę i kompleksy. Siedzący naprzeciw Botticellego Giovanni di Purfrancesco milczał, słuchał uczynzonego bełkotu i nagle oświadczył grzmącym głosem, że ze wszystkich sztuk najmniej ceni sobie malarstwo. Książę zwrócił się

do niego nie podnosząc ciężkich powiek. — Dlaczego tak sądzisz?

Bo jest nic nie warte! Stwierdził logicznie Giovanni. — Plaskie. Na obraz spojrzysz tylko raz i już wiesz wszystko. Ma tylko jedną stronę... Wisząca na ścianie nuda!

— Ciekawe — powiedział Książę, po raz pierwszy słyszał siostrzeńca mówiącego o czymś innym niż pojedynki i psy myśliwskie.

— Taką rzeźba — ciągnął zachwycony sobą Giovanni — to co innego, można pochodzić dookoła, a jak nimfę piękną przedstawia to i chwycić jest za co. Widzisz ją całą, z czterech stron! Rozległy się śmiechy i oklaski dam uważających gbura i bandytę Giovanniego za uroczego młodzieńca. Sandro odezwał się wbrew sobie, czując że popełnia błąd, że nie powinien rozmawiać z pijanym idiotą. Brnął w kłopoty przeklinając w duchu swoją głupotę, ale nie mogąc się powstrzymać. Miał cudowny dar robienia sobie wrogów z ludzi, którzy nic go nie obchodzili.

— W jednej chwili, panie — zwrócił się do Giovanniego — narysuj ci postaci ludzką przedstawiając ją z wszystkich możliwych stron. Człowiek będzie jeden, rysunek jeden, a będziesz mógł go obejrzeć z przodu, z tyłu, z boków! Giovanni ryknął śmiechem, był zupełnie pijany i ponosiło go.

Stawmy się — zawołał — o sto florenów! Sto florenów pacykarzu! Botticelli obojętnie skinał głową. Wśród gości zapanaowało poruszenie — sto florenów! Tylko Książę siedział obojętny, nie podniósł głowy, nie spojrzał na adwersarzy. Znał sztuczkę malarza, ale uznał, że rozhukanemu siostrzeńcowi przyda się prztyczek. Wszystko poszło szybko. Sandro kazał sobie podać pulpit kreślarski, kawał kartonu i węgiel. W pięć minut naszkicował rzymskiego wojownika, stojącego nad basenem z wodą deszczową w swoim atrium. Wspaniały ten maź był nagi, odwrócony do patrzącego tyłem, ale po swojej prawicy miał lustro, a po lewicy lśniącą zbroję. Światło wpadające przez okrągły otwór w dachu ożywiało jego odbicie w tafli wody, a z obu boków w lśniących powierzchniach zwierciadła i półpancerza.

Śmiechom i żartom nie było końca. Sam Giovanni śmiał się najgłośniejsz. Dobrze, zapłacę ci — powiedział — właśnie ten głos i wiele obiecujące oczy przypomnieli sobie Sandro w czasie wędrowki po własnej pracowni. Giovanni zatrzymał się nagle, bo zdał sobie sprawę, że Sandro nie słucha, rozłożył bezzadnie ręce i spojrzał na Lorenza.

— Nie, ja nie umiem z nimi rozmawiać, wołę mojego konia. Co jest, Mistrzu, ucztowałeś wczoraj? Panna piękna ci drogę przecięła?

Sandro wskazał na niedokończzone tondo, stojące na odkrytym czarnym akasmitem postumencie.

Aaa pracujesz, to szkodliwe, ale racz teraz posłuchać uważnie — Lorenzo rąbnął kubkiem w stół — bo zlecenie pochodzi od Księcia. Wuj chce, żebyśmy się ustawkowali, czyli, tfu, poženili. Ma już dla nas na oku posażne i zacne panny. Nam w posagu podarował wille di Castello. Pałacyk piękny, ale ściany w nim, według wuja... gołe. Nam się w oczach mrowi od tych biblijnych i mitologicznych bohomaszów, ale znasz Mistrzu Księcia, jemu zawsze mało. Arcydziełem jakimś chce nas uszczęśliwić, a kto lepszy od arcydzieł niż pocziwsky Sandro.

— Tylko uważaj Mistrzu — Giovanni pogroził palcem. — Żadnych świętych Augustynów ani Madonn z aniołkami, chce mieć coś do oglądania. Jednym słowem, gołą babę — pomyślał Sandro — dobry Boże! Taki piękny pałacyk dla dwóch imbecyli. A ja muszę gnieść się z ośmiu uczniami w starej, dusznej budzie, słuchać stukotu maszyn. Gdzie sens, gdzie sprawiedliwość?! Nie ma — odpowiedział sobie surowo. Wiedział, że musi przyjąć zamówienie. Był zawodowcem przygotowanym na wszystko. Miał w głowie setki tematów i kształtów, które wystarczyło przenieść na płótno, przekonać klienta że są genialne i uzyskać dobrą zapłatę.

— Szlachetni panowie, znają z pewnością cudny poemat Polizjana opisujący przybycie bogini Wenus na Cypr?

— Dobrze wiesz, Sandro, że nie znamy cudnego poematu — parsknął gniewnie Lorenzo. — Co byłoby na obrazie?

Boska Wenus, naga, podpływająca w olbrzymiej muszli do morskiego brzegu Zefir i Aura, pomagający jej w żegludze swoimi oddechami i wiosenna Flora córka Zeusa, niosąca nową pani płaszcz królewski. Poza tym morze, gaj pomarańczowy, różne kwiecie. Sandro podał ten opis szybko i sucho, jak receptę na środek przeciwcyszczający. Spojrzeli na stojące w kącie dębowe blejtramy. — Będzie miał trzy łokcie wysokości, cztery i pół szerokości. Nada się do każdej komnaty. Namaluję go szybko, bardzo szybko. Nawet panowie nie zdają się zniecierpliwic. Głos malarza zdradzał, bo on sam poczuł falę gniewnego zniecierpliwienia, które tyle razy wpędzało go w kłopoty. Lorenzo rozbawiony uniósł brwi, dopił wino, wstał i przeciągnął się.

Wyganiasz nas, Mistrzu? Dobrze wiemy, że geniuszowi trudno zadawać się z takimi nieukami. Co do zapłaty ułożysz się z Księciem. Potrzeba ci czegoś, żebyś mógł pracować spokojnie? Zdumienie malarza nie miało granic. Di Purfrancesco pytający o czyjeś potrzeby?! Podstęp, pułapka, złośliwy żart?

Twarz Lorenza była drwiąca, jak zawsze, ale pytanie zabrzmiało poważnie. Sandro potarł dłonią czoło.

Bogini — powiedział z wahaniem — panowie znają tyle pięknych pań, a żadna z moich modelek... Wenus zdobywa Cypr... i przynoszą jej płaszcz królewski — mrucał coraz ciszej, zwalczając chęć wydania lwiego ryku i rozbicia sobie pięścią nosa, w nagrodę za własną głupotę.

Oszalałeś Sandro? — Lorenzo był wyraźnie zadowolony. — Mamy ci sprawać piękne panie? Nasze piękne panie? Giovanni, już wychodzący z pracowni odwrócił się nagle w drzwiach z rozjaśnioną twarzą. Jego głos był radosny. Czemu się złościł kuzynie? Mistrz ma rację przecież pracuje dla nas, wuj mu płaci, a my co? Ile ci trzeba tych pięknych pań, dziesięć, dwadzieścia?

Jedna — mruknął Botticelli. — I tylko na jedno posiedzenie... ale, ale — zająknął się, to musi być coś świeżego, pięknego... a nie...

Rozumiem, rozumiem, nie musisz kończyć. Będziesz miał ją jeszcze dziś, po śnie, tylko z szacunkiem stary rozpustnika, to prawdziwa dama! Pozbądź się tych swoich, he, he uczniów.

Giovanni walnął malarza w ramię i w podskokach wybiegł z pracowni, pociągając za sobą zdumionego Lorenza. Nadchodziło niebezpieczeństwo, Sandro wyczuwał je, ale był bezradny, przecież

sam je przywołał. Warsztat tkacki umilkł. Wśród róż i aloesu jazgotowały cykady. Wzruszył ramionami — co może się stać? Po prostu Giovanni spełni jego prośbę. Pewnie chce mieć Wenus z twarzą swojej nowej kochanki. Sandro odprawił uczniów, zakazując im pojawiać się przed wieczorem, przygotował ołówki, węgiel i tusz. Siedział pochylony nad stołem, patrząc na swoje ręce poplamione złotą farbą. Myślał o obrazie, przypomnął oczy, coraz wyraźniej widział kolory, układy ciał — tylko środek nieistniejącej, a przecież już stworzonej przestrzeni pozostawał świetlisty i oporny próbom wypełnienia. Przyzwyczajona do szablonów wyobrażenia, była bezradna. Usłyszał cienki głosik, dokuczliwe nic, pulsujące, dręczące. Głosik chcący czegoś, dygocący, jąttrzący, ból nie mający swojego miejsca ani uzasadnienia, tęskniący za prawdą, o której Sandro zapomnieli. Uderzył otwartą dłoń w stół, chcąc odgonić koszar.

Wtedy nadeszła. Zobaczył jej złociste włosy, bursztynowe oczy, dłonie wyjmujące brosze spinające na ramionach kwiecistą suknię, która niby kolorowa mgła spłynęła na podłogę pracowni. Wszystko było jak nieublagany chłodny powiew. Ogarnęła go całego, świat zniknęła, został tylko dreszcz coraz gwałtowniejszy, przerażający. Sandro, oskarżany o sodomie — został jedynym mężczyzną na świecie. Był jedyny ze swoją siwiejącą brodą, długimi, strachem, został wybrany. Chciał ją przyniknąć, ale tracił siły. Jego oddech stawał się płytki, końce palców drętwiały. Muszę się obudzić — pomyślał, ale to nie był sen, nadchodziło spełnienie. Sandro poczuł smak krwi i zapach soli morskiej. Kobieta przyglądała mu się lekko uśmiechnięta, wypowiadając parę słów w sobie tylko znanym języku. Kiedy głowa umęczonego mężczyzny przechyliła się na bok, Wenus dotknęła jego zarosniętego policzka. Sandro ciągle miał przed oczyma jej twarz, czuł jej ciało, ale ona już odchodziła bez szelestu, bez śladu. Wyszła z pracowni a jej lekka suknia pofrunęła za nią otulając jasny kształt, nie mający miejsca nigdzie poza miłością.

Następnego dnia Mistrz zabrał się do roboty. Przygoda z nieznaną była mu obojętna. Nie takie miał przygody! Po prostu wiedział dokładnie, jak ma wyglądać obraz i chciał go namalować. W pracowni zapanował ruch. Rozkazy Sandra przeplatane straszliwymi, ale wesołymi przekleństwami, przesywały letnie powietrze, tworząc bitewny nastrój. Dowodzący tą batalią był pewny zwycięstwa. Piorunem naciągnięto na blejtram zszyte z dwóch kawałków płótno wzmacniając je od spodu skrzyżowanymi pasmami tej samej materii. Pociągnięto je klejem dla usztywnienia, zagruntowano przy pomocy szerokiego pędzla — gessem, czyli gipsem i kredą. Chytry Sandro od razu dodawał do gesso błękitnego barwnika, który miał nadać obrazowi ogólną tonację. Tym wszystkim trudnili się, oczywiście, pełni zapału uczniowie. Sam mistrz dotknął płótna dopiero, gdy doszło do rysowania. Szkic węglem pociągnął tuszem, używając do tego pędzelka z włoska kuny (kupiec zapewniał, że jest to sierść sobola he, he!). Potem, na tym konturowym rysunku, położono kreseczkami cienie przy pomocy zielonkawobrazowej farby wodnej. Po tygodniu można było przystąpić do malowania. Botticelli zdecydował się na tempę. Wierni uczniowie przygotowali naczynia z barwnikami oraz

butle ze spoiwem, czyli lepkiem świńskim, składającym się z oleju lnianego, jajka, żywicy i wody. Mistrz czerpał z jednego naczynia barwnik, z drugiego spoiwo, mieszał to pędzlem na palecie i malował. Drobniejsze rzeczy ostrym pędzelkiem z wiewiórki, większe plamy szerokimi pędzlami ze szczeciny świnińskiej lub borsuczej. Uprościł sobie sprawę i nie podmalowywał boskich ciał, tylko od razu kładł kreskami apetyczny złocisto-ugrowo-perłowy kolorek. Do prac grubszych: morza, roślinności, linii brzegu — dopuszczał uczniów. Pracowali wszyscy zgodnie i wesoło, podsycając swój zapał winem. Raz tyko doszło do potwornej awantury, kiedy Biagio do butli ze spoiwem wrzucił nieświeże jajo. Sandro chciał koniecznie tę cudowną miksturę wylać chłopcu na głowę. Połmano kilka mebli, stłuczono parę naczyń i z lekkim sercem powrócono do roboty. Pierwsza wersja obrazu powstała w miesiąc. Zaniepokojony tym rekordowym tempem Botticelli ogłosił przerwę, w czasie której oddawał się uciechom, o których pogłoski bardzo zasmucały biskupa wikariusza. Sandro po tygodniu wrócił do pracowni, żeby spojrzeć na obraz świeżym okiem. Z drwiącym uśmiechem wysłuchał rad swoich chłopców, po czym wziął się do roboty, uwzględniając ich wszystkie uwagi. Rozrzucił i pofalował włosy Wenus, bardziej wydał policzki dmuchającemu Zefirowi, Florę pozbawił sandałów, a trzymany przez nią płaszcz obramował złotem. Nad brzegiem morza rozkwitły anemony i wyrosły pałki trzciny. Kusilo go do dalszych zmian, więc żeby uniemożliwić sobie błędzenia w szczegółach, kazał pokryć płótno cienkim werniksem, z nieznaną domieszką szarości... i uznał dzieło za skończone. Wiedział, że namalował dobry obraz, ale nie czuł do niego sentymentu. Kobieta, która posłużyła mu jako model bogini, nie zakłócała jego lekkich, barwnych snów. Poddawać swoją pracę ocenie takich znawców, jak panowie di Purfrancesco? Chcieli obraz, mają obraz — nie oni za niego płacą. Odesłał dzieło do willi di Castello, a sam spokojnie oczekiwał na wezwanie Księcia. Nie czekał długo. Pewnego ranka zobaczył przed domem dwóch czarno-czerwonych drabantów, uzbrojonych w długie gimzardy. Coś było

nie w porządku. Księżę, w przeciwieństwie do biskupa rzadko używał swojej straży w kontaktach z artystami. Jeszcze bardziej zdziwił się Sandro usłyszawszy od zbrojnego, że nie udają się do dworu, lecz do di Castello. Trzęsąc się w zamkniętym, dwukonnym powoziku nie czuł już zdziwienia ani strachu, tylko ciężko uciskającą piersi złość. Gwardzista, prowadzący malarza przez opustoszałe korytarze, miał dziwną minę. Twarz drgała mu, jakby z trudem powstrzymywał śmiech.

Księżę czekał na swojego ulubionego artystę w małym pokoju, którego dach i jedna ze ścian były całkowicie oszklone. Słomkowe światło ożywiało wiszący na ścianie obraz. Sandro z niesmakiem stwierdził, że różowa Wenus i jej towarzystwo wydają się w tym blasku trochę kiczowaci. Księżę — wychudły, zmęczony kruk, siedział wpatrzony w posadzkę z matowego piaskowa.

— Coś ty znowu zmalował Sandro? — zapytał nie poruszając wargami. Botticelli bez entuzjazmu zaczął opowiadać o boskiej Wenus, o Zefirze i Aurze, o Florze córce Zeusa i Temidy, o Cyprze, gajach pomarańczowych, anemonach, różach, wielkiej muszli przegrzebka, która służyła bogini za łódź o...

Nie pytam co żeś namalował, ale co żeś zmalował? — Głos Księcia był pełen udreki, głos cierpliwego opiekuna i wychowawcy, którego uczeń zawiódł wszystkie nadzieje. — Skąd wzięła postać Wenus? Sandro wzruszył ramionami, nie miał zamiaru odpowiadać. Właśnie — ciągnął Księżę, resztką sił zwalczając atak migreny. — Myślisz, że ci wszystko wolno... a namalowałeś osiołka, Simonetę de Vespucci, panią no... serca mego brata, Juliana. Mogłeś ją namalować na sto sposobów jako świętą czy jawno-grzesznicę, damę lub mieszczkę — ale nie naga, nie naga!

W przeszklonym pokoju zapanowała cisza. Malarz i mecenas szczerzyli do siebie żeby w martwym grymasie, udającym uśmiech. Księżę wstał i podszedł do obrazu, mówił odwrócony plecami do Sandra.

— Nie upilnuję cię, znasz Juliana. Musisz wyjechać Mistrzu. Szczęśliwie się składa, że zachwycony twoim „Pokłonem Trzech Króli”, Jego Świątobliwość Sykstus IV chce cię widzieć przy ozdabianiu nowej kaplicy w Watykanie... Wybacz Giovanniemu, to szczeniak, tylko figle mu w głowie. Jedź, Mistrzu do Rzymu. Za obraz i na drogę daję ci sto florenów... Ale zaraz — Księżę zatrzymał sakiewkę w dłoni znów wpatrując się w obraz — co u diabła robią pałki trzciny na morskim brzegu?! — Nie spodziewając się odpowiedzi, machnął ręką.

Sandro wziął pieniądze trzęsąc się ze śmiechu. Zaśmiewał się wracając do siebie, ryczał wchodząc do pracowni. Dobry humor nie opuszczał go też w Rzymie, kiedy malował freski w Kaplicy Sykstyńskiej. Po dwóch latach wrócił do Florencji, gdzie już zapomniano o jego wybrykach. Posypały się zamówienia, ale Sandro przestał malować. Przez dziesięć lat, do swojej pogodnej śmierci nie robił nic. Reumatyzm powykrecał mu stawy. Odszedł wspierając się na dwóch laskach i z Księciem, który z najwyższą niechęcią, ale regularnie łożył na jego utrzymanie i z prawdziwą ulgą zafundował swojemu niesformemu protegowanemu pogrzeb w kościele Wszystkich Świętych we Florencji. ■



Poezja Mirona Białoszewskiego (1922—1983) od początku stanowiła wyzwanie dla czytelnika przyzwyczajonego do wzniosłości poetyckiej mowy. Uderzała z jednej strony jej kolokwialność, z drugiej jednak — skomplikowanie formalne, zabawa słowem, skłonność do tworzenia neologizmów, niezwykłości składniowych. Jeśli ktoś wziął serio wskazanie, by w poezji „dać odpowiednie rzeczy słowo”, to z pewnością właśnie Białoszewski. Jego debiutancki zbiór „Obroty rzeczy” (1956) już w samym tytule oddaje jego poetycką filozofię: to obroty rzeczy w kosmosie języka; zarazem też owe „rzeczy” przeciwstawiają się, przynajmniej pozornie, „sferom niebieskim” z tytułu dzieła Kopernika — wszechświat naszej egzystencji to przestrzeń codziennych sprzętów i przedmiotów, nie zaś obszar planet i gwiazd. Ale przecież w tej opozycji ukryta jest też przystawalność: oba te światy jakoś się w sobie odwzorowują, łączą je mniej lub bardziej dyskretne relacje.

Cykl „Wypisy z morza” — zamieszczony w pośmiertnie opublikowanym tomie „Oho” (1985) — to poetyckie sprawozdanie z podróży morskiej. Już zetknięcie się z tym żywiołem jest dla podmiotu tej liryki doświadczeniem zupełnie nowym. Bohater tej poezji spaceruje, leży, jeździ autobusem lub kolejką podmiejską — jest raczej istotą lądową niż morską. I to wypływa na „przestwór oceanu” pojęty nie metaforycznie, lecz jak najbardziej dosłownie, to przestwór mokry (nie jak u Mickiewicza suchy), nowy żywioł, z jakim się styka.

Wydarzenie opisywane w wierszu to najzwyczajsze wrzucanie śmieci, rupieci (jako „poezję rupieci” opisywał lirykę Białoszewskiego Artur Sandauer). Tutaj to wydarzenie staje się niezwykle i właśnie ową niezwykłość stara się poeta wyzyskać dla opisania nowego świata, dla „wypisania z morza” nowego doświadczenia. Przy czym od razu warto zauważyć fakt, że niezwykłość tego zwykłego wydarzenia jest — jak zawsze w tej poezji, cechą wszelkich wydarzeń, jakich jesteśmy świadkami. Jest tak niezwykle, że skłania ku modlitewnemu skupieniu.

Początkiem owego skupienia staje się spojrzenie, posłyszenie owego „klap!” towarzyszącego zetknięciu się pudła z wodą. Pierwsze dwa wersy to rodzaj wprowadzenia w sytuację, trzeci to już jej ukonkretnienie, unacznienie i „nagłośnienie”. Zaczyna się dramat pozostającego samotnie na falach pudła, co „coraz bardziej zostańsz”: ów neologizm spełnia tu wiele funkcji — podkreśla rosnące osamotnienie przedmiotu, który prze-

MÓJ WIERSZ

Wypisy z morza (VIII)

Wyrzucają coś co i raz.

Śmiecą, i to zostaje.

Klap!

pudło

na falach

kolebie się

my płyniemy

ono stoi i się kiwa

nie nie mokrzej

nie chce się topić

uparte

samotne

coraz dalej zostańsz

bujańsz

— papapupudłsiężnami...

Miron Białoszewski

staje istnieć w polu widzenia, oddala się od tego, kto widzi i kto mu zapewnia byt dostrzegany, zatem też wspólny; owa „zostańsz” — przywołana tu w gramatycznym stopniu wyższym, ale nie najwyższym jeszcze — ma jednocześnie wymowę emocjonalną, przywołuje uczucie żalu, smutku, współczucia. To nic, że to tylko pudło — porzucone i zdane na siebie, walczące uparcie o przetrwanie zasługujące na szacunek. Tym większy, że nie tylko jest coraz bardziej „zostańsz”, lecz także — a może przede wszystkim — coraz bardziej „bująsz”. Ten drugi neologizm jeszcze silniej podkreśla dramat przedmiotu: wykorzystuje tu Białoszewski dwuznaczność czasownika „bujac” — oznaczającego zarówno chybotanie się, jak oszukiwanie. Pudło rzucone zostaje na kolebiące, nie dające zatem poczucia pewności i stabilności podłoże, ale nadto jest jakby oszukane, omamione, zdradzone.

Wyodrębniamy tu zatem drugą część utworu — po pierwszej, wprowadzającej w sytuację, następuje rozbudowany i skonkretyzowany jej opis. Puentę stanowi modlitewne pożegnanie przedmiotu: „— pa pa pu pudł się za nami...” Zbudowane jest niezwykle kunsztownie: stanowi połączenie dwóch elementów, z których pierwszy to zwrot „pa pa pu(dło)”, drugi zaś to niejasne w pierwszym zetknięciu wy-

rażenie „pudł się za nami”. Pożegnalna formuła pierwszego członu wykorzystuje typowe dla wielu „opowieści” Białoszewskiego skracanie imion — imię pudła zredukowane zostaje tu do jego pierwszej sylaby. Drugi człon przypomina zniekształconą formułę zwrotu z „Ojczyzny” — „módl się za nami”, choć jest jednocześnie opisem „pudlenia się”, a zatem trwania pudła „za nami”, czyli za rufą oddalającego się statku. Warto jednak zwrócić uwagę na swoisty zwornik obu tych sformułowań, jaki tworzy wyodrębnienie połączenia wyrazów „pu pudł”, wyraźnie dźwiękonaśladowcze, zapowiadające, mimo oporu przedmiotu, jego zatonięcie, któremu towarzyszy odgłos bulgotu opuszczającego wnętrza pudła powietrza.

Taka kompozycja, zazębiająca z sobą poszczególne składniki ostatniego wersu utworu, pozwala — zważywszy, iż mamy do czynienia z puentą opisanego dramatu — na próbę interpretacji sensu owego poetyckiego zapisu. Oto samotne, porzucone i zdradzone przez człowieka pudło, choć walczące o przetrwanie, nie „mokrzejące” — a zatem przeciwstawiające się owemu mokremu przestworowi oceanu — skazane zostaje w końcu na zagładę. Jego „pudlenie się” na falach to ratowanie bytu, ocalanie istnienia już nie dla człowieka, lecz „dla siebie”: „pudlić się” to tutaj tyle, co istnieć jako pudło, zachowywać swą, jakby to powiedzieli fenomenolodzy, „pudłowość” czy „pudłowatość”.

Dramat pudła — szerzej: dramat rzeczy, przedmiotów, rupieci — nie jest jednak niezawiniony. Są w końcu ci, co „wyrzucają coś co i raz”, którzy „śmiecą” i sprawiają, że „to zostaje”. Zostaje rzucone na pastwę żywiołów, zostaje odarte ze znaczeń i przeznaczeń — jak owo pudło. I właśnie w imieniu owych ludzi prosi obserwator, narrator wiersza — „pudł się za nami”: wstaw się, mimo wszystko, swą pudłowatością, na swój pudli sposób za tymi ludźmi, którzy wszak nie wiedzą, co czynią. Na przykład nie wiedzą tylko — by pozostać przy najbardziej dosłownym odczytaniu — że śmiecą. Ale też — że niszczą naturę rzeczy, że unicestwiają niepowtarzalny byt stworzonego przedmiotu, który o tyle ma sens, o ile istnieje dla ludzi. Porzucony — nie broni sensu swego istnienia.

Można zatem zaryzykować tezę, że wiersz Białoszewskiego to utwór o odpowiedzialności za ludzkie zachowanie, za stosunek do własnego tworzenia, za stan natury i wreszcie nie na końcu za ocalanie sensu, za dyscyplinę bycia i mówienia.

LESZEK SZARUGA



JERZY BILEWICZ

NOWE NARZEKADŁA

Nawet do egoizmu i niewiary nie da się dojść
na skróty

*

4 zasady współżycia społecznego:

1. polecenie 2. rozkaz 3. krzyk 4. w pysk

*

Cześć, głusi — tu mówi niemy!

*

„Przestaję czytać. Proszę nikogo
nie winić”

*

Pytając „Kto tam?” — nie spodziewaj się zbyt
wiele.

Będzie to zawsze hipopotam.

*

Cmentarz. Oto tysiąc zaginionych
cywilizacji.

*

W miejscu, gdzie nie ma rzeki, stawiamy
najtrwalsze mosty.

L

LIMERYKI

TADEUSZ KIJONKA

MĘDRZEC

1. Na złość rodakom mędrzec z Krotoszyna,
Gdzie tylko może udaje kretyna.
A gdy wołają: rety —
To przecież zwykły kretyn!
Stuka się w czoło i zadek wypina.

SKĄPIEC

2. Skąpiec z natury bankier ze Swarzędza,
Co rok to bardziej żonę swą oszczędza.
Lecz im oszczędza bardziej,
To ta nim mocniej gardzi,
I z każdym rokiem jest z niej większa jędza.

GRABARZ

3. Jak twierdzi grabarz Flacha, pod wpływem
mikrobów
Wyjątkowo złośliwych, wpada wciąż do grobów.
A potem w środku nocy
Ryczy co noc pomocy,
Jednak odszukać go nie ma sposobu.

PIEPRZEM I SOLĄ

4. Wielce lubieżny emeryt z Nakła
Chciał aby żona stale go łakła.
Nie licząc się jednak z jej wołą,
Napychał ją pieprzem i solą,
Lecz ta na odwrót: nie łakła, lecz blakła.

ADONIS

5. Kulturysta Adonis w ekstazie popytu,
Gdy zobaczył się w lustrze to zawył z zachwytem,
Lecz ulegając potrzebie,
Tak w końcu uwiódł sam siebie,
Że nie może się wyrwać z własnego uchwytu.

WIESŁAW
MALICKI

A

AFORYZMY

Niektóre życiorysy skuteczniejsze są od
donosów.

*

Wir wydarzeń nie plewy wciąga na dno.

*

Reformy to wcześniaki postępu.

*

Nie oszczędzając nikogo, zgromadził
spore oszczędności.

*

Tych, co podążają za ideą, nie trzeba
prowadzić na smyczy.

*

I celom społecznym snią się strzelcy
wyborowi.

*

Linia horyzontu zależy od ciebie.

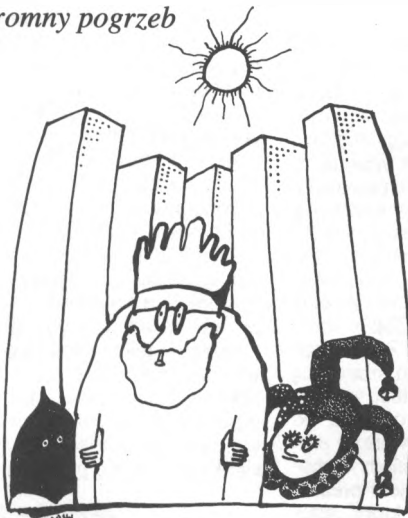
Pajacyk

*Uśmiechaj się pajacyku kolorowy
bo dokoła kapitalizm i dobrobyt
a o wszystkim co się dzieje decydujesz
bo czyś z głową czy bez głowy sam głosujesz
i od rana do wieczora wciąż wybierasz
więc idioto nie narzekaj mi tu teraz
bo jeśli się dziś źle dzieje to twa wina
i nie zwalaj swojej winy na Kaina
nie narzekaj że dokoła gwałt i porno
najważniejsze że masz wreszcie wolność
możesz kupić bez problemu willę porzszą
bo masz wolność i mieć możesz także forszę
Jeśliś biedny nie ponoszę winy za to
bo to znaczy żeś jest najzwyczajniejszy matot
i ze złości przygryźć możesz choćby wargę
albo iść do Pana Boga złożyć skargę*

Pieniądże

*Muszę zarobić pieniądze
na chleb ziemniaki
na niechciane ciężę
na gaz co znów podrożał
na rozum co potaniał
na ogrzanie do zera
zmarzniętego mieszkania
na spłacenie tych długów
których nie pospłacam
na klina bym wyleczyć
mógł nowego kaca
na rozwrzeszczaną żonę
która mnie zostawia
właśnie za to że na nią
znowu nie zarabiam...*

*Muszę robić pieniądze:
(by poczuć się dobrze)
na życie
oraz na śmierć
i na swój skromny pogrzeb*



Rys. Marek Polański

TRZYMINUTOWA NOWELKA

Nie ma nic gorszego niż być pięknym i bogatym. Jestem taki — ewentualnie — taka, to zależy już od natury języka, w niemieckim na przykład jestem rodzaju męskiego, ale w językach romańskich jestem kobietą, w polskim zaś rodzaju męskiego, a w rosyjskim, choć jak polski jest językiem słowiańskim, żeńskiego. Czasami w językach, w których przypisani jesteśmy do rodzaju męskiego, nadaje się nam imiona kobiece. Na przykład Polacy nazwali mojego nader ubogiego krewnego Syrenką. Syrenka jest jednak pół kobietą, pół rybą, a mój polski nader ubogi krewny, był pół samochodem, w najlepszym razie. Mnie, choć jestem rodzaju męskiego: der Wagen — przysługuje dziedziczne imię Mercedes. Jestem więc istotą poniekąd androgyniczną, i kiedy za moją kierownicą zasiada mężczyzna, czuje się jak kobieta, gdy zaś dosiada mnie kobieta, jak mężczyzna. Znam w ten sposób pełny wachlarz rozkoszy. Jestem piękny(a) i bogaty(a). Uwierzcie mi, nie ma na świecie nic gorszego, nic bardziej upokarzającego nad to, co mnie spotkało.

Zostałe(a)m odrącony(a).

A jak to było opowiem. Wprowadzono mnie do sali recepcyjnego reprezentacyjnego kombinatu hotelowego w stolicy europejskiej znacznej wielkości. Pachniał(a)m w każdym zakamarku. Czysty(a) jak iza. Gładki(a) jak policzek niemowlęcia. Lakier jak lustro z górskiego kryształu, którego blask subtelnie tłumy ciemnobłękitny wolał. Stał(a)m w sali recepcyjnej przez kilka godzin, cierpliwie znosząc łakome spojrzenia mężczyzn i żarliwe westchnienia kobiet. Czulał(a)m, że każdy(a) pragnie mnie posiadać, to znaczy posiadać, czy lepiej powiedziawszy: mieć. Ale ja wiem jedno, wiem coś, co tutaj, w tym kraju lud wyraża w takim oto porzekadle: nie dla psa kiełbasa.

A dla kogo?

Dla najlepszego. Wiedziało(a)m dla kogo, bo przecież pewne rozmowy toczyły się w moim języku ojczystym i dotarło do mnie, że otrzymał(a)m w prezencie Człowiek Roku 1997. Gdy dotarł do mnie sens tego, co się stanie, poczuł(a)m dreszcz rozkoszy. Żadnych we mnie wahań natury ideologicznej. Do szpiku kości jestem konserwatyst(k)ą, prawicowe poglądy wyssał(a)m z pierwszą odziedziczoną po przodkach kroplą bezy bezotłowiowej, i gdzieś tak w roku 1980-81-82, w przedstawicielach naszej linii rodowej, obudziły się, ku osłupieniu naszych przodków zapewne!, uczucia szczerzej sympatii do związków zawodowych, zwłaszcza niezależnych, a przede wszystkim samodzielnych, w kraju, w którym teraz mam trafić do rąk Człowieka Roku z tego właśnie pnia się wywodzącego.

Cudowne, podniecające, ale i politycznie poprawne uczucie największego samozadowolenia.

Aż tu nagle! Jakby mnie kto kopnął między reflektory. Cóż za upokarzające uczucie! Nawet mnie nie dotknął Człowiek Roku. A przecież widziałam błysk w jego tatarskim oczku. Bo nie ma mocnych, nie ma na świecie takiego mężczyzny, który na widok modelki z naszej linii rodowej, nie poczułby dreszczu na plecach. Ale żeby nawet nie usiąść za kierownicą, nie dotknąć mojej skóry, nie wstuchać się w mój oddech, nie, to się jeszcze nie zdarzyło. Padło na mnie, co za wstyd! Człowiek Roku nie może współ-żyć ze mną, ponieważ, o ile dobrze zrozumiałam, a właściwie domyśliłam się, bo nie znam języka polskiego, nie wypada, czy też, jeżeli dobrze zapamiętałam: „Nie uchodzi” i „Nie przystoi!” Żeby co?! Żeby mnie przyjąć pod dach? Zagarażować? I korzystać z moich chętnych usług? Wiedziałam, czułam to całym moim wewnętrznym mechanizmem, a także każdym milimetrem karoserii, że Człowiek Roku mnie pragnie. To w jakiejś mierze wynagradza ów straszny zawód, jaki mnie spotkał, ale, proszę, zechciejcie zdobyć się na taką oto analogię: powiada mężczyzna, że ta oto piękna kobieta, jest zbyt piękna i kosztowna jak dla niego, że on nie będzie w stanie zapewnić jej wikt i opierunek na odpowiednim poziomie, jednakowoż skoro rodzice tak bardzo gorąco pragną, by jej nie odrzucił, zgoda, bierze ją za żonę, ale jeszcze tego samego dnia rozczłonkuje to piękne ciało i przesłizne jego fragmenty rozda ubogim, bezdomnym, potrzebującym. I co Państwo na to? Horror, prawda?

I właśnie coś takiego czeka mnie w najbliższych dniach. Ja cóż — politykę z lewa, prawa i ze środka mam w dupie i nic nie robię sobie z zasad. I tylko lud w tym dziwnym kraju poszeptuje, że była kiedyś taka Wanda co nie chciała Niemca, a teraz jest Człowiek Roku, co nie chce Mercedesa.

FELIKS NETZ



Śląskie środowisko artystyczne to więcej niż w przeważającej większości absolwenci katowickiego Wydziału Grafiki, filii ASP w Krakowie. Mówiąc krótko (pamiętając i doceniając twórczość i dorobek artystów, absolwentów innych uczelni artystycznych w kraju) śląskie środowisko to Akademia, bo tym jednym słowem, właśnie Akademia, zwykle się zastępować przydługą informacją o powołaniu i administracyjnej przynależności do krakowskiej uczelni. Mam zaszczyt od siedmiu lat współpracować z katowicką Akademią, bo i ja jak wszyscy używam tego słowa. I choć siedem lat wobec pięćdziesięciu — a taką właśnie okrągłą rocznicę powstania naszej uczelni obchodziliśmy niedawno — to nawet nie jedna piąta, to jednak pozwolę sobie na refleksję bardziej osobistą niż rocznicowo-okazjonalną, czy agresywnie-krytyczną, bo jedynie takie dwa warianty funkcjonują w mówieniu czy pisaniu o katowickim Wydziale Grafiki. Jest jeszcze trzeci rozpaczliwie-bezsilny odnoszący się do kondycji finansowej uczelni, którego rozwijać nie będę, podpisując się jedynie obiema rękami wraz z tymi, którzy uważają, że pozostawienie katowickiej uczelni w stanie zaściagi finansowej jest hańbiące.

Mury szkoły, a właściwie obecnie mury dwóch budynków, w których toczy się dzisiejsze życie Wydziału Grafiki — przy ul. Raciborskiej, w dawnym budynku oficcerskiego kasyna i przy ul. Dąbrówki — wypełniają treścią ludzi, poprzez swoją obecność studencką i pedagogiczną. Dla mnie niezwykle ważne było moje pierwsze spotkanie z uczelnią gdzieś w połowie lat siedemdziesiątych, kiedy to wybrałem się na wystawę zorganizowaną w uczelnianych pracowniach badające pod tytułem Wystawa Prac Pedagogów Katowickiego Wydziału Grafiki.

Zaczytywałem się wtedy biografiami artystów Montmartre, przyjmując się losami Utrilla, Modiglianego, Picassa, Braqua, zlorzeczając niewdzięcznej paryskiej publiczności, tej z przełomu XIX i XX wieku, chciwym marchandom i akademickim pompierom. Pochłaniałem z zacieklnością neofity kolejne style, kierunki, tendencje XX-wiecznych awangard. Był to wtedy mój pierwszy, poza okazjonalnymi wizytami w śląskich muzeach i nielicznych galeriach kontakt z miejscem, gdzie wykluwa się i tworzy sztuka — z Akademią Sztuk Pięknych. Warczącym i kotyśjącym się na wszystkie strony tramwajem dojechałem z Chorzowa Batorego do Katowic, gdzie przy ul. Dąbrówki ujrzałem budynek uczelni. Był zachlpany listopadowy wieczór, długie cienie sodowych lamp kołysały się na fasadzie szkoły. Budynek był, poza parterem, całkowicie pusty. Na parterze, po prawej stronie, jak odczytałem na tabliczce drzwi, znajdowała się pracownia rzeźby, lekko poniżej poziomu podłogi długiego korytarza. Na piętrze w pracowniach wisiały obrazy, grafiki. Byłem sam, trochę lękliwie, z poczuciem, że oto przekraczam bramę nieznaną mi tajemniczy twórczości, wchodziłem do kolejnych pomieszczeń. O ile dziś ledwie rysują mi się przed oczami obrazy wtedy widziane, to doskonale pamiętam atmosferę budynku; niedoświetlone sale, zapach farb, werniksu, pokostu, wymalowany korytarz, zachlpane farbą deski podłóg pracowni, sfatygowane, stojące w kątach pracowni sztalugi w nieuporządkowanym tłoku jak scenografia futury-

stycznej sztuki, upstrzonej farbami, sprzęty, stoły, krzesła, drewniane i metalowe szafki, drzwi, klamki, parapety, lamperie dźwięczały kolorowymi akcentami, w niektórych miejscach plamy smugi farb nakładały się na siebie, jak laserunki, gdzie wytarty pospiesznie jeszcze wczoraj o listwę sztalugi pędzel pozostawia cynobrowy ślad ożywiający warstwę farb, w których upływ czasu wylumił kolor.

Było w tym doznaniu coś z poczucia przekroczenia bariery; przejścia ze świata oglądanych z rzadka kolorowych jeszcze wtedy reprodukcji, częściej czarnobiałych omamów faktycznych obrazów liderów awangardy XX wieku w świat realnej, choć nieco okrutnej przez swą dosłowność, rzeczywistości miejsca zwanego uczelnią artystyczną. To coś tak jakby przekroczyć cezurę teatralnej sceny i po oglądaniu i przeżywanym spektaklu znaleźć się nagle za kulisami, gdzie rozplonione lica bohatera to tylko grubo kładzona szminka, a lzy to cebulowy kwas w puszcze pozostawiony na krześle maszynisty obok kartonowego szyszaka scenicznego bohatera. Smakowałem wtedy

rami są pedagogzy tejże Akademii. To było jak kubał zimnej wody — pisać w taki sposób o Akademii, o jej profesorach, artystach, którzy posiadli wiedzę o Sztuce i jej nauczaniu? Uświadomiło mi to jednak, że droga, ta po drugiej stronie lustra, będzie bardzo wyboista.

I te przewidywania się niestety potwierdziły. Taki był mój pierwszy kontakt z Akademią. Później moje doświadczenia z tym miejscem z wolna, lecz konsekwentnie rozszerzały się, a to przez przyjaciół, którzy po maturze rozpoczęli tam studia, więc siłą rzeczy rozmowy dotyczyły tego, co się w uczelni dzieje, obrony ich dyplomów, pierwsze moje teksty krytyczne o twórczości śląskich artystów, także pedagogów, wreszcie wystawy zbiorowe i indywidualne, które realizowałem w czasie pracy w katowickiej Galerii BWA. Aż wreszcie od 1990 roku wpięrow sporadycznie, okazjonalnie wykłady, poprzez uczestnictwo w komisji egzaminacyjnej, po stałą, choć jedynie symboliczną obecność w uczelni przez prowadzenie dyplomowych seminariów. Zdarza się, że któryś z dyplomantów poprosi mnie o recenzję dyplomu i jest to zawsze powód dla mnie do poważnego namysłu nad dziełem młodego człowieka, który przekracza barierę Akademii i wchodzi w trudną, przyszłą samodzielność. Przeglądając album poświęcony pięćdziesięcioleciu powstania katowickiej uczelni artystycznej, odnajdujemy drogę, którą szkoła wraz ze swymi pedagogami i studentami wędrowała po Katowicach — pierwsze sale wykładowe

Moja Akademia

to doznanie, pojmując je, tak mi się dziś wydaje, raczej jak początki wtajemniczenia niż rozczarowanie. Odnajdywałem współczesne sytuacje będące pogłosem wyczytywanych historii i sytuacji o wielkich, rodzzących się talentach artystycznych, które nierzadko z trudnym brnęły przez Akademię Sztuki całego świata. Scenografia tych miejsc ziemnienna od zawsze — martwa natura w kącie pracowni z nieśmiertelnymi chyba we wszystkich Akademjach świata od zawsze butelkami, czajnikiem, i lekimi z brudu i farb draperiami, zlewy na korytarzu, których wyrudziały emalie pokrywał kożuch burego olejnego osadu od czyszczonych i mytych w ciepłej wodzie z szarym mydłem pędzli. Byłem u siebie. Na początku drogi, ale już wiedziałem, że to też mój świat — świat sztuki (a znaczyło to wtedy dla mnie zupełnie coś innego niż dziś) poznany, czy może raczej rozpoznawany dopiero z innej, ale bardzo ważnej strony. Nikt tego jesiennego wieczoru nie zwiędzał poza mną wystawy pedagogów katowickiej uczelni. Wracałem do Chorzowa jeszcze bardziej rozkołysanym, w długim wąwozie ulicy Gliwickiej, tramwajem rozpamiętując klimat i atmosferę miejsca, które opuściłem, wyobrażając sobie jak jutro puste pracownię zapełnią się studentami, którzy wskrzeszą porzucone sztalugi, ustawiając na nich deski i płótna, a profesorowie, ci Cicerone pośród poszukujących drogi studentów, będą robić korekty odkrywając przed adeptami kolejne karty tajemnej księgi SZTUKI. Tak to sobie dosłownie wtedy wyobrażałem. Zaś następnego dnia w szkole przeczytałem miażdżącą krytykę oglądanej dzień wcześniej w Akademii wystawy, której autor odsądził od czci i wiary pomysł wystawy i wartość prezentowanych prac, nazywając między innymi badając moralnym nadużyciem prezentowanie wystawy w Akademii, której auto-

przy ulicy Stawowej, dzielone z dwoma gimnazjami i Ogniskiem Kultury Plastycznej, pierwsze pracownie przy ulicy Dyrekcyjnej 10, na pierwszym piętrze. Kolejne trzy własne już sale przy ulicy Stawowej 6, potem budynek dawnego konsulatu brytyjskiego przy ulicy Kościuszki 67, jeszcze później wykorzystywany do dziś budynek dawnego kasyna oficcerskiego przy ul. Raciborskiej 37 oraz gmach dawnej szkoły muzycznej przy ulicy Dąbrówki 9, gdzie obecnie znajdują się m.in. pracownia malarstwa, rzeźby, rysunku.

Katowicka uczelnia kończy pierwsze pięćdziesięciolecie swojego istnienia z poważnym i bogatym dorobkiem naukowym, pedagogicznym i artystycznym, tak poprzez wypracowanie sprawdzonych modeli edukacji artystycznej jak i przez dorobek swoich pedagogów, artystów i twórczych artystów, których wszystkich wymienić tutaj nie sposób, bo to długa lista artystów współtworzących wizerunek powojennej polskiej sztuki. Najważniejszy jednak dorobek i wartość merytoryczna uczelni to przede wszystkim fakt wyedukowania, jeśli dobrze policzyłem dyplomantów od 1952 roku, 775 absolwentów katowickiego Wydziału Grafiki, którzy swoją twórczością stworzyli obraz sztuki Górnego Śląska drugiej połowy XX wieku.

Jaka będzie przyszłość szkoły? Czy nadal rozwijać się będzie w specyficznej symbiozie z krakowską ASP? Czy odważy się w przyszłości na samodzielność z pełną świadomością tego, iż na ten nowy, przyszły okres w dziejach uczelni składać się będą przede wszystkim ogromne wyzwania organizacyjne i merytoryczne, do podjęcia których wielu jeszcze trzeba będzie przekonać?

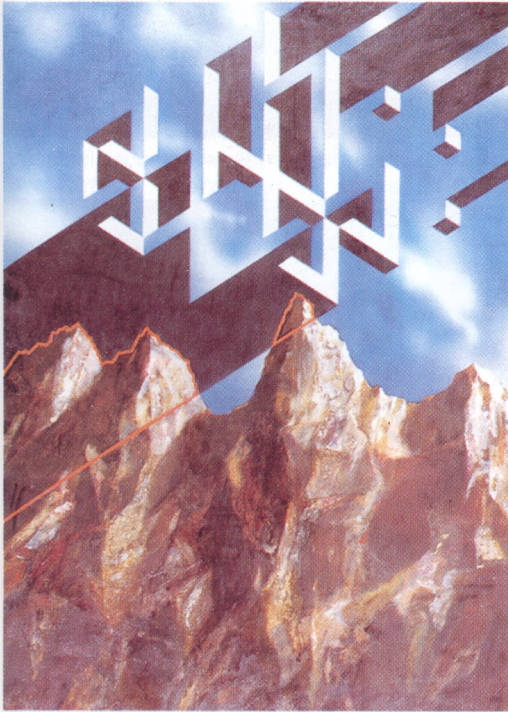
JAROSŁAW ŚWIERSZCZ



Maciej Bieniasz – Autoportret – olej



Jacek Sarapata – rzeźba



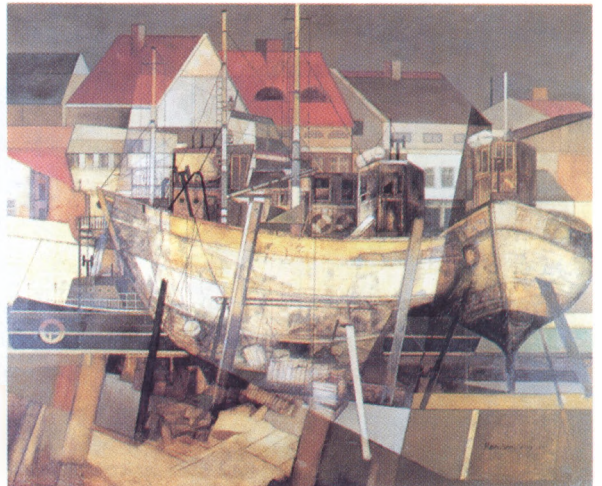
Andrzej S. Kowalski
„Metafizyczna architektura górnośląska” – olej



Adam Romaniuk
„Lata utracone” – serigrafia



Marian Oslislo
„Letnia kaligrafia” – serigrafia



Jerzy Handermander
„Nadbrzeże II” – olej



Georgij Safronov „Babskie Morze w Stawkowie” – olej, płótno 60 x 40 cm, 1997 r.



Georgij Safronov „Miasteczko w Alpach”
– olej, płótno 50 x 60 cm, 1997 r.



Georgij Safronov „Poranny anioł”
– olej, płótno, 54 x 70 cm, 1992 r.



Georgij Safronov „Kościół św. Idziego
w Krakowie” – olej, płótno, 50 x 35 cm, 1996 r.

Szanowny Panie Redaktorze, nie wiem doprawdy, czym zasłużyłam sobie, by wystawiał Pan moją skromną osobę na tak ciężkie próby. Przecież postawił Pan przede mną zadanie, wobec którego rozwiązanie klasycznie nierozwiązywalnego problemu kwadratury koła wydaje się być dziecinną igraszką, a wynalezienie kamienia filozoficznego czy też — co mogłoby mieć bez porównania większe i bardziej doniosłe znaczenie praktyczne odkrycie — składu chemicznego eliksiru młodości, zadaniem w miarę prostym i zgoła nieskomplikowanym.

Zapyta Pan co jest trudniejsze od rozstrzygnięcia, rozwiązania i rozwikłania owych niezwykłych, osobliwych i w gruncie rzeczy — przyznaję to — wcale niełatwych do zrealizowania zagadnień i przedsięwzięć.

Odpowiadam: trudniejsze jest napisanie recenzji wystawy jubileuszowej artysty tworzącego tu i teraz, którego w dodatku znamy wszyscy i który — w dodatku — także zna nas.

Bo i co w takim razie można napisać? Co napisać należy? Co napisać wypada? A co trzeba?

Czy widzi Pan, Panie Redaktorze, w jakiej jestem sytuacji? Przy tym mam pełną świadomość, że cokolwiek powiem, to będzie „nie to”

Czy w ogóle można i trzeba mówić coś po wypowiedziach autorów tekstów zamieszczonych w katalogu wystawy, gdzie filozofia (a przecież wiemy wszyscy, że „Nie ma żartów z filozofią, moja ty Pietrownia Zofio...”) sąsiaduje z psychologią — także psychologią odbioru, a polityka — czy może historia najnowsza — z dywagacjami o charakterze narodowym.

Wobec tego rodzaju wypowiedzi błędna, blakną i w ogóle tracą rumieńce wszelkie słowa, uwagi, refleksje i skojarzenia skromniutkiego historyka sztuki — takiego jak ja... („Wobec wymowy liczb milkną słowa poety” — cytat jest może niezbyt dokładny, ale adekwatny, zaś domyślności Pana Redaktora i PT Czytelników pozostawiam odpowiedź na pytanie, kto to powiedział; dodatkowe punkty można uzyskać za wyjaśnienie, dlaczego...).

Mogłabym jeszcze przybliżyć Czytelnikom życiorys artysty — co czyni wielu recenzentów — ale i tego zrobić mi nie wypada, bo-



Korespondencja otwarta

wiem w katalogu pomieszczono biogram w trzech pięknych językach: w mowie Heinego, Burnsa i Ronsarda — no, powiedzmy Jacquesa Brela — więc jeśli przetłumaczę, będę uchodziła za snobkę, a jeśli nie przetłumaczę — za ignorantkę. Z dwojga złego wolę, by przypisywano mi niewiedzę niż przemądrzałość (i tak wiem więcej niż dają po sobie poznać).

Cóż więc mi pozostaje, Panie Redaktorze, i dlaczego skazał mnie Pan na tak niewdzięczną pracę?

Odpowiadam na pytanie drugie: pewnie dlatego, iż wierzył Pan, że sobie poradzę.

Wszelako godzi się podać jeszcze jedno, nader ważne wyjaśnienie, bo Czytelnicy — jeśli nie zechcieli spojrzeć na końcówkę tekstu — pewnie nie domyślają się o czym rozmawiamy. A mowa jest o wystawie malarstwa i grafiki Georgija Safranowa, eksponowanej w Muzeum Śląskim w Katowicach, przygotowanej z nieblahej przecież okazji pięćdziesiątych urodzin artysty.

Zatem — Szanowny Jubilacie zechciej przyjąć i ode mnie spóźnione, lecz szczerze gratulacje oraz serdeczne życzenia wielu, wielu, wielu sukcesów artystycznych, interesujących wystaw, dobrze przygotowanych katalogów oraz prestiżowych nagród. Nie zdołałam dopchać się do Jubilata podczas tłumnego wernisazu, więc składam życzenia teraz — trochę późno, ale za to w sposób bardziej widoczny.

Nie wątpię, drogi Jubilacie, że wysłuchałeś już wszystkich możliwych komplementów, interpretacji i analiz Twych dzieł prezentowa-

nych na wystawie. Jestem w złej sytuacji, bo pisząc w miesięczniku, zabieram głos jako ostatnia w kolejności. Nie mogę więc powiedzieć — a raczej napisać — niczego, czego nie usłyszałyś — czy przeczytałaś już wcześniej. Ale może znajdziesz się jakiś sposób, by zaradzić i temu. W takich bowiem sytuacjach pomocna i wręcz niezawodna okazuje się wyobraźnia.

Mogę więc sobie wyobrazić — a kto chce niech wierzy — że na wystawie spotkałam kilka osób, których wiedza o tajnikach sztuki malarskiej jest jednak większa niż moja i że osoby te zechciały podzielić się ze mną swymi refleksjami. A ja owe refleksje podaję dalej.

Claude Monet:

— Ten „Zielony ogród” jest dobry. Tak, całkiem niezły. Chyba znam inspiracje.

Edward Munch:

— „Artysta i Muza” przypominają chyba moje „Dziewczęta na moście”, czyż nie?

James Ensor:

— „Maski”? Tak, tak, rozumiem skojarzenie, ale, moje dziecko, za dużo ode mnie wymagasz.

Maurice Utrillo:

— Tak, Paryż rozpoznaję.

Stanisław Wyspiański:

— A ja — Wawel.

Teodor Rousseau:

— Jednego mi tutaj brakuje — dębów. Ale może w okolicy po prostu ich nie było.

Paul Cezanne:

— Góry św. Wiktoria też nie było, ale — jednak moje nauki nie poszły w las...

Teodor Rousseau:

... dębowy.

Paul Cezanne:

— Szanowny Kolego, widocznie niewiele jest w okolicach Siemianowic dębów i gór. Nie o motyw jednak chodzi, a o sposób malowania.

Może to usłyszałam, a może nie. W każdym razie — nie dowiedziałam się niczego od pewnego bardzo znanego malarza, którego chciałam zapytać o jego opinię na temat kompozycji przedstawiającej wnętrze pracowni. Kto to był? A, to już pozostawiam domyślności i fantazji wszystkich zainteresowanych.

KATARZYNA
MŁYNARCZYK

Georgij Safranow: malarstwo i grafika.
Komisarz wystawy: Henryka Jarema. Muzeum Śląskie, Katowice od 11.12.97 do 31.1.98.

Owidowskowości tego musicalu zdecydowały dwa elementy, silnie ze sobą sprzężone: scenografia i choreografia. W tym przypadku należałoby nawet mówić o wielotworzywowej kompozycji przestrzeni scenicznej, w której aktorzy (a przede wszystkim: tancerze i chórzyski) stanowią niezbywalną i bardzo ważną część. Pod względem plastycznym ten spektakl jest wyjątkowej urody. Wizja Andrzeja Witkowskiego stanowi klucz interpretacyjny i inscenizacyjny zarazem. Wszystkie drugie i trzecie plany, znakomicie uruchomiane przez Henryka Konwińskiego, pozwalają zapomnieć o wątej i pretensjonalnej tkance dramaturgicznej tego utworu, cóż z tego, że napisanego przez mistrzów gatunku, autorów takich musicalowych hitów jak „Cabaret” czy „Zorba”.

Szczęśliwym zabiegiem okazało się również wychodzenie poza tradycyjny prostokąt sceny i przenoszenie niektórych wątków nad czy obok rampy, w okolice orkiestry, tudzież zawieszanie w powietrzu tytułowej „kobiety-pajaka” (scena, w której Małgorzata Ostrowska śpiewa na tle ogromnej srebrzystej pajęczyny jest najbardziej poruszająca). Ten spektakl został dobrze „rozrysowany”, sceny zbiorowe stanowią o jego sile i podtrzymują uwagę widza. Zreżymowane dokonuje się również przechodzenie z rzeczywistości realnej do onirycznej. Odpowiedni dobór świateł i filtrów (a zatem i światłocienia) w połączeniu z ruchowymi elementami scenograficznymi (to są przede wszystkim dwupoziomowe klatki więzienne) pozwala błyskawicznie poszerzać przestrzeń teatralną: jesteśmy więc jednocześnie w więzieniu w jednym z krajów latynoskich, ale i w świecie marzeń i fantazji głównych bohaterów, który silnie kontrastuje z ukazanym tu brutalnym bezprawiem policyjnego reżimu.

Proscenium zarezerwowano dla Moliny (Jacenty Jędrusik) i Valentiny (Ireneusz Pastuszek). Jędrusikowi udało się stworzyć postać, o której będzie się pamiętało. Ona „trzyma” cały spektakl. Molina w wykonaniu Jędrusika to postać zaskakująco sympatyczna i prawdziwa w rysunku psychologicznym. Może zdecydowały o tym akcenty autoironiczne wtłoczone w tę postać? Molina jest homoseksualistą, który potrafi jednak zachować dystans do samego siebie. Wie, że jest figurą żalostną i nie chce tego ukrywać ani przed światem, ani przed samym sobą. Przecież jednak w chwili próby niejako przeskoczy samego siebie i nie zdradzi swego towarzysza niedoli, ostatecznie oddając za niego życie. W imię czego? W imię jakich wartości? Na te pytania nie ma prostych odpowiedzi. Dość powiedzieć, że nie zatracił w celi ludzkiej godności.

Foto: Tomasz Zakrzewski



Molina (Jacenty Jędrusik) na więziennej pryczy, nad którą zawieszono fotos Aurory (Małgorzata Ostrowska).

Pocałunek śmierci

MUSICAL

A przecież był szantażowany (w roli Naczelnika więzienia Stanisław Ptak, który uosabia całe zło tkwiące w reżimie), i nie mamy wątpliwości, jak bardzo zależy mu na ratowaniu schorowanej i zupełnie zagubionej Matki (to drobna, ale ważna rola Marty Kotowskiej, która nadając jej tak ciepły ton, niejako uwiarygodnia Molinę, wzbogaciła tę postać o głębsze treści).

Goźniej wypada Pastuszak. Valentin, rewolucjonista-marksista, mieści się w niedobrym stereotypie bojowca, który niby jest niezłomny i aż do bólu wierny swym ideałom, a jednocześnie dziwnie sentymentalno-łzawy, jakby wyjęty z jakiejś propagandowej bajki. Pastuszak ma również momentami kłopoty z niełatwą fakturą muzyczną niektórych utworów, łączących elementy jazzu, muzyki latynoskiej i trochę zwierzęcego sweetu, dopełnionego pretensjonalnymi tekstami. Może to też kwestia tłumaczeń, wykorzystujących przestarzałą leksykę? Niemniej partnerująca mu Sabina Olbrich (Marta, narzeczona zza więziennych murów), mimo, iż wypadło jej zaśpiewać łzawą pieśń „Miły”, zdołała zaznaczyć na scenie swą obecność i dobre przygotowanie wokalne. Mają tu zresztą w jednym przypadku aktorzy do wyśpiewania bardzo trudny kwartet. No, i radzą sobie. Podobnie zresztą jak chór i balet, wymieszany ze sobą, co musi stanowić sporą

niespodziankę dla widza. Jakże zreżymowane to w tym spektaklu zrobiono. Ba, ale do tego trzeba mieć zespół. Widać, „Rozrywka” go ma!

„Pocałunek kobiety-pajaka” w swej warstwie muzycznej nie zawiera takich hitów jak na przykład „Cabaret”. Ale wykonawcy (i orkiestra!) nie mogą ani przez chwilę się nudzić. Nie dziwię się więc, że Małgorzata Ostrowska, znana wokalistka rockowa, kojarzona przede wszystkim z zespołem „Lombard”, podjęła wyzwanie i przyjęła rolę Aurory, owej tytułowej „kobiety-pajaka” — filmowej gwiazdy wywoływanej i przywoływanej wspomnieniem Moliny. Aurora jest nie określonym do końca symbolem, łączącym sferę erotyki i śmierci, wolności i niewoli. Jest postacią tyleż realną, co wymyśloną. Pojawiać się będzie zarówno wtedy, gdy nikt jej nie oczekuje, jak i wtedy, gdy wpasuje się w kolejną opowieść Moliny (zreżymowane jest początek drugiego aktu, gdy odegrane zostaną scenki filmów zapamiętanych przez Molinę, który swe dzieciństwo, jako syn bileterki, spędził w kinie).

Reżyser (pewnie również choreograf) nie obciążał Ostrowskiej zbyt trudnymi zadaniami scenicznymi. To może i dobrze, bo Ostrowska mogłaby sobie przecież nie poradzić. Pozostaje więc znakiem, plastyczną plamą, intrygującą, niepokojącą, złowieszczą.

Ostrowska za to świetnie wypada jako — po prostu — wokalistka. Jej głęboki i drapieżny głos współgra z typem tej zjawiskowej postaci, co rusz przebieranej w fantazyjne kostiumy. Pomysł, by obsadzić w tym musicalu właśnie Ostrowską, okazał się „trafiony”. Na pewno jej nazwisko długo przyciągać będzie widzów.

„Pocałunek kobiety-pajaka” nie powtórzy sukcesu chorzowskiego „Cabaretu” czy „Evity”. Zabrakło materiału, nie umiejętności czy ludzi. Przecież jednak jest to kolejna wielka produkcja „Rozrywki”, która utrzymuje ten teatr w dobrej kondycji i pełnym zespoleniu z oczekiwaniami publiczności. A to się liczy.

KRZYSZTOF KARWAT

„Pocałunek kobiety-pajaka”.
Muzyka: John Kander. Słowa piosenek: Fred Ebb. Libretto: Terrence McNally na podstawie powieści Manuela Puiga. Przekład: Michał Ronikier. Przekład piosenek: Andrzej Ozga. Reżyseria: Tomasz Obara. Scenografia: Andrzej Witkowski. Choreografia: Henryk Konwiński. Kierownictwo muzyczne: Jerzy Jarosik. Prapremiera polska 30 listopada 1997 roku w Teatrze Rozrywki w Chorzowie.

Fakt, że wywodzący się z belgijskiej rodziny i urodzony w Dalmacji Franz von Suppé został uznany ojcem operetki wiedeńskiej, nie powinien specjalnie dziwić widzów mających jakie takie pojęcie o Austro-Węgrzech, monarchii, której urzędowymi językami były powszechnie znany niemiecki i raczej powszechnie nieznaną węgierski. Poniekąd odbijało to strukturę procentową ludności państwa, którego najliczniejszą grupę stanowili... Słowianie. A jednak z perspektywy późniejszych dzieł Johanna Straussa Syna i Franza Lehara, owych najbardziej klasycznych wiedeńskich „Zemst nietoperza” i „Wesołych wdówek”, „Boccaccio” Suppého jawi nam się nie tyle jako danie wiedeńskie, co paryskie. Aurą przypomina Offenbacha. Walców jest tu mniej niż u Straussa, a czardasze zastępują tarantela, marsze i galopy.

Aż dziwne, że niektóre z nich niejako samorzutnie nie pozmiały się w kankany. No, ale kankan w średniowiecznej Florencji byłby, jak mawiają dobrze ułożone angielskie damy, raczej nie stosowny. Czyż mniej nie stosowny, niż następujące jeden po drugim, walce w „Kawalerze srebrnej róży” Richarda Straussa, rozbrzmiewające w XVIII-wiecznym Wiedniu, a więc w czasach, gdy prawdziwy wiedeński walc jeszcze się nie urodził?

Zdumiewające, że tak dobrą operetkę, która już w rok po swej prapremierze (1879) osiągnęła 100 przedstawień, w 45-letniej historii gliwickiego Teatru Muzycznego, jeszcze do niedawna noszącego jak najbardziej adekwatną do swej roli nazwę Operetki Śląskiej (skoro jednak została narzucona przez komunistów, trzeba ją było, rzecz jasna, zmienić) zaprezentowano po raz pierwszy. W ogóle był to pierwszy Suppé na tej scenie!

Do pełnej werwy muzyki reżyser Wojciech Adamczyk stworzył optymalny obraz pełen zgiełku, ruchu i gwaru. Tak dynamicznych scen zbiorowych nie oglądałem od dawna. Nawet jeśli na premierze nie wszystko jeszcze przebiegało bezboleśnie, przecież był to dopiero pierwszy dzień oficjalnego (nie licząc prób) „docierania się” mnóstwa osób, w błyskawicznym tempie uganiających się po scenie w te i we wte.

Finał pierwszego aktu fascynuje swym rozwirowaniem. W drugim podziwiamy ładnie rozegraną scenę serenady w wykonaniu tercetu panów, a pod koniec niezwykle ruchliwy oktet. Po tak dynamicznych dwu godzinach pewne rozczarowanie budzi trzeci akt, jako że trudno dynamizm akcji zastąpić manifestacją szlachetności księcia, który w finale ustępuje rękę swej ukochanej tytułowej bohaterowi, co zostało ujęte przez twórców raczej kameralnie. Najwidoczniej Suppé lepiej czuł się w pokazywaniu moralnego zła, niż dobra.

Muzycznie spektakl brzmi niaganannie, a prowadzący orkiestrę Rafał Jacek Delek-



Wiedeńskie danie w paryskim sosie

OPERETKA

ta ponownie udowodnił, że bardzo dobrze pracuje mu się z gliwickim zespołem. Z wykonawców na pierwszym miejscu wymieniałbym Agnieszkę Maciejewską w roli Izabelli, której śpiewu słuchałem z dużą przyjemnością oraz Grażynę Jędrzejewską, czarującą nas swymi kuszącymi spojrzeniami w roli niewiernej Beatrice, skądinąd równie niewiernej jak Izabella. Postać tytułową sympatycznie prezentował na premierze Aleksander Żurawiecki, a księcia grał Andrzej Smogór. Rolę Fiametty wykonuje młodziutka Joanna Korpiela, bednarzem jest Jerzy Gościński, a cyruliką Scalzę z właściwą sobie jowialnością przedstawia Marceł Pałczyński.

Reżyserii i stronie muzycznej nie dorównuje scenografia Wojciecha Jankowiaka upodabniająca świątynię florencką do wiejskiego kościółka na Podlasiu, mieszczkańskie kamienice do zagród chłopskich, tyle że zasobniejszych, a książęcy dwór do willi dorobkiewiczza.

Jubileuszową realizacją pozycji, określonej również operą komiczną i prezentowanej przez sławne teatry operowe, m.in. nowojorską Metropolitan i wiedeńską Operę, gliwicki zespół dowiódł, że najlepiej czuje się właśnie w tego typu repertuarze, oczywiście pod warunkiem, że dane jest mu współpracować z artystami, którzy potrafią uchronić i siebie i wykonawców od tzw. chwytów pod publiczność, o co w operetkach szczególnie łatwo. W 45-letniej historii zespołu oglądaliśmy w Gliwicach wiele znakomitych realizacji, że przypomnę wspaniałe przedstawienia „Fajerwerku” Burkharda (1977), „Krysi leśniczanki” Jarny (1982 — obydwą dyrygowane przez długoletniego, nie żyjącego dziś już szefa Operetki Śląskiej — Stanisława Tokarskiego), „Tysiaca i jednej nocy” Jana Straussa (1983) i „Ptasznika z Tyrolu” Zellera (1984 — prowadzone

przez następcę Stanisława Tokarskiego — Zbigniewa Kalembę).

Aczkolwiek gliwicki zespół sięgał od jakiś czas również po musicale, to jednak trzeba przyznać, że na partiach mówionych i tzw. białym, bardziej piosenkarskim, niż w operach i operetkach, śpiewie, artyści niejednokrotnie się „fajmali”. Paradoksalne, ale właśnie realizacja musicalowa — niezapomniana polska prapremiera „Człowieka z La Manczy” Leigha z rewelacyjnym Stanisławem Ptakiem w roli tytułowej, zaprezentowana w grudniu 1970 roku, miała stać się największym sukcesem w historii teatru. Po triumfie w swojej siedzibie inscenizacja ta powaliła na kolana Warszawę. Niczego nie umając tamtej doskonałej premierze, nie zapominajmy jednak, że od owego dnia minęło już blisko 30 lat i że musicale wkroczyły na dobre na polskie sceny i ekrany. Ze powstały teatry specjalizujące się właśnie w tego rodzaju repertuarze, a jeden z nich działa właśnie na naszym terenie — w Chorzowie. Stąd dziś

„ściganie się” w musicalach jest tyleż pożyteczne (wszak konkurencja jest zawsze rzeczą pożądaną), jak ryzykowne, bo w przeciwieństwie do siedemdziesiątego roku, mamy już okazję do porównań.

Przypomnijmy, że historia gliwickiego teatru — przez pierwsze trzy lata będącego filią Opery Śląskiej — zaczęła się 11 października 1952 roku premierą „Krainy uśmiechu” Lehara. Na scenie tej błyszczało wiele gwiazd, że wymienimy tylko: Marię Artykiewicz, Wandę Polańską, Irenę Brodzińską (jej córka Grażyna jest dziś primadonną Operetki Warszawskiej), Leokadię Zienko (która zanim podjęła pracę w Gliwicach była primabaleriną Opery Śląskiej), Teresę Malcową, Marię Gabrielli, Xenię Grey, Hannę Rutkowską, Małgorzatę Derdziankę, Stelę Osuchowską, Krystynę Westfal (obecna szefową artystyczną gliwickiej sceny), Krystynę Starościk, Elżbietę Konieczną, Aleksandra Sawina, Ryszarda Wojtkowskiego, Stanisława Ptaka, Witolda Michelskiego, Ludwika Kopytywę, Jerzego Potykę, Jerzego Michalusa, Marcego Pałczyńskiego, Eugeniusza Nowowiejskiego, Andrzeja Górskiego, Jana Ballarina i Jacka Labudę.

W gliwickim teatrze, jak przypomnieliśmy program jubileuszowy przed 5 laty, wystawiono prawie wszystkie utwory Lehara, Straussa, Kalmana, Offenbacha, najlepsze — Gilberta, Abrahama, Zellera, Offenbacha, Jarny, Milutina. Nie zabrakło też utworów Stanisława Moniuszki („Ideal”, „Na kwaterunku”, „Nowy Don Kichot”, „Karmaniola”), „Krakowiaków i Górali” Bogusławskiego, czy „Zamku na Czorsztynie” Kurpińskiego. Zabrakło — do obecnego jubileuszu — Suppého. Może i dobrze, bo dzięki temu mieliśmy okazję obejrzeć tak efektowne „odkurzenie”.

MAREK BRZEŹNIAK

Jeśli wierzyć słowom twórcy tyckiego Teatru BELFEgoR, to zespół ten powstał z lizusostwa. - *Awansowałem na wizytatora kuratorium oświaty i chciałem się wykazać przed moim pracodawcą. Złożyłem jedyny wówczas w Polsce teatr nauczycielski. Nazywał się BELFER — opowiada Sławomir Żukowski, artysta plastyk, a z zamiłowania reżyser i inscenizator.*

17 lutego 1986 roku w Klubie Nauczycielskim ZNP w Tychach odbyła się pierwsza próba zespołu Sławomira Żukowskiego. Wybór padł na „Serenadę” i „Polowanie na lisa” Mrożka, a to z sentymentu Sławka do roli Lisa, którą zagrał w czasach studenckich. Premiera jednoaktówek Mrożka odbyła się na deskach Teatru Małego — przy niemal pustej widowni. Jedynie kilka rzędów zapełniała rodzina i znajomi BELFRA.

Jednakże kolejne premiery przynosiły coraz większe zainteresowanie publiczności. Zespół zaczął zdobywać nagrody na festiwalach i przeglądach teatrów amatorskich. Czwarty z kolei spektakl teatru, żartobliwa makabreska „Upiory”, okrzyknięty został w województwie katowickim Spektaklem Roku 1989. „Upiory” zaproszono też do udziału w międzynarodowym festiwalu teatralnym w Ljublanie. Nobilitacji na profesjonalnych deskach scenicznych zespół Sławomira Żukowskiego doczekał się w 1990 roku, kiedy to ówczesny dyrektor Teatru Śląskiego w Katowicach Jerzy Zegalski zaprosił tyski teatr na gościnne występy z nagrodzoną przez Ministerstwo Kultury i Sztuki inscenizacją „Folwarku zwierzęcego” Orwella. Każde z jedenastu przedstawień na scenie Teatru Śląskiego grano przy nadkompletach.

W ciągu 12 lat przez teatr Sławomira Żukowskiego przewinęło się blisko 50 osób. Wśród nich byli nie tylko nauczyciele. W pewnym momencie nazwa teatru wzbogaciła się o nową sylabę. Go — z angielskiego to iść. A BELFER szedł do przodu, rozwijał się i dlatego przerodził się w Teatr BELFEgoR. Chyba słusznie. Dziś w zespole Sławomira Żukowskiego nie ma ani jednego nauczyciela, a i założyciel teatru dawno pożegnał się z pracą w oświacie.

BELFEgoR jest teatrem amatorskim działającym od czterech lat pod mecenatem Teatru Małego. Amatorskim — w najlepszym tego słowa znaczeniu, bo robionym z potrzeby serca. Niedostatki warsztatu



Scena z „Ktoś zaplątał ten świat”, teatru BELFEgoR

Foto: Danuta Lubina-Cipińska

Tratwa Meduzy

TEATR

rekompensowane są w dwójnasób świeżością i oryginalnością oraz takim ładunkiem autentyczności przeżyć, którego często darmo szukać u profesjonalistów.

Teatr jest dla mnie jak rodzina — mówi Sławek i odwołuje się do znanego obrazu Theodore'a Gericault „Tratwa Meduzy”. Jego zdaniem BELFEgoR przyciąga życiowych rozbitków. Od kłopotów, często dramatów własnego życia uciekają w świat rzeczywistości scenicznej. Każdy więc spektakl BELFEgoRa jest zarazem czymś w rodzaju psychodramy. Każdy nosi też silne piętno Sławka Żukowskiego — inscenizatora i reżysera wszystkich dotychczasowych propozycji scenicznych BELFEgoRa. Artysty — podobnie jak przywołany tu już Gericault - *trawionego mal du siecle*. Melancholię, niepokój, okresy furii pracowitości na przemian z nagłymi przyływami kryzysu i zniechęcenia — cechujące dziewiętnastowiecznego francuskiego malarza możemy odnaleźć i w osobowości Sławka Żukowskiego. Ale Sławek w zmaganiach z rzeczywistością, o których opowiada nam w swoich spektaklach, posługuje się bronią wynalezioną na przełomie wieków przez Alfreda Jarry'ego — surrealistyczną groteską. I to coraz lepiej.

Tak jest i z ostatnią, trzynastą z kolei premierą Teatru BELFEgoR. „Ktoś zaplątał ten świat” to spektakl przygotowany według

„Nikiform” Edwarda Redlińskiego. Znów otworzył tyszanom wiele drzwi. Na zaproszenie Wojciecha Siemiona wystąpili z nim w czerwcu 1997 roku w Starej Prochowni w Warszawie. W pierwszej dekadzie listopada ubiegłego roku pokazali go na Ukrainie: w Winnicy i Kijowie — w ramach Dni Kultury Polskiej. Zaraz potem, bo w dniach 19-24 listopada, BELFEgoR pojechał na tournée do Belgii i Luksemburga. Spektaklem „Ktoś zaplątał ten świat” zainaugurował działalność teatralną Centrum Polskiego w Brukseli, a w Luksemburgu otworzył Klub Polski.

Sławek Żukowski scenariusz spektaklu przygotował konsultując swój pomysł z Edwardem Redlińskim. „Nikiformy” to, jak pisał we wstępie do pierwszego ich wydania w 1982 roku autor, surowe kawałki rzeczywistości, surowe kawałki świadomości Polaków lat siedemdziesiątych. To m.in. zapiski w książkach skarg i wniosków, zgłoszenia patentowe, grypsy i notatniki więzienne, wpisy w księdze wystawy fotograficznej „Venus '77”, a także opis choroby, zadany przez lekarza w celach terapeutycznych pacjentowi szpitala psychiatrycznego. Ową spowiedź wariata uczynił Sławek Żukowski klamrą spinającą jego spektakl. Postrzeganie świata przez psychicznie chorego jest przewrotnym, lecz niezwykle celnym komentarzem rzeczywistości tamtych lat, która przecież z normalnością nie miała wiele wspólnego.

Przez Polaków na obczyźnie spektakl „Ktoś zaplątał ten świat” przyjmowany był niezwykle gorąco — jako kwintesencja absurdu, przed którym niegdyś uciekli. Szczególnie silnie przeżyła go widowia Luksemburga. Przywołanie tamtych, w większości znanych jej realiów, wywoływało tak wielkie wzruszenie, że wyciskało łzy, paraliżowało, przykuwało do siedzeń. Dopiero, gdy widzowie ochłonęli, przychodzili za kulisami z zapląkanymi oczyma, dziękując tyszanom za niezwykle intensywnie przeżyte *katharsis*.

Po ostatnich sukcesach BELFEgoR otrzymał kolejne zaproszenia: do Anglii i Irlandii, Francji oraz Szwajcarii. Nic w tym dziwnego. Moim zdaniem spektakl „Ktoś zaplątał ten świat” jest w naszym regionie jednym z najciekawszych spektakli minionego sezonu.

DANUTA LUBINA-CIPIŃSKA

Minioną pod koniec ubiegłego roku 150 rocznicę śmierci Feliksa Mendelssohna-Bertholdy'ego uczczono w Katowicach znów tylko „częściowo”, nie monograficznym koncertem, lecz wykonaniem pojedynczego utworu na jednym z koncertów abonamentowych w Filharmonii Śląskiej. I to dobre — wszak ważnych rocznic muzycznych mamy jeszcze w niedalekiej przyszłości kilka. W 1999 roku przypada na przykład 150-lecie śmierci Chopina. Wypadałoby je uczcić co najmniej równie uroczysto, jak uczczono we Lwowie stulecie urodzin naszego „czwartego wieszca” w roku 1910. Urządzono wówczas zjazd całego polskiego środowiska muzycznego z udziałem czołowych (muzykalnych!) polityków — Stanisława Tarnowskiego i Ignacego Paderewskiego, którzy wygłosili przykładowe referaty na temat „Szopen a naród”. Trzeba by już myśleć o przyszłorocznym jubileuszu — przed zjazdem lwowskim aż dwa lata spierano się, kto ma prawo go urządzić i w jakiej formie. Ktoś nawet poddał myśl, że jedynym godnym sposobem uczczenia mistrza byłoby sprowadzenie jego prochów do krypty wawelskiej. O ile wiem, myśl nie została do dziś podjęta. Na razie szykuje się w Warszawie II Międzynarodowy Kongres Chopinowski. Mają się na nim zjawić najwybitniejsi znawcy przedmiotu z kraju i zagranicy. Trudno Katowicom rywalizować w tej mierze z Warszawą, byłyby jednak i u nas warunki na urządzenie chopinowskiej uroczystości. Mamy wszak Koło Towarzystwa im. F. Chopina, którym kieruje Ryszard Gabryś, mamy też wybitnych specjalistów od grania muzyki Chopina z profesorem Andrzejem Jasińskim na czele. Rzucam więc hasło: połączmy siły artystyczne i naukowe, i zorganizujmy Chopinowi śląskie wydanie Kongresu!

Miało być jednak o Mendelssohnie... Pamiątkowe wykonanie rzadko grywanego Koncertu d-moll na skrzypce, fortepian i orkiestrę smyczkową miało miejsce 2 grudnia w sali Filharmonii Śląskiej. Orkiestrę Kameralną Filharmonii prowadził Jan Wincenty Hawel, a jako soliści wystąpili pianistka Urszula Musialska z synem Adamem grającym na skrzypcach. Wybrany do „rodzinnego” występu utwór należy do najbardziej niewdzięcznych pozycji koncertowego repertuaru. Jest bowiem dziełem młodzieńczym, napisanym przez czternastoletniego chłopca, który dopiero odkrywał świat muzyki ciesząc się jego bogactwem, co dało w rezultacie utwór maksymalnie nasycony efektami wykonawczymi, pomysłami melodycznymi, harmonicznymi, fakturalnymi. Soliści koncertu potrafili znakomicie zapanować nad owym nadmiarem, dając interpretację stylową, uwypuklającą najbardziej charakterystyczne źródła inwencji młodego Mendelssohna: muzykę klasyków, zwłaszcza Mozarta oraz pierwiastki wczesnoromantycznego stylu wirtuozowskiego zwanego „brillante”. Zwłaszcza te ostatnie znalazły świetnego interpretatora w osobie Adama Musialskiego, skrzypka obdarzonego temperamentem rasowego wirtuoza i posiadającego doskonałą technikę.

Wykonany przez znanych i lubianych muzyków śląskich utwór Mendelssohna podobał się słuchaczom, dało się w nim bowiem usłyszeć wiele zapowiedzi zalet



Feliks Mendelssohn

„Trochę śląski” Mendelssohn

MUZYKA

dojrzałej twórczości niemieckiego kompozytora, przede wszystkim niezrównany dar naturalności inwencji opartej o bazę pomysłów „rdzennie muzycznych”, przewijających się w toku klasycznej, łatwej do śledzenia formy. Orkiestra Kameralna, która niewiele miała do roboty w „Koncercie”, pokazała swoje możliwości w drugiej części występu. Wypełniła go błyskotliwa „Suita” Rodiona Szczedrina na motywach z opery „Carmen” Bizeta. I to wykonanie zostało ciepło przyjęte przez publiczność, która zjawiła się w Filharmonii w licznych i doborowych składzie.

Przywołując twórczość Mendelssohna warto podkreślić kilka rysów jego osobowości (twórczość jest zbyt znana, żeby trzeba ją było przypominać). Kompozytor, który dziś kojarzy się przede wszystkim z liryką fortepianową i mieszczańską duchowością „biedermayerowską” był przewodnią postacią w muzyce niemieckiej między 1830 i 1845 rokiem. Wychowany w atmosferze kultu literatury, filozofii i sztuki (w młodości kontaktował się m.in. z Goethem i Aleksandrem Humboldtem) od początku wyznaczył sobie szerokie pole działalności, obejmującej oprócz komponowania i praktyki wykonawczej także szeroko zakrojoną akcję przywracania do repertuaru dzieł muzyki dawnej. Spektakularnym wydarzeniem przygotowanym przez Mendelssohna było wykonanie „Pasji wg. św. Mateusza” J.S. Bacha — w 1829 roku, w setną rocznicę powstania dzieła.

Lata dojrzałości wypełnia Mendelssohnowi wyteżona praca na stanowisku kapelmistrza lipskiego Gewandhausu (od 1835 roku). Dysponując świetną orkiestrą, rozległymi znajomościami w świecie

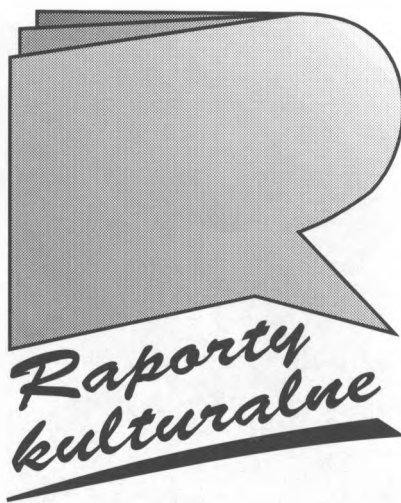
literackim i artystycznym oraz sławą kompozytorską staje się twórcą mężem opatrnościowemu muzyki niemieckiej. To jego działalność zawdzięcza m.in. swój pierwszy renesans Franciszek Schubert. Wykonuje dzieła Schumanna, Liszta i innych współczesnych kompozytorów, z którymi łączyły go więzy przyjaźni. Prowadząc intensywną działalność dyrygencką (nb. Mendelssohn zapoczątkował praktykę prowadzenia koncertów przez dyrygentów — wcześniej czynili to kapelmistrzowie) utrwalił obowiązujący w Niemczech (i nie tylko) model symfonicznego repertuaru, w którym czołowe miejsce zajęły symfonie Beethovena, oprócz tego zaś dzieła Haydna, Mozarta, Haendla, Bacha.

Aktywność zawodowa Feliksa Mendelssohna była niewiarygodna. Organizował festiwale, uświetniał koncertami i nowymi dziełami własnego pióra wszystkie ważniejsze rocznice — nie tylko muzyczne, ale i historyczne, państwowe, itp. Dostał też wszelkich zaszczytów. Dzieła jego zabrzmiały we wszystkich wielkich salach koncertowych Europy, a nawet w protestanckich katedrach. Na recepcję twórczości i działalności Mendelssohna rzucił cień antysemityzm; za sprawą głośnej rozprawy Wagnera „O żydostwie w muzyce” rozpowszechnił się w schyłku stulecia zwyczaj redukowania wartości dzieł Mendelssohna do sentymentalizmu i płytkiej „orientalnej” efektowności. Właściwie dopiero od niedawna — od lat siedemdziesiątych zaczął się proces rehabilitacji wielokrotnie znieważanego twórcy. Na szczęście dzieł nie trzeba było rehabilitować — dawno znalazły stałe miejsce w repertuarze symfonicznym i wirtuozowskim. Tylko „Pieśni bez słów” wyszły trochę z mody...

Warto wspomnieć, że Feliks Mendelssohn utrzymywał w młodości kontakty ze Śląskiem. Dwóch jego młodszych stryjów — Józef i Natan mieszkali w okolicy Reinertz czyli dzisiejszych Dusznik. Byli właścicielami huty żelaznej. Feliks odwiedził stryjów wraz z ojcem i młodszym bratem Paulem w 1823 roku. Miejscowe towarzystwo skorzystało z okazji, by urządzić z udziałem młodego artysty koncert dobroczynny. Zachował się opis tej przesławnej imprezy. Sporządził go na podstawie dziennika podróżny rodziny Mendelssohnów Sebastian Hensel. Miało to wyglądać tak: Przewidziany w programie Koncert fortepianowy Mozarta zabrzmiał jako godzinne solo. Zgromadzoną na prędko muzykomatorem tworzącym orkiestrę najlepiej wychodziły... pauzy. Koncert jednak udał się i przyniósł spodziewany dochód. Kilka lat później (w 1829 roku) zagrał Mendelssohn jeszcze jeden koncert na rzecz ubogich ze Śląska, których wówczas nawiedziła powódź. Koncert odbył się w Londynie, wzięta w nim udział także słynna śpiewaczka Maria Malibran i pianista Ignacy Moscheles. I ta impreza przyniosła niesłychany jak na owe czasy dochód 300 gwinei. Możemy zatem być dumni z plemiennej solidarności „trochę śląskiego” kompozytora.

MAGDALENA DZIADEK

W przypadku twórców starszych generacji cezura 1989 roku dała impuls do ideowych rozrachunków, równocześnie uwalniając młodych literatów od ciężaru narodowych powinności. Zatem nie tylko przesłanki socjologiczne (jak likwidacja cenzury, legalizacja podziemnych oficyn i pojawienie się nowych wydawnictw, odmienne prawa promocji i obiegu publikacji, działalność niezależnych związków twórczych) uprawniają do odnotowania granicy, a nawet mówienia o przelomie. Formułując diagnozę sytuacji literatury nowej i najnowszej, dostrzeżemy krystalizujące się tendencje estetyczne. Nie muszą one wszakże oznaczać rewolucjonizowania poetyki, gest wyboru tradycji będzie także znaczącą decyzją pisarską. Próba od-



Poeeci starszych generacji realizują się w wyraźnych liniach kontynuacji. W tej części literackiej mapy Śląska ważne miejsca wyznaczają dokonania Tadeusza Kijonki - poety dbającego o kształt lirycznej wypowiedzi i, co dziś nie nazbyt częste, modelową wręcz precyzję rymiki i rytmiki. Tomiki *Czas zamary* (1991), *Echa* (1992), *Labirynty* (1993), tudzież wybór liryki miłosnej *Z mojego brzegu* (1995), poświadczają, iż autor nie stroniąc od osadzonej w tradycji symbolizacji potrafi odsonić prawdę doznania osobistego, utrwalił chwilę niepowtarzalnego wrażenia.

Wyraźnie indywidualne drogi wyznaczały poetyckie realizacje „spóźnionych debiutantów”, wśród nich przede wszystkim Stanisława Krawczyka (*Relacja* 1990,

Ruch literacki

notowania ważniejszych zjawisk artystycznych w życiu literackim regionu nie stworzy przy tym wyizolowanej mapy sytuacyjnej, a będzie *de facto* odzwierciedleniem ogólnych prawidłowości w przemianach naszej kultury.

Dwie fale poezji

Uwzględniając publikacje książkowe i czasopiśmiennicze śląskich literatów (wyłącznie te, które pojawiły się po roku 1989) zauważymy, iż połowa dziewiętej dekady upłynęła - podobnie zresztą jak lata osiemdziesiąte - pod znakiem liryki, ale i - co jest zjawiskiem nowym - krytyki literackiej.

Oprócz publikacji typowo dokumentacyjnych ukazały się w tym czasie antologie prezentujące i promujące twórczość „wstępujących”. W 1995 r. - z wyjątkiem wierszy Moniki Baranek (późniejszy debiut *...a śmierć śpiewa*, 1997) oraz Małgorzaty Gajewskiej (*Bardzo smukła samotność*, 1997) niestety artystycznie nieudana - *Próba oddechu*, nieco wcześniej zaś *Inny świt. Antologia młodej poezji na Śląsku* (1994). Tutaj właśnie, po raz pierwszy, zaprezentowali się poeci, którzy tworzą grupę Na Dziko. Ich działalność okazuje się najważniejszym wydarzeniem w śląskim ruchu młodopoezyckim pierwszej połowy dziewiętej dekady. Mają już w dorobku żywo komentowane tomiki: Maciej Melecki *Te sprawy* (1995), *Niebezpiecznie blisko* (1996), Grzegorz Olszański *Recytacje z pamięci* (1995), Wojciech Kuczok *Opowieści samowite* (1996), Bartłomiej Majzel *Robaczywość* (1997). Najogólniej mówiąc tę poetykę wyróżnia narracyjna strukturyzacja tekstu, żywił potoczności, odwrót od abstrakcji. Do tych bardzo ważnych debiutów dołączyli swe książki (przynoszące lirykę inicjacyjną, w której dominuje tonacja egzystencjalnej czerni i szarości) laureaci łódzkiego konkursu im. Jacka Bierezińskiego: Krzysztof Siwczuk (*Dzikie dzieci* 1995) i Marta Podgórnik (*Próby negocjacji* 1996).

W ruchu młodopoezyckim zjawisko grupowości wydaje się dziś zanikać. Na Dziko - typowa formacja sytuacyjna - jest właściwie wyjątkiem (to poprzednia dekada owocowała podobnymi przedsięwzięciami).

Najmłodszy wybierają drogę indywidualnych prezentacji, często podejmują próby przedstawiania swych wierszy w kserograficznie powielanych arkuszach. Strategicznym elementem promocji pozostaje natomiast udział w konkursach poetyckich.

Wśród patronujących „młodym-dzikim”, aktywnych poetów urodzonych tuż po roku 1960, wymienić trzeba Sławomira Matusza. Kolejne tomiki (*Mistyka zimą* 1990, *Szare mydło* 1993, *Podtrzymanie, podniesienie* 1994, *Wakacje* 1996) odsłaniają skuteczne przejścia od obiektywistycznego, esencjonalnie zwartego zapisu do doznania sensualnego. Ze stanowczego wystąpienia pokolenia, do którego należy Matusz, pozostały wiersze kilku zaledwie poetów. Ich twórczość podążyła nie tak znów odległymi od siebie traktami. W kręgu „tajemnic codziennych”, dyskretnych epifanijskich olśnień, sytuują się Marian Kisiel (*Kronika nocy* 1992, *Gdy stoję tak nieruchomo* 1993, *Bliżej zimy niż lata* 1995) oraz Barbara Gruszka-Zych (*Napić się pierwszej wody* 1989, *Teren prywatny* 1994; *Nic się nie stało* 1997; *Pali się mój próg* 1997). Lesław Nowara poszukuje wartości w budowaniu prywatnej mitologii (*Zielona miłość* 1991, *Dom o zielonych oknach* 1993, *Trzecie oko* 1996), w marzeniu o bytowaniu arkadyjskim. W przestrzeni intertekstualnych odniesień kulturowej tradycji sytuuje czytelnika twórczość Piotra Wilczka (*Piosenka bez końca świata*, 1992). Odrębne miejsce zajmuje w tym gronie Jola Treła. Zachowując ludyczny dystans, rozbijając lingwistyczne „tworzdyła” jej twórczość skutecznie uświadamia ograniczenia egzystencji w znakach (21 1992, *Bruho* 1997).

Poezji lat 80. towarzyszyło poczucie obowiązku, konieczności działania, bliskości wystąpień, która wzmacniała głos poety wierzącego w ocalenie etycznego kanonu. W dekadzie następnej zarysuje się postawa poety-obszernika, często ostentacyjnie rezygnującego z uczestnictwa. Śląski ruch młodoliteracki ma charakter pozastowarzyszeniowy: młodzi pisarze unikają organizacyjnych sztyłów i przyrodozładowań. W tej sytuacji stymulującą rolę starają się odgrywać czasopisma, udostępniające młodym swe łamy i inicjujące przedsięwzięcia wydawnicze.

Księgi wiecyste 1991, *Droga* 1993, *Duże zwierząt domowych* 1993, *W samogłoskach i w kolorach* 1995, *Błądzą* 1996, *Szept* 1997), preferującego lirykę lapidarną formuły, umiejętnie budującego integralną kompozycję metaforyczną tekstu. Wymienić też trzeba nazwisko Grzegorza Słobodnika - niegdyś współzałożyciela sośnowieckiej Reduty 57, Józefa Krupińskiego i Anny Wernerowej.

Wśród dokonanych śląskich poetów pokolenia 68 odnotowaliśmy Andrzeja Szuby *Oddech jak twój* (1991), retrospektywne *Dzieci frezje zające* (1992) oraz Tadeusza Sławka *O głodzie* (1994). Twórczość Szuby - najważniejszego poety w tym gronie - odnajduje sugestywny wyraz w formach skrótowych, świadomych swego statusu dopiskach, fragmentach, uzupełnieniach. Rezygnując z ornamentacyjnej metaforyki, tekst Szuby staje się maksymalnie skondensowanym w obrazie zamysleniem. Sławek z kolei osadza poetyckie słowo w tradycji współczesnej filozofii, tematyzując wypowiedź i rozwijając cykliczną „rozprawę liryczną”. Obydwaj też, od dłuższego czasu, poświęcają się efektywnej działalności translatorskiej.

Jan Paweł Krasnodębski oraz Jan Strządała - twórcy z tego samego co Szuba i Sławek pokolenia, przypomnieli o sobie retrospektywnymi zbiorami: pierwszy z nich *Wierszami* (1991), drugi *Szeptem igły w otwartej żyłce* (1993). Krasnodębski wydał nadto *Samotność wciąż szaleje* (1995), *Muszę cię wychłostać* (1995) oraz zbiór erotyków *Buntuję się w Twoich ustach* (1995), prezentując poezję intensywnie poszukującą bezpośredniego wyrazu, usiłując wyrwać konkret z ram archetypicznego obrazu. Inną strategią lirycznej obecności przyjęła poetka noworocznikowego pokolenia - Katarzyna Młynarczyk. Jej tomiki (*Kochanki* 1989, *Kocham asfalt i nocne lokale* 1990, *Przyszedłem, żeby opowiedzieć* 1993, *Nazwijają to miłością* 1995, *Zachwyty i niepokój* 1996) przynoszą lirykę impresyjną i intuicyjną, nierzadko kierującą ku inspiracjom plastycznym i realizującą się w formule „poetyckiej fenomenologii”. Andrzej Pańta, autor zbiorków *Counter-Revolution* (1989), *Pan. Poema synchroniczne* (1991), *Bez; ogródek* (1993), wybierze perspektywę epistemologiczną, w językowej konstrukcji, doprac-

wanej metaforze analizując zasady obecności w świecie.

Wśród „debiutantów w poślizgu” znajduje się Marta Fox - autorka przepłatanego wierszami zbioru opowiadań *Kapelusz zawsze zdejmuję ostatni* (1992) oraz tomików *Chcę być chłopcem jak mój ojciec* (1994) i *Dotknij mnie tak dawno nie miałem kobiety* (1997). Jej twórczość, obudowana deklaracjami neofeminizmu, wpisuje się w nurt lyryki konfesyjnej i poetykę imaginatywną.

Pośród ważniejszych wznowień utworów pisarzy pożegnaných niedawno pojawia się *Nieustraszona rozmowa z samym sobą* - wartościowy wybór liryków Wilhelma Szewczyka z lat 1937-1959 (1996).

Czas krytyki

Rok 1989 jest początkiem znaczącej aktywności krytyków młodego pokolenia. Niezwykłej - po wielu latach okazjonalnych i jedynie regionalnych wystąpieniach. Niewątpliwie wpływ na siłę tej erupcji ma działalność katowickiej (a wcześniej - sosnowieckiej) polonistki. Już w poprzedniej dekadzie jej pracownicy (Bożena Tokarz, Romuald Cudak, Marek Pytasz, Tomasz Stępień) próbowali zagospodarować ten teren, zwiększając z nich wszakże, z upływem lat, poświęciła się pracy dydaktycznej i naukowej. Drugim punktem odniesienia należałoby uczynić krytyczno-programowe wystąpienie grupy Kontekst oraz pismo „Studio”.

Grono młodych krytyków, już określane mianem miarodajnych opiniodawców, tworzą urodzeni po roku 1965, wśród nich Dariusz Nowacki, Krzysztof Uniłowski, Cezary Konrad Kęder. To właśnie oni powołali do istnienia „FA-art” - czasopismo promujące poststrukturalistyczną opcję współczesnego literaturoznawstwa. W tej perspektywie mieszczą się rozmaite (z niewątpliwymi preferencjami wobec dekonstruktywizmu, poświadczonymi choćby edycją *Podziemi* Jacquesa Derridy) sposoby obcowania z literaturą, interpretacji i reinterperacji tekstów kultury.

Wcześniej swoją pozycję w krytyce ogólnopolskiej zaznaczył - nieznacznie od nich starszy - Marian Kisiel. Uniłowski i Nowacki systematycznie komentują nową prozę, Kisiel z kolei konsekwentnie przygląda się współczesnej lyryce. Jest krytykiem koncentrującym uwagę na poetyce tekstu, wpisanym weń „światoobrazie” i artystycznej transpozycji pisarskiego doświadczenia, nie stroniącym wszakże od ujęć z obszaru socjologii literatury. Odnotować też trzeba nazwiska Dariusza Pawelca i Piotra Wilczka, a także Anny Węgrzyniakowej, Józefa Olejniczaka, Stefana Szymbutki - literaturoznawców nadal sięgających po formę wypowiedzi krytycznej.

Podsumowanie sytuacji sztuki współczesnej i autorski projekt nadchodzących przemian przyniósł retrospektywny zbiór szkiców Stanisława Piskora *Transfiguracja* (1993). Pisząc o krytyce trudno byłoby przecenić rolę książek naukowych (m. in. Pawelca, Kisiel, Olejniczaka, Tadeusza Klaka, Włodzimierza Wójcika, Ireneusza Opackiego, Danuty Opackiej-Walasek, Stępnia, Węgrzyniakowej, Szymbutki), analizujących osiągnięcia literatury współczesnej. Przy tym ważnym elementem życia kulturalnego regionu stały się uniwersyteckie panele oraz stowarzyszeniowe sympozja - także dokumentowane w edycjach książkowych.

Eseistyczne diagnozy

Eseistyka była zawsze manifestacją indywidualności pisarskiej i krytycznej świadomości, trudną sztuką hierarchizacji świata i dorobku kultury, mierzaniem się z aksjologicznym zawirowaniem. Z niewielkiego grona śląskich eseistów na bardzo wysokim poziomie utrzymują się - spełniające te powinności w trudnym czasie przełomowego przesilenia - dokonania Włodzimierza Paźniewskiego. *Gramatyka rozproszenia* (1995) oraz *Deportacja ogrodu* (1996) dowodzą charakterystycznego dla pisarza wyczulenia na detal, zdarczenia nierządno przesuwane na margines, dzięki któremu można z dystansem przyrzeczyć się „centrum”, formułując uniwersalistyczną refleksję.

Na obszarze teorii kultury na uwagę zasługują *Dogmaty i herezje* (1992) spółki autorskiej Witold Izdebski-Krzysztof Łęcki - zbiór esejów i szkiców mierzących się z postmodernistyczną świadomością przełomu.

Proza: rozrachunki i metaliteratura

W problematyce utworów powieściopisarzy starszego pokolenia na plan pierwszy wysuwają się rozliczenia z dobą PRL-u. Prowadzone zresztą w rozmaity sposób: w prozie realistycznej pozwalającej wprowadzić nawet „sprawozdawczy” konkret (Eugeniusza Zaczycy *Kamerdyner władzy* 1992), w formie studium psychologicznego (Krasnodębskiego *Beri beri* 1993, *Wielkie nic* 1994; Edwarda Szopy *Sobowót* 1992, *Synogarlica* 1994), czasami w symbolizującym doświadczenia nurcie mitograficznym (Feliksa Netza *Urodzony w święto zmarłych* 1995).

Pośród tych dokonań widnieją najbardziej znaczące powieści w dorobku Krasnodębskiego i Netza, w obydwu zresztą strukturę artystyczną przenika tkanka biograficzna. *Martwy blues* Krasnodębskiego (1994) opowiada o audestrukcji i pragnieniu ocalenia, zmaganiach z narkotyczno-alkoholowym uzależnieniem i poszukiwaniu enklaw niezależnej egzystencji.

Urodzony w Święto zmarłych Feliksa Netza okaże się zapewne najważniejszą „śląską powieścią” lat 90. To rekapitulacja doświadczeń bohatera, którego matka jest Polką, ojciec Niemcem - od przypadającego na wojnę dzieciństwa, po lata dojrzałości. Suggestywnie prowadzona narracja - przeplatająca

ton powagi z ironią, obraz groteskowy z liryczną refleksyjnością - odsłania osobowość człowieka bytującego w przestrzeni „pomiędzy” językami, kulturowymi odmiennościami oraz w przestrzeni pamięci, która jest poświadczaniem trudnej, warunkowanej miejscem i czasem historii, obecności.

Problemy kulturowego pogranicza, tak znakomicie wpisane we wspomnieniową konwencję w powieści Netza, i sytuacje zagrożenia aksjologiczną pustką pojawiają się w utworach Stanisława Bieniasza - aktywnego w latach 90. dramaturga i prozaka (*Podanie o zezwolenie na życie* 1991, *Ucieczka* 1991, *Podziemie* 1991, *Rekonstrukcja* 1991, *Sponsor i jego autor* 1995, *Niedaleko Königsallee* 1997). W kręgu paradoksów współczesności porusza się Włodzimierz Paźniewski - choćby w zbiorze opowiadań *Światła mijania* (1996) oraz powieści *Skoro świt* (1997). Warto wreszcie odnotować historyczną powieść Bolesława Lubosza *Twoja zagłada w Rzymie* (1996), przynoszącą obraz miasta upadłego, w którym dominację usiłują uzyskać arystokratyczne rody, ale równocześnie miejsca liczącego się z imponującą tradycją, pełnego nadziei na przezyczenie rozbitcia i bezwładzi.

Odmianą orientację estetyczną reprezentuje najmłodsze pokolenie prozaików, na razie reprezentowane jednak nader skromnie. Uwagę zwróciły dokonania Piotra Czakańskiego-Sporka, Jarosława Gibasa oraz Cezarego Konrada Kędera. Pierwszy z nich debiutował *Pierrotem i Arlekinem* (1991), później pojawiła się epistolarna *Ostatnia amerykańska powieść* (1993), budująca kolażową, intertekstualną rzeczywistość ze „sklejanych” wątków Kafkowickich, a ostatnio - *Aj. Mikropowieść w 69168 znakach* (1996). Gibas zadebiutował *Gniazdami aniołów* (1995), Kęder z kolei - *Antologią twórczości p.* (1996), w której - czyniąc swego rodzaju narracyjne przymiarki i oferując czytelnikowi powieściowe puzzle - prezentuje bohaterów w przestrzeni mitów środowiskowych i kulturowych. Przedsięwzięcia debiutantów lat 90. współbrzmia z realizacjami Andrzeja Tuziaka, autora zbiorów *Oskarżam pana, doktorze Kafka* (1991) i *Wariackie papiery* (1994) oraz *Księgi zaklęć* (1996), odwołującej nas do konwencji tradycyjnej narracji i formuł „nowej powieści”, ironicznie neutralizującej modernistyczne mity kultury. Utwory młodych prozaików, zdecydowanie świadomych kryzysu „wielkich narracji”, spotykają się w przestrzeni literackich mityfikacji, które oznaczają piętrzenie poziomów „meta-”, defabularyzującą i fragmentaryzującą światła przedstawionego.

W nowej sytuacji

Widać wyraźnie, że rok 1989 stał się początkiem niezwyklej aktywności młodych literatów, którzy zastając zmienioną sytuację polityczną i kulturalną potrafili odnaleźć skuteczne formy obecności dla swych artystycznych przedsięwzięć. Zapewne z tą erupcją właśnie początek lat 90. będzie kojarzony. Odnotowany tu okres prawie dziewięciu lat przyniósł realizacje, spośród których znajdują się teksty obecne tylko doraźnie, ale też wiele takich, które pozostaną, dobrze świadcząc o potencjale twórczym środowiska śląskiego. Zarysowująca się różnorodność tendencji, nurtów jest oczywiście charakterystyczna dla kulturalnej rzeczywistości końca wieku. Literatura tego regionu, nie tracąc świadomości miejsca, ale też nie czyniąc z niej dziś promującego szyldu, stała się ważną częścią krwioobiegu literatury współczesnej.

PAWEŁ MAJERSKI

Rys. Krzysztof Fijałkowski



1. Pisząc przed kilku laty o wierszach Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego, narzekałem, że poeta nie został doceniony przez krytykę równą na tyle, na ile zasługiwał. Dzisiaj może tak radykalny sąd bałbym się formułować, niemniej pozostało w nim coś z prawdy. Choć obecnie o autorze *Peregrinarza* wypowiadają się różni krytycy dość przyjaźnie, to jednak jeżeli otwiera on jakąkolwiek dziesiątkę poetów średniego pokolenia (tzn. tych którzy urodzili się po roku 1960), to jest to z pewnością dziesiątka druga. Tak przynajmniej należałoby wnioskować z obserwacji współcześnie toczonych debat i opisów syntetycznych.

Że się nie zgadzam z taką konstatacją, dawałem wyraz kilkakrotnie. Nie chodzi tutaj zresztą o moje prywatne zdanie; ważniejsze, że każdą nową książkę poetycką Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki potwierdza swoją pozycję w poezji polskiej ostatniej dekady wieku. Pozycję już raczej niekwestionowaną, o czym wypada mówić głośno, ponieważ namnożyło się w ostatnim czasie wielu fałszywych proroków literackich, półgębkiem podważających sens jakichkolwiek prawdziwych hierarchii (zginą oni i pchły ich).

Tropami rozpoznawalnymi liryki Tkaczyszyna-Dyckiego są te trzy właśnie: barok, fuga, śmierć. Barok sarmacki, domowy, jak gdyby — dworkowy (cały świat jest dworkiem, nie można mieć przed nim tajemnic, również — intymnych); fuga literacka, dławiąca się mową, realizująca w mowie, uciekająca przed pętami logicznej składni; śmierć miłości i śmierć ciała, śmierć pamięci i pamięć o śmierci... Czytelnicy poprzednich trzech zbiorów poety dobrze rozumieją sens przywołanych tutaj słów.

2. *Liber mortuorum* (Biblioteka „Kresów”, t. 13, Lublin 1997), już poprzez swoją łacińską adnotację, przywołuje kontekst poezji funeralnej. Rzecz oczywiście nienowa w twórczości Tkaczyszyna-Dyckiego, lecz tak radykalnie wyrażona przez niego bodaj po raz pierwszy. Zwłaszcza, że funeralność jest tutaj ukazywana przynajmniej w trzech znaczeniach, chociaż każdorazowo poeta mówi o umieraniu jako czynności powszechnej, z którą mamy do czynienia na co dzień i jak gdyby bezwarunkowej.

Najpierw więc — po pierwsze — *Liber mortuorum* jest poematem o umieraniu z miłości i na miłość. Przy czym jest to umieranie perma-

Starty i falstarty

Requiem współczesne

nentne, wieczne: ani ustalić jego początku, ani widać jego końca. Dalej — po drugie: jest on utworem o samotności — bezwzględnej i nie do opanowania. W przeraźliwie nieczułym molochu miasta nie ma już miejsca na prawdziwe uczucie; a jeśli nawet takie miejsce jest — to wraca ono zwykle jako refleks pamięci i nic więcej. I wreszcie — po trzecie: jest to poemat o śmierci realnie namacalnej, wyrażniającej się w namacalności zmarłych („można odzepić się domu ale żeby nie mieć / swojej śmierci i zmarłych” — czytamy zdziwienie w *XXIII. Kobięcie z radioodbiornikiem*).

Miejsce pamięci jest każdorazowo tutaj wyraźnie określone: śmierć nie zabiera pamięci. Jeżeli cokolwiek zostaje, to właśnie pamięć jako przestroga, przekleństwo, gorycz niespełnienia, żal, bunt, dawna radość, itd. Pamięć skleja to wszystko, przypomina zasłyszane kiedyś zdania, obrazy. Jest przewodnikiem po księdze umierania, po zmarłych ludziach i odeszłych uczuciach. Jest selekcjonerem radości i rozpaczy.

3. *Liber mortuorum* Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego składa się z czterdziestu czterech pozornie nie powiązanych ze sobą fragmentów, z których każdy jest osobną całością i właściwie sam dla siebie znaczy. Tymczasem jest inaczej. W owej (momentami nieskładnej, lecz przecież

wyrażanej całym sobą) opowieści, która nie rozwija się linearnie, lecz jak gdyby faluje, zapętla się i zawęzła — nie logika przedstawienia jest najważniejsza, lecz prawda wyrazu.

Wiersz (częstka poematu) Dyckiego spełnia się w interpretacji głosowej, przynależy bardziej do kultury oralnej niż do kultury pisma. Jest świadectwem ekspresji mowy, a nie ekspresji litery. Heterofoniczność poematu, rozbicie jego faktury poprzez dopuszczenie do głosu wielu bohaterów, zmienność stylistyczna wypowiedzi, itd. — wszystko to służy podkreśleniu oralności poematu. Zobaczmy to zresztą na przykładzie dwóch tekstów: *XVIII* i *XIX* (nb. wypowiedzianych przez jedną postać):

„jesień już Panie a ja nie mam domu / kiedyś mieszkałem na Boczej Lubomelskiej / dzisiaj zaledwie na przeciw Przybylskiej / niechaj ją deszcz pozbawi oczu którymi wypatruje męża // niechaj ją deszcz zawiedzie do przytułku / w którym nie znajdzie dla siebie wygod / niechaj ją deszcz zawiedzie na cmentarz / i pozbawi oczu którymi wypatruje męża // kiedyś istotnie mieszkałem na dziesiątym piętrze / dzisiaj zaledwie w sąsiedztwie z Przybylską / niechaj deszcz nie da jej miejsca w przytułku / i ani jednej rzeczy z tych co dawniej”;

„jesień już Panie a ja nie mam domu / kiedyś mieszkałem na Boczej Lubomelskiej / dzisiaj zaledwie na przeciw Przybylskiej / która przybywa jeżeli skądkolwiek przybywa to z piekieł // z samych piekieł przychodzi Przybylska / jeżeli stamtąd diabeł może się wyprawić / skądkolwiek przybywa ona w moje / sąsiedztwo muszę się jednak niepokoić // albowiem nieprzyjaciel wypytuje o mnie / po ludziach zaś Przybylska nie milczy / z samych piekieł przychodzi Przybylska / znać to po jej frywolnych sukienkach”.

To wypowiedzi utrzymane w formie modlitwy i — równocześnie — donosu. A przecież pojawiają się i inne, takie choćby jak ten naiwno-liryczny obrazek (*XIX. Upał*), w którym pamięć płaczu „po osiemnastoletniej Bojarskiej / nic nie rozumiejąc z jej osiemnastu lat” nakłada się na pamięć wspomnienia o „skwarze popołudniowego słońca / które wybiegło skądś i położyło swoje // ręce na otwartej trumience i bawiło się / sobą w uśpionych włosach Helenki”.

4. Takich zapisów jest wiele. Sprawiają, że *Liber mortuorum* to bardzo przejmująca lektura.

MARIAN KISIEL

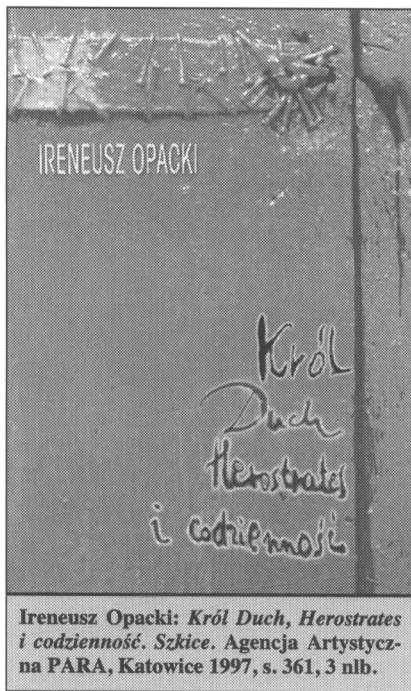
1. W poincieniu interpretacji Lechoniowej *Śmierci Mickiewicza*, Ireneusz Opacki napisał, że jest to — równocześnie — wiersz środowiskowy, narodowy i ogólnoludzki; „znakomity, »potrójny« wiersz”. I może nie byłoby w tym stwierdzeniu nic wyjątkowo ważnego, gdyby nie to, że usilne poszukiwanie w poezji XX wieku owej „potrójności” znaczeń od lat interesuje samego interpretatora. Poezja odchodzącego stulecia jest dla badacza świadectwem konkretnego czasu, przeżywanego przez — równie konkretne — środowisko, naród i człowieka. Mówiąc inaczej: jest wyrazem światopoglądu epoki, projekcją uwikłań jednostki i zbiorowości w zmiennej historycznej.

Opacki stawia tutaj sprawę jasno: poezja pozbawiona walorów ludzkich (czy: ogólnoludzkich), z której wyrzucano dramat świadomości (dramat podmiotowości) i której gest zredukowany został wyłącznie do formuł estetyzujących — otóż taka poezja (mówiąc może nieelegancko, lecz bez owijania w bawełnę) jest niewiele warta. A ponieważ doświadczenia wieku XX są przemiennie okrutne i zwykłe (szare), właśnie w egzystencjalnej dialektyce „dramatyczności” i „zwykłości” szukać trzeba głównej determinanty interpretacyjnej losów środowiskowych, narodowych i po prostu ludzkich.

Dialektyka ta jest — oczywiście — romantycznej proveniencji. Wyznacza ona podstawy duchowości polskiej, granice psychiki narodowej, określa także reguły organizujące indywidualną wizję świata. Jest nadto czymś więcej — miernikiem współczesnego zakorzenienia w rodzimej kulturze ostatnich dwustu lat. Pięćmi, z których — jako naród i jako ludzie — nie umiemy się wyzwolić; lękami, które nami targają; zadrą, która wciąż boli.

Właśnie o tym mówi Ireneusz Opacki w swojej najnowszej książce *Król Duch, Herostrates i codzienność*.

2. Jest ona skróconym i — równocześnie — rozszerzonym wznowieniem zbioru szkiców o poezji polskiej XX wieku, wydanego przed bez mała dwudziestu laty i znacząco zatytułowanego — *Poetyckie dialogi z kontekstem*. W tej pierwszej książce czytelnik mógł przeczytać jeszcze studium o poezji Bolesława Leśmiana, teraz — zamiast tego tekstu pojawiły się trzy inne: o Julianie Tuwimie, Stanisławie Balińskim oraz Janie Lechonia. W ten sposób *Król Duch...* stał się w większym stopniu książką gro-



Mit, gest, człowiek

madzącą prace skamandryckie Ireneusza Opackiego, bowiem na osiem szkiców — sześć dotyczy właśnie twórców związanych z tym ugrupowaniem artystycznym.

Omawiana książka nie jest jednakże — w tradycyjnym sensie tego słowa — wyłącznie zbiorem rozpraw o poetach (Lechoni, Tuwimie, Brzechwie, Baczyńskim, Balińskim) i ich wierszach, raczej — wewnętrznym udrumatyzowaną opowieścią o jednym z ważniejszych doświadczeń poezji polskiej po roku 1918. Poezji, która rozpoczynając od walki z romantycznymi mitami polskości, te same mity reaktywowała po dwudziestu latach, by i później — po II wojnie — pozostać w ich kręgu. Poezji — usilnie próbującej zachować jak najwięcej z doświadczeń codzienności, zwykłości, nawet — sentymentalności zachowań. I równocześnie — poezji przeczuwającej zbliżającą się groźbę katastrofy (różnej katastrofy: i tej, która ogranicza suwerenność narodowych zachowań; i tej, która zapowiada groźbę II wojny światowej).

3. Książka Ireneusza Opackiego ma swój wewnętrzny rytm: zaczyna się rozprawą o jednym z najgłośniejszych tomików międzywojennych — *Karmazynowym poemacie* Jana Lechonia, kończy studium

o Lechoniowym stosunku do polskich mitów. W owej — nieuchronnie posepnej — dialektyce odrzucenia (u progu niepodległości) polskiej mitologii romantycznej i przyjęcia (na emigracji) polskich fantazmatów — zawiera się nie tylko doświadczenie literackie i egzystencjalne Lechonia, także — Stanisława Balińskiego i Juliana Tuwima, poetów przecież — w kategoriach czystej estetyki — odmiennych, nieporównywalnych! Ale równocześnie dialektyka ta otwiera przestrzeń gestów kreacyjnych dwudziestolecia międzywojennego, przywołując — by odnieść się tylko do skamandrytów — sentymentalistyczną perspektywę liryki Tuwima, arkadyjską i egzotyczną Balińskiego... i głębiej: zapowiadając nieuchronne rozdwojenie między światem sielskim i katastroficznym w poezji autorów młodszych, choćby u Baczyńskiego...

Można powiedzieć, że Ireneusz Opacki — podobnie jak w swoich książkach o poezji romantycznej — tak i w *Królu Duchu, Herostratesie i codzienności* poszukuje tego co można by nazwać „regułą zmiany literackiej”, a więc tego, co wyznacza fundament przełomowości w typie odczuwania poetyckiego. Jeśli można tak powiedzieć: „przełom skamandrycki” staje się u progu wieku XX porównywalny z „przełomem romantycznym” (a właściwie — nie jeden „przełom”, lecz wiele różnych „przełomów”). Nadto: jest on swoistym powtórzeniem tamtych — sprzed lat — marzeń i dramatycznych rozczarowań, losów ludzkich wreszcie. Czymś, co było wielką nadzieją i tragicznym rozdarciem polskiej kultury.

4. *Król Duch, Herostrates i codzienność* to książka napisana, ze znakomitym rozłożeniem akcentów interpretacyjnych. Autor wierny jest tekstowi, lecz dla pełnej zrozumiałości przez czytelnika słów wypowiedzianych, zanurza ów tekst pojedynczy w siatce tekstów innych, stwarzając dla niego naturalny kontekst. Ta zasada interpretacji historycznoliterackiej, w otoczeniu wielu tekstów i w zbliżeniu z nimi, sprawia, że czytelnik czuje się w trakcie lektury znakomicie. Uwiedziony *charme'em* stylu Ireneusza Opackiego, nie zapomina jednak, że pod tymi zdaniemmi bardzo mocno osadzone jest fundamentalne pytanie o kształt dzisiejszej duchowości polskiej. To pytanie płynące z głębi tekstów poetyckich, ale dotykające nas wszystkich.

MARIAN KISIEL

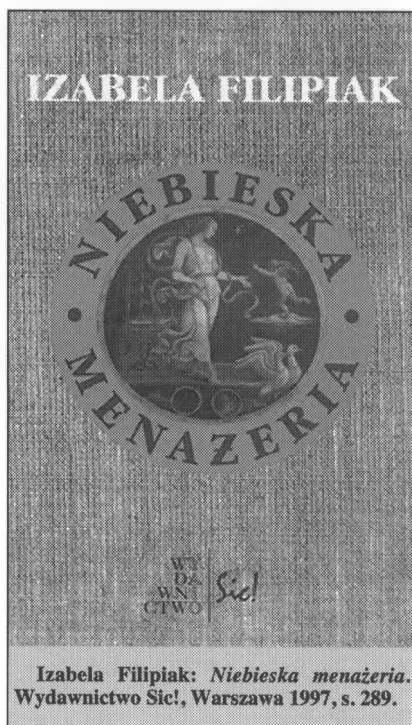
W tekście tym nie ma wczoraj ani jutro, po jednym dniu następuje kolejny dzień. Niewiele tu następstwa refleksji, wynikania zdarzeń. Za kilka lat mogłabym dopisać jeszcze jeden głos, jeszcze jedną płaszczyznę widzenia, znowu w dziś" — tak scharakteryzowała swoją *Niebieską menażerię* w należącem do niej opowiadaniu *Perszing* autorka, Izabela Filipiak, powieściopisarka, która — w ocenie Marii Janion — znacznie wyprzedziła pisząc trzydziestolatki.

Niebieska menażeria jest trzecią już książką tej autorki. Po *Śmierci i spirali* (1992) oraz *Absolutnej amnezji* (1995) — powieściach typowo feministycznych Filipiak sięgnęła po inną formę wyrażania uczuć. Mimo że i ta proza penetruje odmienności świata duchowego kobiet i ich dramaty egzystencjalne, to jest od wcześniejszych utworów autorki dużo łagodniejsza, nie ma już w niej wyraźnych, niemożliwych do partnerskiego współistnienia odrębnych światów: kobiet i mężczyzn, jest jeden wspólny dla wszystkich (ale Filipiak nie rezygnuje całkowicie z elementów feministycznych, o czym świadczą zamieszczone w zbiorze opowiadania: *Rosyjska księżniczka* i *Weronika: portret z kotem*).

Cały tomik łączy postać narratorki, która posiada pewne cechy osobowościowe pisarki i ma podobną do niej biografię, ale nie można jej z Izabelą Filipiak utożsamiać. Ponieważ książka ma budowę kłamrową (zaczyna się powrotem z emigracji, która jest emigracją z Ameryki, bo tamta ziemia zdążyła już stać się swojską, a kończy się w Polsce, perypetiami narratorki związanymi z rozpadającym się forem, pamiętką po amerykańskiej miłości, które prowokują emocjonalny powrót do przeżytych za wielką wodą chwil), tych samych bohaterów i traktuje wyłącznie o intelektualnym dojrzewaniu narratorki, o jej tęsknocie i pewnym wyobcowaniu zarówno w Polsce jak i za Oceanem, sprawia wrażenie pewnej sfragmentaryzowanej całości, czy wręcz — jak to określiła Igna Iwasiów — „powieści w opowiadaniach”, a nie bardziej lub mniej przypadkowo zestawionych utworów. Uspójnieniu całości mają służyć krótkie, wyróżnione graficznie fragmenty tekstów, luźne wyłącznie od autorskie refleksje.

Zgodnie ze swoją dewizą, zapisaną w wstępie do *Własnego pokoju* Wirginii Woolf, że „chronić się bez przerwy, trudno jest stworzyć cokolwiek”, narratorka — autorka w poszukiwaniu przeżyć wędruje po znacznej części Europy, by w końcu znaleźć się w Stanach. Swoje przygody w obozie dla uchodźców, gdzie jest jedyną Polką, pracę w muzeum, paryskie, trochę artystyczne życie, zapisane w dzienniku, wykorzystuje do snucia refleksji na temat osobności każdego człowieka, jego indywidualności, ale także jego beznadziejności w grze ze światem.

Narratorka, uciekając przed szarością polskiej egzystencji, przed bylejąkością życia tutaj, wyjeżdża na Zachód, ale nie daje on jej takiej wolności, o jakiej marzyła, właśnie tam uświadamia sobie, iż każdy człowiek tylko w ograniczony sposób może poznać świat, że może poczuć, zrozumieć tylko jego cząstkę — właśnie impresyjność tej prozy jest jej wielkim atutem, autorka stara się opisać wrażenia, cząstkowość własnej woli w kształtowaniu swojego życia, swoją emocjonalność. I relacjonowanie stanu uczuć najlepiej jej wychodzi.



Ociosane kamienie

Pretekstem do snucia tych refleksji jest powrót z emigracji: „nie wraca się tylko na chwilę. Nie przyjeżdża się i już się jest. Do wszystkiego trzeba się przyzwyczaić” — mówi narratorka w pierwszych zdaniach tekstu. Dla niej wszystko jest symboliczne i dwutorowe: za granicą był pies — Pittbulica i w Polsce był pies — Perszing i chociaż oba, z całkiem innych względów, musiała porzucić, jednakowo te rozstania przeżywała. Miłość do świata przychodzi razem z miłością do znalezionego zwierzęcia. Pies jest pomostem pozwalającym się zbliżyć do drugiego człowieka — to przecież z powodu „wielkiej miłości” dwóch czworonogów narratorka przeprowadza się do swojego kolegi. Ale to chyba nie przypadek, że rudy, szybki jak wiatr Perszing, jest psem spokojnym, nastawionym pokojowo do każdego, takim poczciwcem, podczas gdy Pittbulica to typowy pies — morderca; narratorka musi zgodzić się na jego uspienie, bo, dorastając, staje się groźny dla otoczenia.

Tu zaczyna się kolejny, analizowany przez Filipiak problem, gdzie powinna zaczynać się i gdzie kończyć tolerancja. Uświadamia nam, że to słowo jest prawie tak samo niemożliwe do wprowadzenia w życie w Stanach, co w bardzo nietolerancyjnej Polsce. Opowiada o tym, że jej polski pies — znajda, był uwielbiany przez wszystkich, był królem akademika, w Polsce wolno go było ze sobą zabierać wszędzie, a posiadanie zwierzęcia należało do dobrego tonu. Ameryka, chępiąca się proekologicznym nastawieniem do świata, obwarowana jest wieloma zakazami, psy, choć tresowane w specjalnych ośrodkach, są przede wszystkim intruzami. Wolno z nimi wychodzić jedynie do parku i to najlepiej późnym wieczorem, do sklepów dla zwierząt. Pittbulica, chociaż sposób jej zachowania jest typowy dla Ame-

rykanów, musi umrzeć, bo wszyscy tego oczekują, choć nie mówią o tym wprost. Perszing ucieka z tęsknoty za panią. Narratorka stwierdza brutalnie, że ich odejście pozwoliło jej na realizację własnych planów, po wiadomości o zaginięciu w zimową noc Perszinga poczuła się zupełnie zwolniona z myśli o powrocie do kraju.

Problem tolerancji jeszcze dobitniej powraca w czasie wędrowek narratorki z ukochanym po Warszawie. Tak się składa, że mimo iż bardzo się stara nie trafić na budowle mogące świadczyć o nietolerancji Polaków, wszystkie drogi prowadzą pod synagogę (wtedy jeszcze tam mieściła się łaźnia publiczna, a jej mężczyzna jest Żydem). Jednak wie, że kiedyś to musi nastąpić i nie potrafi wyjaśnić mu, dlaczego jej naród tak bardzo nienawidzi Żydów. Jej determinacja, by odwiec jak najbardziej tę rozmowę, jest tym rozpaczliwsza, że jego rodzina — zwłaszcza babcia, miłośniczka kultuwowania tradycji żydowskiej — przyjęła ją z otwartymi ramionami.

Największą emigracyjną „zdobyczą” narratorki jest nabyta za Oceanem umiejętność dłuższego związku z mężczyzną. W Polsce łączyła się przede wszystkim z kobietami, twierdząc, że w naszej kulturze ucieczka od mężczyzny jest jednocześnie ucieczką od niewygody ciąży, chcianych czy niechcianych, od zależności i rezygnacji z samorealizacji. Łęki przed ubezwłasnowolnieniem łatwiej przezwyciężać daleko od domu. I właśnie w związku z mężczyzną — można by stwierdzić, iż dlatego jest on tak udany, bo oboje posiadają cechy typowo kobiece, np. nadmierną wrażliwość — narratorka przeżywa szczęście. Filipiak pisze o miłości z rzadką żarliwością i ciepłem, nie wstydzi się posądzenia o nadmierną egzaltację czy śmieszny sentymentalizm — tak jest we fragmentach opisujących internetową miłosną korespondencję, w której ogromną rolę kochankowie przypisują kwiatnym żonkilom i krokusom, zasadzonym przez kobietę przed wyjazdem w ogródku ukochanego. Narratorka uważa siebie za osobę nieco staroświecką, nie radzącą sobie z amerykańską techniką, ale sama nie może się obyć bez komputera i — później — samochodu, który staje się kolejnym symbolem przywiązania tej kobiety.

Dzięki lepszej, możliwej do przycięcia miłości narratorka staje się łagodniejsza, uświadamia sobie, iż życie fascynujące, to nie znaczy przez nikogo nie zakłócone, ale kochając, człowiek musi pozostać panem swojego losu i może dlatego decyduje się na wyjazd, na kolejną emigrację, tym razem stamtąd.

Pomimo, że Izabela Filipiak subtelnie naszkicowała wizerunek ukochanego, to dla niej jednak kobiety są dojrzałe i mądrzejsze od mężczyzn, nie wyrzekła się swoich fascynacji feminizmem, portety Weroniki, Frani czy babci ukochanego intrygują psychologiczną złożonością, tajemniczością losów, nakładania się w interpretacji ich zachowań przeszłości na teraźniejszość. To nie tylko z tego względu fascynująca, dobrze napisana książka. Uczy wrażliwości i umiejętności dostrzeżenia w pozornie nie interesujących elementach ludzkiej biografii zaczątków fascynujących opowieści.

RENATA JOCHYMEK

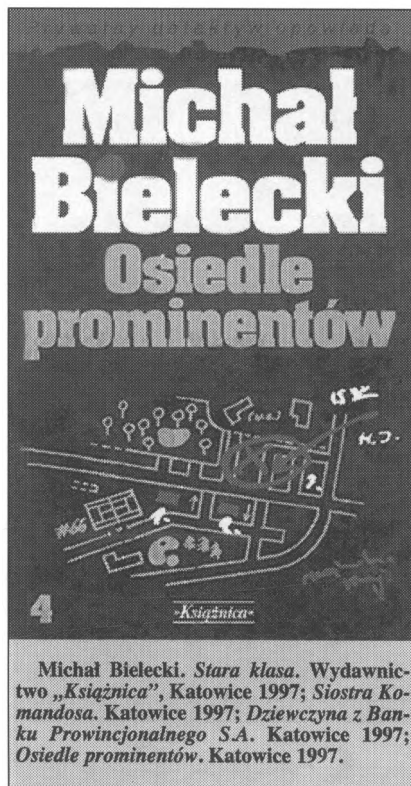
„O szóstej włożyłem mundur. Czuję się w nim trochę głupio, chociaż był o wiele ładniejszy od policyjnego: czarny, podobny w kroju do uniformów brygad antyterrorystycznych, z czarną baseballówką, na której znajdował się zgrabny znaczek z dyskretnym napisem „Kruk”. Rzecz w tym, że jako policjant prawie nigdy nie wkładałem munduru. Wiadomo, że dochodzenie najlepiej prowadzić z ukrycia, a mundur dekonspiruje” (*Stara klasa s. 13*) — w takiej to kreacji na scenie polskiej literatury kryminalnej pojawia się detektyw Michał Bielecki, autor, narrator i bohater serii książek wydanych przez katowicką oficynę wydawniczą *Książnica*.

Z powieścią kryminalną istniał zawsze w Polsce kłopot — rodzima ewoluowała w kierunku wyśmiewanej przez smakoszy gatunku powieści policyjnej (czytaj: milicyjnej), obca toczyła się w środowisku nieznanym odbiorcy. Wraz z nową epoką zniknęły ograniczenia tematyczne, lecz z nimi także najbardziej znana w kraju seria z jamnikiem (konia z rzędem temu, kto wyjaśni, co to sympatyczne zwierzę ma wspólnego z kryminałem?), prezentująca ten typ literatury najpełniej. Na rynek wpłynęła fala przekładów, początkowo bardzo dobrych pozycji, np. A. McLeana, a z czasem coraz gorszego sortu tekstów. Po nasyceniu rynku zapanowała stagnacja.

W tę ciszę wydawniczą znakomicie weszła *Książnica* proponując całą serię znakomitych powieści kryminalnych, doskonale osadzonych w dzisiejszych realiach, napisanych sprawnie i z interesującą fabułą.

„Prywatny detektyw opowiada” — z takim hasłem na okładce, w jednokolowej szacie graficznej ukazały się jak dotąd cztery pozycje tego samego autora. To świetny chwyt — zwierzenia autora, który jest zarazem pierwszoosobowym narratorem potęgują autentyczność, zwłaszcza że osoba ta nie ukrywa swojej biografii — jest to były oficer dochodzeniowy policji, który w tajemniczych okolicznościach przestał tam pracować. Komisarz Bielecki utrzymuje jednak dobre kontakty z dawnymi kolegami po fachu, a okresami z nimi współpracuje. Przez wszystkie tomy snuje się cienka nić krytyki w stosunku do policji, jej nieskuteczności, która to chyba głównie zdecydowała o rezygnacji bohatera z pracy w tym zawodzie. Zresztą jej istotę określa, że polega ona na „zadawaniu upierdliwych pytań pod niewłaściwym adresem i na pisaniu setek protokołów” (*Stara klasa s. 99*).

Tymczasem dojrzałego, samotnego (po rozwodzie spowodowanym zbytnim zaangażowaniem się w pracę) byłego oficera rozpiera żądza działania, które umożliwiał mu dawny kolega, obecnie właściciel agencji detektywistycznej „Kruk”. Cechy osobowe Bieleckiego są bardzo podobne do



Na tropie zbrodni

postaci komisarza Halskiego z popularnego serialu *Ekstradycja*, co świadczy o dobrym wyczuciu odbiorcy przez autora.

Jak pisze Stanko Lasic, powieść kryminalna rządzi się swoimi wewnętrznymi prawami: „Od wprowadzenia zagadki do rozwiązania, od utraty równowagi do jej przywrócenia, występuje pięć bloków kompozycyjnych: PRZYGOTOWANIE ZBRODNI — ŚLEDZTWO — ODKRYCIE — POŚCIG — KARA”. Wszystkie te elementy, choć nie w każdej z powieści, występują w tej serii; zagadką bywa trup, czyli wszystko w normie, machloje finansowe, tajemnicza przeszłość. Najbardziej rozbudowana bywa faza śledztwa — dochodzenie obfituje w zwroty sytuacji, zmuszające czytelnika do uważnej lektury, czyni odbiór tych tomów wyjątkowo interesującym. Wymiar sprawiedliwości bywa mocno zredukowany, a rozwiązanie pytania, kto zabił kończy akcję. Tematów dostarcza samo życie — widać, że autor, kimkolwiek jest, starannie czyta codzienne doniesienia prasowe, bowiem większość „zbrodni literackich” pochodzi wprost z życia — mamy więc narkotyki, szybkie kariery, wymuszenia, haracze, nielegalny biznes, mafie ze wschodu, przekupstwo, połamane biografie dawnego aparatu władzy i opozycji.

Innym wyznacznikiem powieści kryminalnej jest walka trzech osób: OFIARA, MORDERCA, ŚCIGANY, ŚCIGAJĄCY. Najwięcej uwagi poświęcono z natury rzeczy tej ostatniej osobie, choć ofiara, przeważnie marta, bywa także aktywnym uczestnikiem akcji, odstawiając powoli wiedzę o sobie poprzez wcześniejsze działania. Tropiący zbrodnie Bielecki porusza się raz po śladach ofiary, raz mordercy, a prawdę znajduje na skrzyżowaniu tych dwóch dróg.

Powieści nasycone są olbrzymią ilością trafnych obserwacji obyczajowych — od sposobu ubierania się po wystrój mieszkania i typy rozrywek ludzi zajmujących różne stanowiska. Akcja toczy się w dobrze znanej rzeczywistości i nie wymaga od odbiorcy zbyt wielu dopowiedzeń.

O atrakcyjności tych książek decyduje jednak jeszcze rzecz inna. Są one wyjątkowo czytelne dla mieszkańców Śląska, a Katowic w szczególności; ich akcja rozgrywa się w tym mieście, a niedbałe lub zgoła żadne zaszyfrowanie miejsc powoduje, że można je czytać szukając i co ważne znajdując opisywane miejsca i trasy bohaterów. Możliwe więc jest zwiedzenie katowickich knajp opisywanych przez autora, dzielnic — świetna znajomość „Gierkówki” i jej mieszkańców sugeruje bardzo dobrą znajomość tych miejsc. Nawet pomstowanie na układ komunikacyjny Katowic poparte jest trasami objazdów. „Mały Wiedeń nie był restauracją dużą, ale za to bardzo elegancką. Przed ulokowanym w głębi parku budynkiem stali ochroniarze w wojskowych mundurach i wskazywali gościom miejsca na parkingu. Jeden stał przed wejściem. (...) W dyskretnie oświetlonym wnętrzu goście byli przyjmowani przez kierownika recepcji, który prowadził ich do szatni, a następnie do baru, gdzie przekazywał ich kelnerom wskazującym odpowiedni stolik. Sądząc po oznakach zewnętrznych „Mały Wiedeń” należał do lokali, które żyjący z pracy najemnej zwykły śmiertelnik może odwiedzić dopiero po pozyskaniu co najmniej dwóch zyrantów”. (*Dziewczyna z Banku Prowincjonalnego SA, s. 95*). Czy ktoś jeszcze nie wie, o którą restaurację chodzi? Rozwiązywanie tych zagadek jest wielką radością, ale w obawie przed konsekwencjami takiego rozumowania wydawca powinien koniecznie opatrzyć serię uwagą, że wszelkie podobieństwa i skojarzenia z rzeczywistością pozaliteracką są wyłącznie przypadkowe.

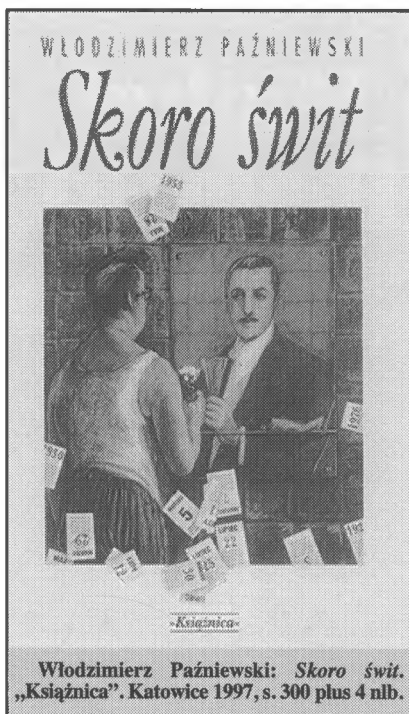
Komisarz Maigret, Sherlock Holmes, Herkules Poirot mieli na swoim koncie wiele sukcesów i rozwiązanych zagadek, były komisarz Bielecki stoi dopiero na początku tej drogi, ale kierunek wybrał niewątpliwie słuszny. Wydaje się, że z takim zażenowaniem serii sukces czytelniczy jest tylko kwestią czasu.

MARIA KWAŚNIEWICZ

O publikowana właśnie, trzecia po *Krótkich dniach* (Warszawa 1983) i *Klasówce z pamięci* (Warszawa 1988), powieść Włodzimierza Paźniewskiego to swoisty anegdariusz, utrzymany w groteskowym tonie bilans paradoksów dookreślonego czasu i miejsca. Paźniewski objawia swą konsekwencję w wyrażnie rozpoznawalnym tonie sceptycznego dystansu. Nie trzeba więc nikogo przekonywać jak blisko, w obszarze podobnych problemów, strategii pisarskich obserwacji, sprecyzowanej skali aksjologicznej, sytuują się jego eseje i twórczość prozatorska.

Skoro świt to powieść budowana z krótkich fragmentów — niektóre zdarzenia stają się ledwie epizodami, inne, powracając, współtworzą większe segmenty. Stopniowo, gromadzone w planach narracyjnej synchronii i diachronii, odsłaniają okazały wycinek naszego stulecia, aż po lata osiemdziesiąte. Wielka historia ujawnia się tu w gawędziarsko przedstawianych kolejach życia trójpokoleniowej rodziny, która musi porzucić Wileńszczyznę. Konkretnym doświadczeniem, a i na zbyt dobrze znaną w tej części Europy figurą losu, staje się wtedy wędrownica („Jesteśmy narodem potulaczonym jak rzadko który” — powiada ojciec, który zresztą urodził się „w drodze”). Stąd też zarys mapy geograficznej poszczególnych epizodów uwzględni miejsca ważne i okazałe (jak Wilno, Lwów, Petersburg, Kijów) oraz te niewielkie, prywatne centra świata (Nowa Wilejka, Zaleszczyki). Ów plan dziejów rozpoznajemy w bezpośrednio przywołanych faktach (np. bitwa warszawska, ofensywa sowiecka, repatriacja), ale i równie czytelnym znakach, których peryfrazy (np. „polskie miesiace” stają się bolesnymi konkretami — wystarczą drobne sygnały, by obudować zdarzenie narodowym kontekstem).

Zgodnie z regułami groteski światem przedstawionym może (i tak dzieje się w powieści) rządzić strach, lecz nie będzie on przeszkodą w dostrzeżeniu komiczności sytuacji, nie wyeliminuje satyrycznej puenty obnażającej absurdalność stworzonych reguł. Często kontury świata i postaci — a tak Paźniewski czyni wymykając się mackom Patosu tudzież bogoojczyźnianego Frazesu — zarysowane są pogrubiającą kontury kreską. Z tych sentymentalnych opowieści wyłania się apologia międzywojnia i mit czasów austro-węgierskich. W kolekcji gawęd-anegdot przeczytamy choćby o ginekologu z Zaleszczyk, pomagającym kobietom zająć w ciężę dzięki usługom „dorabiających” studentów, o rabinie z Sambora sprzedającym chasydom zdjęcia Boga Ojca, do których pozował zawiadowca stacji, o sąsiedzie, który zjeździł Europę przedstawiając zamiast paszportu menu litewskiej restauracji, czy też o kamieniarzu, którego zabrano do



Strefy chaosu

Urzędu Bezpieczeństwa, a potem „odelegowano” do Pragi, by — rzecz jasna nie ujawniając swej profesji — wyrzeźbił porządne guziki w monumencie Stalina.

Formą obrony staje się dla „przyjezdnych” budowanie mitów rodzinnych. Tradycja — także dziwactw i okazów oryginalności — tworzy strefę ochronną przed chaosem teraźniejszości. Człowiek zastanej rzeczywistości to — w bezpardonowej ocenie dziadka — „skrzyżowanie lumpa ze złodziejem kolejowym”. Z pewnością dla najmłodszego czytelnika „orientalne” wyda się przeciwstawienie kolejek, karteń na mięso, wspomnieniem ze sklepu Barenblutha — z siedmioma gatunkami kawy, czterema odmianami cynamonu, goździkami z Zanzibaru, wanilią celjońską, ale przemówi zapewne opozycja pejzażu betonowych pudełek, dziś umownych tylko ulic miejskich i rozległych posiadłości rodowych. W tej sytuacji ważną rolę odgrywają kult i adoracja zachowanych rzeczy. „W tym przywiązaniu do pięknych przedmiotów — stwierdza narrator — było coś wspaniałego, a zarazem kryło się w tym trochę smutku i odrobina nostalgii, a może i bunt, jakaś maniakałna, może nawet śmieszna niezgoda na dookólną bylejąkość, tandetę i niechlujstwo, które we wczesnych latach pięćdziesiątych uchodziło za przejaw zdrowej ludowej przaśności”. Synonimem rajy będą dla dziadka Raduszniki, wujko Ziutek zachwycał się

będzie lwowskim pasztetem, co jakiś czas — nawet w przypadku karawanu — wspomina się porządną, przedwojenną robotę. Runął świat przeszłości tych ludzi, którzy — jak ojciec — „kiepsko znoszą teraźniejszość” i — jak dziadek — wciąż muszą „dokładać do współczesności”, wyprzedzając pamiętki z domowego gospodarstwa. Każdy poszukuje bezpiecznych enklaw, gdy „czas spuścił ze smyczy złe instynkty”.

W strukturze narracyjnej *Skoro świt* pozornie wyodrębniają się dwie główne płaszczyzny, albowiem co jakiś czas w tok opowieści „ja” ingeruje dociekliwy Narrator, występujący rzekomo w imieniu autora. To instancja dochodzeniowo-śledcza, quasi-pretekst dzieła literackiego. W tak wyodrębnionym autotematycznym cudzysłowie książki kolejne strony stają się „materiałem dowodowym”, donosem rzeczywistości, ale i — dopowiadając, odwrócić relację — donosem na rzeczywistość. Wszak „powieść przypomina dwustronnicowy materiał dowodowy przeciwko tak zwanemu światu”, w innym zaś miejscu przeczytamy, iż „jedyną formą epicką, jaką stworzyła ta epoka (...) są donosy”. *Skoro świt* staje się przy tym, co podkreślam, swoistą próbą stylów, polem językowych konfrontacji. Paźniewski jest wyczulony na formy językowej obecności, potrafi — wędrując od potoczności, administracyjno-politycznych hybryd, zwłaszcza drewnianego języka PRL-u, do retorycznego patosu ziomków — wczuć się w ich osobliwy „klimat” („pamiętajcie (...), że dziedziny są kluczowe, warunki złożone, rozwój dynamiczny, przygotowania kompleksowe, posunięcia zdecydowane, doświadczenia bogate, a inicjatywa szeroka” — instruował z „homerycką” dokładnością redakcyjny przełożony).

W pisarstwie Włodzimierza Paźniewskiego wysoko cenię umiejętność budowania zwartych kompozycji narracyjnych i lapidarność ujęć. *Krótkie dni*, zdecydowanie jego najlepsza powieść, roztaczały magiczną aurę złotych kresów i czasu „wspólnoty narodów”. *Skoro świt* rejestruje paradoksalne skutki dziejowych zawirowań, obnażając strefy chaosu powojnia, przeciwko którym skierują się powroty do mitycznego ładu „złotej ery”. Zapewne pulsująca karykaturalnymi sprzecznościami teraźniejszość „poprzełomowa”, sytuacja nazywana w *Gramatyce rozproszenia* (Sosnowiec 1995) „zawieszeniem w stanie nieokreśloności”, odznaczającej się chorobą „nadmiaru słów”, bałaganu, wzniosłości i dobrego samopoczucia”, podrzuci pisarzowi niejednen donos. Cóż, do symbolicznego świtu jeszcze wiele konkretnych godzin, o ile w ogóle nie jest on naszym złudzeniem. Mitem?

PAWEŁ MAJERSKI

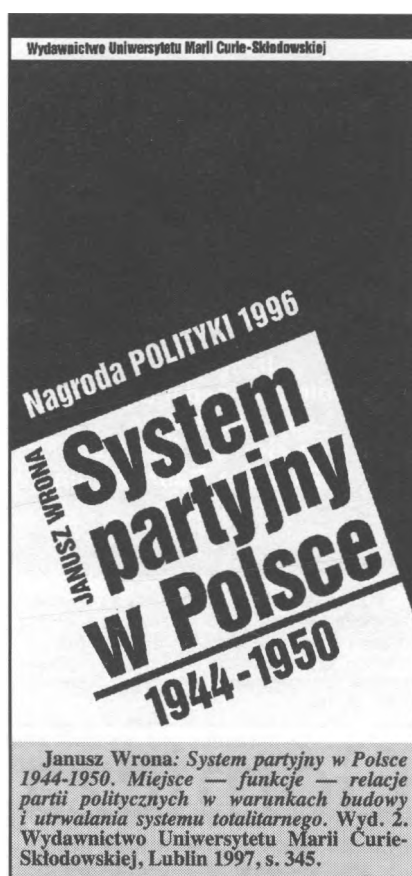
Recenzowana rozprawa lubelskiego historyka wprowadza do obiegu naukowego wiele nie znanych szczegółów do obrazu funkcjonowania systemu partyjnego w powojennej Polsce. Ta wnikliwa i pasjonująca książka została już dostrzeżona i doceniona. W 1996 r. jej Autor otrzymał prestiżową nagrodę historyczną „Polityki”.

Ogólnie znaną sytuację: zdominowanie sceny politycznej przez komunistów, wypełnił Autor wnikliwą i interesującą analizą wewnętrzną i zewnętrznych uwarunkowań budowy nowego układu politycznego. Tylko formalnie nawiązał on do tradycji pluralizmu (rzekomo koalicyjny charakter organów władzy podporządkowanych komunistom, począwszy od Krajowej Rady Narodowej, Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego czy tzw. Rządu Tymczasowego, powoływanie się na konstytucję marcową). Wobec słabości i wyobcowania partii komunistycznej fasada wielopartyjności była niezbędna dla „utworzenia całego systemu i pozorowania jego legitymizacji w społeczeństwie”. Stworzenia propagandowego wizerunku szerokiej podstaw politycznych. W rzeczywistości, jak wykazał Janusz Wrona, komuniści przystąpili do budowy nowego modelu życia politycznego wzorując się na doświadczeniach i wskazówkach płynących z Kremla. W miejsce autentycznych partii, ruchów politycznych tworzyli ich fałszywe, „lubelskie” atrapy. Po lekturze książki nie można mieć jakichkolwiek wątpliwości, co do uzależnienia tworzonego systemu politycznego od Moskwy: „Nowy system nie wyrósł z masowo wyrażonej woli społeczeństwa, lecz z poczucia historycznej misji mniejszości, odwołującej się do użycia siły i korzystającej z obecnej pomocy” — konkluduje Wrona.

Swoje wywody oparł Autor na szerokiej kwerendzie archiwalnej. Wykorzystał materiały przechowywane w Archiwum Akt Nowych, Centralnym Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Archiwum Zakładu Historii Ruchu Ludowego oraz w Centralnym Archiwum Historycznym Stronnictwa Demokratycznego. Dobrze spożytkował również prasę oraz źródła drukowane i literaturę przedmiotu.

Wrona skupił się na ukazaniu zastosowanych przez komunistów metod i użytych środków przy kształtowaniu powojennego systemu partyjnego. Ich arsenał był bogaty: od propagandy, działalności cenzury, rozbijania wewnętrznej spójności, a na zastraszaniu poszczególnych działaczy, rozwiązywaniu terenowych struktur organizacyjnych czy aresztowaniach kończąc. Kreowany przez PPR system odrzucał jako naczelną regułę pluralizm partyjny, w zasadzie nie opierał się również na prawnych regulacjach. Formalnie ramy systemu partyjnego do sześcioletniego już stronnictwa ograniczała uchwała Prezydium KRN z 30 października 1945 r.: „W praktyce o legalnym działaniu partii rozstrzygano — bez wyraźnej ku temu podstawy prawnej — Prezydium Krajowej Rady Narodowej. W rzeczywistości zaś decydowało Biuro Polityczne KC PPR po konsultacjach z Moskwą”.

Niepowodzeniem zakończyły się próby poszerzenia opozycji. Komuniści dążąc do powstania bipolarnego układu politycznego nie zgodzili się na legalizację Chrześcijańskiego Stronnictwa Pracy, Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej czy Stronnictwa



„Władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy”

Narodowego. Powstanie nowych ugrupowań opozycyjnych burzyło jasny podział na obóz „postępu” i „reakcję”, zamazywało jego propagandową użyteczność.

Praca przedstawia relacje nie tylko między głównymi aktorami na scenie politycznej (PPR i PPL), ale także między pozostałymi partiami „bloku demokratycznego” a legalną opozycją. Autor ukazał również ich miejsce i funkcje w nowym układzie politycznym. Zwrócił uwagę na proces postępującego ubezwłasnowolnienia i wasalizacji „lubelskiej” PPS. Po wyborczym „zwycięstwie” PPR dni drugiej partii działającej w środowisku robotniczym zostały policzone.

Interesujące są spostrzeżenia na temat stosunków między satelitami komunistów (np. PPS a SL czy PPS a SD) oraz wewnątrz poszczególnych partii. W tym ostatnim przypadku szczególna rola do odegrania przypadła pepeerowskiemu „wtyczkom”. Oddelegowanie działaczy PPR do PPS, SL, SD czy SP pozwalało „tworzyć powolne sobie frakcje i ugrupo-

wania secesyjne, co ułatwiało kontrolę i zwalczanie przeciwników PPR w życiu politycznym”.

Przedstawiając w sposób dynamiczny kształtowanie i funkcjonowanie systemu partyjnego zaproponował Wrona wprowadzenie nowych cezur określających poszczególne etapy jego tworzenia. Przekonywająco wykazał również, że budowa systemu partyjnego nie postępowwała w sposób ciągły, bez „zakłóceń”, od modelu partii dominującej do partii hegemonicznej. Taki obraz, choć popularny, jest pewnym uproszczeniem. Sytuacja była bardziej skomplikowana. Latem 1944 r. komuniści rozpoczęli bowiem budowę systemu partyjnego i systemu politycznego w Polsce nie od modelu partii dominującej, lecz od modelu partii hegemonicznej. Ten początkowy okres trwał do połowy następnego roku, do podpisania umowy moskiewskiej i ukonstytuowania się Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, w skład którego wszedł m.in. Stanisław Mikołajczyk. Zgoda Stalina i komunistów w Polsce na rozszerzenie ram życia politycznego, dopuszczenie do działania legalnej opozycji (w sierpniu 1945 r. powstało Polskie Stronnictwo Ludowe) oznaczało przejście do systemu partii dominującej. Ze względu na sytuację wewnętrzną PPR musiała zmodyfikować dotychczasowe założenia. Kompromis przejawiał się w taktycznym samoograniczeniu, rezygnacji z hegemonicznej pozycji. W tym kontekście Autor trafnie zauważył, że okres PKWN i Rządu Tymczasowego jest niewspółmierny do drugiej połowy 1945 r. Przypomniał, że przecież w pierwszych dwunastu miesiącach rządów komunistycznych w Polsce nie było legalnej opozycji, co jest podstawowym czynnikiem odróżniającym system partii dominującej od systemu hegemonicznego.

Komuniści nie tolerowali długo realnej opozycji. Po „zwycięskich” wyborach odsunęli partię Mikołajczyka od udziału w rządzie. Wyjazd przywódcy PSL z kraju oraz faktyczne rozbięcie opozycji parlamentarnej kończy okres dominacji PPR. Od listopada 1947 r. następuje powrót do systemu partii hegemonicznej, zwięźszonej budową systemu trójpartyjnego. Taki model przetrwał do końca istnienia PRL. „Socjalistyczny system wielopartyjny” nie dopuszczał możliwości walki o władzę pomiędzy poszczególnymi partiami, nie przewidywał też trwałego miejsca dla legalnej opozycji politycznej. Zasadnicze i podstawowe funkcje partii politycznej: realizacja własnego programu przez zwyciężycie i sprawowanie władzy odnoszono wyłącznie do jednej siły — PPR/PZPR. Status partii komunistycznej nie wynikał ze specjalnych prawnych regulacji (przynajmniej w początkowym okresie), ale z faktycznego zdominowania przez nią życia politycznego. Pozostałe stronnictwa istniały po to, by służyć strategicznym celom ruchu komunistycznego w Polsce. Z tego modelu wyłamywało się PSL (częściowo także Stronnictwo Pracy). Partia Mikołajczyka nie chciała być komunistyczną „przybudówką”. Miała własny, odmienny od komunistów program, cele i wizję ustroju Polski. Utrata podmiotowości politycznej i niezależności organizacyjnej przez PSL uniemożliwiła jego realizację.

Z dużym uznaniem należy odnieść się do trudu badawczego Stanisława Adamka, który zaowocował wartościową książką. Praca obejmuje okres od początków znaczącego rozwoju górnictwa węgla kamiennego na terenie Górnego Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego (początki XIX wieku) aż do połowy lat siedemdziesiątych XX stulecia. Badania sięgają do pierwszych inicjatyw społecznych i pedagogicznych, które wyraźniej pojawiły się w pierwszych latach XIX wieku, kończą się w 1975 roku, zamykającym kolejny etap rozwoju górnictwa w Polsce Ludowej. Przyjęty w badaniach okres obejmuje 175 lat, podczas których następowały ogromne przemiany społeczno-ekonomiczne i polityczne. Miało to znaczenie i określone konsekwencje dla kształtowania się oraz rozwoju sytuacji społecznej i oświatowej w górnictwie na Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim.

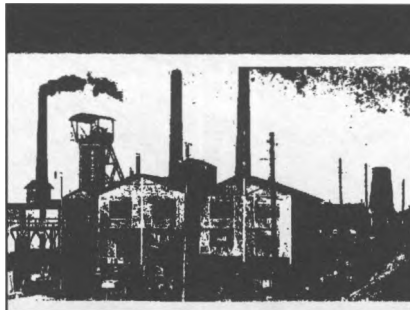
Celem pracy zdaniem autora było określenie roli jaką odegrały kopalnie węgla kamiennego oraz inne instytucje, organizacje górnicze w inicjowaniu działań społeczno-pedagogicznych na przestrzeni górnictwa, a ponadto praca ma stanowić wkład do badań nad dziejami oświaty zawodowej górniczej (s. 17).

Omawiana praca składa się ze „Wstępu” i czterech zasadniczych rozdziałów. Każdy rozdział zawiera uwagi wstępne, kilka podrozdziałów i uwagi końcowe.

Rozdział I: „Miejsce inicjatyw społeczno-pedagogicznych w procesie przygotowania zawodowego kadr górnictwa” (s. 24-58). Autor zaprezentował różnorodne formy przygotowania do pracy i zawodu górniczego, tj. przyuczenie do zawodu (podczas pracy w kopalni u boku osób doświadczonych — naśladownictwo pracy dorosłych); szkolenie zawodowe, doksztalcenie i kształcenie zawodowe.

Stanisław Staszic realizując plany rozwoju przemysłu, kładł nacisk na ściśle powiązanie teorii z praktyką. W końcu lat 30-tych XIX wieku praktyczne kształcenie na poziomie średnim i wyższym przyjmowało ramy organizacyjne. W latach Drugiej Rzeczypospolitej system praktyk wakacyjnych był rozpowszechnioną formą uzupełniającą kształcenie. Szkolenie wewnątrz zakładowe zajmowało znaczące miejsce w całym systemie przygotowania zawodowego do pracy w górnictwie po II wojnie światowej.

Rozdział II: „Humanitarna wymowa aktywności społecznej i pedagogicznej w dziedzinie bezpieczeństwa i higieny pracy w górnictwie (s. 59-90). W uwagach wstępnych wyjaśniono pojęcia „bhp”, bezpieczeństwa pracy i techniki bezpieczeństwa pracy. W I połowie XIX w. pracujący w kopalniach górniczy byli narażeni na niebezpieczeństwo (wybuch pyłu węglowego, obwały, wyrzuty gazów, tapania, wypływy wody). Te zagrożenia nie powodowały dużej liczby wypadków, np. w okresie 1822-1840 liczba śmiertelnych wypadków w całym śląskim górnictwie węglowym



Inicjatywy społeczno-pedagogiczne w górnictwie na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim

Stanisław Adamek: *Inicjatywy społeczno-pedagogiczne w górnictwie na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim (od początku XIX wieku do 1975 roku)*. Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego. Katowice 1997, s. 160.

Górnicza oświata

wynosiła 2,2 na 1000 robotników. Wzrost liczby wypadków spowodował zastosowanie nowych technologii wydobycia, mechanizacja i automatyzacja kopalni.

Ratownictwo górnicze zaczęto organizować w latach 70-tych XIX w. Pierwszą okręgową stacją powstała w Bytomiu (1908 r.), następnie w Sosnowcu (1912 r.) i w Mikołowie (1924 r.).

Kolejno Autor prezentuje formy propagandy bhp oraz systematyczne formy szkoleń (kursy, kursokonferencje, instruktaże, pogadanki, wydawnictwa, instrukcje, plakaty, artykuły w czasopiśmie fachowych jak np. „Przegląd Górniczy”, „Świat Górnika”, wydawnictwa seryjne, tzw. „Biblioteka Górnicza”, odczyty, wykorzystywanie radiowęzłów zakładowych, imprezy masowe, gazetki ścienne, znaki ostrzegawcze, filmy szkoleniowe). Z tego krótkiego przeglądu można się zorientować, że resort górnictwa podejmował w ciągu wielu lat różne działania popularyzatorskie w dziedzinie bhp.

Rozdział III: „Inicjatywy społeczno-pedagogiczne związane z pracą młodocianych i kobiet w górnictwie (s. 91-113).

Od początku rozwoju na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim zatrudniano młodocianych i kobiety. Praca zarobkowa młodocianych była formą przyuczenia do zawodu, a ta z kolei formą praktyki. Nie miało to nic wspólnego z realizacją pragnień czy planów życiowych. Było to spowodowane przede wszystkim koniecznością zarob-

kowania. Podobny pod wieloma względami los do młodocianych górników dzieliły kobiety zatrudnione w kopalniach. Były również problemy odrębne, stąd nie należy łączyć czy utożsamiać pracy kobiet z pracą młodocianych. Zjawisko pracy tych dwóch grup w górnictwie nie zniknęło i jest nadal aktualne.

Rozdział IV: „Rodzaje inicjatyw społeczno-pedagogicznych organizacji przemysłowych i instytucji pomocy społecznej w górnictwie” (s. 114-141).

Spółki górnicze egzystujące w okresie kapitalizmu, funkcjonowały w powiązaniu z systemem życia gospodarczego wytworzonego przez ten ustrój. Zaspokojenie wszystkich potrzeb górników i ich rodzin tego okresu było praktycznie niemożliwe. W okresie międzywojennym opieką zajmowały się organizacje, dla których taka działalność była głównym zadaniem. Prócz instytucji państwowych do akcji włączały się doraźnie organizacje dobroczynne. Spółka Bracka odgrywała ważną rolę w życiu górnika — pełniła znaczącą funkcję w dziedzinie ochrony zdrowia rodzin górniczych. Prócz aktywności różnych organizacji ukierunkowanej na zdrowie, zwracano uwagę na działalność kulturalno-oświatową, socjalną i opiekuńczą.

Praca Stanisława Adamka będąca próbą rekonstrukcji obrazu górnictwa na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim (od początku XIX wieku do 1975 roku) jest rezultatem wykorzystania stosunkowo bogatej bazy źródłowej. Zebrane materiały źródłowe poddano selekcji opartej na dwóch kryteriach — naukowości i adekwatności. Autor za naczelną zasadę konstrukcji monografii mieszczącej się w dziedzinie historii oświaty zawodowej górniczej przyjął układ problemowo-chronologiczny. Monografia Adamka dostarcza w miarę pełnej wiedzy na temat jeszcze tak niedawno zaniedbanego badawczo odcinka polskiej oświaty XIX wieku do 1975 roku. Wiedza ta jest tym bardziej cenna, że autor dokonuje prezentacji wspomnianego dorobku na szerszym tle porównawczym.

Praca ma charakter monografii pedagogiczno-historycznej i stanowi niewątpliwie pracę oryginalną i interesującą. Obszerne przypisy dodatkowo informują o tematyce górniczej odnoszącej się do przedmiotu badań i pozwalają zainteresowanym na dokładne zapoznanie się z źródłami przytaczanych tu danych. Język pracy jest przejrzysty i precyzyjny. Szata edytorska bez zarzutu. Z tych względów książka Stanisława Adamka zasługuje na popularyzację w szerszych kręgach czytelników — teoretyków jak i praktyków oświaty (nauczycieli, dyrektorów szkół, kopalni — pracowników nadzoru górniczego, działaczy oświatowych, historyków wychowania, studentów szkół i uczelni górniczych i pracowników nadzoru pedagogicznego).

PIOTR KOWOLIK

Autor zapowiadał we wstępie, że najwyższa pora sprostać potrzebie „nowego spojrzenia”, ale z obietnicy nie do końca się wywiązał. Okolicznościowy (stulecie urodzin) szkic Ryszarda Matuszewskiego o Władysławie Broniewskim pozostawia niedosyt. Myślę bardziej: niedosyt Broniewskiego-człowieka niż poety, bo tego zestaw obowiązkowych lektur zożydził mi właściwie skutecznie i niewiele pomogła spóźniona lektura jego niecenzuralnych wierszy, wydanych w Bibliotece Instytutu Literackiego w Paryżu. Jaki był naprawdę - ten żołnierz Legionów, który dla przedwojennego komunizmu polskiego przysłużył się bardziej niż tabun zaczadziających KPP-owców, który słał w piecę Magnitogorska i czekał na „sierp i młot niepodległy”, aż wylądował w więzieniu, drwiąc w wierszu: „Rewolucyjny poeta ma zgnieć w tym mamrze sowieckim?!”; żołnierz Andersa, wpisujący Czapskiemu do sztabucha antysowiecką fraszkę, a po powrocie do kraju czołowy poeta PRL-u, dekorowany sympatią i orderami przez nowych władców, który choć wiedział, że niczego już nie musi („każdy ustrój w całołpalny rzuca mnie stos”) - napisał jednak „Słowo o Stalinie”, depreczając przy tym wszystkie swoje wiersze perskie i jerozolimskie? Jaki był n a p r a w d ę... Ryszard Matuszewski, przyjaciel poety jeszcze sprzed wojny i urzędowy krytyk PRL-u, z obu powodów nie jest najwłaściwszą osobą, aby wszystkie te sprzeczności złożyć w obiektywny i całościowy portret. Tu trzeba zimmokrwistego badacza, który by udźwignął ciężar postaci i wznosił się ponad prawicowo-lewicowe cliches. Jeśli taka biografia kiedykolwiek powstanie, będzie to fascynująca biografia. Pełna oparów alkoholu, co do tego też nie ma dwóch zdań. Matuszewski sam przypomina, że skłonność do alkoholu przejawiał Broniewski jeszcze przed wojną, w latach zaś 50-tych upijał się niemal co noc, dręcząc przyjaciół nocnymi telefonami. Marek Hłasko tylko takim go zapamiętał: „Dziwny to był pijak, mógł być śmiertelnie pijany i zataczać się z kąta w kąta ale z chwilą, kiedy ja mu na przykład deklamowałem „Ulicę Miłą” i pomyliłem się choćby o jedno słowo - Władysław Broniewski natychmiast korygował mnie i to w sposób dość ostry” („Piękni, dwudziestoletni”). A teraz jeszcze, w świeżo wydany „Dzienniku” Krzysztofa Mętraka trafiam na nowe, skropione alkoholem anegdoty o Broniewskim, z taką między nimi - knajacką i pełną samousprawiedliwienia - definicją alkoholika: „Alkoholik to taki facet, który nie rzyga po alkoholu ani nie ma kaca nazajutrz”... Temat dla badacza: alkohol jako motor czy siła destrukcyjna pisarstwa?

Mit Śląska Kazimierza Kutza wydaje się tak sugestywny, że zaczyna żyć osobnym życiem. Mariusz Urbanek to dziennikarz obeznany z problematyką śląską (co, jeśli się nie mylę, udawadniał także na tych łamach). Ale w drukowanym w „Polityce” reportażu o śląskich

BLOC -NOTES

rodach, film „Grzeszny żywot Franciszka Buły” przypisał autor Kazimierzowi Kutzowi. Bo mit działa automatycznie: jeśli film o śląskich przedwojennych elwrach, to kto, jeśli nie Kutz? A to Janusz Kidawa. Nie odbierajmy mu zasługi nakręcenia filmu życia.

Szanowny Panie Dario Fo! Ucieszyła mnie wiadomość, że dostał Pan literacką Nagrodę Nobla. Wyróżnienie, jakie Pana dopadło znieńacka (ha!, do słownie, widziałem ten film we włoskiej tv, kiedyjechał Pan spokojnie samochodem i udzielał wywiadu, aż tu nagle wyprzedzający was kierowca na szybę samochodu przykleił wielki napis: Dario, dostałeś Nobla!), więc to wyróżnienie zdaje się świadczyć o tym, że szwedzcy akademicy docenili zapomniany już wymiar literatury, którego jest Pan pracowitym kontynuatorem. Literatura wyrasta przecież z przekazu ustnego, który Pan, w czasach telewizji i komputerów, podniósł do rangi sztuki, konsekwentnie w swoim wyborze przypominając, że funkcją tekstu jest rekonstrukcja opowieści, spektaklu. Pańska artystyczna droga jest tego żywym świadectwem: urodził się Pan nad Lago Maggiore, w regionie zaludnionym przybyszami z różnych stron Europy - wędrownymi rzemieślnikami, przemytnikami, niebieskimi ptakami - z których każdy opowiadał swoje własne historie. Pan chłonał je wszystkie od dziecka i kiedy podjął Pan studia na Accademia di Brera, snuł Pan zasłyszane opowieści, podszyte własnym „ja”, w pociągu zmierzającym do Mediolanu. To musiało być magiczne przeżycie, ten teatr codzienny Daria Fo, ten spektakl na kotach dla wracającej z pracy publiczności. Swój pomysł na teatr miał Pan już wtedy w głowie i kiedy spotkał Pan Franke Rame, aktorkę z rodu kontynuującego od 400 lat tradycję grand guignola i teatru marionetek, wystarczyło już tylko nadać mu formę - tę najprostszą, archaiczną, bliską commedii dell'arte. Ona przecież w najbardziej funkcjonalny sposób oddaje Pańską ideę teatru jako ironicznego otrząśnięcia się od rzeczywistości i pretekstu do dyskusji; Pań-

ski teatr żonglera, jak w dawnych czasach, jest gazetą dla ludu, w żartobliwej formie opowiadając o tym, co się dzieje w mieście, w regionie, na świecie. Do tego, co zrozumiałe, potrzebny był Panu nowy język przekraczający granice, rozumiały dla Włochów, Francuzów czy Niemców. Oto i cała istota Pańskiego gramelotto - języka niby-włoskiego, niby-prowansalskiego, niby-francuskiego, takiego, jakim -set lat temu posługiwali się wędrowni żonglerzy, rozbawiając publiczność gestem, rytmem, tempem, przestrzenią, oddechem. Choć nie pada w nim ani jedno oryginalne słowo - wszyscy ten język rozumieją (pamięta Pan, kiedy był ćwierć wieku temu po raz pierwszy we Francji, ze swoimi gramelotti o Molierze i Skapenie, publiczność piała w zachwycie: Jaki piękny i rozumiały jest ten starofrancuski!, choć to wcale nie był żaden francuski, to w ogóle nie był żaden z żywych czy martwych języków!). Ja też uwielbiam w Pańskim wykonaniu gramelotto o „Angielskim adwokacie” i ten o „Głodnym Zannim”, i wszystkie z cyklu „Misteri buffi”: o cudzie w Kanie Galilejskiej, o Dzieciatku Jezus, o Papieżu i Czarownicy (w Polsce nie do pokazania, niech Pan wierzy, a już na pewno ten o Janie Pawle II całującym dzieci...). Dostrzegam, za Pana podszepetem, Iżę w oku roześmianego żonglera, który tak naprawdę w komicznej formie opowiada o swojej rozpacz i cierpieniu, który mówi o głodzie miłości, sprawiedliwości, równości. Ale..., doprawdy, Panie Dariuszu... (jeśli mi wolno tak do Pana się zwrócić), z niesmakiem oglądam polityczną stronę Pańskiej twórczości, naznaczoną jednoznacznym ideologicznym piętnem. Mogę jeszcze zrozumieć, że na fali krytycznego roku '68 wyszedł Pan z teatrem na ulicę, żeby przestać - to Pańska formuła - „masować burżujów w burżuazyjnym teatrze”. Ale po diabła się Pan pchał pod ramię skrajnej lewicy, która strajkami, anarchią i bombami chciała zaprowadzić we Włoszech marksistowski porządek rzeczy?! Komunistyczne pieśni włączył Pan do swoich sztuk, w 1975 trzymał Pan zaciśniętą w górze pięść przed więzieniem w Fossano, gdzie zamknięto terrorystów, mówił Pan, że rząd to faszyci i że trzeba ich zmieść, aby ustanowić rządy robotnicze... Swoją teatr, prościuteńki a przez to prawdziwie ludzki, zamienił Pan, Panie Dariuszu, na teatr walczący, wyczelowaną przez lata formę oddał Pan w pacht ideologii. A oni, politycy, wysłali z Pana cały szpik i poszli swoimi drogami - do nowych partii, do europejskich parlamentów... Niech Pan się nie dziwi, że reakcje na Pańskiego Nobla nie były jednoznaczne, także i w tej stronie Europy. Bo my tu jesteśmy, proszę wybaczyć, cokolwiek mądrzejsi, przez nasze doświadczenie. Proszę do nas przyjechać, żeby się o tym przekonać. A potem zagrać nam jakieś gorzko-słodkie gramelotto.

P.S. Czy ktoś już Panu mówił, że jest Pan podobny do Felliniego?

MAREK BASTER



Listy spod kapelusza

Droga moja, witaj w Nowym Roku!

Po pierwsze życzę Ci, abyś miała sumienie i częściej się odzywała. Po drugie — żebyś była jeszcze młodszą (patrzę na Twoje ostatnie zdjęcie i muszę przyznać, że, niestety, bardzo pięknie wyglądasz), weselsza i bardziej dynamiczna, choć to ostatnie trudno mi sobie wyobrazić. Po trzecie — abyś nigdy nie zgłupiała dla takich cudów techniki, które mnie wprawiają w osłupienie, a w konsekwencji w absolutną irytację. Ale po kolei.

Rozumiem, że tempora mutantur, więc my się musimy „mutać” razem z nimi. Sama też zrobiłam ogromne postępy. Technika mnie jednak tyleż samo fascynuje, co przeraża, więc wybieram złoty środek, który pozwala zachować względną harmonię pomiędzy tym, co rzeczywiście ułatwia mi życie, a co wyjątkowo je utrudnia, odbierając poczucie komfortu, jakiego mogłabym oczekiwać na przykład w teatrze.

Wyobraź sobie sytuację: oglądam „Fausta” Jerzego Jarockiego w Starym Teatrze; Małgorzata oczekuje ukochanego, wylizując wszystkie swoje wątpliwości w sposób tak nieprawdopodobny interpretacyjnie, że dech mi zapiera... Innym chyba też, bo nikt się nie wierci i cisza na sali jak przysłowiowym makiem zasiał. A tu nagle czar pryska, bo rozpoczęła się godzina dziewiąta, o czym w kilkusekundowych odstępach nie omieszkają mnie powiadać elektroniczne zegarki rzekomych miłośników teatru. Mało tego — ktoś zabrał ze sobą telefon komórkowy, który mu oczywiście najbezpieczniej dzwoni, więc facet przeciska się pomiędzy rzędami (telefon dzwoni), zwracając na siebie powszechną uwagę i chępiąc się tym, jaki jest ważny. Też mi coś! Jest dyspozycyjny, jest na każde zawołanie, jest niewolnikiem na usługach kogoś tam, kto mu nie pozwala nawet spektaklu do końca zobaczyć. Zapomniał wyłączyć, czy nie mógł tego zrobić? Sądząc po jego zadowolonej minie, zapewne nie miał poczucia wstydu, bo nie znał zasad dobrego wychowania.

Pamiętasz szła na radia tranzystorowe? Chłopak jedną ręką obejmował dziewczynę, a w drugiej targał ryczący tranzystor. Ubrzyony w takie atrybuty manifestował swoją specyficzną pojmowaną władzę, spacerując parkową aleją. Wymyśliłyśmy nazwę na nich: transistoris vulgaris. Myślę, że podobny mechanizm działa teraz u nas, u większości posiadaczy komórek, którzy nie czują potrzeby schowania się w ustronne i niewidoczne miejsce, by rozmawiać, ale manifestują swój status, nie wiedząc zapewne, że jest on podrzędny.

Jak to cudownie nie mieć zegarka na ręce i telefonu w torebce. Nie śpieszyć się i nigdzie nie spóźniać. Móc dwa razy w tym samym dniu oglądać Abakanowicz w katowickim BWA. Robią wrażenie te jej „postaci siedzące”, „plecy”, „tłum”. Oglądałam je w ogromnej, pustej przestrzeni, przed otwarciem wernisazu. Byłam tylko ja i te przerażająco zmumifikowane twory, ustawione w szeregu. Stałam obok, w podobnym rozroku, na tej samej linii i poczułam się jak stare obumarłe drzewo, jak te drzewa o szarych pniach, jedno obok drugiego, które straszły nas (pamiętasz?), gdy wdrapywałyśmy się na szczyt jakiejś góry w Beskidach. Usiadłam też obok „pleców”, zginając je podobnie, co przyszło mi z łatwością, bo to pozycja, którą ćwiczę ileś tam godzin dziennie przy własnym biurku. Poczulałam, że dzwiganie nie tylko swoje niedole, więc wyszłam z BWA szybko, a ponieważ nie chciałam jeszcze zrezygnować w tym dniu z obcowania z plastyką, więc przesłam na drugą stronę Alei Korfańtego, by w Muzeum Śląskim zobaczyć Sulamitkę Maurycego Gottlieba i plony siódmego już pleneru „Impresji Mikołowskich”. Ale jakaś siła fatalna zagnała mnie z powrotem do Abakanowicz, do jej obandażowanych kikutów drzew z cyklu „War Games”. Znowu byłam sama, jak dobrze, że sama, pomyślałam, bo i tym razem nie chciałam widzieć siebie wśród wernisażowego tłumy, bez tej ciszy i tego skupienia. Nie chciałam widzieć nikogo z telefonem w ręku, ani nikogo karmiącego swojego wirtualnego zwierzęcia, popiskującego jak pager, zamkniętego w plastikowym breloczku. Moje dziewczynki mają, na szczęście, prawdziwe zoo w domu i nie potrzebują tego ersatzu ludzkich potrzeb i życia, tej protezy uczuć, o których wiemy, że być powinny, choć już nie czujemy, że są. Już ja tam wolę sprzątać wycieraczkę mojego sąsiada po naszej złośliwej kocicy, czego i Tobie życzę w przepływie noworocznych czułości.

Twoja MARTA FOX

*w styczniu 1998 roku,
przy sekretarzystce z tajnymi skrytkami,
odziedziczonym po babuni.*

W wydarzeniem minionego roku w środowisku śląskich kolekcjonerów była druga katowicka aukcja malarstwa, rzemiosła artystycznego, rzeźb, medali, odznaczeń i numizmatów, przygotowana przez krakowski Dom Aukcyjny „Desa” i katowicki salon „Desy” przy ul. Stanisława 9. Pomimo jesienniej słoty goście przybyli licznie 13 grudnia do pawilonu Biura Wystaw Artystycznych przy ul. Wojciecha Korfańtego 6. Mogli wybierać wśród 111 obrazów, reprezentujących na ogół wyrównany, dobry poziom artystyczny.

Najdrożej sprzedanym obrazem było pastelowe „Studium dziecka” Stanisława Wyspiańskiego. Po żywej licytacji, rozpoczętej od 34.000 zł, osiągnęło 49.000 zł. Inny „drobiazg” kolekcjonerski, czyli akwarela Artura Grottera „Dziewczynka z kwiatkami”, została sprzedana za 14.500 zł.

Nie przegapiono „Pejzażu górskiego” (6.500 zł) z okolic Bystrej Juliana Fałata, a „Pejzaż” Stanisława Kamockiego wylicytowano do wysokości 10.100 zł. Muzealnej klasy akwarela Teodora Axentowicza „Święto Jordanu” została sprzedana za 26.000 zł. Dobrą cenę osiągnął niewielkich wymiarów olejny „Targ” Erno Erba, zdolnego lwowskiego malarza. Dwa pastelowe „Portrety dziewczyny” Stanisława Górskiego, w typie „główek” mistrza, Teodora Axentowicza, uzyskały dobre przecenia do wysokości 3.200 zł i 4.500 zł.

Tych kilka przykładów świadczy, że śląscy kolekcjonerzy preferują przede wszystkim obrazy dekoracyjne, które zdobią wnętrza. Poszukują tematów pogodnych, a szczególnie upodobanie przejawiają do scen rodzajowych i pejzaży.

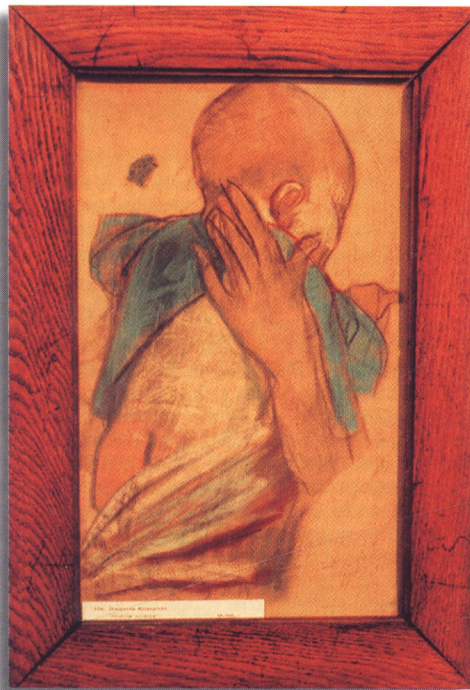
Śląska aukcja sztuki

D otychczas sądzono, że malarstwo batalistyczne może zawsze liczyć na pewnego odbiorcę. Było więc wielkim zaskoczeniem, że spośród 11 obrazów Juliusza, Wojciecha i Jerzego Kossaków sprzedano tylko 3. W tym akwarelę Juliusza „Wyjazd na polowanie” za 22.000 zł, i dwa oleje na tekturze Jerzego — „Polowanie” za 15.500 zł oraz „Pościg — epizod z wojny bolszewickiej”, przedstawiony w zimowym pejzażu, za 9.300 zł. Spadło dobrej klasy, chociaż nie sygnowane, ale z dołączoną ekspertyzą Kazimierza Olszańskiego, olejne płótno Wojciecha „Ułani w wąwozie Somosierry”. Nie wywołał też zainteresowania „Huzar na koniu” Zygmunta Rozwadowskiego, wstawionego udziałem w malowaniu polskich panoram. Miłośnicy tematyki końskiej oraz batalistyki dali jednak o sobie znać licytując zawzięcie dobrze malowane „Konie” Jerzego Potrzebowskiego oraz Constantina Stoiloffa „Szarżę kozacką”, która osiągnęła 15.000 zł.

Sprzedano w sumie około jednej trzeciej wystawionych obiektów. Ten wynik mieści się w średniej krajowej, a nawet europejskiej, gdzie jednak aukcje sztuki organizowane są systematycznie i z nieporównanie większą częstotliwością. U nas nie ma tradycji organizowania sprzedaży dzieł sztuki na aukcjach. Przed wojną odbywały się tylko dość liczne wystawy malarstwa, połączone ze sprzedażą. W 1989 roku nową formę handlu sztuką zapoczątkowały warszawskie domy aukcyjne. Z dużym powodzeniem.

Dlatego dobrze się stało, że „Desa Krajowa”, skupiająca wszystkie placówki poza Warszawą, powołała do życia własny Dom Aukcyjny z siedzibą w Krakowie. Dzięki tej inicjatywie mogło odbyć się już 6 aukcji sztuki, w tym dwie w Katowicach. Region śląski, zasobny w dzieła sztuki, również w tej dziedzinie zasługuje na zajęcie znaczącej pozycji na krajowym rynku sztuki.

WITOLD BIENKOWSKI



Stanisław Wyspiański „Studium dziecka”



Jan Szancenbach „Skrzypce i mandolina”



Ignacy
Pieńkowski
„Hucutka”



Vlastimil
Hofman „Dzieci
z biedronką”



Wojciech
Kossak „Ułani
w Wąwozie
Somo Sierra”



Franciszek
ks. Laspi
„Portret pani
Sosenkowskiej”

Zalążkami życia filmowego na Śląsku po powstaniach i plebiscycie były, oczywiście, teatry świetlne. W roku 1923 w województwie działało 49 kinoteatrów o łącznej liczbie 15 450 miejsc, a pod koniec dekady istniały już tamże 73 kinoteatry z liczbą 24 491 miejsc. W 1927 roku największe kin znajdowało się w najbardziej uprzemysłowionych rejonach Śląska: w powiecie katowickim (12) i świętochłowickim (10). Największe kinoteatry znajdowały się w stolicy Śląska oraz w sąsiedniej Królewskiej Hucie (dzisiejszym Chorzowie), gdzie liczba miejsc w jednym kinie pod koniec roku 1929 przekroczyła 500." - pisze Małgorzata Kardacz w książce pt. „Nie tylko filmy, nie same kina...Z dziejów X Muzy na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim”. Dowiadujemy się również, że najwcześniej powstały kinoteatry w Katowicach: już w latach 1909-1910 powstał „Welttheater” przy ulicy Friedrichstrasse - obecnie Warszawska, następnie „Kamer” (ul. Św. Jana 24) - późniejsze „Rialto”, „Palast” - „Patacowe” (ul. Mielęckiego 10), „Collosseum” (ul. 3 Maja 2), „Apollo” (ul. Poprzeczna 17/19 - dzisiejsza Staromiejska), „Union” (ul. 3 Maja 25 - w tym miejscu pojawiło się późniejsze kino „Światowid”). W roku 1928 otwarto kinoteatr „Capitol” przy ul. Plebiscytowej 3 - umieszczone na pierwszym piętrze, cieszyło się dużą popularnością. W latach trzydziestych pojawiły się kolejne kinoteatry: „Stylowy” przy ul. Stawowej 19 (później przemianowane na „Śląsk” i wyburzone przy okazji budowy nowego dworca), „Zorza” w Domu Powstańca przy ul. Matejki. Również dzielnice Katowic wzbogaciły się o nowe kina.

Z tej okazałej liczby kinoteatrów pozostało jedynie „Rialto” - o niezmiennym kształcie i wyglądzie (zachowała się także jego nazwa, chociaż od lipca 1938 r. do wybuchu wojny nosiło nazwę „Stońce”) oraz kino „Światowid”, które nie przypomina swego poprzednika. „Rialto” aż do chwili wybudowania kina „Kosmos” (koniec lat sześćdziesiątych) pozostało największym kinem Katowic. I chociaż w ostatnich latach do gmachu kina wprowadziła się wypożyczalnia kaset video tym samym wyłączając frontowe wyjście z użytkowania, to jednak - prócz wymiany aparatury - trwa niezmiennie w swej zasadniczej bryle i wystrój.

ZNAKI I TWARZE MIASTA



Właśnie w „Rialcie” miała miejsce w grudniu 1929 roku pierwsza w Katowicach (i na Górnym Śląsku) projekcja filmu dźwiękowego pt. „Śpiewający błazen”. (o najstarszych salach kinowych pisał na łamach „Śląska”, - nr 9/96 - Jan F. Lewandowski w swoim stałym felietonie „Wędrówki po kinie”).

Jak podaje Zbigniew Wyszynski we wspomnianej już książce, premiery filmowe odbywały się w Katowicach przeciętnie co trzy-cztery dni i jedynie bardziej atrakcyjne pozycje utrzymywały się na ekranie dłużej. Nie było kłopotów ze zdobyciem biletu, a do wyjątków należało oczekiwanie w holu kina. „Sytuację taką - pisze Wyszynski - odnotowano na przykład w kinie „Rialto” na premierze filmu „Znachor” Michała Waszyńskiego (1937) z Kazimierzem Junoszą-Stępowskim i w kinie „Capitol”, na amerykańskim filmie „Maria Antonina” Williama S. Van Dyke'a (1938) z Normą Shearer w roli tytułowej.” Istniał również podział na kina premierowe i powtórkowe. „Rialto” należało do pierwszej grupy.

W 1959 roku „Rialto” zostało poddane remontowi, co spowodowało podniesienie jego standardu - wprowadzono najnowsze systemy projekcji jak i przygotowano stereofoniczny system nagłośnienia. Zmieniono również wygląd widowni wprowadzając strop w formie płaszczyzny nachylonej w stronę ekranu, ściany wyłożono dermą i zainstalowano symetrycznie rozłożone światła. Modernizacji poddano również elewację budynku, którą otoczono granitem i czarnym szkłem, a nad całością bryły kina dominował barwny neon. Kolorowa mozaika porcelitowa pojawiła się w latach siedemdziesiątych.

Zarówno w „Rialcie” jak i w „Kosmosie” przez wiele lat odbywały się wszystkie prestiżowe imprezy filmowe poczynając od Dni Filmu Radzieckiego na „Konfrontacjach Filmowych” kończąc. Jednak kiedy przed kinami tworzyły się kolejki a bilety niejednokrotnie trzeba było zdobywać u tzw. koników na przelomie lat 80-tych i 90-tych należały już do przeszłości. Kina opustoszały, a kolejki tworzyły się w wypożyczalniach kaset wideo. Na szczęście od niedawna znów obserwować można powrót widzów do sal kinowych a bilety znów zdarza się kupować u...konika. (wk)



Foto: Józef Wróbel

Muzyka i radio to prawie synonimy. Mówi się przecież nawet, że „radio gra”. Jednak sprawa z ostatnich miesięcy — ograniczenie czasu nadawania programów przez ogólnopolską Dwójkę — radio mające kilkumilionową, ale liczącą się przecież publiczność — budzi straszną obawę: a jeśli ofiarą podobnej metody ratowania „kasy” publicznego radia padnie i nasza regionalna rozgłośnia?

Wiedziona tą obawą idę na ulicę Ligonia, gdzie, jak zwykle, panuje ruch wielki. Już pierwsze minuty rozmowy z Henrykiem Cierpiotem, redaktorem kierującym emisją programów muzycznych w Radiu Katowice przynoszą ulgę: naszemu radiu na razie nic nie grozi. Ma szansę nie tylko się ostać mimo szalonej konkurencji nowo powstających radiostacji komercyjnych (mamy ich obecnie w Polsce aż 160; w Niemczech jest ich tylko 180), ale pozostać tym, czym było od początku istnienia: instytucją unikatową w skali krajowej, nie tylko ze względu na intensywność i rozmach tematyczny produkcji (w tym zakresie dorównuje Katowicom tylko ośrodek poznański, gdzie działem muzycznym kieruje Alina Kurczewska), ale też z punktu widzenia społecznej użyteczności i atrakcyjności.

Radio Katowice jest radiem popularnym, a jednocześnie ambitnym. Posiada kilkumilionową publiczność, niewiele tylko mniejszą od publiczności ogólnopolskiej Dwójki (warto przypomnieć, że jest to liczba duża; elitarne londyńskie radio BBC jest odbierane przez podobną grupę słuchaczy), a chociaż zdecydowana większość odbiorców naszego radia to fani muzyki rozrywkowej (z przeprowadzonych dwa razy do roku sondaży wynika, że jest ich od 75 do 85%), owa reszta przekracza znacznie krajową średnią rozgłośni regionalnych. Oferta muzyki wysokiej trafia przede wszystkim do przedstawicieli środowiska muzycznego. Jest ono na Śląsku szczególnie liczne i aktywne. Dziesięć zawodowych szkół muzycznych, dwie uczelnie (wliczając Wydział Pedagogiki Muzycznej Filii Uniwersytetu Śl. w Cieszynie, gdzie pracuje spora grupa znanych wykonawców, teoretyków muzyki i kompozytorów), teatr operowy i operetka, kilka orkiestr — ten zestaw daje wyobrażenie o liczbie osób bezpośrednio zainteresowanych działalnością muzycznego działu radia. Kontakt redakcji muzycznej ze środowiskiem jest ścisły i wielostronny. Muzycy śląscy są bywalcami gmachu przy ulicy Ligonia. Radio prowadzi systematyczną akcję nagrań, zarówno wykonawców, jak i kompozytorów. Do nagrań zapraszani są muzycy legitymujący się sukcesami, w tym i młodzi. Zgodnie z ogólnym trendem polskiej polityki kulturalnej, kładzie się wielki nacisk na funkcję promocyjną radia. Do nagrań, prezentowa-

Muzyczne „Katowice”

nych później w radiowych audycjach, zapraszane są osoby „wyłowione” spośród laureatów muzycznych konkursów oraz osób renomowanych przez instytucje środowiskowe.

Szczególnie skuteczną i atrakcyjną formą działalności promocyjnej jest wydawanie płyt kompaktowych. Kilka lat temu założono w Radiu Katowice Agencję Wydawniczą. Od początku istnienia kieruje nią Grzegorz Żmuda. Agencja jest placówką samodzielną i samofinansującą się. Całość funduszy pozyskuje od sponsorów. Dotychczas wydano w Agencji ponad 20 płyt. Są to m.in. nagrania Kwartetu Śląskiego, pianistów — np. Józefa Stompla, Wojciecha Światały, antologia organów na Górnym Śląsku (inicjatywa Juliana Gembałskiego), zapisy festiwalu „Śląska Jesień Gitarowa” czy rejestracja „Nabucca” w wykonaniu zespołu Opery Śląskiej (płyta ta ma szansę stać się wkrótce „złotą” — liczba sprzedanych egzemplarzy dobiega już wymaganych 10 tysięcy). Obecnie Agencja przygotowuje kilka dalszych propozycji, m.in. jubileuszową kronikę festiwalu Kwartetu Śląskiego w Rybniej, kolejne nagrania Filharmonii Śląskiej i in. Możliwość Agencji są wielkie, liczbę wydawanych tytułów regulują jednak twarde prawa rynku. Decyduje tu reakcja kupujących: średni przelicznik sprzedaży wynosi ok. 1000 płyt na rok.

Radio Katowice jest także jedną z nielicznych instytucji społecznego przekazu, która poważnie, bez zamysłu komercyjnego, traktuje folklor. Stanisław Jarecki, znawca folkloru śląskiego od lat związany z radiem nieustannie zabiega o rejestrację wszelkich śladów żywotności autentycznej, nie skażonej gustem „rozrywkowym” muzyki ludowej. Jest ona emitowana w specjalnych audycjach (w pamięć słuchaczy wpisały się prowadzone przez Stanisława Jareckiego przez wiele lat cykle „Na południe od Czantorii” i „U rodaków zza Olzy”), a także wydawana na kasetach. Radio wydało szczególnie wiele kaset z nagraniami orkiestr dętych, tak ściśle związanych z pejzażem kulturowym naszego regionu.

Bogactwo dorobku katowickiej rozgłośni gromadzi istniejące od czterdziestu lat archiwum. Wśród 40 tysięcy pozycji, jakie się w owym archiwum znajdują (podzielone na dwa działy: kameralno-solistyczny, z dziełami i wykonaniami oraz „wydarzeniowym” — zawie-

rającym rejestracje z terenu) jest między innymi 10 tysięcy dzieł śląskich kompozytorów oraz unikatowe rejestracje, np. pierwszego przedstawienia w Operze Bytomskiej, koncertu Artura Rubinsteina w Zabrze i wiele innych. Niewątpliwie archiwum Radia Katowice jest najbogatszym archiwum dźwiękowym na Śląsku. Przez wiele lat było zbiorem zamkniętym. Wszystkie pozycje skatalogowane przed 1993 rokiem znajdują się w gestii Archiwum Państwowego. Dopiero na mocy nowej Ustawy o Radiu i Telewizji katowicka rozgłośnia zyskała prawo dysponowania swoim archiwalnym zasobem. Pierwsze efekty tej zmiany już widać. Prowadzi się intensywne prace nad rekonstrukcją i zabezpieczeniem starych zbiorów. Przegrywa się je sukcesywnie na płyty kompaktowe.

Trzonem działalności radia jest wszakże tworzenie i oprawa codziennego programu. Najwięcej muzyki trafia do oferty przeznaczonej dla tzw. przeciętnego słuchacza. Rozgłośnia katowicka z założenia eliminuje muzykę nurtów subkulturowych typu „metal” czy „disco-polo”, co samo w sobie świadczy o dużych ambicjach redakcji i jej poczuciu odpowiedzialności. W godzinach wieczornych rozgłośnia emituje kilka cyklicznych audycji muzycznych przeznaczonych dla znawców i melomanów. Wszystkie cieszą się popularnością, której miarą jest nie tylko statystycznie obliczona „słuchalność”, ale przede wszystkim udowodniony związek treści w nich podawanych z toczącymi się w środowisku muzycznym dyskusjami. Nawet, jeżeli — jak twierdzi Henryk Cierpiot — na efekt radiowej inspiracji przychodzi czekać nieraz kilka lat, w perspektywie ogólnokulturowej inspiracja ta pozostaje czynnikiem bardzo istotnym. Wymieńmy na koniec audycje, których z upodobaniem słuchają śląscy melomani. W poniedziałki emitowana jest audycja Adama Rozlacha pt. „Kronika wydarzeń muzycznych”, poświęcona omówieniom nowych płyt polskich i zagranicznych. We wtorki audycja Henryka Cierpiota „Res Musica” o aktualnych wydarzeniach w życiu muzycznym, w czwartki — cykl Ryszarda Gabryśia „W stronę nowej muzyki”, w których można usłyszeć najważniejsze nowe utwory śląskich kompozytorów. Ponadto Adam Rozlach prowadzi niedzielne audycje „Muzyczne pejzaże” i „Z kompaktowego Parnasu”, Stanisław Wiera — „Kronikę dźwiękową WO-SPR-u”, Bogumił Pasternak reportaże pt. „Muzyczne spotkania” poświęcone problematyce życia muzycznego w regionie. Poza tym, bieżące informacje o naszym życiu muzycznym wplatanie są w codzienną ramówkę.

MAGDALENA DZIADEK

Festiwal sztuki reżyserskiej

Pomysł powstał dwa lata temu. Postawiono, że w Katowicach odbędzie się Ogólnopolski Festiwal Sztuki Reżyserskiej. Inicjatorem przedsięwzięcia był Henryk Dziewior - prezydent Katowic. Ogłoszono więc konkurs na koncepcję programową. Wygrał go red. Jacek Sieradzki - znany krytyk i publicysta teatralny. Jego idea festiwalu jest przejrzysta: wśród wielu istniejących w kraju festiwali teatralnych nie ma żadnego, który promowałby przede wszystkim rzemiosło reżyserskie. A brak dobrych reżyserów jest - obok braku dobrych współczesnych tekstów dramatycznych - podstawową bolączką teatrów repertuarowych. Celem katowickiego festiwalu będzie zatem promocja zdolnych reżyserów młodego i średniego pokolenia.

Dyrektorem artystycznym „Interpretacji” został Kazimierz Kutź, który wytypował do konkursu - pięć spektakli. Są to: „Testament psa, czyli historia o Miłosiernej” A. Suassuny w reż. Piotra Cielplaka z Teatru Rozmaitości w Warszawie, „Zimowa opowieść” W. Szekspira w reż. Krzysztofa Warlikowskiego z Teatru Nowego w Poznaniu, „Nasze miasto” T. Wildera w reż. Wojciecha Adamczyka z Teatru Powszechnego w Łodzi, „Moja wątroba jest bez sensu, czyli zagłada ludu” W. Schwaba w reż. Anny Augustynowicz z Teatru Współczesnego w Szczecinie i „Ożenek” N. Gogola w reż. Andrzeja Domalika z Teatru Powszechnego w Warszawie.

Zaproponowano również spektakle Teatru Telewizji, wśród których znalazły się m.in.: „Don Juan” Moliera w reż. Leszka Wosiewiczza, „Nasze miasto” T. Wildera w reż. Marii Zmarz-Koczanowicz i „Mistrz” K. Rutkowskiego w reż. Agnieszki Lipiec-Wróblewskiej. Klamrę festiwalu stanowią będą dwa znakomite dzieła w reżyserii mistrzów: na otwarcie „Platonów - Akt pominięty” A. Czechowa w reż. Jerzego Jarockiego - Teatr Polski we Wrocławiu, zaś na zakończenie „Immanuel Kant” T. Bernharda w reż. Krystiana Lupa - Teatr Polski we Wrocławiu.

Spektakle oceniać będzie jury w składzie: Erwin Axer, Jerzy Jarocki, Krystian Lupa, Jacek Sieradzki i Jerzy Trella. Zwycięzca konkursu otrzyma „Laur Konrada” (według projektu Zygmunta Brachmańskiego), upamiętniający katowickie korzenie niekwestionowanego mistrza sztuki reżyserskiej - Konrada Swinarskiego.

Pierwsza edycja festiwalu już wkrótce, czyli w dniach od 7 do 13 marca 1998 r.

I wszystko byłoby piękne i wspaniałe, gdyby nie fakt, że dla tak prestiżowej imprezy - bo taką ma być z założenia - w Katowicach zabrakło teatru. Remont Teatru Śląskiego stanął w pół drogi a innej sceny ani na lekarstwo. Tak więc Katowice, które festiwal wymyśliły i są jego organizatorami (głównie Estrada Śląska) podzielić się laurami z chorowską sceną Teatru Rozrywki, gdzie gościć będą wszystkie spektakle. Wydaje się, że sytuacja z Teatrem Śląskim jest na tyle poważna, że nie wiadomo, czy uda się go wyremontować do drugiej edycji festiwalu. A może już nie będzie trzeba, bo katowicki festiwal będzie się świetnie czuł w Chorzowie?

WIEŚŁAWA KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

Święta Łucja zawitała

Katowicki Oddział Towarzystwa Polsko-Szwedzkiego był już po raz kolejny organizatorem dorocznej imprezy związanej z obchodami dnia Świętej Łucji, które przypada 13 grudnia. Ponieważ jak zwyczaj każe zawsze powinien to być czwartek, dlatego katowickie spotkanie ze Świętą Łucją odbyło się 11 grudnia w Klubie MPiK. Uczestniczyli w nim zaproszeni goście, wśród których obecny był Marek Tomaszewski - wiceprezydent Katowic oraz przedstawiciele szwedzkiej firmy Sandvik współpracującej z Hutą „Baildon”. Nie zabrakło znakomitych, przyrządzonych według szwedzkiej receptury pierniczek. Oczywiście ozdobą spotkania był orszak na czele którego kroczyła Święta Łucja z wieńcem świec na głowie. Bo Łucja - czyli niosąca światło rozświetla mroki nie tylko dalekiej Północy. Niesie radość i dobroć - tak potrzebną każdemu.

W Szwecji ze Świętą Łucją związane są liczne uroczyste pochody, wybory najpiękniejszej Łucji, a Łucja odwiedza chorych, obchodzi domy niosąc światło nadziei

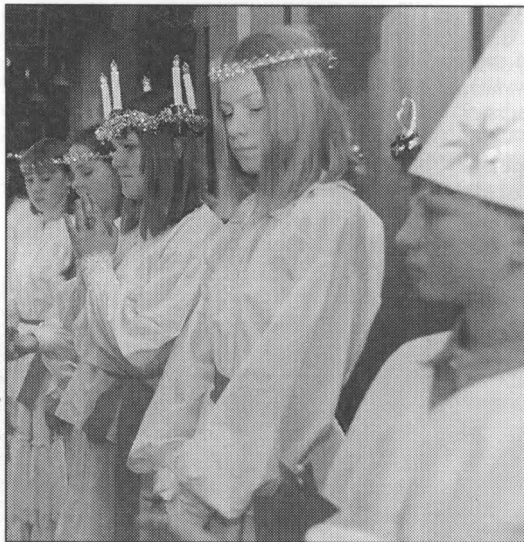


Foto: Arkadiusz Gola

Jednym zdaniem

■ Światowej sławy tenor Wiesław Ochman i jego goście: Beatriz Blanco, Aleksandra Stokłosa i Marysia Machowska wraz z zespołem Filharmonii Zabrzeńskiej pod dyktando Sławomira Chrzastowskiego uświetnili koncert sylwestrowy w Operze Śląskiej.

■ „Melodie Wiednia - od Johanna Straussa do Roberta Stolz” to tytuł koncertu, który odbył się w ostatnich dniach grudnia w Operze Śląskiej (gościem specjalnym był Leszek Mazan), podczas którego śpiewacy oraz soliści baletu i zespół orkiestry Teatru Muzycznego w Gliwicach wykonali najpopularniejsze utwory m.in. Johanna Straussa, Hermana Leopoldiego, Emericha Kalmana, Cole Portera i Roberta Stolz.

■ W nawiązaniu do tradycji górnośląskich, w myśl porzekadła: „Bez Boga, ani do proga”, w Bazylice w Panewnikach 3 stycznia kołędowali członkowie Związku Górnośląskiego oraz wystąpił z koncertem organowym Julian Gembalski.

■ Wieczór Trzech Króli w sosnowieckiej Galerii Extravagance uświetniło spotkanie z poetą, eseistą, reportażystą i autorem wielu rozpraw naukowych - ks. dr hab. Jerzym Szymkiem.

■ Koncert najpiękniejszych kołęd zorganizowało Muzeum Historii Katowic w dniu 6 stycznia czyli w święto Trzech Króli.

- o tym wszystkim opowiadali goście ze Szwecji a także członkowie Towarzystwa Polsko - Szwedzkiego. Spotkanie zakończyło wspólne śpiewanie kołęd polskich i szwedzkich.

Impresje Mikołowskie po raz siódmy

W Muzeum Śląskim prezentowana jest wystawa - pokłosie ubiegłorocznego, siódmego już pleneru malarskiego Impresje Mikołowskie. W tym roku - swoje prace pokazali Kiejstut Bereźnicki, Renata Bonczar, Jerzy Duda-Gracz, Franciszek Maśluszczyk, Erich Lutkenhaus z Niemiec, Stanisław Mazuś, Janusz Karbowiczek, Henryk Waniek, Beata Wąsowska, Janusz Trzebiatowski, Zbysław Marek Maciejewski, Piet Snellaars, Ludwik Poniewiera, Halina Tymusz, Ryszard Patzer i Leszek Żegalski.

Niestrudzonym animatorem i kuratorem pleneru, także jego pomysłodawcą jest Renata Bonczar. Plenerowe prace nie są wariacjami „na dany temat” ale swobodnymi wypowiedziami artystycznymi twórców. Mikołowska impreza na dobre wrosła nie tylko w pejzaż miasta, ale również w sale wystawowe Muzeum Śląskiego. Wystawa powędruje również do Gliwic i holenderskiego Beuningen. Z pewnością zasłużyła sobie - jak wszystkie dotąd - na szeroką prezentację, także poza granicami kraju. Skupia bowiem nazwiska i dzieła najwybitniejszych polskich twórców.

Laureaci VII Wieczorów Kołędowych

W tym roku w Teatrze Małym po raz siódmy odbywały się

■ Muzeum Miejskie w Świętochłowicach było organizatorem spotkania promocyjnego książki Danuty Lubiny-Cipińskiej pt. „Nie tylko jazz” z udziałem bohatera książki - Jerzego Miliana - znanego kompozytora, wibrafonisty i aranżera, długoletniego szefa słynnego katowickiego big-bandu.

■ Kolejną imprezą zorganizowaną w styczniu tego roku przez Muzeum w Świętochłowicach był koncert noworoczny pn. „Historia tanga”, podczas którego wystąpili artyści Instytucji Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia”.

■ Opolska Orkiestra Symfoniczna pod dyktando Czesława Płaczka wystąpiła podczas koncertu noworocznego zorganizowanego w styczniu przez Centrum Kultury w Siemianowicach Śląskich.

■ Na recital Michała Gajera już po raz kolejny zapraszał Teatr Rozrywki w Chorzowie.

■ „Kolyndowanie po góralsku” w wykonaniu Grupy Śpiewaczo-Kołodniczej „Tko-cze” z Wisły oraz otwarcie Galerii Sponsoringu Muzeum '97 towarzyszyło spotkaniu noworocznemu przyjaźni i sympatyków Muzeum w Sosnowcu.

■ Promocja książki Alojzego Łyski pt. „Werser- almanach literacki” odbyła się w Bieżeńskim Ośrodku Kultury.

Wieczory Kolędowe czyli zmagania zespołów śpiewaczych z terenu Śląska. Wystąpiło 19 zespołów czyli 660 wykonawców. Jury pod przewodnictwem ks. dra Antoniego Reginka nagrodziło następujących wykonawców: I nagrodę otrzymał chór „Collegium Musicum” z Gliwic - w kategorii chórów kameralnych, oraz - w kategorii chórów dużych - I nagrodę przyznano Śląskiemu Chórowi Górnicznemu „Polonia Harmonia” z Piekar Śląskich, dwie równorzędne drugie nagrody chórom „Schola Cantorum” z Knuruwa i „Ogniwo” z Katowic, trzecią nagrodę „Słowikowi” z Przyszowic oraz nagrodę czwartą „Świętej Cecylii” z Tychów.

Powrót KIK-a

Miłośnicy teatru, opery także bywalcy sal koncertowych, wielbiciele kina zapewne z radością powitali nowe wydawnictwo, jakie pojawiło się na prasowym rynku - Katowicki Informator Kulturalny. Nowe a zarazem stare, bo właściwie jest to powrót KIK-a po ośmiu latach nieobecności. Nowi wydawcy zachowali dawną nazwę i logo tego niegdyś popularnego informatora. Niewiele wprowadzono również zmian w zawartości: pozostały repertuary kin, teatrów, muzeów, filharmonii, galerii. Wzbogacona została część recenzyjna, a także zamieszczane są krótkie artykuły i felietony omawiające najciekawsze wydarzenia artystyczne mające miejsce w Katowicach lub działalność instytucji artystycznych. Ponieważ ambicją redaktorów (wydawcą jest wydawnictwo prywatne Adart) aby KIK spełniał również - obok roli informacyjnej - opiniotwórczą i promocyjną dlatego też pojawiają się rozmowy z ludźmi kultury, aktorami, twórcami. Jak chcą wydawcy - KIK powinien być zawsze pod ręką i zawierać aktualną informację kulturalną.

Oczywiście trudno porównywać dzisiejszą szatę graficzną Informatora z tą sprzed ośmiu lat (wraz z nieudanymi próbami jego reaktywowania) - jest atrakcyjna, przemyślana i przejrzysta. Jeśli KIK-owi uda się wytrwać - czego mu serdecznie życzymy - z pewnością spełni swe zadanie. Oby tylko zawsze był na czas, bo to podstawa jego dobrej egzystencji.

■ W zabrzańskim Klubie Dyskusyjnym „Agora” promowano książkę Bartosza Kurowskiego „Punk pokolenie pustki”.

■ Uroczysty koncert „Karnawałowe reminiscencje”, którego wykonawcami byli studenci Wydziału Jazzu i Muzyki Rozrywkowej Akademii Muzycznej w Katowicach odbył się 29 stycznia w Urzędzie Stanu Cywilnego.

■ W Galerii Sztuki Współczesnej BWA w Katowicach 16 stycznia otwarto wystawę prac Magdaleny Abakanowicz (na ten temat w marcowym wydaniu „Śląska”).

■ Ogólnopolski Konkurs Poetycki o „Laur kosmicznego koperka” ogłasza Miejska Biblioteka Publiczna w Nowej Rudzie i Noworudzki Klub Literacki („Ogma”) - termin nadsyłania prac upływa 31 marca, zaś szczegółowych informacji udzielają organizatorzy: MBP ul. Bohaterów Getta 10, Nowa Ruda, tel. 074/872-4696.

■ Imponujący sztyl informujący o znajdującej się w tym najokazalszym gmachu Katowickiej Biblioteki Śląskiej ustawiono z początkiem stycznia tego roku, a pierwszy czytelnicy będą mogli tu zawitać w październiku - miesiącu, w którym upływa siedem lat od chwili położenia kamienia węgielnego pod budowę śląskiej Książnicy.

■ 65-rocznica powstania katowickiego Archiwum Państwowego była okazją do zorganizowania i zaprezentowania najcenniejszych



Lubosz - Jubilat

Z okazji 70 rocznicy urodzin i jubileuszu 50-lecia pracy twórczej Bolesława Lubosza w Oddziale Zbiorów Specjalnych Biblioteki Śląskiej otwarto wystawę prezentującą dorobek tego znanego śląskiego poety, pisarza, publicysty. Złożyły się nań egzemplarze powieści i tomów poetyckich, poematy i widowiska poetyckie, nowele, przekłady literatury obcej. Całość uzupełniały felietony, artykuły i eseje - dorobek pracy publicystycznej Lubosza. Uzupełniały ją rodzinne fotografie Jubilata, zdjęcia z podróży, ze spotkań z czytelnikami, promocji książek i prób teatralnych (przez długie lata Bolesław Lubosz był kierownikiem literackim Teatru Śląskiego).

Kolejnym punktem jubileuszowym uroczystości było spotkanie autorskie w Jazz Clubie katowickiego Centrum Kultury, podczas którego Bolesław Lubosz dzielił się wspomnieniami, opowiadał o swojej twórczości i życiu, także podpisywał książki.

Spotkaniom i wystawie patronowały Biblioteka Śląska i Górnśląska Oficyna Wydawnicza, edytor najnowszego zbioru poezji Jubilata.

oraz najciekawszych dokumentów znajdujących się w jego zbiorach.

■ Znakomity pianista jazzowy, muzyk światowej sławy, z pochodzenia rybniczanie, Andrzej Makowicz wystąpił z recitalem w Filharmonii Śląskiej, prezentując utwory George'a Gershwina.

■ „To nie byłem ja...” to tytuł wystawy prac Joanny Rajkowskiej eksponowanej w galerii „Kronika” Centrum Sztuki w Bytomiu.

■ 17 stycznia w Filharmonii Śląskiej odbył się doroczny koncert uczniów i absolwentów Liceum Muzycznego im. K. Szymanowskiego w Katowicach, podczas którego solistom i chórowi towarzyszyła Młodzieżowa Orkiestra Symfoniczna pod dyrekcją Jana Miłosza Zarzyckiego.

■ Towarzystwo Wzajemnej Adoracji było gościem „Muzycznych Spotkań Autorskich” teatru GuGalandier.

■ „Witaj jutrzeńko swobody” to tytuł najnowszej wystawy historycznej w Muzeum w Chorzowie.

■ W Piwnicy Artystycznej „Skala” w Chorzowie odbył się koncert yassowy w wykonaniu grupy „Nikotyńa”.

■ Sonaty I.J.Paderewskiego i K. Szymanowskiego wykonano podczas koncertu w Muzeum Górnśląskim w Bytomiu podczas koncertu zorganizowanego przez Towarzystwo im. Igna-

PROBUS' 97 dla Krzysztofa Karwata

Dziennikarz i publicysta „Dziennika Zachodniego” a także - co szczególnie nam bliskie - naszego miesięcznika - Krzysztof Karwat został laureatem pierwszej edycji konkursu „Probus'97” - nagrody, którą od tego roku przyznawać będzie „dziennikarzowi roku” przez środowiska samorządowe, gospodarcze i społeczne naszego regionu.

Wręczając nagrodę naszemu redakcyjnemu koledze Zygmunt Frankiewicz, prezydent Gliwic i przewodniczący Związku Gmin Górnego Śląska i Północnych Moraw podkreślił, że prestiż tej nagrody polega na tym, że kandydaturę Krzysztofa Karwata poparło grono osób piastujących najwyższe władze w regionie.

Jak pisał Jacek Derek, dziennikarz „Dz”, Krzysztof Karwat zajmuje się publicystyką, w której na co dzień porusza problematykę Górnego Śląska, a setki tekstów które w związku z tym powstały zawsze poruszają jakąś delikatną strunę śląskiej wrażliwości.

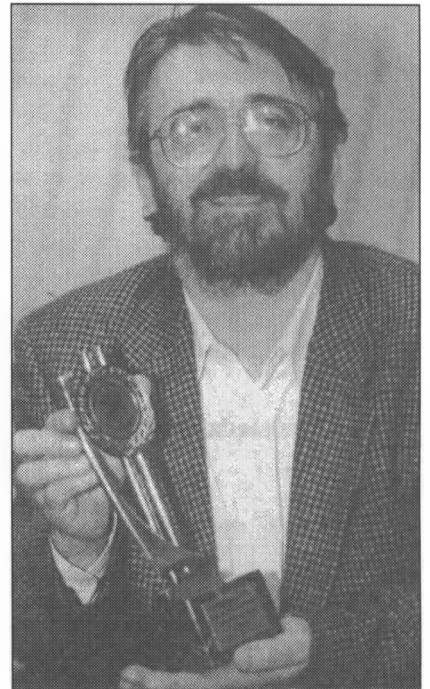


Foto. Arkadiusz Ławrywianiec

cego Jana Paderewskiego i Muzeum Górnśląskiego.

■ Teatr Cogitatur pod koniec stycznia pokazał poetyckie widowisko pt. „Cztery sny Holderlina” w reżyserii Wojciecha Izdebskiego.

■ II Bytomski Przegląd Piosenki Żeglarskiej „Szanty'98” odbywał się przez kilka dni stycznia w Śląskim Teatrze Tańca w Bytomiu.

■ Zespół wokalnoinstrumentalny „Przemienienie” wystąpił w Krypcie Bazyliki Archikatedralnej w Katowicach.

■ 26 stycznia w Miejskim Domu Kultury „Batory” w Chorzowie w ramach cyklu koncertów „Mistrz i uczeń” wystąpili znani pianiści Andrzej Jasiński i Zbigniew Raubo.

■ Ukazał się kolejny numer „Gliwickiego Magazynu Kulturalnego” a także „Tyskiego Magazynu Kulturalnego” - donosząc o najciekawszych przedsięwzięciach kulturalnych w tych miastach.

■ W Muzeum Historii Katowic otwarta została wystawa gobelinów Ewy Bergel - absolwentki krakowskiej ASP na Wydziale Architektury Wnętrz, od 1982 r. współpracującej z Muzeum Historii Katowic, zajmującej się tkactwem artystycznym i unikatowym, mającej na swoim koncie nagrody w konkursach środowiska katowickiego ZPAP i w konkursach ogólnopolskich.

Dar zapominania

Nie zna granic ni kordonów pomysłowości żywiołowych artystów-żurnalistów Władysława Bułki i Hieronima Woźniaka. Pierwszy był ostatnio autorem tekstów do Kalendarza Żywieckiego na 1998 rok, a drugi wydawnictwo zredagował i czuwał nad korektą wiekopomnych dzieł pierwszego. Już w słowie wstępnym do żywieckiego rocznika Władysław Bułka ujawnił, że oddaje do rąk czytelników kalendarz na rok... 1988. Po zapoznaniu się z wydawnictwem okazało się jednak, że pomyłka Bułki nie musiała być wcale przypadkowa. Kalendarium w publikacji doprowadzono bowiem właśnie do 1988 roku! O roku ów, kto ciebie widział w naszym kraju, ten cię pamięta jako ostatni rok komuny.

Nic zatem dziwnego, że w kalendarium wiele miejsca poświęcono — oprócz folkloru polskiego i radzieckiego — działaczom PZPR i ZMS czy rajcom rad narodowych. Dlatego do rangi wydarzenia urosła wizyta konsula radzieckiego Iwana Władimirowa w kwietniu 1958 r., finał III Wojewódzkiej Olimpiady Wiedzy o Partii w 1978 r., czy koncert Zespołu Pieśni i Tańca Armii Czerwonej w styczniu 1958 roku.

W tym kontekście jest najzwyklej zrozumiem, że takie wydarzenia jak wyrzucanie zakładowej komórki partyjnej z żywieckiego „Fonaru” w 1981 r. czy wizyta Jana Pawła II w 1995 r. w ogóle nie miały miejsca. Trudno się także dziwić, że w całym kalendarzu brak najskromniejszego nawet słowa „Solidarność”.

Władysław Bułka jest posem SLD i członkiem Związku Literatów Polskich. Być może dlatego udaje mu się łączyć w sposób szczególnie językowo-znawczo zainteresowania z nowomową i grafomanią. Oto parę przykładów. Charakterystyczny jest proces labilizacji samogłosek o - i - u zn. wymawianie ich w taki sposób jak gdyby poprzedzało je - „i!” - powiada literat dokonujący także epokowych odkryć etnograficznych czy nawet kulinarnych.

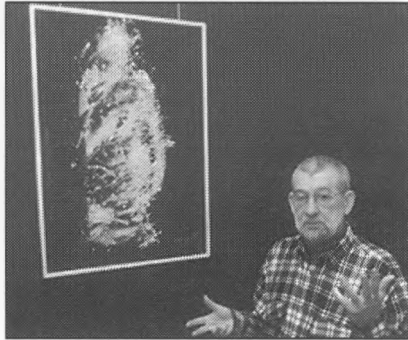
Po przeczytaniu tekstów Władysława Bułki trudno posądzić go o elementarne zdolności literackie, a korektora owych dzieł, Hieronima Woźniaka, o talenty adiustacyjne. Mimo to pan poseł wpada w zachwyt, gdyż powiada, że w Gazecie Żywieckiej redagowanej przez ten sam duet „wyraźnej zmianie na lepsze uległy prace korektorskie.”

Władysław Bułka i Hieronim Woźniak nie ustają jednak w poszukiwaniu nowych form literackiego wyżycia się. Marzą o opracowaniu monografii Żywca i Żywiecczyny. „Jest to wielkie zadanie na przyszłość o którym stale pamiętamy” — powiadają.

Panie, bądź łaskaw dla żywieckiego ludu. Ześlij najcenniejszy z darów — dar zapominania. Ześlij sklerozę.

JAN PICHETA

BIELSKO NOTATNIK KULTURALNY



Zdjęcie: ARC

Półwiecze dla dzieci

10 stycznia artyści bielskiej „Banaluki” świętowali swój jubileusz półwiecza istnienia. Teatr zrodził się w głowach dwóch młodych podówczas artystów — Zenobiusza Zwolskiego i Jerzego Zitzmana. Pierwszy spektakl odbył się 6 grudnia 1947 roku. Zenobiusz Zwolski zmarł przed paru laty i nie doczekał jubileuszu. Długoletni dyrektor dziecięcej sceny — Jerzy Zitzman z okazji półwiecza zrealizował spektakl „Kowala” Gustawa Morcinka. Scenografie stworzył Andrzej Łabiniec, a muzykę napisał Bogumił Pasternak. Obaj w różny sposób związani byli z „Banaluką”, a „Kowala” zrealizowali wraz z Jerzym Zitzmanem już przed dwudziestu laty.

Z okazji jubileuszu zaprezentowano także spektakl Tomasza Sylwestrzaka „Punch i Judy” — wystawiony na Scenie na Piętrze. Uroczystościom towarzyszyła wystawa dzieł plastycznych Andrzeja Łabińca, o której piszemy w innym miejscu.

Józef Krzempek nie dożył

Na kilka dni przed otwarciem swej wystawy w galerii Wojewódzkiego Ośrodka Kultury w Bielsku-Białej zmarł Józef Krzempek. Artysta urodził się 3 marca 1936 r. w Zarzeczcu na terenie zalanym obecnie przez Jezioro Goczałkowickie. Był absolwentem bielskiego liceum plastycznego, a w 1985 r. uzyskał uprawnienia artysty plastyka MKiS. W młodości był marynarzem. Po przymusowym wysiedleniu z rodzinnej wioski został z wyboru góralem. Osiadł w Jaworzu, gdzie wybudował dom. W jego twórczości dominowały więc fale morza i kopce groni. Pierwsza — jak się okazało — pośmiertna ekspozycja dzieł artysty potrwa do 7 lutego br.

Idzie nowe

Wojewódzkie Biuro Ogólnopolskiego Programu Promocji Uzdolnionych Dzieci i Młodzieży pn. „Talenty” przy Wojewódzkim Ośrodku Kultury w Bielsku-Białej wydało dwa tomiki literackie — Gracjana Pajaka z Bielska-Białej i Jakuba Nowaka z Cieszyna. Dwudziestoltni Gracjan

JEDNYM ZDANIEM

■ Pod koniec ubiegłego roku Muzeum Techniki i Włókiennictwa w Bielsku-Białej udostępniło zwiędzającym drugą część stałej wystawy na pierwszym piętrze swej siedziby przy ul. Sukiennej.

■ W Bielsku-Białej odbyły się eliminacje IX Ogólnopolskiego Forum Teatrów Dzieci i Młodzieży Szkolnej.

■ W styczniu w kościołach Bielska-Białej kołędowały „Trebnie Tutki”, Bielska Orkiestra Kameralna i „Camerata Silesia” pod dyktando Anny Szostak.

■ 15 stycznia w bielskim Centrum Kultury koncertował „Fryderyk 96” — Piotr Anderszewski.

Pajak jest obecnie studentem pierwszego roku polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego, a o rok młodszy Jakub Nowak ubiegłorocznym maturzystą Liceum Ogólnokształcącego im. Mikołaja Kopernika w Cieszynie.

Gracjan Pajak uprawia prozę od... pierwszej klasy szkoły podstawowej. W latach 1986-96 był laureatem Wojewódzkiego Przeglądu Dziecięcej i Młodzieżowej Twórczości Literackiej „Lipa”. Brał udział w zajęciach szkółki literackiej, która w latach 1983-93 istniała w klubie osiedlowym „Złote Łany”. Jego debiutancki tomik „Leksykon postaci prostolinijnych” charakteryzuje surrealistyczne poczucie absurdu.

Inny wielokrotny laureat „Lipy” Jacek Nowak wydał natomiast „Garść złotych monet” — zbiór lirycznych wierszy i aluzyjnych poematów.

Skalne miasto Ślusarczyka

Laureatem Grand Prix XVII Konkursu Fotograficznego im. Jana Sunderlanda pt. „Krajobraz górski” został Andrzej Ślusarczyk, który oczarował jurorów zestawem monochromatycznych fotografii pt. „Skalne miasto”. Pierwszą nagrodę przyznano Wojciechowi Zawadzkiemu, drugą Adamowi Kurasowi, a wyróżnienia Ryszardowi Kozłowskiemu, Ewie Andrzejewskiej, Piotrowi Witosławskiemu i Markowi Halladzie. Prace laureatów i ponad 60. innych uczestników konkursu można do 5 lutego oglądać w galerii Inez i Andrzeja Baturów z Bielsku-Białej.

Rzeźucha wyrosła

Interesująco rozpoczął się nowy rok w Galerii Bielskiej BWA. Najpierw zaprezentowano „Ryty i okrucy” Matyldy Marin — jednej z najciekawszych argentyńskich graficzek. Sprowadzenie kilkudziesięciu prac artystki zza oceanu było możliwe dzięki Konsorcjum „Autotak”, które w Bielsku-Białej ma swoją siedzibę.

Do 5 lutego natomiast oglądać można związane z naturą dzieła sztuki Teresy Murak. Najbardziej znane są „Zasiewy” — akcje, które polegają na wysiewaniu i pielęgnacji rzeźuchy, rośliny o niebywałej żywotności.

Talenty Łabińca

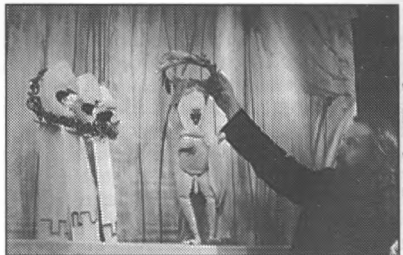


Foto: Bogdan Ziarko

Z okazji 50 rocznicy powstania Teatru Lalek „Banaluka” w Galerii Bielskiej Biura Wystaw Artystycznych otwarto ekspozycję prac Andrzeja Łabińca, który na bielskiej scenie pracował z krótkimi przerwami w latach 1954-96.

Retrospektywna wystawa dzieł bielskiego scenografa i reżysera zawiera obok projektów scenograficznych — gwasze, obrazy olejne i monotypie, które są na ogół impresją na temat aktu kobiecego. Artysta zaprezentował także niezwykle dowcipne pastisze dzieł malarzkich, ujawniając skalę i różnorodność swego talentu.

■ Zespół Pieśni i Tańca „Zasolanie” z Zasola Bielańskiego koło Kęt oraz grupa teatralna z Domu Kultury w Wapienicy triumfowały w VII Wojewódzkim Przeglądzie Zespołów Jasełkowych w Łodygowicach.

■ W Domu Kultury w Kamienicy odbył się Przegląd Piosenki Różnej.

■ W Galeryjce Domu Narodowego w Cieszynie wystawiał grafik Eugeniusz Delektka.

■ Agata Opyrchał i Ryszard Pielesz ujawniali swe talenty plastyczne w Galerii „3-2-0” w Bielsku-Białej.

■ „Hej, kołęda, kołęda” to tytuł zimowej wystawy w Muzeum Okręgowym na Zamku Sułkowskich w Bielsku-Białej.

Stare Opole, młodzi opolanie

„Opole na dawnej pocztówce” to album wyjątkowy. Przygotowany staraniem znanego opolskiego kolekcjonera pamiątek przeszłości Bogustawa Szybkowskiego zawiera kilkaset starych pocztówek i widokówek, które przedstawiają przedwojenne Opole. To pierwszy na Opolszczyźnie album tego typu.

Opolscy historycy są zgodni, że znaczenie wydawnictwa jest ogromne. Album pokazuje miasto, którego już od dawna nie ma i którego być może nie pamiętają nawet najstarsi mieszkańcy. Jest on nieocenionym źródłem wiedzy dla historyków sztuki, architektów a przy okazji i zwykłych opolan. Mogą na przykład zobaczyć jak wyglądała nowa synagoga przy ulicy Piastowskiej, którą w Noc Kryształową podpalić musiał własnymi rękami opolski rabin, zmuszony do tego przez faszystowskich bojówkarzy. Dziś po tamtej synagodze został tylko mały domek przy stawku na ulicy Barlickiego, przez tych lepiej zorientowanych w historii opolan zwany czasem „domkiem rabina”. Do albumu dołączono plan miasta z roku 1927, który ułatwia porównanie starego i nowego Opola.

„Opole na dawnej pocztówce” pozwala także zasmakować w precyzji dawnej sztuki użytkowej, tej sprzed ataku kultury masowej. Choć widokówki z okresu międzywojennego to głównie fotografie, te sprzed pierwszej wojny urzekają starannością wykonania. Przeważają wśród nich piękne litografie, czasem wielobarwne, wykonane z kilku warstw papieru. Są świadectwem epoki, w której nikomu się nie spieszyło i był czas na to, by nawet zwykłej pocztowej kartce nadać cechy dzieła sztuki.

Album jest ważny z jeszcze jednego powodu. Warto zwrócić uwagę na intencje wydawcy. „Niekörtzy mówią mi, że ten album będą kupować Niemcy. To nieprawda. Jeśli młody człowiek, który tu przyjeżdża, urodził się w Dusseldorfie czy Monachium, to dla niego Opole nie jest jego rodzinnym miastem” — powiedział Szybkowski „Gazecie w Opolu”, lokalnemu dodatkiowi „Gazety Wyborczej” — „Dla kogo jest ten album? W 95 procentach dla ludzi tu mieszkających. Nie autochtonów, tylko ludności napływowej, których rodzice pochodzą z Buga, a oni tu wyrosli, są drugim, może trzecim pokoleniem i Opole jest ich miastem. To trochę tak jak ze mną. Moja mama pochodziła ze Stanisławowa. Ja nigdy tam nie byłem i nie czuję tego miasta. W Opolu jestem od 1965 roku. Przyjechałem tu z Prudnika i to właśnie Opole, a nie Stanisławów jest moim miastem”.

Jak widać, „małą ojczyznę” wcale nie musi być ziemia, w której spoczywają nasi pradziadkowie, a powrót do przeszłości może być normalną wycieczką poznawczą, niekoniecznie zaś sentymentalną, nostalgiczną podróżą w czasy dzieciństwa.

MAREK ŚWIERCZ

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

Wspólni nobliści

Muzeum Diecezjalne w Opolu, Uniwersytet Opolski, redakcja tygodnika Niemców w Polsce „Schlesisches Wachenblatt” oraz Fundacja Hannsa Seidla to organizatorzy wystawy „Nobliści ze Śląska”. Jej otwarciu towarzyszyła sesja naukowa poświęcona dziesięciu wywodzącym się z Górnego i Dolnego Śląska naukowcom i twórcom, którzy zostali wyróżnieni nagrodą Nobla.

Wśród zaprezentowanych w Muzeum Diecezjalnym przy ulicy Kominka w Opolu zbiorów znalazły się unikalne pamiątki, choćby pierwsze wydanie „Tkaczy” Hauptmanna czy odręczna recenzja pracy doktorskiej Marii Goepfert-Mayer napisana przez jej mistrza Maxa Borna (oboje zostali uhonorowani nagrodą akademii w Sztokholmie).

Organizatorzy wystawy zamierzają opublikować materiały z sesji (po polsku i niemiecku), chcą także upowszechnić pamięć o śląskich noblistach — w planach jest wmurowanie pamiątkowej tablicy w Nysie, rodzinnym mieście Konrada Blocha.

Niemieckie kino

Po raz kolejny w sali kinowej Klubu Akademickiego Uniwersytetu Opolskiego obejrzeć można było ambitny wybór filmów niemieckich reżyserów. Przegląd, który trwał od 12 do 23 stycznia zorganizowały wspólnie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Niemców na Śląsku Opolskim oraz Akademicki Dyskusyjny Klub Filmowy „CHODE” działający przy UO.

W programie przeglądu znalazły się następujące filmy: „Możemy też inaczej” Detleva Bucka z roku 1992, „Nach funf im Urwald” Hansa Christiana Schmidta z 1995 roku, „Burning Life” Petera Weltza z 1994 roku

JEDNYM ZDANIEM

■ Nowym dyrektorem Estrady Opolskiej została Violetta Lubiewska, do niedawna pracownik Zieleni Miejskiej, wcześniej menedżer w Teatrze im. Jana Kochanowskiego i Opolskim Teatrze Lalki i Aktora.

■ Z XV-wiecznego kościółka w Rożnowie pod Wolczynem skradziono dziewięć bezcennych figurzek gotyckich.

■ Opolski aktor Maciej Orłowski został opiekunem cyklicznej imprezy „Wieczór komedianów, czyli kabaret po opolsku”, w której prezentować mają swoje umiejętności nieprofesjonalni autorzy skeczy i scenek dramatycznych — pierwszą edycję kabaretu zaplanowano na 6 marca.

■ Biblioteka Austriacka zaprezentowała w styczniu wystawę prac warszawskiej plastyczki Czesławy Eleonory Lizon.

oraz „Do widzenia, Ameryko” Jana Schutte z roku 1993 (produkcja RFN - Polska).

Opolski pamiętnik...

Na półki księgarskie trafiła książka Kazimierza Kowalskiego „Pamiętnik opolski”. Jest to zbiór 44 esejów i szkiców biograficznych pisanych przez wiele lat. Bohaterami tych wspomnień są nie tylko znane osobistości, ale także zwykli ludzie, w jakiś sposób dla autora ważni, choćby szofer, którego poznał w okresie współpracy z Radiem Opole.

Kowalski to literat, radiowiec i publicysta. Mieszka w Opolu od zakończenia wojny.

...i Kalendarz

Spore kontrowersje wzbudził jubileuszowy, 40. już Kalendarz Opolski przygotowany staraniem Opolskiego Towarzystwa Kulturalno-Oświatowego, którego uroczysta promocja odbyła się 9 stycznia. Opolski Urząd Wojewódzki nie był zachwycony doborem tekstów — wątpliwości władarzy Opolszczyzny wzbudziły reportaże z czasów lipcowej powodzi oraz przedruk mowy Kazimierza Kutza „Polska — kompleks pleców odwróconych”, wygłoszonej podczas uroczystości wręczenia mu doktoratu honoris causa Uniwersytetu Opolskiego.

„Słowem Katowiczankina przypisano niestosowność albo i... antypolskość”. Prawda, wywody Kutza są gorzkie, bardzo gorzkie. Są i sarkastyczne, ale przecież żadną miarą antynarodowe” — napisał w przedmowie prezes OTKO Jan Goczoł.

Czytelnikom Kalendarza warto polecić teksty historyczne, zwłaszcza artykuł młodego historyka Macieja Borkowskiego, poświęcony hitlerowskiemu pogromowi opolskich Żydów.

Kalendarz liczy sobie 316 stron, czyli jest grubszy niż zazwyczaj. Mimo tego kosztuje w siedzibie OTKO tylko 7 złotych — cenę utrzymano dzięki rosnącej liczbie opolskich firm, które zdecydowały się zareklamować na łamach Kalendarza.

■ Opolski Teatr Lalki i Aktora pokazał w Włoszech „Pastorałki” Tytusa Czyżewskiego.

■ W Opolu zawiązał się społeczny komitet budowy nowego gmachu Biblioteki Uniwersyteckiej (po powodzi zbiory nie można już gromadzić w piwnicach Instytutu Śląskiego) — na jego czele stanął prof. Stanisław Kochman.

■ W Filharmonii Opolskiej ruszył remont nowych i jedynych na Opolszczyźnie organów koncertowych, zawilgoconych podczas lipcowej powodzi.

■ Opolska grupa 3K wygrała eliminacje do prestiżowego przeglądu europejskiej rockowej sceny Le Printemps de Bourges — w minionych latach Polskę reprezentowały tak znane zespoły jak Hey, Blenders i New Du Wont.

Rok Młodzieży

Przed rokiem ogłosiła Rada Polaków rok 1997 Rokiem Kultury Polskiej w RC — stało się tak dlatego, że swoje jubileuszowe obchodził w roku ubiegłym cały szereg polskich organizacji. Nie tylko zaolziańskich — 110. rocznicę założenia Klubu Praskiego przypomnieli sobie Polacy mieszkający w stolicy Czech, na Zaolziu natomiast odbyły się huczne obchody 50-lecia PZKO czy 75-lecia PTTS „Beskid Śląski”. W ramach RKP Rada Polaków wydała np. kalendarz propagujący działalność polskich organizacji i instytucji, odbyły się liczne imprezy w wielu czeskich miastach, zorganizowano też w Teatrze Cieszyńskim 1 grudnia imprezę pn. „Przejazdem”, w której wzięli udział artyści scen polskich i czeskich wywodzący się z Zaolzia, bądź związani z nim przez jakiś czas.

Rok bieżący natomiast reklamowany został w PZKO „Rokiem Młodzieży”. Rok ten miałby bowiem — zdaniem dyrektora Biura ZG PZKO Bohdana Suchanka — dopomóc w zaktywizowaniu tych wszystkich młodych ludzi, którzy „co prawda posiadają PZKO-wskie legitymacje, lecz którzy nie znaleźli w strukturach organizacji na razie swojego miejsca”.

— Chcemy urządzić kilka młodzieżowych imprez tzw. ogólnozwiązkowych, ale równocześnie nie ukrywamy, że o tym, czy Rok Młodzieży przyniesie jakiś pożytek, zadecydują poszczególne Koła PZKO — mówi B. Suchanek.

ZG zamierza m.in. w pierwszym kwartale zorganizować w hotelu „Piast” mały rockowy festiwal z udziałem zaolziańskich zespołów, potem będzie Festyn Górski w Koszarzyskach i młodzieżowa sobota w ramach „Gorolskiego Święta”, wreszcie eliminacje do Festiwalu Piosenki Dziecięcej i tradycyjny Bal Akademicki. Będzie też ZG patronować imprezom sportowym, wspomagać działalność Kół, w których działają Kluby Młodych, nie zapomni też Zarząd Główny o Kołach, które chciałyby u siebie ożywić działalność młodych członków Związku.

JACEK SIKORA

ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

Śmierć Bergera

Odszedł pierwszy prozaik zaolziański, Wiesław Adam Berger (6 VI 1926 — 15 I 1998). Urodzony w Ostrawie-Przywozie, brał swe pierwsze lekcje życiowe wokół szkoły w Błędownicach Dolnych. Wywieziony na prace przyfrontowe, trafił do amerykańskich oddziałów pilnujących jeńców wojennych. Stąd prowadził go drogi do gimnazjów polskich w alpejskim Villard de Lans oraz Houilles pod Paryżem, wreszcie w zaolziańskiej Orłowej. Pracował jako elektryk-oświetlacz w ostrawskich teatrach.

Z bogatej biografii młodzieńczej wywiódł Berger swą prozę, na którą złożyły się liczne opowiadania, nowele i powieści wydane pod tytułami: „Świerszcze w głowie” (Kraków 1979), „Zmysły” (Katowice 1981), „Idę, Concorde” (Warszawa 1984), „Most nad Łucyną” (Ostrawa 1987), „Okay” (Katowice 1988), „Marienbad” (Ostrawa 1995), „Za późno” (Katowice 1996), „Byłem żołnierzem” (Trzciniec 1997). W.A. Berger był członkiem: Sekcji Literacko-Artystycznej PZKO, Zrzeszenia Literatów Polskich w RC oraz Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Nielatwo będzie nam się pogodzić z odejściem Adama: wiek XX temu winien. (W.S.)

Śpiewnik Wierzonja

Staraniem Oddziału Śląskiego Polskiego Związku Chórów i Orkiestr, przy wsparciu finansowym Towarzystwa Zachęty Kultury w Katowicach i Fundacji im. S. Batorego ukazał się śpiewnik autorstwa Józefa Wierzonja „Śpiewajmy wszyscy”. Zawiera on 130 pieśni ludowych, współczesnych, regionalnych oraz 18 „piosenek naszych dziadków i babć” (np. „Jadą, jadą dzieci drogą” czy „Stary niedźwiedź mocno śpi”).

Śpiewnik, jak pisze autor we wstępie, ma przyczynić się do spopularyzowania rodzimych pieśni i rozpiewania polskiego społeczeństwa na Zaolziu. Cel ten trudno chyba będzie jednak osiągnąć, gdyż publikacja pojawiła się w nakładzie zaledwie 500 egzemplarzy.

„Srebrne spinki” dla Tadeusza Wratnego

Laureatem tegorocznych „Srebrnych spinek”, prestiżowej nagrody Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie, został na wniosek Kapituły Nagrody 68-letni malarz i rysownik Tadeusz Wratny z Karwiny. Nagrodę odebrał laureat z przy konsula generalnego Bernarda Błaszczyka podczas przedświątecznego spotkania polskich środowisk twórczych z Zaolzia w gmachu konsulatu.

Wratny — z wykształcenia inżynier-architekt, absolwent brneńskiej Wyższej Uczelni Technicznej — rozpoczął swoje obcowanie z muzami od fotografii artystycznej, by w końcu pozostać wiernym szpachli malarskiej i piórku. Za „sprawców” swoich zainteresowań plastycznych

uważa Wratny profesorów orłowskiego gimnazjum — Gustawa Fierle i Józefa Niemca. Zauroczony krajobrazem Śląska Cieszyńskiego przetwarza go artysta w swej wyobraźni w romantyczne, baśniowe wizje.

Z pracami artysty można się było zapoznać podczas jesiennej wystawy pn. „Barwy Śląska” w karwińskiej bibliotece.

Wyróżnione śpiewactwo

Uroczystość wręczenia po raz 25. Śląskiej Nagrody im. Juliusza Ligonia odbyła się w sobotę 20 grudnia w Katowicach. Siedmioosobowa Kapituła Nagrody, przyszanawanej przez Zarząd Wojewódzki Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana”, na czele z prof. Janem Malickim, wyłoniła laureatów czterech nagród indywidualnych, jednej nagrody specjalnej (Polskie Radio, Rozgłośnia Regionalna w Katowicach) oraz jednej nagrody zagranicznej.

W tym roku nagroda zagraniczna powędrowała na Zaolzie, uhonorowaną nią bowiem Zrzeszenie Śpiewaczo-Muzyczne Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w RC.

„Bal Gorolski” obchodził ćwierćwiecze

O tym, że mosteczki „Bal Gorolski”, organizowany od 1979 r. przez zespół „Górole” i Miejscowe Koło PZKO, należy na Zaolziu do tych najatrakcyjniejszych, nie trzeba nikogo przekonywać. Również tegoroczna, jubileuszowa, bo 25. edycja tej imprezy zważyła do Mostów k. Jabłonkowa blisko 500 osób w strojach ludowych — nie tylko z czeskiej części Śląska Cieszyńskiego, ale i z Moraw, Czech, Słowacji, Polski, a nawet z Francji i Stanów Zjednoczonych. Nie zabrakło wśród uczestników również znanych folklorystów, m.in. prof. Karola Daniela Kadłubca, Jana Krista ze Strażnicy czy dyrektora skansenu różnowoskiego Jarosława Śtiki, a skorzystał też z zaproszenia ambasador RP w Pradze, dyrektor praskiego Instytutu Polskiego Andrzej Jagodziński oraz konsul RP w Ostrawie Piotr Szwarz.

A było atrakcji sporo — do białego rana bawiono się w rytm góralskich polek i „owijnzioków”, muzyki w wykonaniu kapel walcarskich, morawskich czy podhalańskich, śpiewano, raczono się wspaniałymi daniami śląskiej kuchni. Warto dodać, że towarzyszył balowi Międzynarodowy Przegląd Kapel i Zespołów Folklorystycznych, w których wzięło udział 13 kapel, należących do tych najbardziej renomowanych. Wymienimy chociażby kapelę Jana Karpieła „Bulecki” i „Budorzy” z Zakopanego, „Hanuliakowców” z Terchowej, ostrawski „Technik”, brneńską „Polanę”, zespoły „Walaśi” i „Torka” z Istebnej czy zaolziańskich „Góroli” czy „Kamratów”.

Rok wyborów

Głównym tematem obrad ostatniego w roku 1997 wspólnego posiedzenia Rady Polaków i Rady Przedstawicieli były wybory samorządowe, które odbędą się w listopadzie br. Jak jednak podkreślił prezes Rady Polaków, poseł Warzyńc Fójcik, nie wolno zapomnieć Polakom mieszkającym w RC również o wyborach senackich, które odbędą się w tym samym terminie oraz o czerwcowych nadzwyczajnych wyborach do Izby Poselskiej Parlamentu RC.

— Najważniejsze będą jednak dla naszego społeczeństwa wybory do samorządów, to w gminach bowiem decyduje się o wielu zasadniczych dla nas sprawach — powiedział Wawrzyńc Fójcik.

JEDNYM ZDANIEM

■ 16 grudnia ub. roku zmarła w wieku 47 lat znakomita poetka ludowa Anna Filipiec z Lomnej Dolnej.

■ „Śląskie Boże narodzenie” — taki tytuł nosiła wystawa w Domu PZKO w Karwinie-Fryszacie, przygotowana przez miejscowy Klub Kobiet.

■ 18 grudnia odbyło się w Polskim Centrum Pedagogicznym w Cz. Cieszyne uroczyste zakończenie 3-miesięcznego kursu profilaktycznego dla nauczycieli pn. „Siedem kroków”, który zorganizowały PCP oraz fundacja ETOCH z Polski i „Drogy Stop” (Narkotyki Stop) z Cz. Cieszyne.

■ Pięć „dorostych” zespołów folklorystycznych z Catego Zaolzia — Olza, Górole, Bystrzy-

ca, Suszanie i Skotnica — zaprezentowały się 20 grudnia w Trzcinicy na Koncercie Świątecznym, którego organizatorami były Urszula Niedoba i Michała Donocik z ZPIT „Olza”.

■ Od 1 stycznia br. czeskokocieszyński hotel „Piast” przeszedł w ręce nowego dzierżawcy, na podstawie umowy podpisanej z Cieszyńską Spółką Leasingową obiekt wydzierżawił na czas nieokreślony Zdzisław Zyta, były dyrektor połączonych hoteli „Dom Polski” w Ostrawie i „Piast”; jego zastępczynią została Krystyna Mrózek.

■ W czeskokocieszyńskim Wydawnictwie „Olza” pojawiła się na początku br. książka opowiadań biblijnych autorstwa zmarłego w 1980 r. pastora Gustawa Szurmana pt. „Kto będzie wyższy?”.

WIELKI ALEKSANDER

Wybitny znawca dziejów naszych lokalnych — ksiądz doktor Emil Szramek napisał o Nim: „był ideowym o pokroju machabejskim przywódcą duchowieństwa polskiego na Górnym Śląsku”.

Słowa te dotyczyły Aleksandra Skowrońskiego. Urodzony przed 135 laty — 9 lutego 1863 roku w Siemianowicach — wzrastał i działał w tych dziesięcioleciach ubiegłego wieku, gdy katolicka partia Centrum z różnych przyczyn coraz mniej skutecznie wiążywała się z roli reprezentanta interesów polskiej ludności górnośląskiej. Niemiecki system parlamentarny sprawnie przeniósł założenia i fobie Bismarckowskiego Kulturkampf na zespół antypolskich ustaw. Taki był kontekst działań Skowrońskiego i szczupłego grona zorientowanych narodowo księży — którzy z powodu braku innej inteligencji miejscowego rodu musieli wyjść poza funkcję li tylko pasterzy dusz. Gdy trzeba było lawirować pomiędzy zakazami antypolsko nastawionych wrocławskich władz kościelnych a realną groźbą wynarodowienia wiernych — współrodaków przecież — Aleksander Skowroński był tym, który uczynił najwięcej, by tworzyć parastruktury frontu oporu i jednoczyć siły polskie. Był czołowym działaczem ruchu narodowego w okresie poprzedzającym wystąpienie Wojciecha Korfanteo.

Już w młodym wieku musiało być coś w samej jego postaci i osobowości, co emanowało na zewnątrz. Nazwijmy to zapowiedzią przyszłej charyzmy przywódcy. Pięknie opisał to ex post młodszy o dziesięć lat Wojciech Korfanty: „Mam szczęście znać go od lat moich najmłodszych, bo z jednej pochodzimy wioski, z Siemianowic, i z jednej warstwy: z warstwy polskiego robotnika śląskiego (...). Jako młody chłopiec podziwiałem złotowłosego, przystojnego młodzieńca, idącego w towarzystwie starszego brata, ś.p. Leopolda, w stronę Małej Dąbrówki. Bawiąc się z rówieśnikami, przystawaliśmy, szepcząc sobie:

— To akademik z Wrocławia, a ten drugi to jego brat, doktor i wielki uczoney! A obydwa mówią między sobą po polsku i to tak jakoś pięknie po polsku!

Było to dla nas rzeczą nie do uwierzenia, że panowie mogą mówić po polsku. Tego jeszcze nikt we wsi nie widział i nie słyszał; samo się przez się rozumiało, że »pan« mówi po niemiecku. (...) Tak rodziła się Polska na Śląsku.”

(„W 70. rocznicę urodzin ks. prałata Skowrońskiego”. „Polonia”, nr 2991)

U WIKAREGO

W tymże kęście wielki przywódca snuje dalej wątek wspomnień: „W kilka lat później jako uczeń wyższej klasy gimnazjalnej razem z drugim kolegą odwiedziliśmy w Król. Hucie ks. wikarego Skowrońskiego (była to jego



Glossy górnos Śląskie

pierwsza posada po ukończeniu studiów teologicznych i uzyskaniu święceń kapłańskich 27 VI 1889 — przyp. W.J.). Założyliśmy wtedy tajne kółko polskie w gimnazjum katowickim. Było nas tylko siedmiu, aczkolwiek blisko połowa uczniów była pochodzenia polskiego. Męczyła nas myśl, jak zbudzić w nich uśpioną duszę polską i jak pozyskać ich dla polskości. Długie godziny spędzaliśmy w pokoiku szczytowym jednego z kolegów na odludnym przedmieściu, radząc nad sposobami zbliżenia się do naszych nieuświadomionych narodowo kolegów. Próby zainteresowania ich naszą wielką tajemnicą, różne sposoby podchodzenia do nich napotykały na trudności wprost nie do pokonania. Trzeba było zachować nadzwyczajną ostrożność, bo każdy z nas wiedział, że w razie zdradzenia się groziło nam wydalenie ze szkoły i zamknięcie przed nami wszelkich uczelni w Prusiech. A i w wewnętrznym życiu naszego kółka mieliśmy do zwalczania trudności niemałe. Książek polskich mieliśmy niewiele i nie wiedzieliśmy, skąd je wziąć i jakie wybrać. Wszak czytaliśmy książkę polską przeważnie przy pomocy słownika polsko-niemieckiego, bo zasób naszych słów polskich był nader szczupły.

W owych kłopotach udaliśmy się do ks. Skowrońskiego. Ks. wikary wyprowadził nas dla swobodnej rozmowy do jakiegoś ogródka restauracyjnego w części miasta zwanej wówczas »Kaliną«. Był to dzień powszedni i byliśmy sami. Młody wikary zaczął nam wtedy mówić o Polsce jako o rzeczy wzniósłej, nieomal świętej, dla której trzeba ponosić wielkie ofiary. Być Polakiem, to znaczy być wyznawcą, bojownikiem, gotowym do każdego poświęcenia!

Oczy błyszczały nam, serca się rozgrzewały pod wpływem słów, pełnych wiary, że Polska będzie, a my wszyscy ją budować musimy.

Wiele rad i wskazówek udzielał nam zawsze ten pogodny i wesoly ksiądz

o sercu pełnym gorącej wiary w zmartwychwstanie Polski.”

Te słowa pełne czci i wdzięczności nie wygasły, mimo że upłynęło z górą 40 lat od opisywanych wydarzeń, słowa napisane przez człowieka, który przywiódł Śląsk do Polski — były najpiękniejszym hołdem złożonym prałatowi Skowrońskiemu w urodziniową okazję. Pisał je bowiem uczeń, któremu dane było przewyższyć Mistrza.

PRZYJACIELE CHORZOWA

W lokalnych towarzystwach znanych kolokwialnie miłośniczymi grupują się ludzie utożsamiający się bardziej niż inni mieszkańcy z konkretną miejscowością czy mikroregionem. Sprzyjające dla nich warunki zaistniały dopiero po przełomie październikowym. W systemie programowego internacjonalizmu proletariackiego zdecydowanie nie było miejsca na patriotyzmy lokalne. Na Śląsku zaś tym bardziej, a zachować takie inicjatywy zawsze można było posądzeniem o separatyzm. Do jednych z najstarszych w naszym województwie należy stowarzyszenie chorzowskie, założone właśnie w roku 1956, a z początku noszące nazwę: Towarzystwo Przyjaciół Historii Chorzowa. Niedawny jubileusz postanowiono upamiętnić publikacją „40 lat Stowarzyszenia Miłośników Chorzowa im. Juliusza Ligonja. Fakty, myśli, refleksje” (Chorzów 1997). Redaktorem zbiorowego opracowania jest jeden z filarów organizacji — Marian Gałuszka, historyk, pracownik Archiwum Państwowego.

Znajdujemy w tym wydawnictwie zwięzły zapis niebagatelnych dokonań (tekst „Nasze czterdziestolecie”). Jest pomiędzy nimi skuteczne dążenie do odbudowy zniszczonego przez hitlerowców Pomnika Powstańca Śląskiego z twarzą wybitnego działacza narodowego Juliusza Ligonja (odsłonięto go 1 IX 1971). Zresztą przedstawiciele sławnego rodu Ligoniów — tak zrośniętego z tym miastem — zawsze byli w kręgu zainteresowania Stowarzyszenia, które organizowało sesje i inspirowało publikacje wnoszące ważkie ustalenia do ich biografii. Spośród firmowanych przez SMCh publikacji nieprzemijającą wartość ma „Polska droga Chorzowa” (1988) — szczegółowa i niebanalna historia miasta, opracowana przez zasłużonego działacza i publicystę Rajmunda Hankego. W rocznicowej księdze nie mogło zabraknąć biogramów sławnych chorzowian z najobszerniejszym — przybliżającym postać i dzieło wybitnego rzeźbiarza Teodora Kalide. Uwagę zwracają również dwa osobiste wyznania: pióra dojrzałego Józefa Bujoka („Refleksje chorzowianina”) i wchodzącej w życie Anny Sołtysiak („Chorzów moja mała ojczyzna”) — ukazujące kształty miłości do stron sobie najbliższych.

WOJCIECH JANOTA

Podróżować z jednym biletem



Foto: Jerzy Pilszak

- Komunikacyjny Związek Komunalny GOP jest największym przewoźnikiem w kraju. Co wyróżnia go spośród innych i czym charakteryzuje się jego organizacja?

- Na terenie województwa katowickiego - jak i w kraju - KZK GOP jest największym celowym związkiem gminnym. Powołany jest do organizacji komunikacji zbiorowej - autobusowej i nie tylko. Pracuje na tych samych zasadach co samorząd. Należą do niego 22 gminy, które te zadania przekazały naszemu Związkowi. Naszym działaniem obejmujemy całą aglomerację katowicką - począwszy od Sławkowa na wschodzie, na północy - Siewierza, od południa to są Katowice, Knurów, brakuje Tychów - ale to już zupełnie inny temat, a na zachodzie to są Gliwice.

KZK GOP organizuje samodzielnie komunikację na 280 liniach i na 30 z innymi związkami - ze Związkiem w Tarnowskich Górach i Zarządem Transportu w Tychach. W sumie mamy około 330 linii.

- Jaki jest sposób finansowania tej swoistej gminy?

- Pieniądze, którymi dysponujemy w 70 procentach pochodzą z wpływów biletowych - stąd te częste propozycje zmian cen biletów, co związane jest ze zwiększaniem się kosztów transportu, 30 procent stanowią dotacje gminne. Są one wystarczające wyłącznie na pokrycie realizacji przewozów. Natomiast kiedy myślimy o konieczności wymiany autobusów, które są w złym stanie, to są wysoce niewystarczające. Dlatego gminy powinny wysuwać głos na zakup nowych autobusów. Na razie na około 1000 pojazdów wymieniono około 160. Komunikacja to jest jeden z głównych nerwów gospodarki. Zwłaszcza w naszym regionie. Jeśli ta sfera funkcjonowania struktur województwa będzie niewłaściwie zagospodarowana, skutki będą odczuwane w całej gospodarce regionu. Opracowaliśmy dwie propozycje w tym dla przewoźników: pierwszej z nich opracowanej wspólnie z Wojewódzkim Funduszem Ochrony Środowiska nie została przyjęta z racji tego, że przewoźnicy komunalni nie chcieli uczestniczyć w tym zakresie wspólnie z przewoźnikami prywatnymi - na szczęście dzisiaj już wszyscy mają równe prawo dostępu do opracowanych programów. Obecnie staramy się o fundusze zewnętrzne - sięgamy do Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju - ale warunkiem uzyskania kredytu rzędu 100 mln dolarów jest uzyskanie gwarancji gmin na jego spłatę. Jesteśmy w trakcie załatwiania tej sprawy. Nie ukrywam, że liczymy również na przychylność wojewody katowickiego. Ten kredyt i tak nie załatwi sprawy do końca - gminy i tak będą musiały złożyć się na zakup nowych autobusów. Do tego Wojewódzki Fundusz Narodowy również może mieć swój udział w tym przedsięwzięciu. Chcielibyśmy także uzyskać pomoc z budżetu państwa. Chodzi przecież o ogromną kwotę - rzędu 4 bilionów starych złotych.

- Jednak pasażera korzystającego na co dzień z komunikacji zbiorowej najbardziej interesuje - oprócz ceny przejazdu - łatwość przemieszczania się, czyli możliwość korzystania ze wspólnego biletu na różne środki transportu.

- W czasach WPK funkcjonował jeden bilet na autobusy i tramwaje. My mamy już takie porozumienie ze Związkiem Tarnogórskim - można poruszać się przy pomocy jednego biletu po około 40 gminach. Złożyliśmy wojewodzie katowickiemu propozycję, z której wynika, że od maja tego roku można by wprowadzić wspólny bilet dla autobusów i tramwajów. Ale to są porozumienia wynikające z woli dwóch stron. My nie możemy niczego nikomu narzucać. Również z tej racji, że przewozy autobusowe finansowane są z budżetów gmin, a tramwaje z budżetu państwa. Ponadto nie we wszystkich gminach jeżdżą tramwaje. Integracja z innymi organizatorami prze-

wozów następuje, chociaż dość powoli. Na przykład z Tychami mamy wspólny bilet miesięczny.

Ciągle jednak zasadnicze rozwiązania muszą poczekać na wprowadzenie reformy administracyjnej, która zakłada wprowadzenie powiatów czyli kolejnego szczebla kompetencji. Niemniej jednak komunikacja gminna pozostanie w nich nadal. Natomiast komunikacją ponadlokalną mają zajmować się powiaty. Chcę powiedzieć, że to, że mamy do czynienia z trzema systemami przewozowymi: autobusowym, tramwajowym i kolejowym jest wynikiem nieregulowanej dotąd reformy administracyjnej państwa. Najpierw trzeba przekazać kompetencje z centrum na niższy poziom, a dopiero potem podejmować decyzje o charakterze systemowym. W sprawie rozwiązań komunikacyjnych ważna jest celowość funkcjonowania związków komunalnych, z ustawowym zapewnieniem finansowania komunikacji zbiorowej.

Mogę przytoczyć przykład Niemiec, z którymi współpracujemy w zakresie organizacji komunikacji. Komunikacja zbiorowa jest realizowana poprzez związki komunalne ze względu na jej ponadlokalny charakter.

Jeden bilet dla całego województwa byłby sytuacją idealną, ale jest to bardzo trudny problem do rozwiązania.

- Rozmawiając o rozwiązaniach systemowych komunikacji naszego województwa nie można pominąć tak palącego problemu jakim jest drożność naszych układów komunikacyjnych. Krótko mówiąc pokonywanie korków na ulicach naszego województwa stało się zmorem nie tylko właścicieli samochodów osobowych, ale i pasażerów autobusów.

- Ta sytuacja jest wręcz tragiczna. Zdarzają się dni, kiedy cały ten system jest kompletnie zakorkowany. My żądamy od przewoźników terminowości i punktualności - co staje coraz częściej niemożliwe do egzekwowania. Najpilniejsze stało się opracowanie polityki transportowej w ramach aglomeracji. Trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie czy możliwe jest równoprawne traktowanie samochodów osobowych i komunikacji zbiorowej. Czy powinny być preferencje dla komunikacji zbiorowej, ponieważ nie możemy realizować rozkładów jazdy. Na całym świecie panuje tendencja „czyszczenia” centr miast z nadmiernego ruchu samochodów prywatnych, dając pierwszeństwo komunikacji zbiorowej.

- KZK GOP kieruje Pan od kilku lat. Czy przy rozwiązywaniu problemów komunikacyjnych przydały się Panu doświadczenia jakie zdobył Pan będąc prezydentem Katowic?

- Wszystkie moje wcześniejsze zajęcia zawodowe - czyli przez okres 35 lat - związane były z komunikacją. Były to zwykle zarządy wojewódzkie dużych organizacji transportowych różnych branż. To szerokie widzenie problemów komunikacyjnych tkwi już we mnie od dawna, nie nastrojącą trudności w globalnym ogarnianiu specyfiki zagadnienia. Jedno miasto - Katowice - były więc niższym poziomem działania. Z faktu bycia prezydentem Katowic wyniosłem innego rodzaju doświadczenie: że podmiotem działania nie jest władza sama w sobie, ale mieszkańcy, którzy na co dzień borykają się z różnymi kłopotami, także komunikacyjnymi.

- Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała: WIESŁAWA KONOPELSKA

Świętochłowice



Wojkowice



Zabrze



Będzin



Bobrowniki



Bytom



Sosnowiec



KOMUNIKACYJNY ZWIĄZEK KOMUNALNY GÓRNOŚLĄSKIEGO OKRĘGU PRZEMYSŁOWEGO

Chełm Śl.



Sławków



Chorzów



Siewierz



Czeladź



Siemianowice Śl.



Dąbrowa Górnicza



Ruda Śl.



Gierałtów



Z nami najpewniej

ul. Wita Stwosza 31 40-042 KATOWICE

Tel. (032) 257-94-01, (032) 257-94-02

fax (032) 257-95-53, informacja (032) 257-95-79



Psary



Mysłowice



Knurów



Katowice



Imielin



Gliwice

CENTROSTAL GÓRNOŚLĄSKI

351674

**Przedsiębiorstwo Państwowe
Obrotu Wyrobami Hutniczymi w Katowicach**

**40-610 Katowice, ul. Stalowa 1. Tel. (032) 2521-021-9, 2521-051-5
Fax (032) 2521-056, 2525-805**

CENTRO
STAL

GÓRNOŚLĄSKI

GWARANTUJE
atesty na sprzedawane wyroby
dokonuje usługi cięcia.

W ramach przedsiębiorstwa

działają filie:

05-660 WARKA

ul. Puławska 39

tel. 048/6673-644

tel./fax 048/6672-232

49-301 BRZEG

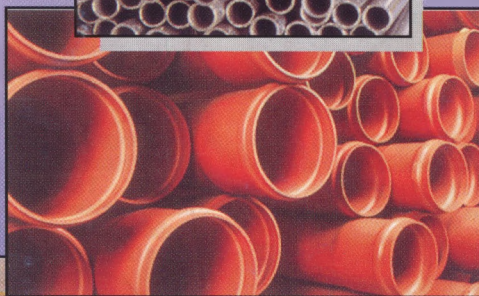
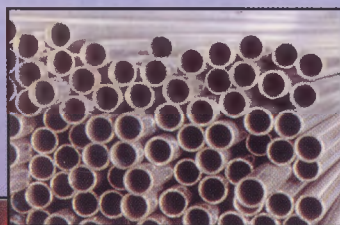
ul. Łokietka 24

tel.

077/162-316

tel./fax

077/162-892

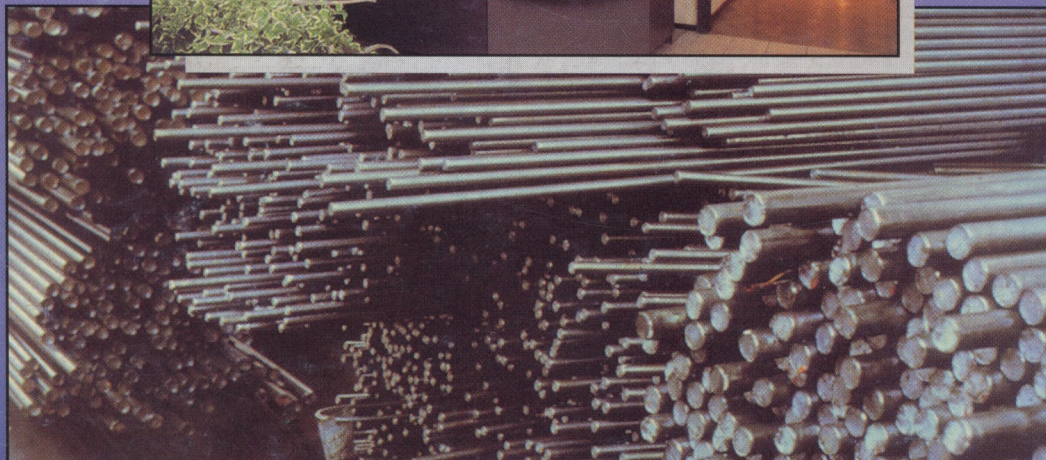


OFERUJE:

Pełny asortyment
wyrobów hutniczych,
tworzywa sztuczne
dla budownictwa
i urządzeń reklamowych,
wyroby dla budownictwa
inżynieryjnego
oraz materiały budowlane



Filie
oferują
pełny
asortyment
wyrobów
hutniczych



*Zaopatrywanie się w „Centrostalu Górnośląskim” uwalnia od kłopotów kompletowania
różnych asortymentów u wielu dostawców w tym także zagranicznych*